Corocznie 52 tomy.

Bezpłatny Dodatek tygodniowy do „Gazety Polskiej".

WALERYA MARRENE
(MORŻKOWSKA).

JANUARY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Tom I.



WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej".
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14

1900.

Co tydzień książka bezpłatnie

Dotychczas wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej.“

1. *St. Kozłowski* **„Taborycl“** dramat w pięciu aktach tom 1
2. 3. 4. *T.T. Jeż* **„W Zaraniu“** powieść . . . . . tomów 3
5 *E. Goncourt* **„Bracia Zemganno“** . . . . . . tom 1
6. *T. Padalica* **„Powieści Ukraińskie“** . . . . . . „ 1
7. 8. *Edm. Rostand* **„Cyrano de Bergerac,“** komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . tomów 2
9. *Irena Mrozowicka* **„W płytkim prądzie“** . . . . tom 1
10. *Jonas Lie* **„O Zachodzie“**, powieść norweska „ 1
11. 12. *Klementyna z Tańskich Hofmanowa* **„Krystyna“** tomów 2
13. *H.Andersen* **„Bajki i Opowiadania“** . . . . . tom 1
14. *Józef Bliziński* **„Obrazki“** . . . . „ 1
15 .16. 17. *Artur Gruszecki* **„Szarańcza“** powieść na tle stosunków szląskich . . . . tomów 3
18. *Juliusz Breton* **„Artysta“** (Savarette) . . . . tom 1
19. 20. *Jan Lam* **„Wielki Świat Capowic“** . . . . . tomów 2
21. 22. 23. 24. **„Głowy do pozłoty“** . . . . tomów 4
25. *J. W. Goethe* **„Reineke-Lis“** . . . . tom 1
26. *Stanisław Pilecki* **„Dwa głosy“** . . . . tom 1
27. *Marya Konopnicka* **„Pod prawem“** powieść . „ 1
28. *Teofil Lenartowicz* **„Poezye“** . . . . . . „ 1
29. *Marya Konopnicka* **„Nowele“** . . . . „ 1
30. *Adolf Dygasiński* **„W Kielcach“** opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . . . . „ 1
31. *Marya Konopnicka* **„Nowele“** . . . . „ 1
32. 33. *Józefat Nowiński* **„Biała Gołąbka“** poemat dramatyczny w 5 aktach . . . . tomów 2
34. *Marek Twain* **„Bajeczki dla starych dzieci“** przełożone z oryginału przez *Alinę Świderską* . . . . tom 1
35. 36. 37. 38. *Michał Synoradzki* **„Muszkieterowie króla jegomości“**, romans historyczny . . . . . . tomów 4

JANUARY.

„Gazeta Polska“. Tom 38. (Og. zb. 103)

WALERYA MARRENÉ.

(MORŻKOWSKA).

JANUARY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

WARSZAWA,
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“.
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Іюля 1900 года.

I.

W pokoju, zarzuconym książkami, przed wielkim stołem, suknem zasłanym, wśród roztwartych infolio notat i papierów, siedział młodzieniec z piórem w ręku i pisał.

Z pod pióra jego występowały na papier litery proste, ostre, śpiczaste, nie związane z sobą żadnym zaokrąglonym rysem; ale za to rękopis był czytelny, bez śladu poprawek i przekreślań, świadczących zawsze o wahaniu się myśli.

Chwilami podnosił spuszczoną głowę i patrzał przed siebie z brwią ściągniętą, ze sztywnym wzrokiem, jak gdyby szukał właściwego wyrazu, lub sięgał do głębin pamięci, Wówczas można było spo-

strzedz twarz bladą o wielkich, wybitnych rysach i jasne oczy niepewnego koloru.

Włosy ciemne, niedbale odgarnięte z czoła, okrywały jego potężne kontury, podobne do paryjskiego marmuru, rzeźbionego ręką mistrza. Czoło to było jakby przewiędłe i, choć gładkie, nie miało świeżości młodzieńczej. Znać było, że paliły się pod niem myśli czy żądze, i nadały mu dojrzałość przedwczesną.

Pod łukiem brwi gęstych i śmiało narysowanych, były oczy jasne, o bystrem spojrzeniu, badawcze oczy myśliciela, które, w chwilach skupienia, miały stalowe odbłyski. Delikatne zagięcia ruchliwych nozdrzy świadczyły o sile i subtelności wrażeń. Zresztą, w twarzy tej pełno było było mrocznych głębin, pełno kontrastów i rysów, zwykle wykluczających się wzajem.

Głównym jednak jej charakterem była nieugiętość. Nieugiętemi były przycięte, bezbarne wargi, jakby z nałogu panowania nad słowem, a nadewszystko nieugiętą była lekka zmarszczka, idąca od nozdrzy do kątów ust, nieco w dół podanych, nawyknieniem dumy lub szyderstwa. Dolne zarysy twarzy, wyrazem swoim, spokrewnione były z biustami Juliusza Cezara i świadczyły o silnie rozwiniętej, praktycznej energii czynu, gdy jasne czoło przywodziło

na myśl głowy myślicieli starożytnych i pod względem abstrakcyjnych zdolności, nic nie zostawiało do życzenia.

Chwile namysłu jego były zwykle krótkie, nie potrzebował tworzyć pracowicie, pióro biegło po papierze, jakby trudno mu było wydążyć myślom.

Trwało to czas jakiś. Na dworze był dzień majowy, pełen słońca i woni wiosennych; gałęzie akacyi, rosnącej w miejskim ogrodzie, tuż pod oknem, trącały o szyby poruszane lekkim wiatrem, gdzieniegdzie wpuszczając do pokoju promień słoneczny, który je przebić zdołał. Jednak blaski rozbudzonej natury nie zdawały się przemawiać do pracownika,— przeciwnie, — był on zupełnie nieczuły na świat zewnętrzny. Nawet w chwilach zamyślenia i przerwy, wzrok jego nie zwracał się ku zieleni drzew, ani ku złocistemu błękitowi nieba.

Tak mijały godziny jedna za drugą, uderzały na bliskiej kościelnej wieży; promienie słoneczne, zabłąkane tutaj, odbawały cichą wędrówkę po pokoju, wywołując kolejno z pomroki sprzęt jakiś lub księgę i darząc ją chwilowym blaskiem.

Sprzęty tego pokoju były skromne, surowe nieledwie, właściciel nie mógł pozwolić sobie na żaden zbytek, lub też niedbał o niego, bo widniał tu raczej,

nieład niż ubóstwo negacya mięszych nawyknień raczej niż niemożność uczynienia im zadość.

Okno było bez firanek, obicie rzadkich mebli wypełzłe, ale pokój ten był obszerny, drzwi w głębi prowadziły do drugiego, gdzie widać było żelazne łóżko, nie brakło tu więc przestrzeni; nad stołem do pracy zwieszała się lampa, starannie dobrana, by światło jak najmniej wzrok raziło, a stosy książek, zalegające krzesła, kanapę, stoły i leżące kupami na ziemi reprezentowały znaczny kapitał.

Były to książki rozmaitego rodzaju; promień słoneczny przechodził od świeżej okładki paryskich, lipskich lub londyńskich wydań do starych pergaminów i kosztownych safianowych opraw, igrając gdzieniegdzie w zczerniałem złocie wybitych liter, odświeżając spłowiałe barwy i darząc je ruchomym blaskiem.

Snadź okno wychodziło na zachód, bo zakres słoneczny coraz się dalej posuwał i światło coraz większemi płatami przebijało ruchomą zasłonę liści, słało się na szarej podłodze, tworząc na niej złociste plamy i rozświetlało ponure wnętrze tego pokoju, aż wreszcie niedyskretnie zaigrało na karcie papieru, po której biegło pióro piszące, jakby nęcąc go do odpoczynku, przypominając, że tam na świecie królowała wiosna, śpiewały ptaki, pachniały kwiaty, i że on także był młodym.

Ale on tylko usunął się niecierpliwie i pisał dalej, nie czuły na żaden wpływ zewnętrzny.

Dopiero po niejakim czasie, sam dobrowolnie odrzucił pióro, które przez czas jakiś kreśliło coś z podwojoną szybkością, i, odsunąwszy nieco krzesło, na którem siedział, oparł głowę na poręczy, jakby po dokonanem dziele, odetchnął głęboko; przez chwilę oczy jego jaśniały chłodnym blaskiem, zdawał się przebywać jeszcze w abstrakcyjnych krainach.

Powstał w końcu, wyciągnął członki zmordowane długiem pozostawaniem w jednem położeniu. Postać jego odpowiadała w zupełności charakterystyce głowy; jak twarz była wyrazistą i przewiędłą, tak postać była wysoką, szczupłą, nieco na przód podaną od książkowej pracy.

Patrząc na niego, można było zapytać o wiek i nie módz na to pytanie odpowiedzić dokłanie, bo pomimo zewnętrznych cech znużenia i gorączkowej pracy, młodość ma piętno i uroki sobie właściwe; daremnie czoło jego było blade, daremnie myśli, uczucia, czy cierpienia, wyżłobiły bruzdy na twarzy; było coś nieokreślonego w uśmiechu, spojrzeniu, ruchach, co świadczyło, że jakkolwiek twarde, gorączkowe, lub namiętne życie jego było dotąd krótkie, że choć może nadużywał skarbów bytu, nie zużył ich jeszcze. i że po za abstrakcyjną energią tej natury, mogły trwać ukryte inne pierwiastki.

Teraz ukończywszy prace swoją, spojrzał na zegarek, który wskazywał już blizko piątą godzinę, a uczyniwszy to, rzucił okiem wokoło z pewnem zdziwieniem, jakby brakło mu jednego ze zwykłych sprzętów lub czynników życia. Przeszedł się parę razy po pokoju.

Nie przyszło mu jednak na myśl zbliżyć się do tych słonecznych świateł, cisnących się koło okna, roztworzyć je całe falom powietrza, odetchnąć woniami wiosny.

Tak przeszło minut parę, w ciągu których znów obejrzał się z wzrastającem zdziwieniem, a teraz nawet zdziwienie jego zmieniło się w niecierpliwość.

Wskutek tego zapewne wziął kapelusz i rękawiczki, leżące w kącie pokoju, narzucił na siebie letnie palto i zabierał się do wyjścia, kiedy szybkie kroki dały się słyszeć na schodach i odezwał się dzwonek, pociągnięty pośpiesznie.

— Przecież! — wyrzekł wówczas sam do siebie, otwierając drzwi. Słowa tego jednak nie powtórzył głośno, tylko, widząc wchodzącego, odezwał się z cierpkim wyrazem, nie rozjaśnionym wcale widokiem zakłopotania, jakie malowało się na twarzy nowoprzybyłego:

— A to ty Ignasiu!

— Czekałeś na mnie, January — zawołał ten ostatni.

Zamiast odpowiedzi, January wzruszył ramionami.

— Dlaczegoż miałem czekać?—odparł oschle—widzisz przecie, że wychodzę.

— Daruj mi, spóźniłem się, wiem o tem, biegłem jak mogłem najprędzej.

Rzeczywiście krople potu wyystąpiły na czoło Ignasia, policzki były zarumienione, a niebieskie oczy jaśniały tak serdecznym blaskiem, wyrażały tak szczery żal za mimowolną przykrość wyrządzoną towarzyszowi, iż trzeba było mieć bardzo twardą naturę, by nie być rozbrojonym od razu.

January nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— Idę na obiad—wyrzekł—jest to moja godzina, czasu tracić nie mogę.

— Wiem, wiem, ale widzisz, miałem niespodzianą przeszkodę, spotkałem pannę Jadwigę...

— Zawsze pannę Jadwigę! mogłem się tego spodziewać.

— Panna Jadwiga miała małe sprawunki, prosiła, bym jej dopomógł...

— A ty, Ignasiu, naturalnie poszedłeś z panną Jadwigą; ma się rozumieć; nie powinienem się temu

dziwić; nie dziwię się bynajmniej... panna Jadwiga przedewszystkiem... Wszakże chcesz się nawet z nią ożenić.

Wymawiając te słowa, roześmiał się szyderczo.

Ignaś spojrzał na niego z wyraźnym żalem.

— Wiesz, że się kochamy—wyrzekł łagodnie.

— A, tak, kochacie się, ale pomimo to, ja powtarzać ci będę, że robisz największe szaleństwo. Człowiekowi pracującemu, człowiekowi, nie mającemu zapewnionego jutra, żenić się!... lepiej sobie kamień uwiesić u szyi i rzucić się do Wisły.

— Przecież to, co zarabiam, wystarczy na utrzymanie rodziny; zresztą, mówiliśmy o tem tyle razy.

— Widać, że mówiliśmy za mało... skoro trwasz w swoich zamiarach i rozumujesz jak dziecko...

— Dlaczego jak dziecko?

— Utrzymanie masz dzisiaj, jutro zbraknąć ci go może, a cóż będzie wówczas?

— To już zbytnia ostrożność! przyjaźń twoja jest nadto przewidującą; tym sposobem nikt nie tworzyłby planów przyszłości.

— A przytem — ciągnął dalej nieubłagany January,—robić takie szaleństwo dla panny Jadzigi, która nie jest ani piękną, ani młodą nawet... bo ona nie

jest wcale młodą, Ignasiu; wydaje się starszą od ciebie.

— To już moja rzecz, a skoro panna Jadwiga mi się podoba...

— Naturalne, o gustach rozumować nie można, ja znajduję tylko, że twój jest najgorszy. Ale ta dysputa do niczego nie doprowadzi; chodźmy na obiad, jestem piekielnie głodny.

I nie zważając na przykrość, jaką temi słowami wyrządzał Ignasiowi, wyszedł pierwszy z mieszkania, pogwizdując jakąś nieokreśloną nutę. Ignaś szedł za nim. Przez chwilę trwało pomiędzy nimi milczenie, którego January przerywać nie myślał. Ciążyło ono jednak Ignasiowi, czuł w niem jawny dowód niezadowolenia towarzysza, i usiłował znów zawiązać rozmowę.

— Pisałeś dzisiaj?—zapytał.

Zamiast odpowiedzi, odebrał tylko skinienie potakujące.

— Ty tak pracujesz!—zawołał znowu.

— Ma się rozumieć, to jedyny sposób, żeby cośkolwiek zrobić.

— January.—pochwycił gorąco Ignaś — ja się z tobą nie równam, ja podziwiam cię tylko; mnie potrzeba, widzisz, trochę słońca, trochę szczęścia, tro-

chę miłości; jabym nie wytrwał tak, jak ty, w abstrakcyjnych sferach.

— O, ty jesteś dziecko prawdziwe — odparł wpół pogardliwie, wpół pobłażająco January.

— Ja także nie próżnowałem dzisiaj — wtrącił z pewną niemiałością Ignaś.

— No i cóżeś ty tam napisał?

— Skończyłem swoją rozprawę.

— Roprawę? o czemże to?

— Jakto! nie pamiętasz, rozprawę o dzisiejszej poezyi...

— A, tak, o dzisiejszej poezy; przypominam coś sobie, mówiłeś mi o niej.

— Mówiłem nieraz; skończyłem ją właśnie... gdybyś miał czas, chciałbym ci przeczytać...

— I owszem, i owszem, tylko wiesz, że jestem surowym krytykiem.

— Ty masz prawo nim być — zawołał Ignaś z zapałem,—któż z nas tobie dorówna?.

January nie przerywał mu wcale, a nawet nie zwracał uwagi wielkiej na ten admiracyjny wykrzyknik, uważał widać szczere hołdy Ignasia za rzecz zwyczajną, a przynajmniej za rzecz należną sobie.

— Trzeba pracować — odparł tylko, machając w takt laską, trzymaną w ręku, suchym, urywanym

ruchem—trzeba pracować... i nie nabijać sobie głowy niepotrzebnemi rzeczami.

— January! — zawołał nagle Ignaś — czy nikt nie był dzisiaj u ciebie?

Zagadniony spojrzał bystro na mówiącego.

— Dlaczego się pytasz?—wyrzekł oględnie.

— Słyszałem, że „Hasło“ ma cię wezwać na współredaktora.

— Współredaktora? mnie! wiesz dobrze, iżbym nie przyjął. Potrzebuję mieć swój organ wyłączny, a nie zasiadać w jakimś komitecie i poddawać mu może jeszcze moje artykuły.

— „Hasło“ przecież wyznaje jedne z tobą przekonania.

— I cóż ztąd? są tam figury, których znosić nie nie mogę. A naprzód, ten Karol ze swoją wieczną opozycyą... Gdybym miał wyłączną redakcyę „Hasła“... to co innego. To też chcę go trochę przetrzymać, zanim postawię moje warunki. Jeśli przyjmie, dobrze, jeśli nie, mam przecież koncesyę w kieszeni. Zobaczymy, jak „Hasło“ wyglądać będzie, gdy ja założę swój dziennik.

Ignaś znowu spojrzał z uwielbieniem na Januarego. Mowa jego świadczyła, iż negocyacye, o których wzpominał Ignaś, jako o rzeczy, mającej dopiero na-

stąpić, były już rozpoczęte, tylko on nie uznał za stosowne uwiadomić o tem przyjaciela.

January z Ignasiem doszli do celu swojej wędrówki: była nią restauracya nie zbyt kosztowna, w której schodziła się od niejakiego czasu pewna frakcya literackiego i artystycznego świata. January z Ignasiem przychodzili tu zwyczajnie pomiędzy czwartą i piątą godziną, i mieli swoje wyznaczone miejsca.

Znali się tu niemal wszyscy, do tego stopnia, iz restauracya przybierała w pewnych godzinach charakter prywatnego mieszkania, gdzie zebrani rozmawiali swobodnie o wszystkiem, co ich zajmowało. Wszyscy tu byli pomiędzy swymi, — do tego stopnia, że jeżeli pojawił się jaki intruz zwabiony szyldem z ulicy, wprost dla spożycia obiadu, dostawał zawsze najgorsze kęsy i nie mógł się niczego doprosić, bo służba troszczyła się tylko o codziennych gości.

W chwili, gdy wszedł tam January z Ignasiem, nakształt świetnej planety ze swoim satelitą, restauracya była pełną. January przeszedł pierwszy i drugi pokój, przyjmując i rozdając powitania, mniej więcej przyjazne, i zatrzymał się dopiero w trzecim niewielkim pokoju, gdzie zbierało się najpoufalsze kółko jego szczególnych wielbicieli.

Do tego pokoju już żaden intruz dostać się nie

mógł. January bowiem, w podobym razie, gniewał się na służbę, a nawet na właściciela, grożąc, że natychmiast przeniesie się do innego gastronomicznego zakładu, jeśli tu nie będzie miał spokojności, a że służba i właściciel umieli cenić gościa, za którym zapewnie przeniosłaby się poważna część zwykłego towarzystwa, starali się usuwać od niego wszelkie powody niezadowolenia i pokój był nietykalny.

January zabrał swoje zwykłe miejsce. Ignaś usiadł przy nim, a w koło skupiła się grupa ludzi najrozmaitszych barw i przekonań, których jednak punktem łącznym był January. Wszyscy zdawali się na niego oczekiwać, wszyscy powitali go hucznym okrzykiem.

Najgłośniejszym ze wszystkich był Ewaryst, krytyk z powołania, wietrzący wiecznie cudze zdania, polujący na cudze myśli, dla tej prostej przyczyczyny, że własnych miał bardzo niewiele. Ewaryst głębokość sądu zastępował zawiłością stylu, dowcip złośliwością, bystrość imponującym tonem, i widać, wystarczało to i jemu samemu i czytelnikom, bo uchodził za literacką powagę.

Dziwić się temu nie można. Krytyki jego nie płynęły wprawdzie z żadnej etycznej, ani estetycznej

zasady, ale za to były powtórzeniem, mniej więcej szczęśliwem zdań cudzych; nie było też w sądach jego jednolitości, cechującej zwykle zdanie, oparte na gruntownych podstawach; jednak ostatecznie kto się o to troszczy tak bardzo? Odzywały się tu i owdzie potępiające głosy, głosy te jednak były odosobnione; Ewaryst był poczytny, o resztę zwykle nie troszczą się wydawcy. A jeśli krytyka jego była fantazyjna, nieco chwiejna, nieco napiętnowana stronnością, to przecie nie stanowi, jak wiadomo, grzechu głównego, i co najwięcej dowodzi tylko, że Ewaryst miał gorących przyjaciół i nieprzyjaciół, i że na usługi pierwszych i drugich oddawał to, co posiadał, swoje pióro i łamy dzienników, których był współpracownikiem.

Jeśli z jednej strony dowodziło to szczerości jego uczuć, z drugiej podawało w pewną wątpliwość sumienność literacką. Ale wszakże najświeższe badania naukowe dowiodły, że sumienie, jak każda inna umysłowa władza, jest wyrobem pewnych prądów i wpływów, z tego powodu dziwić się nie można, jeśli czyje sumienie było tego a nie innego rodzaju... Zresztą każdy na tym biednym świecie zasługuje się, broni, wojuje orężem, jakim obdarzyła go matka natura, lub macocha cywilizacya; krytyk więc, używając pióra na własną korzyść, jak wilk zębów, buhaj rogów, żmija jadu, jest zarówno w swo-

jem prawie, jak wilk, buhaj, żmija, lub, jeśli kto pragnie szlachetniejszego porównania, jak lew, król zwierząt, używając swej potężej paszczęki... Czyżby też było warto dzierżyć berło krytyczne, żeby nie pozwolić sobie nigdy pewnych nadużyć, takich naprzykład, jakich pozwalają sobie nawet konstytucyjni królowie... Z tem wszystkiem, pomimo tych różnorodnych usterków, których ja osobiście bynajmniej za usterki nie mam, Ewaryst sterował wcale nieźle łodzią swoją wśród trudności życiowych. Przyznawano mu ogólnie nie tylko przymioty, jakie posiadał, ale i te, których nie miał zgoła, może dla tego, że umiał zająć takie stanowisko, iż stokroć lepiej było mieć go za sobą, niż przeciw sobie.

Drugim z kolei, hucznie witającym Januarego, był Emil, trochę poeta, trochę powieściopisarz, trochę dramaturg, a najwięcej fejletonista, mistrz słowa, któremu do mistrzowstwa brakowało jednej tylko rzeczy maleńkiej, lecz widać niekoniecznie potrzebnej—myśli.

Ale czyż to myśl ma być w każdym utworze? Powodzenie, jakiego używał, dowodziło, że jest to naddatek, bez którego doskonale obywać się można... Poezye Emila odznaczały się tak wykwintną formą, taką harmonią rytmu, iż doprawdy nie potrzebowały wcale treści żadnej, ażeby zachwycać... A przytem

był on wiekuiście natchniony, nawet bez żadnego przedmiotu, — natchnienie było u niego stanem chronicznym; jeśli więc poezye jego nie miały treści, komedye charakterów, a powieści sytuacyi, on za to miał zwyczaj czytać je tak pięknie w dobranych kółkach, mianowicie wielbiących go dam, głos jego był tak dźwięczny, deklamacya tak świetna, oczy tak szafirowe, spojrzenie tak magnetyczne, iż nawet tak złośliwy krytyk, jak Ewaryst, nie podawał w wątpliwość doskonałości jego utworów. Zresztą Emil miał zwyczaj w fejletonach, które podpisywał pseudonimem, wynosić pod niebiosa swoje utwory, mieszając z błotem nie tylko swoich współzawodników, lecz i wszystkich tych, którzy śmieli kiedykolwiek cośkolwiek przeciw niemu napisać lub powiedzieć, ztąd rzadko kto miał cywilną odwagę odezwać się z czemś podobnem.

Sprzeczność i dopełnienie tego mistrza o brylantowem słowie, nie mającego nic do powiedzenia, stanowił Konrad, także powieściopisarz, także poeta, człowiek gwałtownych wrażeń, bogatej myśli, z głową pełną pomysłów, ale który nie umiał rozwikłać, ich sharmonizować i urobić w artystyczną całość... Sceny, charaktery, sytuacye roiły mu się w mózgu, pełne potęgi, a wychodziły tylko blado i nieudolnie. Z powdu nieustannych rwań wewnętrznych, panował w nim roztrój ciągły, odbijający się w powierzcho-

wności, w urywanych słowach, w zasadach nawet. Oczy bystre i niespokojne biegały z przedmiotu na przedmiot, nadając mu pozór dziwaczny.

Był to umysłowy kaleka, dotknięty niemocą. To, co tworzył, nie odpowiadało nigdy, temu, co chciał uczynić. Miał dość bystrości, by widzieć niedobory dzieł swoich, by sięgnąć przyczyny i zrozumieć ich powód. Niecierpliwość ciągła wytrącała go z kolei. Nie mogąc radzić sobie ze zwyczajnemi warunkami życia, gonił za niepodobieństwem, szukał wyrafinowanych efektów, ale, za ich pomocą nawet, nie mógł otrzymać pożądanego wrażenia, które dają tak łatwo najpowszedniejsze sytuacye i charaktery, umiejętnie wyzyskane. Był to olbrzym spętany, szukający napróżno drogi swojej.

Przekonania miał skrajne pod wszystkiemi względami. Był tc radykał najczystszej krwi: jak w rzeczach sztuki odrzucał wszelkie prawidła, tak sprzeczał się na każdym punkcie z zasadami przyjętemi. Według niego, ustawa społeczna była zawsze nadużyciem, a Proudhon nawet zdawał mu się nieśmiałym w swoich teoryach.

Słysząc go, można było truchleć, albowiem nie cofał się przed najbardziej przerażającemi wynikami swoich doktryn. Umysł jego, logiczny zkądinąd, posuwał się zawsze do ostateczności i nie mógł utrzy-

mać miary: Spoglądając na punkt jeden, tracił zawsze z oczu wszystkie inne; ztąd wypływał konieczny brak harmonii w życiu i dziełach... Utopje jego były straszne, a przynajmniej mogły być strasznemi w następstwach, gdy kto brał je na seryo, chciał w czyn wprowadzić, lub gdyby to jemu samemu było możliwe. W codziennych warunkach jednakże był to najłagodniejszy z ludzi, każdemu gotów był zrobić przysługę, nikt nie pamiętał, by zwierzęciu nawet uczynił jaką szkodę. Natura to była złożona z samych kontrastów; bujna i bezpłodna, natura umysłowego rzerzańca, mającego okrucieństwo i miękość, cechujące zwykle rzezańców.

Był tam jeszcze Leon, chemik, analityk, któremu wszystko w oczach rozkładało sie na pierwiastki, tak dalece, iż nigdy żadnej całości pochwycić nie był zdolen; Seweryn, rzeźbiarz, szukający klasycznych kształtów, Grek, zabłąkany wśród dziewietnastego stulecia,—i parę mniej wybitnych indywinualności.

Kółko to widocznie oczekiwało Januarego, przywykło zwracać się ku niemu, zapożyczać od niego myśli—wiedzy—czasem nawet szczęśliwego wyrażenia, które zawsze przychodziło mu naturalnie na usta!

Byli to może duchowi pasorzyci, ale January o to nie dbał,—posiadał wspaniałą rozrzutność praw-

dziwych bogaczów i chętnie karmił rzeszę okruszynami własnych uczt intelektualnych, wiedząc dobrze, iż skarbów myśli nie zbraknie mu nigdy.

Są natury, prawem wyższości własnej skazane na królowanie, które wszędzie w kole rówiesnem zajmują pierwsze miejsce, jak ogniska skupiające w sobie wszystkie promienie. January widocznie był tutaj ogniskiem,—do niego należał ster rozmowy, on panował bezprzecznie nad zgromadzeniem.

Dzisiaj jednak był w dość milczącem usposobieniu. Powitał wszystkich, usiadł na zwykłem miejscu, kazał sobie dać obiad i, nie mieszając się bynajmniej do drugich, jadł potrawę po potrawie. Czy myślał o „Haśle“, o propozycyi odebranej, czy o małżeństwie Ignasia,—trudno było odgadnąć...

W koło tymczasem toczyła się rozprawa o stosunkach literackich, a zwłaszcza o „Haśle“, świeżo założonym dzienniku, którego wszyscy byli współpracownikami.

January do rozpraw się nie mieszał.

Ignaś zauważył ten dalszy symptomat niezadowolenia z pewnym niepokojem i spoglądal w oblicze towarzysza, jakby oblicze to było słońcem, z którego on czerpał promienie.

— January — szepnął błagalnie — ty jeszcze gniewasz się na mnie.

January ściągnął ramiona, w sposób swiadczący, iż żadne sprawy przyjaciela nie mogły go zaprzątać tak długo.

— Jestem zmęczony i głodny — odparł głośno, przysuwając sobie talerz, tylko co postawiony przed nim przez służbę.

— Zmęczony,—pochwycił Konrad swoim basowym głosem—tak, to nasz powszechny los, nas, pracowników: zmęczenie, zmęczenie i jeszcze raz zmęczenie bez pożytku.

January spojrzał na mówiącego z rodzajem szyderczej litości.

— Nie myślałem się skarżyć—wyrzekł spokojnie—lubie pracę, praca idzie mi łatwo... a co do materyalnego wynagrodzenia...

Skinął ręką niedbale, jakby na świadactwo, że nie dbał o nie, że to, co posiadał, wystarcza mu aż nadto.

— Jednakże, — wtrącił sentymentalny Emil, którego sentymentalizm bynajmniej nie wykluczał rachunku,—gdybyś się chciał ożenić...

Na te słowa January roześmiał się na całe gardło.

— Gdybym ja się chciał ożenić? — powtórzył — dlaczegóż jabym się miał chcieć ożenić?...

— Dlaczego? Nieoszacowane pytanie! — wołał Emil—gdybyś się zakochał!

— O! o to możecie być spokojni; nie zakocham się!

— Hm! zdarzyło się to tylu innym — wtrącił Ewaryst powątpiewająco.

— Zapewne zdarzyło się tobie, Ewaryście, i tobie Emilu, niejednokrotnie nawet, i tobie, Leonie, skoro ożeniłeś się, ale mnie... Ot, lepiej podajcie mi dzisiejszy numer „Hasła“.

— Jakto! alboż ci go nie przynoszą?

— Nie miałem czasu go przejrzeć.

Wziął go i uśmiechnął się pogardliwie, przerzucając rozmaite artykuły.

— Niedołęztwo!—wyrzekł po chwili, ciągle mając w niego wzrok wlepiony.

— Mówią, że redakcya się zmienia — wtrącił Konrad.

January milczał, nie uznawał za stosowne udzielić specyalnych wiadomości, jakie posiadał, ani ultimatum, jakie postawił właścicielom.

— A ostrożnie—zaśmiał się Ewaryst—jest tam fejleton Emila.

— O czem?

— O miłości.

— O miłości—zaczął znów January—osobliwy temat! temat godny autora; ale o jakiejże to piszesz, Emilu? o tej, jaka była, jaka jest, czy też jaką byćby mogła?

— Miłość się nie zmienia! — zawołał fejletonista.

— Ba, ba, aforyzm, jak każdy inny. Nasi dziadowie bawili się w Korydonów, byli tkliwi, jak Adolf i Julia, Malwina i Ludomir; posiadali domyslność serca. Gdy tymczasem my...

— Cóż my?—pytał wiecznie zakochany Emil.

— Oni kochali się z urzędu, że tak powiem, a my wypadkowo tylko. U nich miłosć należała do obowiązków dobrze wychowanego ezłowieka, u nas do wybryków. U nich była ona na porządku dziennym; my strącilismy ją z tego stanowiska... chociaż w gruncie...

Wzruszył ramionami i znowu wziął się do dziennika.

— Powiedz-że nam, czem dzisiaj uczyniono miłość?—pytał dalej Emil, któremu brakowało jeszcze parę szpalt do następnego fejletonu.

January odwrócił oczy od dziennika, oparł się na łokciu i wyrzekł:

— I owszem. Chcecie wiedzieć, czem jest dzi-

siaj miłość? Jest to poprostu chorobliwy objaw odbitych wrażeń, jeden więcej dowód wpływu na jednostki ogólnie kursujących doktryn, któremi wszyscy mniej więcej nasiąknięci jesteśmy, a wreszcie... potęgi dziedziczności, której ulegamy.

— Tylko tyle? wtrącił Emil.

— Ty bo jesteś sentymentalny, również jak Ignaś, choć na inny, mniej szkodliwy, sposób; kochasz się we wszystkich ładnych kobietach, jakie spotkasz, i to przyznaję, jest dla mnie daleko zrozumialsze, bo ostatecznie ta lub inna...

Mówiąc to, January zrobił ruch tak pełny lekceważenia, iż nawet radykalny Konrad czuł się w obowiązku protestować.

— Ależ ty tego pierwiastku w życiu negować nie możesz; miłość jest to najbardziej ludzkie, a przez to samo najdoskonalsze ze wszystkich uczuć.

— O! porozumiejmy się; ja nic nie neguję, wierzę najzupełniej w atrakcyę wzajemną płci, tylko razi mnie sentymentalna forma, jaką ta atrakcya przybiera w dzisiejszych warunkach. Nie pojmuję, jak można świat swój lub szczęście zamknąć w jednej kobiecie? Nie pojmuję nawet, jak podobna istota może stanowić choćby o szczęściu jednego momentu? Powtarzam: ta lub inna... zresztą rozumiem różnicę materyalną koloru włosów, cery, kształtów.

— Jakto!—oburzył się Konrad — tu, czciciel Stuarta Mill'a, ty, co zawsze uważasz kobietę za pokrzywdzoną prze nasze ustawy i obyczaje, ty twierdzisz coś podobnego!

— Właśnie dlatego, iż kobietę tak pokrzywdzono przez szereg wieków, spaczono nie tylko jej działalnosć, ale wyobrażenia, ale siły umysłu. Jest ona teraz, jak ci niewolnicy, w których zdołano wpoić miłość jarzma i przekonanie, że są do niego stworzeni jedynie. Kobietę skarłowacono duchem, zarówno jak ciałem; wmówiono w nią, że słabość dla niej jest zasługą, niedołęztwo wdziękiem, nierozsądek prawem. Uczyniono z niej ślepą kapłankę przesądu. Wszystko to nie jest jej winą, jestem o tem przekonany; nie mniej taka, jaką wyrobiono ją dzisiaj, budzić może jedynie litość, litość tem głębszą, im więcej oddalono ją od postulatu, jaki dla niej stawiamy. Ale dzisiaj szalony chyba może brać na seryo istotę zdenerwowaną fizycznie błędną hygieną, której umysł (nb. jeśli myśli), wskutek równie błędnej hygieny moralnej, trzymać się może jedynie rutyny, lub wpadać w najdziksze abstrakcye.

— Gdzieżes ty tak poznał kobiety? — wtrącił Emil, podchwytując filipikę Januarego i notując w mysli, co mógłby z niej wybrać do swego fejletonu.

— Gdzie?—odparł zagadniony, który nie zwykł był oszczędzać słów, kiedy te cisnęły mu się na usta, —alboż to trzeba studyować głęboko lub patrzeć bardzo uważnie, by dojść do wniosków, które same wpadają w oczy. By stwierdzić prawdę słów moich, dość spojrzeć na kobietę, bądź to na ulicy, bądź na scenie, bądź na kartkach książki... Wszędzie przedstawia się ona z całą sumą śmieszności i niedoborów, jakie wyrobiły w niej wieki faktycznego niewolnictwa i haremowego życia.

— O! haremowego życia! zapał unosi cię zbyt daleko—zawołał Ewaryst, który z kolei chciał także skorzystać coś z podnieconej werwy Januarego i usłyszeć dalszy rozwój tej idei, bo właśnie zabierał się pisać krytykę jakiegoś niewieściego dzieła, i chciał je zrąbać tym argumentem.

Konrad nie mówił nic, tylko gładził powoli długą brodę, potakując mu po cichu.

— Tak jest, haremowego—ciągnął dalej January,— nie cofam wcale słów moich, haremy są rozmaitego rodzaju, a te, których strzegą, zamiast rzezańców istotnych, rzezańcy umysłowi, te, których progi pod klątwą przestąpić nie wolno, są stokroć gorsze od zamkniętych na klucze i rygle, bo klucze i rygle łatwiej wyłamać, niż się od przesądów oswobodzić.

— Przez miłosierdzie—zawołał Konrad—January gotów zakochać się w odalisce.

— Odaliska to jego ideał—wtrącił Emil, który bez wyrazu ideał obejść się nie mógł, jak nie mógł żyć bez natchnienia.

— January niema żadnego ideału — przerwał Konrad, z którego słownika znów wyraz ten był zupełnie wykluczony.

— Mylisz się—przerwał Ewaryst,—ideałem jego jest właśnie nie mieć żadnego ideału. Nieprawdaż, Ignasiu?

— Nie cierpię słów, które nic nie znaczą—wyrzekł znowu January—ale jeśli wam chodzi o mój gust, to przyznaję, że wolę stokroć kobietę wschodnią, niż tę, jaką wytworzyła nasza cywilizacya, wolę zasłonę narzuconą na twarz, niż na myśli; pierwszą można podnieść dowolnie, gdy druga przyrasta do substancyi mózgowej.

— A więc dobrze—zawołał Konrad—wyobrażam sobie Januarego u stóp zakwefionej odaliski. Pyszny materyał powieściowy! Koloryt wschodni: niebo ogniste, w głębi kilka palm, kilka garbatych wielbłądów i białe łono namiotów. January wśród zaczarowanego ogrodu, którego opisu zbyt uboga wyobraźnia zapożyczyć może z tysiąca i jednej nocy. January przemawia do swojej tajemniczej piękności tym

językiem, tak pełnym dosadności i logiki, który jednak, na mocy prawa, iż sprzeczności stykają się z sobą, graniczy niekiedy z paradoksem, a którym jak widzimy, włada po mistrzowsku. Nie można ręczyć, czy odaliska zrozumie go dokładnie. On powtarza jej, naprzykład, owo pyszne porównanie o rzezańcach istotnych i rzezańcach umysłowych, o zasłonie na twarzy i na duszy. Odaliska, co nigdy w życiu nie słyszała ani o ideach, ani o duszy, nie może pojąć, co to ma znaczyć. Ale natomiast rozumie, iż wzbudza miłość i ciekawość, i bądź to z powodu usposobień dziedzicznych, bądź nabytych, wie, że ciekawość, a nawet miłość, będąca także rodzajem ciekawości, podżeganą bywa oporem. Upiera się więc zachowywać zasłonę, z poza której błyszczą tylko źrenice namiętne, pełne słodkich obietnic... January prosi, błaga, aż wreszcie z łagodną przemocą zdziera zasłonę i... o nieba! staje osłupiały. Niestety! ujrzał tę twarz, którą marzył niebiańską, pomalowaną wszystkiemi kolorami tęczy.

— Oh! — wtrącił January, słuchający dotąd z uśmiechem tej improwizacyi o sobie,—ażeby zobaczyć coś podobnego, nie potrzebuję puszczać się aż na daleki wschód; dość mi będzie zajrzeć do Saskiego ogrodu, do teatru, lub jakiegobądz salonu. Na Wschodzie przynajmniej rzecz ta ani dziwi, ani oburza. Kobieta nie posiada nic, prócz piękności; religia pozba-

wia ją duszy, obyczaj indywidualności. Ale tu... tu wszystkie kobiety odzywać się będą, jak pozytywki: o inteligencyi, myśli, nauce, co nie przeszkadza im poświęcać życia na stroje, prześcigać dzikich dziwacznością ozdób.

— Oh! prześcigać dzikich—powtórzył zgorszony Emil, faworyt i wielbiciel płci pięknej, pomiędzy którą uchodził za pierwszorzędnego poetę i pierwszego powieściopisarza swego wieku—January! przez litość szanujmy nieco prawdopodobieństwo.

— Ja wcale nie przesadzam. Przebiegnijmy tylko szereg potworności, jakim kolejno poddają się kobiety. Jest to niejako barometr, wskazujący moralny poziom społeczeństwa lub pewnej jego części. Forma zewnętrzna jest odbiciem wnętrza. Dawniej mężczyźni prześcigali się z kobietami w tym względzie; dzisiaj przy demokratycznym ustroju dziewietnastego wieku atrybut ten pozostał jedynie przy kobiecie. Jest to najlepsza wskazówka, iż nic nieskorzystała, iż nie postąpiła ani kroku na drodze moralnego rozwoju.

— Prawdę mówiąc, nie ona jest temu winna—wyrzekł Konrad.

— Alboż ja temu przeczę? Stwierdzam jedynie fakt, i z faktu tego wyciągam naprzód praktyczne następstwo dla siebie, iż podobnej istoty nie można tra-

ktować na seryo, a powtóre, jeśli chcesz, bynajmniej nie zaszczytne dla mężczyzn w ogóle. Kobieta wprowadza do rodziny nielogiczne i kapryśne żywioły, z jakich składa się sama; obyczajami, strojem, mową i uczynkiem urąga logice. Wychowuje dzieci na obraz i podobieństwo swoje, staje się zbyt często powodem ruiny lub nieszcześcia, plagą domowego ogniska. A jednak wpływ panujących idei jest tak silny, że, chociaż społeczeństwo widzi te groźne niedobory, czuje je i cierpi; woli raczej szukać ich powodu w indywidualnych przyczynach niż w ogólnych, tak łatwych przecież do zaznaczenia. Ale tych idei panujących nie możemy pozbyć się zarówno w wypadkach codziennych, jak w ważnych chwilach. Życie człowieka upływa nieraz na daremnej walce z niemi, i na łożu śmierci przekonywa się on dopiero, iż jeszcze nie zmógł ich sam w sobie, iż cierpiał i zmarnował byt z ich przyczyny. Gdybym miał pióro w ręku, zdaje mi się, iż napisałbym w tej chwili palący rozdział o wpływie przesądów dziedzicznych.

— A może podarłbyś go jutro—wtrącił złośliwie Ewaryst.

— Gdzie tam!—zawołał Ignaś—January wpadł na swój ulubiony przedmiot.

— Tak jest, nie waham się twierdzić, że jedną

z kardynalnych trudności naszego wieku jest wzrastająca dysharmonia pomiędzy umysłowym poziomem dwóch płci, pomiędzy ich zasadami, wiarą, rozwojem. Ja dowodzić tego będę, póki mi tchu stanie.

— Nie będzie to w żadnym razie prosta droga do sławy, do powodzenia,—ostrzegał Ewaryst, który na tych rzeczach znał się dobrze.

— Mniejsza o to—odparł dumnie—gdy widzę, z jakiej gliny jest ulepione powodzenie, gotówem je znienawidzieć. Któż może myśleć, że dbam o rozgłos, o pochwały dzienników, o reklamy reporterów, o szmer publiczności, lub nawet o uznanie krytyki?

— Więc czego chcesz?—wtrącił zawsze trochę naiwny Emil.

— Ja chcę,żeby ideje moje przesiąkły w życie i krew narodu: chcę obalać i budować według myśli mojej gmachy, w ktorych jednostki będą cegłami, ideje cementem... gmachy ku przyszłemu szczęściu ludzkości. Ja chcę panować nad duchami, chcę, by w przyszłości zaklinano się na mnie, przysięgano na mnie.

Oparł głowę na ręku i spoglądał na zgromadzonych, a w oczach mu połyskiwały nie iskry zapału i miłości, ale chłodne, przeszywające, jak stal, blaski dumy.

Przez chwilę siedział zatopiony w myślach,

z dumnie przyciętą wargą, z wzrokiem zgubionym w przestrzeni. Potem powstał, wyprostował się, jak atleta, gotujący się do walki.

— Ha! — wyrzekł — tracimy tylko czas na próżne słowa.

— Dokądże się tak śpieszysz?—zapytano.

— Gdzie? do pracy, do pióra. Oto broń moja; a jakkolwiek broń to dzisiaj zużyta i stępiona, nie wynaleziono jeszcze na jej miejsce żadnej innej. Chodźmy, Ignasiu.

Słowo to rzucił z rodzajem rozkazu satelicie swemu.

Ignaś powstał natychmiast, przywykły snadź spełniać zawsze wolę Januarego, po chwili jednak zawahał się, przypomniawszy sobie jakieś inne zobowiązanie.

— Daruj—wyrzekł nieśmiało — mam rozmaite interesa do załatwienia.

— Aa—odparł przeciągle — pewno znowu zlecenia panny Jadwigi. Ustępuję jej pierwszeństwa, ma się rozumieć... Tylko pamiętaj Ignasiu, że tym sposobem nigdy nic nie napiszesz i nie postąpisz na krok jeden; gdyby panna Jadwiga kochała cię, powinnaby przynajmniej choć to zrozumieć.

Wzruszył ramionami z najwyższym gniewem, na-

sunął kapelusz na oczy i wyszedł. Miał zwyczaj po obiedzie dysputować z Ignasiem, a raczej rozprawiać przed Ignasiem, bo ten nie sprzeciwiał mu się nigdy, i nigdy nic nie przeciwstawiał jego zdaniu. Była to więc po prostu mała oratorska przyjemność, sposób wyjaśnienia i uszykowania własnych myśli, zanim je przeniósł na papier. A nikt nie słuchał go z tak religijną czcią, jak Ignaś. Stanowił on nie osobę, ale rodzaj echa, które powtarzało z akcentem admiracyi jego własne rozumowania.

Wyszedł więc z restauracyi równie zły, jak przyszedł, kiedy na schodach dopędził go Konrad.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Gdziekolwiek... przejść się trochę, zanim znowu zasiądę do pracy.

— To ja pójdę z tobą.

January przystał chętnie; przyzwyczaił się do obecności Ignasia, ale w gruncie Konrad lub Ignaś było mu to dość obojętne.

— Ty przynajmniej — wyrzekł z przekąsem — nie masz żadnej panny Jadwigi.

— Cóż chcesz—wtrącił pobłażliwie Konrad— ja kochałem się także, Ignaś jest młody.

— Cóż ztąd! a ja czy młodym nie jestem?

— Ty January, ty stanowisz wyjątek.

Jakaś błyskawica mignęła po twarzy Januarego, nadając świeżość przywiędłemu czołu, rozjaśniając spojrzenie i uśmiech.

— Być może—wyrzekł po chwili — być może. Tylko nie zrozumieliście mnie dobrze; nie potępiam bynajmniej miłości... nie jestem tak szalony, by stawać nawspak wiekuistym prawom natury... potępiam tylko formy miłości, niestosowne dla niektórych położeń, dla niektórych natur.

— Rozumiem—zawołał radykalny Konrad—jesteś antagonistą małżeństwa.

— Nawet i to nie; nierozerwalność małżeństwa jest to formuła zużyta może, ale, jak każda formuła, elastyczna; przeciwko niej jednostka broni się niewiernością; tolerancya, jaką dla niej mysliciel mieć musi, jest koniecznem następstwem moralnego przymusu. Chociaż znowu dla wielu natur, małżeństwo, nawet nieobwarowane warunkiem nierozerwalności, pozostałoby takiem.

— Więc dlaczegóż tak się oburzasz na biednego Ignasia?

— Dlaczego! dlaczego? bo małżeństwo to nie ma sensu, bo ta jego panna Jadwiga jest nieznośna i działa mi na nerwy.

Nie chciał dłużej mówić o tym przedmiocie wpadł na temat zwykłych swoich filozoficznych dok-

tryn i zaczął je rozwijać długo i szeroko. Nie lubił w ogóle, gdy mu zadawano pytania.

Gdy powrócił do siebie, słońce było blizkie zachodu, a zniżając się coraz bardziej na skraj horyzontu, napełniło rumianym blaskiem jego mieszkanie. Stół, przy którym pisał, zalany był promieniami tak, iż białość papieru raziła jego oczy, a po tej białości migały na wszystkie strony delikatne cienie akacyowych liści, drżących pod oknem od lekkich powiewów wiatru i, przesuwając się, kołysząc, tańczyły jak cienie, lub żywe istoty, wśród ciszy i samotności tego pokoju, po ścianach, podłodze i sprzętach, nadając mu jakieś tajemnicze życie.

— Nieznośne słońce!—odezwał się January— pisać niepodobna, muszę się raz zdecydować na zawieszenie ciemnych stor w oknach. Żeby był Ignaś posłałbym go zaraz po ten sprawunek.

Obejrzał się, nierad z tego, że nie miał nikogo pod ręką kimby się mógł posłużyć, i poszedł do okna, próbując je czemś zasłonić.

Okno wychodziło na ogród, a raczej ogródek szczupły, mały, jak zwykle ogrody warszawskie, ale tak pełen kwiatów i woni, iż podobny był raczej cały do różnobarwnego dywanu, na którym, nakształt bukietów, wznosiły się strojne głowy róż.

January mieszkał na pierwszem piętrze; dość

było otworzyć okno, by cała ich woń zapanowała w pokoju. Naprzeciwko okna, zaledwie oddzielona od niego szczupłą przestrzenią ogrodu, wznosiła się weranda, po której lekkich żelaznych filarach obwijały się ciemne bluszcze, tworząc girlandy zieleni nakształt wdzięcznych ram dla rodzajowego obrazka, godnego pędzla artysty.

Na werandzie siedziała młoda kobieta, pochylona lekko nad dywanem, na którym bawiło się dwoje dzieci. Kobieta była piękna i uśmiechnięta; fałdy białej, lekkiej sukni rysowały kształty wytworne i wdzięczne; a głowa, której cały strój stanowiły ciężkie warkocze lśniących włosów, miała charakter powagi i słodyczy, niewinności i dumy, jaką arcymistrz niewieściego piękna, Rafael, nadać umiał niektórym Madonnom swoim.

Siedziała w niedbałej postawie, nie domyślając się, że ktoś na nią patrzy, pełna prostoty i spokoju, śledząc wzrokiem miłości ruchy chłopczyka, o czarnych, ognistych oczach, i znacznie młodszej dziewczynki, pełzającej po dywanie, której ptasi świegot i śmiechy urywane odbijały się na twarzy matczynej.

Chłopczyk mógł mieć lat pięć zaledwie i opiekował się wyraźnie młodszą siostrzyczką, poddając się dobrotliwie jej dziecinnym fantazyom, wspiera-

jąc niepewne ruchy; ona czepiała go się, zapuszczała w pukle jego włosów tłuste białoróżowe rączki, pełne rozkosznych dołeczków i fałdów, targała je z okrzykami radości, stanowiącemi dźwięki bez słów wyraźnych. Dziewczynka nie miała południowego typu, tak widnego w twarzy matki i brata, — przeciwnie—jasne włosy, jasne błękitne oczy czyniły z niej przy tych czarnych głowach i aksamitnych źrenicach, przypominających obrazy zrodzone pod innem niebem, istotę różną, chociaż równie piękną.

Te dwoje dzieci i ta młoda matka, tak wyłącznie zajęte sobą, iż reszta świata zdawała się dla nich nie istnieć, był to jeden z tych pospolitych wprawdzie, ale pięknych widoków, na których oko każde z przyjemnością zatrzymać się musi.

January był wrażliwy na piękno; obraz ten, przypadkiem ujrzany z okna, uderzył go; zaczął przypatrywać mu się z zajęciem, a był tak blisko, iż każda linia rysowała się dla niego wyraźnie, każdy dźwięk dochodził niezmącony.

Liście akacyi tworzyły przed nim przezroczystą i ruchomą zasłonę, pozwalającą mu swobodnie spoglądać w ogród samemu nie będąc widzianym. Patrzał ciągle, słuchał cichych gwarów dziecinnych i głośnych pocałunków, których odgłos dochodził do niego.

O czem myślał?... pytania tego nie zadał mu nikt, ale gdy wreszcie cienie wieczoru zapadać zaczęły i młoda kobieta poszła z werandy w głąb mieszkania, on dopiero wówczas powstał ze swego miejsca przy oknie, i obejrzał się ze zdziwieniem, jak człowiek senny.

Noc nadchodziła, a on od obiadu nie napisał nic, nie zrobił nic. Była to rzecz nie do darowania. Zapalił lampę, usiadł na zwykłem miejscu, umoczył pióro, ale robota mu nie szła. Powstał znowu i wielkiemi krokami zaczął przechadzać się po pokoju. Wreszcie zbliżył się do okna. Drzwi szklanne, otwierające się na werandę, były oświetlone i mógł widzieć salon, gustownie urządzony, a w nim migające cienie. Pierwszy raz w życiu przyszło mu do głowy pytanie: kto tam mieszka? Nie panował nad myślami,—one cisnęły mu się nie wiedzieć zkąd niesforne.

Cóż wkońcu obchodziła go ta kobieta, chociaż była tak piękna? czyż mało pięknych spotykał w życiu? Czyż nie była to zresztą jedna z tych bezrozumnych istot, na które tak wymownie piorunował przed kilku godzinami.

Może też pioruny jego nie były wszystkie sprawiedliwe, może istniały na świecie wyjątki? Myśl ta nie wiedzieć czemu przesunęła mu się przez głowę. Twarz, którą obserwował, miała wszystkie cechy

rozwiniętej inteligencyi. I cóż ztąd? Czyż miał szukać na świecie podobnego wyjątku, jak błędny rycerz zbroi cudownej? marzyć jak kochanek? Czyż to było jego zadaniem?

A jednak January marzył przez noc całą. Pomimo pracy, woli i panowania nad sobą, młodość ma swoje prawa niezwalczone. January wiódł życie surowe, oddane studyom naukowym: zaabsorbowane badaniami filozoficznemi. A jednak była to natura namiętna; z wiedzą uczonego łączył usposobienie poety. Dwoistość ta stanowiła bogactwo i niebezpieczeństwo zarazem. Nie każda pokusa była dla niego groźną, ale za to, gdy raz wkradła się do jego serca lub wyobraźni miała niepohamowaną siłę.

Zbyt poważny na miłostkę, zbyt dumny na rozpustę, tem łatwiej, tem gwałtowniej mógł podledz miłości; mogła ona pochwycić go z nienacka i zwalczyć tem łatwiej, że zawsze w subtelnej argumentacyi swojej, mógł znaleźć w myśli gotowe rozumowanie, na usprawiedliwienie namiętności.

Jedno spojrzenie, rzucone na kobietę, która bynajmniej nie domyślała się nawet, że jest widzianą, nie była to jeszcze namiętność, nie była to miłość nawet. Wystarczyło to przecież do zachwiania na chwilę moralnej jego równowagi...

Nazajutrz za to, z nowym zapałem zabierał się do pracy.

Pisał dzieło, na jakie zdobyć się tylko mogła niepohamowana śmiałość: dzieło, mające prawdopodobnie obruszyć przeciw niemu wszystkie warstwy społeczne, dzieło wojownicze i reformatorskie, jak usposobienie jego: „O stanie naszego społeczeństwa wobec wiedzy i prądów obecnych“.

Dzieło to miało już wiele rozdziałów, skreślonych ostrem, gryzącem piórem, natchnionych młodzieńczą wzgardą dla wszystkiego, co trąci lenistwem, tchórzostwem lub chociażby tylko ostrożnością; burzyło tradycye, łamało wszelkie zapory, postawione swobodnej myśli, i dążyło naprzód koniecznie, choćby tam miało przepaść otwartą napotkać.

Teraz właśnie miał nastąpić rozdział o kobietach. Przedmiot był trudny dla Januarego. Sierota, nie miał sióstr, ani bliższych rodzinnych związków, kochanki nie posiadał, do świata nie należał. Kobietę więc znał teoretycznie tylko i, prócz wyroków potępienia, które na nią wpośród towarzyszy wygłaszał, nie mógł o niej nic więcej powiedzieć.

Przyszło mu to na myśl, gdy znowu zasiadł do pracy. W dziele, jakie przedsięwziął, książkowa wiedza mniej była mu pomocną; dzieło podobne studyuje się w życiu, nie w ciszy gabinetu; trzeba mu

było poznać to życie trochę głębiej, wszechstronniej, niż dotąd; zbadać inne sfery i inne społeczne warstwy niż koło ludzi, związanych z nim, mniej więcej myślą jedną.

I znowu z gniewem położył pióro, zatrzymany tą niespodzianą trudnością, o której nie pomyślał do tąd. Zrozumiał jej całą doniosłość. Życia i ludzi nikt nie poznaje na zawołanie; są to studya w najwyższym stopniu bezwiedne, robią się wówczas tylko gdy się najmniej o nich myśli. Miał-że szukać towarzystwa panny Jadwigi, lub jej podobnych? poddawać się konwencyonalnym zwyczajom świata, którego nie cierpiał z zasady? marnować czas drogi na wizyty i wieczory?

Wszystkie te problemata tłoczyły mu się do myśli, a jednocześnie w piersi budziły się pragnienia i żądze niewyraźne, nieokreślone, przecież potężne.

Pokój ten zdawał mu się dusznym. Poszedł do okna i otworzył je. Weranda była pusta.

Pochwycił kapelusz i wybiegł na miasto.

Był to dzień świąteczny. Tłumy strojne powracały z kościołów i spieszyły ku Saskiemu Ogrodowi lub zamiejskim spacerom. Ludzie łączyli się w grupy, spotykali, tworzyli wesołe gromadki, szukając rozrywki po tygodniowych zatrudnieniach.

January spotkał Ignasia, który szedł obok panny Jadwigi i jej siostry, niosąc ich książki do nabo-

żeństwa. Spotkał Konrada, ale ten był tak zajęty jakąś młodziutką blondynką, idącą pod opieką matki, że nie spostrzegł go nawet. Spotkał Ewarysta — Ewaryst dzień ten zwykle przepędzał z matką, Leon z żoną, Seweryn także znajdował się w jakiemś liczniejszem zgromadzeniu niewieiciem.

January był sam wśród tego całego miejskiego ruchu, którego nie podzielał, z którym nie łączyło go nic. Błąkał się bez celu po ulicach, gdy ujrzał Emila, idącego naprzeciw siebie.

Ale fejletonista, zamiast skwapliwie skorzystać ze spotkania, pozdrowił tylko Januarego i chciał iść dalej.

— Gdzież się tak śpieszysz ty także?—zagadnął go niecierpliwie ten ostatni.

Emil miał minę tajemniczą, dyskretnie tryumfującą, przechadzał się po trotoarze Krakowskiego Przedmieścia z różą herbacianą w dziurce od guzika, i z tego trotoaru nic go odciągnąć nie mogło.

Dawał tylko do zrozumienia, że czekał na jakieś spotkanie lub sygnał, który tak łatwo odebrać w pośród tłumu, i uparcie wlepiał wzrok we wszystkie przeciwległe balkony, potrząsając, jak lew, długiemi włosami i wydobywając z piersi sentymentalne westchnienia.

January pożegnał go czemprędzej i powrócił do siebie.

Znów powitały go te same ściany, pełne słońca i drżących cieni.

Dziś te ściany wydały mu się smutnemi; wrażliwa natura jego przywykła do pracy, a napotykając w niej nieprzezwyciężoną trudność, była wytrącona z kolei, czuła jakieś zachwianie równowagi moralnej.

Usiadł w oknie.

II.

Na werandzie siedziała piękna kobieta o czarnych, lśniących splotach włosów i czarnych, palących, a spokojnych oczach. Oprócz dzieci, była z nią dnia tego druga kobieta.

Obie były piękne, obie młode, przecież przedstawiały tak zupełny kontrast, iż przez to samo zatrzymać musiały wzrok i rozbudzić głębszą uwagę.

Na twarzy jednej z nich jaśniała wewnętrzna harmonia, harmonia niczem dotąd nie zmącona wśród bogactwa różnorodnych żywiołów, które przejawiały się w delikatnych rysach, w spokojnym blasku źrenicy, w subtelnym wdzięku uśmiechu. Niezawodnie na dnie tego ducha tkwiły palące pierwiastki, jak w upalnym dniu lata pierwiastki burzy, ale one by-

ły dotąd uśpione, nieświadome siebie i czyniły twarz jej podobną do spokojnej toni, rozlanej nad głębią przepaści. Można się było domyślać, że gdy zawieją wichry namiętności, wtedy i ta spokojna, plastyczna twarz przetworzyć się może; że te oczy łagodne cisną płomienie, uśmiechnięte usta zadrgają, rysy ożywią się; że wówczas stanie się ona podobną do bolejącej Niobe, do ponurej Medei lub rozkochanej Psyche.

Na teraz jednak twarz ta była spokojną.

Druga kobieta miała daleko kapryśniejsze rysy, daleko bardziej składany i nieokreślony wyraz.

Jeśli pierwsza przywodziła na myśl wzory starożytne, druga była czystym wytworem dzisiejszej epoki. Nosiła ślady jej niedoborów i sprzeczności. Subtelne rysy nadawały się zupełnie do zmiennych, lekkich, nieujętych wrażeń; zarówno bliskie były sceptycznego uśmiechu, jak rozmarzenia; zarówno zdolne odbić obojętne znudzenie, jak gorący poryw chwili. Na twarzy znać było i dumę, i przebiegłość, i chłód, i smutek, a może nawet szczerość i serdeczność. Te siwe, wielkie oczy, przysłonięte długą rzęsą, umiały z pewnością być niezbadanemi, patrzyć szyderczo i patrzyć czule. Usta potrafiły zdobyć się na kłamstwo, ale może także nie cofnęłyby się przed prawdą.

Słowem, kobieta owa, strojna umiejętnie i kun-

sztownie, mgła zaciekawiać, jak proteusz, nęcić jak kameleon.

— Doprawdy, Heleno — mówiła, zbierając zręcznie i układając fałdy sukni — nigdzie cię spotkać nie można, ani w Saskim, ani w Botanicznym ogrodzie, ani w Łazienkach, ani w Letnim Teatrze, ani na spacerach, ani na koncertach, nigdzie... słowem nigdzie.

I mówiąc to, z wyrazem ubolewania i ciekawości potrząsała głową, ubraną w najfantastyczniejszy kapelusz, jaki kiedykolwiek wyszedł z rąk modniarki, migocący złotemi piórkami i wszystkiemi kolorami tęczy, skombinowanemi w śliczną harmonię.

— Nigdzie, nigdzie — powtarzała, oglądając się wokoło — ty doprawdy nigdzie nie bywasz, nigdzie.

— Prawda, mało wychodzę—odparła zagadniona—jednak na koncertach bywam czasami.

— A! tak; na koncertach... ty lubisz same poważne rzeczy. Lubisz muzykę. Ja także lubię ją, nawet bardzo, tylko zawsze brak mi czasu.

Mówiła to niedbale, jakby z przyzwyczajenia, a oczy jej świadczyły, że myślała o czem innem.

— Żartujesz chyba, Oktawio? — zawołała He-

lena — ty nie masz czasu?... czemże się tak zajmujesz?

— Ja nie wiem sama — tłómaczyła się strojna kobieta —doprawdy, nie wiem; jednak zawsze mam coś pilniejszego do zrobienia lub zobaczenia.

Zresztą nie zatrzymywała długo myśli, ani słów nad jedną rzeczą; przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, jak ptaszek przefruwa z gałęzi na gałęź.

— Ślicznie tu u ciebie!—wyrzekła znowu—zacisznie, tajemniczo; jednak smutno. Wolę swoje mieszkanie na Krakowskiem Przedmieściu.

Helena wzruszyła tylko ramionami.

— Miałyśmy zawsze odmienne gusta — wyrzekła.

— Prawda! znamy się tak dawno, od pensyonarskich czasów, a nie rozumiałyśmy się nigdy; może dlatego kochałyśmy się właśnie. Ty podobno byłaś zawsze stokroć więcej warta ode mnie.

— Oh! więcej warta?

— Nie zaprzeczaj, bo to się na nic nie zda; byłaś więcej warta i taką zostałaś. Nie mówię tego głośno, ma się rozumieć, bo cóżby mi z tego przyszło? Nie wyznaję bynajmniej tak wielkiego uwielbienia dla prawdy, by ją zawsze i wszędzie głosić. Ale teraz jesteśmy same, więc, chociaż mówię, co myślę, nie mam w tem wielkiej zasługi.

Rozśmiała się, serdecznie ściskając przyjaciółkę.

— Miałaś zawsze najlepsze serce — przerwała pani domu—byłaś też zawsze znamienitym trzpiotem i widzę, że ani pod jednym, ani pod drugim względem nie odmieniłaś się wcale.

— Trzpiotostwo... hm!—mówiła nowo przybyła z dowcipnym uśmiechem — trzpiotostwo, gdyby ono nie pochodziło z natury, byłaby to może najlepsza polityka: trzpiotowi wszystko uchodzi, u trzpiota nic nie zwraca uwagi. A co do serca...

Wstrząsnęła głową z wyrazem powątpiewania.

— Wszyscy powtarzają, że kobieta bez serca jest potworem, a jednak, Heleno, co z tem sercem robi świat, życie? trzeba je mieć, by było sponiewierane lub skazane na wieczne milczenie.

Mówiła to z namysłem, który mógł się wydawać dziwnym przy jej stroju, ruchach, uśmiechu.

— Ty za to, Heleno—wyrzekła znowu — byłaś zawsze tak poważną, tak rozsądną, jakby w żyłach twoich nie płynęła krew południowa, jakby matka twoja nie pochodziła z cudnej, rozkosznej Florencyi, jakbyś nie przypominała głów Tycyana lub Rafaela; i dlatego tem bardziej dziwi mnie twoja powaga, twój spokój, twój chłód.

— Mój chłód? mylisz się, przynajmniej pod tym ostatnim względem...

— O! wiem, wiem; kochasz wszystko, co cię otacza: męża, dzieci, pracę, samotność.

— A! ty tego nie rozumiesz, Oktawio, ty, co masz zupełnie odmienne życie.

— Ja się nie skarżę — odparła Oktawia z lekkim akcentem wymuszenia w głosie — byłaby to zresztą najgorsza polityka; tylko wzięłam życie z innego końca, niż ty, i jest mi z tem dobrze. Nie my wybieramy swój los... musimy się do niego przykroić.

— Ty musiałas to uczynić?

— Cóż chcesz? szaleni chyba tego nie czynią. Nie mam powołania do męczeństwa. Zdaje mi się, iż poznałam ludzi i obrachowałam, jak z nimi postępować należy. Nie jest to rzeczą zbyt trudną; można okupić sobie łatwo spokój pewną liczbą niewinnych frazesów, demonstracyi, formuł. Świat wierzy im, czy nie wierzy... mniejsza o to... wymaga, aby były wypowiedziane i spełnione, chociażby nawet każdy krok nasz stawiał im oczywiste zaprzeczenie.

Mówiła to z pewną lekceważącą goryczą, niezwykłą u niej.

— Ty, Heleno—wyrzekła, dostrzegłszy jej zdziwienie—ty nie jesteś taką, jak inni, i dlatego też ja mówię ci wszystko.

— Wszystko? czy doprawdy wszystko, Oktawio?

— Dlaczego mnie o to pytasz?

— Bo zdaje mi się, że życie twoje ma dwie strony: jednę wesołą, płochą, uśmiechniętą, widną dla wszystkich; drugą...

— Jakąż drugą mieć może? — zapytała skwapliwie.

— Może smutną, może namiętną... ja nie wiem.

Oktawia pochwyciła ją za rękę.

— Kto ci to mówił? — zawołała, patrząc jej w oczy.

— Nikt, przysięgam ci; tylko ja odgadłam, że zabawy, stroje, błahostki, starczyć ci nie mogą.

— A jednak to starczyć powinno; kobieta bez serca jest potworem, ale mnie to starczyć powinno. Niech przy ognisku rodzinnem zasiądzie obojętność, zdrada, lekceważenie... kobiecie po za nie spojrzeć nie wolno. Cóż ty sądzisz o tem, Heleno?

— Ja nie sądzę, wiesz, że cię kocham, że wszystko twoje mnie obchodzi, i że powinnaś mówić mi wszystko.

— Nie wątpiłam o tem—zawołała, ściskając jej ręce i odzyskując zachwianą przez chwilę wesołość— tylko widzisz, *wszystko*, to bardzo wiele, spowiednik nawet żądać więcej nie może. Ja będę szczerą, wolę nie mówić ci wszystkiego; niech ci za mnie plotki światowe resztę wypowiedzą.

Te ostatnie słowa wyrzekła z odcieniem smutku, czy dumy, który nadał jej powab dziwny.

— Ależ swiat cię uwielbia.

— Tem lepiej, tem lepiej—powtórzyła Oktawia z nieokreślonym uśmiechem—zasługuję na to najzupełniej; ze światem, jak z mężem, staram się zawsze zostawać w najlepszych stosunkach.

Mówiąc to, poprawiła koronkę u mankietów i ułożyła fałdy okrycia tak, iżby powierzchowność jej, zarówno jak moralna strona, była gładką i bez zarzutu.

— Ale dlaczego ty nie mówisz mi o sobie, Heleno?

— O mnie? o mnie właściwie nie ma nic do powiedzenia; wiesz, że ludzie tak, jak narody szczęśliwe, wcale nie mają historyi.

Oktawia wzięła ją za ręce i przez chwilę patrzała w jej oczy uważnie, badawczo.

— I ty na prawdę nie masz historyi, Heleno?... to dziwne! bardzo dziwne!

— Dlaczego dziwne?

— Nie odwracaj oczu—mówiła dalej Oktawia— ile ty masz lat? dwadzieścia pięć, czy sześć najwyżej, nie prawdaż? jesteśmy niemal w jednym wieku. Historya twego życia nie jest skończoną, nie jest zaczętą może.

W głosie jej było przekonanie, któremu próżno Helena zaprzeczyć chciała.

— Nie mów mi, że masz męża; nie mów mi, że masz dzieci. Ty sama nie znasz siebie. Spojrzyj w głąb oczu swoich, w głąb serca... tam się palą namiętności nie wcielone może, pragnienia nie sformułowane jeszcze.

Helena wyrwała jej ręce i odwróciła głowę.

— Jesteś złą wróżką, Oktawio—zawołała gwałtownie — przepowiednie twoje nie sprawdzą się nigdy... przysięgam.

Oktawia uśmiechnęła się tajemniczo.

— Na co przysięgać?—wyrzekła tylko.

— Bo dlaczegoż ty mi mówisz takie rzeczy?

— Dlaczego? Dlaczego? — powtórzyła z namysłem Oktawia —Rzucasz mi to wielkie słowo życia... wiekuiście bez odpowiedzi. Spytaj raczej, dlaczego słońce swieci? ptak śpiewa, a serce bije?

— Moje przynajmniej bije prawidłowo, nie goni

próżnych mar, poprzestaje na tem, co posiada, jak wzrok mój nie wybiega po za horyzont, jaki mi jest zakreślony.

Oktawia wstrząsnęła głową.

— Jesteś dumną! wiem o tem.

— Nie, jestem umiarkowaną tylko i nie przestanę nią być nigdy.

— Nie ręcz za przyszłość; co ty wiesz o jutrze? czy zgadniesz, w jakich barwach pojawi się ono na twoim horyzoncie? co zbudzi w tobie samej? o czem każe zapomnieć?

Helena chciała przeczyć, ale zaprzeczenie nie przyszło jej na usta. A towarzyszka jej mówiła dalej:

— Jesteś praktyczną. Wiem o tem. Urządziłaś sobie życie, masz pewną sumę obowiązków i uczuć, po za które postanowiłaś nie wykraczać. Powiedziałaś sobie, iż rzeczywistość nigdy nie sprosta marzeniom, iż trzeba zastanawiać się nad tem, co posiadamy, nie nadtem, czego nam braknie... i odrzuciłaś wszystko, co za tę normę przechodzi. Czy nie tak?

— Tak jest. Tylko to, co posiadam, stanowi bardzo wiele, a to, czego mi brak, nic prawie.

— Nie będę sprzeczać się o słowa. „Nic prawie“ znaczy tak wiele, jak... wszystko, skoro chodzi

o rzecz nieposiadaną. Nie sądź, bym cię nie rozumiała, bym ujmowała ci rozsądku, siły, panowania nad sobą. Tylko...

— Tylko co? nieznośną jesteś z temi półsłówkami! wszak widzisz, że cię słucham, i że twoje straszne przepowiednie nie przejmują mnie bynajmniej trwogą.

— Tem gorzej. Nie mówię na wiatr. Chciałabym ci być użyteczną; twój spokój przeraża mnie zawsze. Zdaje mi się, że ze wszystkich niezniszczonych marzeń zbiera się fala codzień groźniejsza, codzień podsycana, która w końcu porwie cię i uniesie, jak zwrotnikowy huragan.

— Nie lękaj się, jestem opatrzona dostatecznie balastem rozsądku i szczęścia.

— Gdyby szczęścia, Heleno, gdybyż szczęścia!

— Więc czegoż mi brakuje?! Czy nie mam ślicznych dzieci, ciszy domowej, męża wreszcie?...

— O! twój mąż! twój mąż kocha cię bezwątpienia! rzeczywiście, byłby trochę trudnym, gdyby ciebie nie kochał.

— Ja kocham go także, Oktawio!

— Bezwątpienia, bezwątpienia; ale widzisz, miłość bywa rozmaitej miary: ludzie mogą dawać całe mienie swoje, a jednego mienie będzie stanowić złoty

pieniądz, drugiego miedziak, i jeśli się za złoto odbiera miedziaka...

— Ja nie jestem tak chciwa, nie badam wartości, bo ta względną być może; ot, po prostu, poprzestaję na tem, gdy mi kto daje wszystko, co dać może.

Ale Oktawia nie zdawała się przekonaną tym argumentem.

— Ha!—szepnęła wreszcie — byleś była szczęśliwą, byleś była nią długo i zawsze. Powtarzam to sobie nieraz i wierzyłabym może. Ale przyszłość...

— Oh! przyszłość!—zawołała Helena—o nią jestem równie spokojną, jak o obecność...

Chciała przerwać rozmowę. Oktawia nie nalegała więcej.

Wiedziała, iż każdy rozumie szczęście po swojemu, każdy sobie życie inaczej urządza. Pomiędzy nią a Heleną była przyjaźń szkolna, była sympatya i ciekawość, pobudzona różnicą charakterów. Te dwie kobiety wzajem dla siebie stanowiły problemat, nęciły i odpychały mocą kontrastów jawnych i analogii ukrytych. Przecież widywały się rzadko, i życiowa fala unosiła każdą z nich w inną stronę; myślały tylko niekiedy o sobie i rachowały na siebie zdaleka.

Po odejściu Oktawii, Helena pozostała zamyślona. Czyż rzeczywiście groziło jej niebezpieczeństwo

jakie? czyż to życie, płynące tak jednostajnem, błogiem korytem, miało być zmącone gwoli szalonych marzeń lub nieokiełznanych namiętności?...

Położyła rękę na sercu — serce to biło równo, spokojnie. Uśmiechnęła się sama z obaw własnych i z tego, że przed chwilą Oktawia potrafiła ją zatrwożyć. Ona, Helena, wzorowa matka i żona, ona, co stała tak wysoko w szacunku ludzkim, ona miałaby zboczyć z prostej drogi, poświęcić spokój, szczęście, dumę swoją wreszcie, dla jednej z tych płochych awantur, których odgłos, dochodząc do niej, budził wstręt i litość jedynie!

Znała świat i wartość tego, co ludzie pospolicie nazywają miłością; z tej strony przynajmniej niebezpieczeństwo nie istniało dla niej. Bo jeśli tam w głębi kryły się jakie marzenia utajone w zakątach serca, marzenia te bynajmniej nie były do rzeczywistości podobne,—zdawały jej się tak niedościgłemi, jak gwiazdy na niebie. Wszak gwiazd nikt nie pożąda, chyba dziecko, które nie wie, że one są niedościgłe.

Helena jeszcze raz wzruszyła ramionami, spojrzała za odchodzącą z pogodnym uśmiechem, jakby uśmiechała się z jej domysłów i przepowiedni, osnutych na tle osobistem. Potem powstała. Nie poświęcała zwykle czasu swego próżnym marzeniom;

natura jej energiczna nie przywykła do bezczynności. Obowiązki pani domu nie miały dla niej nic przykrego. Z przyjemnością rzuciła okiem na salon, urządzony z tą wymyślną wygodą, stosującą się do wszystkich wymagań rozwiniętego gustu.

Dobór kolorów mile wpadał w oko, ani zbyt ciemne, ani zbyt jaskrawe, czyniły wrażenie pełne wykwintnej harmonii. Światło, w godzinach południowych przyćmione szaremi storami, dyskretne i złotawe, padało na przedmioty; kwiaty nie odznaczyły się gwałtownemi zapachami, przeciwnie, wonie, zarówno jak światło, były przyćmione, nie raziły, nie narzucały się zmysłom.

Siedzenia rozmaitych kształtów, ażeby każdy mógł wybrać sobie takie, jakie mu najbardziej dogodnem było, otaczały stoły, zarzucone nie tuzinkowemi albumami, ale rycinami prawdziwej wartości artystycznej.

Słowem, salon ten odcinał się od ogólnej normy, zdradzał wykwintny umysł i staranną rękę. Nie można było się dziwić, iż kobieta obejrzała się po nim z uśmiechem; to było jej królestwo.

Z salonu rzuciła okiem do mniejszego gabinetu, pełnego książek, gdzie stało biurko, obciążone przyborami piśmiennemi, a na sztaludze zaczęty portret pastelowy pokazywał już wyraźną podobiznę chłop-

czyka, bawiącego się w ogrodzie. Przy nim, na małym stoliku stało pudełko z farbami.

Portret ten tłómaczył niejako artystyczne gusta pani domu, jej odsunięcie się od bezmyślnych rozrywek i poważne zamiłowania.

Za salonem był pokój jadalny, wielki, widny, wygodny. Wkoło ścian stały rzeźbione kredensy, pełne porcelany, kryształów, rozmaitych zastaw stołowych.

Nakrywano właśnie do obiadu.

Helena wydobyła jakieś kosztowniejsze przybory ze starosaskiej porcelany; kazała stół ustroić; dnia tego spodziewała się gości; potem weszła do kuchni. Było to także jej państwo.

Tutaj dała ostatnie instrukcye; przypomniała gust pana domu, skosztowała nawet jakiejś potrawy, którą on lubił wyłącznie, i sama dodała przypraw, jakie mu smakowały.

Widząc ją tak zajętą codziennemi obowiązkami życia, rozmiłowaną w tem co ją otaczało, można było uśmiechnąć się z przepowiedni i ostrzeżeń Oktawii; Helena była to rzeczywiście jedna z tych szczęśliwych istot, zadowolonych z własnego losu, które nie mają historyi.

Dotąd, jedyną fazę w jej egzystencyi stanowiły wypadki rodzinne lub intelektualne; bogato rozwi-

nięta, zdolną była czuć umysłowe i artystyczne rozkosze, niedostępne dla ogółu.

Powróciła na werandę. Dziewczynka zasnęła na dywanie, chłopczyk bawił się po cichu. Pochyliła się, wzięła dziecko uśpione na ręce i, nie uginając się pod tym ciężarem, silna i ostrożna, zaniosła je do dziecinnego pokoju, położyła w białem łóżeczku i przyglądała się przez chwilę z macierzyńskim zachwytem, złotym, ciężkim puklom, spuszczającym się na jasne czoło, delikatnym powiekom, po których biegły drobne żyłki i przebijał błękit źrenic, różowym ustom, rozchylonym sennym uśmiechem. I byłaby zapewne patrzała na nie długo bardzo, gdyby nie usłyszała nadchodzących kroków.

Kroki te skierowały się wprost ku dziecinnemu pokojowi. Wszedł mężczyzna średniego wzrostu, średnich lat, średniej tuszy i jednej z tych fizyognomii, trzymających środek pomiędzy pięknością i brzydotą, którym, pod każdym względem, ten wyraz *średni* przystaje. Był to pan domu, mąż Heleny, pan Tytus Halski, jeden ze znanych przemysłowców warszawskich.

Pierwszy rzut oka usprawiedliwiał poniekąd zdanie Oktawii, która, nie mówiąc tego wyraźnie, była jednak głęboko przekonaną, że on nie mógł w zupełności zapełnić serca i życia żony. Pan Tytus

nie miał widocznie ani fizycznego, ani moralnego podobieństwa z bohaterami powieści, poematów lub romansowych marzeń, jakie snują głowy kobiece. Był to jeden z tych ludzi, nie odznaczających się niczem, jeden z wielu, jeden z tysiąca, który, pomimo to, mógł być najlepszym ojcem i mężem, ale który najzupełniej usprawiedliwiał twierdzenie Heleny, iż należała do rzędu ludzi niemających zgoła historyi.

Nie przeszkadzało jej to jednak być szczęśliwą, bo widząc go wchodzącego, uśmiechnęła się prześlicznym uśmiechem i położyła palec na ustach, wskazując mu uśpione dziecko.

Znak ten zrozumianym został. Pan Tytus stąpał na palcach, usiłując stłumić szelest swoich kroków, co nie udawało mu się w zupełnosci; za każdem głośniejszem stąpnięciem, występowały na jego fizyognomię charakterystyczne zmarszczki niezadowolenia i trwogi, ażeby nie przebudzić dziecka. Kiedy zaś doszedł do celu swej wędrówki i dostał się na dywan, rozesłany koło łóżeczka, uściskał żonę, objął ją wpół i oddał się swobodnie kontemplacyi śpiącej Anielki.

Widok ten nie wydał mu się mniej zachwycającym, niż Helenie, bo wyrzekł po chwili:

— Powinnabyś ją tak odmalować.

Ale kontemplacya pana Tytusa długą nie była;

nie miał on bynajmniej marzącej natury, i powrócił do zwykłych spraw życia.

— Każ dodać jedno nakrycie — wyrzekł, zwracając się do żony — zaprosiłem jeszcze jednego gościa.

Gotowała się spełnić jego rozkaz, ale mąż ją zatrzymał.

— Z tego gościa nie będziesz może zadowoloną; spotkałem pana Karola, i tak jakoś się stało, że przyjdzie tu dzisiaj.

Rzeczywiście chmura przesunęła się po czole Heleny, ale tak lekka, że ledwie nazwać ją było można chmurą.

— O!—rzekła — to najmniejsza. Skoro ty go zapraszasz, skoro podoba się tobie...

— Cóż znowu! gdybym miał drzwi zamykać przed każdym twoim wielbicielem, dom nasz stałby pustkami. Alboż ja mogę być zazdrosnym, znając ciebie?

Uśmiechnęła się jasnym, prześlicznym uśmiechem, pochodzącym z głębi serca, harmonizującym ze spojrzeniem i pogodą twarzy.

— Masz słuszność—wyrzekła tylko z prostotą, opierając się na jego ramieniu.

W tej chwili rozmowę ich przerwał odgłos dzwonka, odzywającego się w przedpokoju.

Helena zawołała piastunkę, pozostawiła ją przy

śpiącem dziecku i razem z mężem wyszła do salonu, gdzie gwar i kroki kilku przybyłych mężczyzn słyszeć się dawały.

Widocznie ta kobieta miała słuszność, uważając siebie za zupełnie szczęśliwą. Życie jej biegło w dostatkach, w zadowoleniu serca, wśród artystycznej ciszy domowej, wśród szacunku i przyjaźni powszechnej, w zgodzie z duchową potrzebą i pragnieniami, oddane obowiązkom, które umiała ukochać, i przyjemnościom szlachetnym.

III.

Redakcya „Hasła“ mieściła się w antresoli, w głębi dziedzińca wielkiego domu przy jednej z głównych ulic. Jak we wszystkich niemal redakcyach pełno tam było.

1) Plik papierów, porozrucanych po stołach, krzesłach i kątach.

2) Ludzi nadzwyczaj zajętych, tak zajętych, że ile razy wchodził ktoś nieznajomy, wszystkie głowy pochylały się nad papierem i wszystkie pióra skrzypiały tak szybko, iż obliczywszy ilość wierszy wyprodukowanych w ten sposób przez współpracowników „Hasła“, pismo to mogło dziesięć razy przewyższać objętość, jaką miało obecnie.

„Hasło“ jednak trwało niezmiennie, dając co dnia, z wyjątkiem niedziel, świąt, dni galowych, dwanaście kolumn druku wraz z fejletonami, a cztery kolumny ogłoszeń. Co się więc robiło ze zbywającą liczbą produkowanych wierszy? Było to małe zagadnienie arytmetyczne, które złośliwi rozwiązywali, twierdząc, iż wiersze owe produkowane były zwykle tak pilnie, tylko dla zbudowania profanów, gdy tymczasem, po za oczami tych profanów, redakcya, oprócz wyż wzmiankowanych wierszy, produkowała także nieskończoną ilosć tytoniowego dymu, w kształcie kłębów i kółek, i że współpracownicy „Hasła“ nie tylko ubiegali się o lepsze w zawodzie literackim, ale i o to, kto regularniejsze kółka puszczać potrafi, nie mówiąc już o wesołych gawędkach, a nawet o niektórych grach towarzyskich, które w redaktorskim pokoju kwitły prawie nieustannie, zapewne na tej zasadzie, że zmiana zatrudnień pokrzepia siły umysłowe.

Lokal redakcyi pełen więc był nietylko stosów papieru i pilnie zajętych pracowników, ale i dymu, gwaru, śmiechu, który cichł zwykle, jak to powiedzieliśmy już wyżej, za wejściem jakiegobądź intruza.

Intruz oglądał się zwykle z poszanowaniem po tem sanktuaryum duchowego życia, gdzie elaboruje

się codziennie pokarm umysłowy dla ogółu, gdzie drukują się codzień owe wiadomości, przez to samo już dla wielu ludzi nie podpadające wątpliwości żadnej, że są drukowane, i po chwili, widząc te wszystkie głowy pochylone, te wszystkie pióra skrzypiące, czuł się przerażony, iż on, dla marnych interesów swoich, przerywa skupienie ducha tych przodowników wiedzy, tych kapłanów opinii publicznej; więc po długiem milczeniu, przyciszonym głosem, jakby to czynił w kościele, wypowiadał, co go tu przywiodło. Interesy były dwojakiego rodzaju: (prenumeraty bowiem i ogłoszenia oddawane były wprost w kantorze, który służył za wstęp do właściwej redakcyi);—albo interasant chciał się zobaczyć z kimś należącym do redakcyi, albo też porozumieć się względem jakiejś literackiej pracy; a w tym wypadku, był on nie tylko intruzem, był i suplikantem, który płody swego talentu oddawał z drżeniem pod światły sąd mężów znakomitych.

Zwykle, jeśli był w tym ostatnim wypadku, interesant mógł bezpiecznie sądzić, że głos jego przebrzmiał bez echa, albowiem wszystkie głowy pochylały się jeszcze bardziej, wszystkie pióra skrzypiały coraz szybciej, a żadna para oczu nie podnosiła się na niego; on zaś coraz bardziej przerażony swoją śmiałością, stał już nie jako suplikant, ale jako delikwent.

Dopiero po pewnej chwili, gdy intruz miał czas przejąć się ważnością ludzi, do których się zbliżał, jeden z piszących, nie zmieniając postawy, odzywał się przez zęby.

— Przepraszam... proszę o chwilkę spokojności... jestem nadzwyczajnie zajęty.

Słowa te dodawały otuchy suplikantowi, uszczęśliwionemu, że zaczynał istnieć dla tych ludzi. Jeśli był śmiałej natury, jeśli przyjęcie rękopisu, który przed niejakim czasem, naprzykład przed trzema miesiącami, zostawił w redakcyi, nie stanowiło dla niego kwestyi życia i śmierci, to oglądał się, szukając krzesła, — ale ponieważ wszystkie krzesła były zajęte przez ruchomości (ludzi), lub nieruchomości (pliki papierów), śmiałość ta zwykle kończyła się na zamiarze.

Po niejakim czasie, ten grzeczny śmiertelnik, który raczył go prosić o cierpliwość, posuwał o tyle swoją łaskawość, że podnosił głowę i—o szczęście! — spoglądał na interesanta. A chociaż nie przemawiał, wzrok jego równał się zapytaniu:

— Co waćpan sobie życzysz? lub też: czego chcesz od nas?

W takim razie interesant przypominał, że przed pewnym czasem, naprzykład przed trzema miesiącami, zostawił tutaj rękopis, że zgłaszał się po niego

kilka razy, że zawsze kazano mu przyjść za parę tygodni, gdyż nadzwyczajne zajęcia redakcyi, nie pozwoliły jej dotąd przepatrzeć tej pracy.

— Aa! rękopis — powtarzał dobrotliwie współpracownik, którego wdzięczne serce autorskie już protektorem nazywało—zaraz zapytam redaktora.

I wychodził do trzeciego pokoju, w którym, przez drzwi uchylone, widać było snujące się postacie i dochodził gwar głosów.

Ten trzeci pokój różnił się od poprzednich wielkiem biurkiem, wygodnym fotelem, obitym zielonym safianem z takimże szezlongiem, na którym rozsiadały się, tak samo, jak po wszystkich kątach, stosy papierów i książek, zostawiając tyle tylko miejsca na krawędzi, by niezbyt wybredny gość, usiąść mógł na niej od biedy.

Pokój ten zamykał arkana redakcyjne. Tutaj także, za wejściem intruza, odbywała się ceremonia pochylania głowy nad papierem i skrzypienia piórem, tylko odbywała się nierównie rzadziej, albowiem taki tylko intruz dostawał się tutaj, który przeszedł szczęśliwie przez pierwszy i drugi pokój.

Przed biurkiem, zawalonem jak cała redakcya, siedział młody człowiek, akcyonaryusz i naczelny redaktor „Hasła“, pan Karol.

Pan Karol nie miał zbyt wielkich literackich

zasług, tak dalece, iż mało kto pamiętał artykuł podpisany grecką *Kapą*, który kiedyś wyszedł w pewnem piśmie i w niektórych kołach narobił niemałego hałasu, jak twierdził autor jego, pan Karol; ale za to pan Karol był wcale przystojnym, a nawet dystyngowanym człowiekiem, posiadał trochę majątku, więcej zręczności, i z tego powodu został głównym redaktorem „Hasła“. A gdy już raz został głównym redaktorem, nie potrzebował więcej powoływać się na artykuł podpisany grecką *Kapą*,—nikt nie poważył się kwestyonować jego talentu. Jako przyboczna gwardya, znajdowali się przy Karolu: Ewaryst i Emil. Na ich to głowach leżał cały ciężar redakcyi, oni zwykle odczytywali rękopisy oddawane do „Hasła“ i wydawali na nie wyroki.

Ale, ponieważ ci panowie byli zwykle bardzo zajęci, rękopisy najczęściej spoczywały nietknięte na stole, szezlongu, fotelu, a w najlepszym razie w szufladzie biurka.

Literaci, oddający swoje prace redakcyom, muszą być z konieczności cierpliwi, a przynajmniej cierpliwość ich bywa próbowaną i ćwiczoną w rozmaity sposób. Jednakże ponieważ wszystko ma swoje granice, ma ją i cierpliwość literatów, zwłaszcza początkujących. Otóż, gdy który z nich zgłaszał się w wyż wzmiankowany sposób do redakcyi, i jeden z pomniej-

szych pracowników dał o tem znać do samego redakcyjnego sanktuaryum, odbywała się tam znowu mniej więcej taka scena:

— Proszę pana—mówił współpracownik — pan X. przyszedł zapytać o swoją nowelę.

Kan Karol, któremu ta interpelacya przerywała jakie przyjemne zajęcie, spoglądał wówczas koleją na pana Emila, co za jego przykładem uskuteczniali także pan Ewaryst i pan Emil, spoglądając koleją po sobie i po redaktorze głównym, przyczem wzruszali wszyscy trzej ramionami i wracali do przerwanego zatrudnienia, puszczania kółek z cygarowego dymu lub gawędki. Wszystko to miało znaczyć, że żaden z nich o noweli pana X. nie miał najmniejszego pojęcia, a dalej, że bez ceremonii posyłał do dyabła pana X. i jego nowelę.

Że jednak podobna odpowiedź nie przystawała redakcyi, jako zbyt mało parlamentarna, panu X. dawano inną. Jeśli ci panowie byli w dobrym humorze, lub jeśli brakowało materyałów fejltonowych, proszono pana X. jeszcze o parę tygodni zwłoki, bo do tej pory redakcya, mimo najszczerszej chęci, tak była zarzucona nawałem pracy, iż niepodobna jej było noweli odczytać; jeśli zaś który ze współpracowników przyniósł jaką elukubracyę własną lub któregokolwiek z przyjaciół, odpowiadano bez ceremonii panu X., że jego nowela nie kwalifikowała się do druku.

Tę jednak odpowiedź dawano rzadko, a to z powodu, iż po takiej odpowiedzi należało zwrócić rękopis, co zwykle przedstawiało niemałą trudność; bo jakkolwiek stało na czele pisma, iż artykuły niedrukowane zwracane nie będą, jednakowoż to nie tyczyło się większych prac. Rozpoczynało się więc przerzucanie z góry do dołu wszystkich rękopisów i wszystkich plik papierów, spoczywających po stołach, kanapach, kątach, przy akompaniamencie rozmaitych żartów lub klątw, stosownie do osobistego usposobienia, dopóki poszukiwania nie zostały uwieńczone skutkiem, a w takim razie nowela, w dziewiczym stanie, obwinięta w tenże sam arkusz białego papieru, związana tąż samą różową lub błękitną wstążeczką, wracała do swego autora.

W ten rozkoszny sposób „Hasło“ wiodło blisko od roku swój dziennikarski żywot, i zapewne wiodło by go dalej, gdyby nie pewne przykrości finansowej natury, które zachmurzały coraz bardziej czoło pana Karola, i ztamtąd zasępiały refleksem czoła innych członków redakcyi.

Pan Karol był człowiekiem zręcznym i przewidującym, zaczął więc przemyśliwać o przyszłości. Siedział on w sanktuaryum redakcyjnym i jakkolwiek nie było tu żadnego intruza, głowa jego była pochylona nad papierem, a pióro skrzypiało, kreśląc

nie artykuł żaden, ale kolumny cyfr, których rezultat widny był w przedłużonej fizyonomii redaktora.

— Źle idzie — odezwał się wreszcie, rzucając pióro z prawdziwym gniewem — zamiast przybywać, co kwartał mniej prenumeratorów.

Emil, który jeden w tej chwili był w redakcyi, zrobił dość obojętną minę.

— To się poprawi—poprawić się musi. „Hasło“ ma tak świetną redakcyę, porusza wszystkie kwestye żywotne, wyrobiło już sobie uznanie...

— Djabła tam wyrobiło! coraz gorzej stoi.

— To nic! trzeba dalej łamać lody.

Pan Karol nie zdawał się o tem bardzo przekonany.

— Łatwo to mówić—wyrzekł zwolna—ale owo łamanie piekielnie kosztuje.

— Jest to obywatelski uczynek — mówił dalej, zapalając się, natchniony fejletonista — obowiązek ciążący na wyższych inteligencyach, który ty, Karolu, spełniasz i spełniać nie przestaniesz.

— Tak! spełniam—przerwał niecierpliwie—zaawanturowałem w ten interes cały majątek, a jak tak dłużej potrwa, będę zupełnie zrujnowany.

— Wytrwałości i wytrwałości tylko; rzeczy się poprawią.

— Trzebaby się gruntownie zastanowić nad sposobami poprawienia ich.

— Poczekaj! mam w tece cudowną nowelę, tylko trzeba ją wykończyć.

Pan Karol nie miał żadnego powodu powątpiewania o cudowności noweli Emila, zrobił jednak uwagę, iż pismo takie, jak „Hasło", nowelą podnieść się nie może; że trzebaby artykułów jędrniejszych w kwestyach żywotnych. Dodał nawet, że pisałby je sam, gdyby nie brak czasu. A w końcu zapytał niby od niechcenia:

— Czy widziałeś się z Januarym?

— Widziałem.

— I nie mówił ci nic?

— Nic wcale.

— Chciałbym zyskać jego współpracownictwo; robiłem mu propozycye. Czy nie wspominał o nich?

— Bynajmniej; śmiał się, przerzucając „Hasło" i krytokował je ostro.

Karol poczerwieniał.

— O! już to on krytykować umie!

— Ale czy wiesz, co głoszą jego przyjaciele?— spytał Emil, zniżając głos.

— Cóż takiego?

— Oto, że January ma w kieszeni koncesyę na pismo, że chce na własną rękę założyć dziennik.

Karol aż podskoczył na fotelu, z czerwonego zrobił się nagle blady, w końcu zerwał się z miejsca.

— Tegoby tylko brakowało!—zawołał, załamując ręce.

Pomiędzy współpracownikami a redaktorem przy najlepszej nawet harmonii, istnieje pewien antagonizm spowodowany sprzecznością interesów. Interesem redaktora jest, by pism było jak najmniej; współpracowników, by wychodziło ich najwięcej. Emil więc zapewne nie podzielał w zupełności rozpaczy Karola.

— I on na seryo myśli o założeniu dziennika?—zapytał ten ostatni zmienionym głosem.

— Co January myśli, tego nigdy wiedzieć nie można; tak mówi przynajmniej.

Wyraz niechęci odmalował się wyraźnie na twarzy Karola.

— Nieznośny człowiek!—wyrzekł przez zęby.—Nie może w spokoju zostawić żadnej idei, żadnego, problematu. Nie mogę przecież pozwolić, by burzycielskie teorye swoje rozpościerał bez kontroli w łamach „Hasła.“ To byłoby ze szkodą społeczeństwa.

— W takim razie rozpościerać je będzie we własnym dzienniku i dziennik ten odbierze „Hasłu“ i tę trochę prenumeratorów, jaką posiada.

Emil wypowiedział rzecz bardzo logiczną, alternatywa ta, zarysowała się w całej grozie w umyśle nieszczęśliwego redaktora. Więc też w interesie ludzkości, czy też swoim własnym, zawołał:

— To trudno! ja się z nim porozumieć muszę.

Było to istotnie heroiczne postanowienie.

— Prawdę mówiąc—wyrzekłEmil, który posiadał dość dziennikarskiej praktyki,—on jeden zdołałby nadać pismu naszemu ten charakter, tę siłę, co to zdobywa sobie czytelników.

Karol słuchał go, przygryzając wargi.

— Ha! — wyrzekł z podwójną determinacyą— trzeba się z nim porozumieć. Idź, Emilu, przygotuj grunt, powiedz mu, że pragnę jego współpracownictwa, że... słowem... rozumiesz.

— Rozumiem, rozumiem—mówił uszczęśliwiony tą delikatną negocyacyą fejletonista.

I naglony przez redaktora, wyszedł czem prędzej, ażeby natychmiast rozpocząc stosowne rokowania.

IV.

— Gdzie January?...

— Czy nie widzieliście Januarego?

— Czy go niema tutaj?

— Czy nie był jeszcze?

— Co się z nim dzieje?

— Szukano go wszędzie z redakcyi „Hasła."

— Sam Karol dowiadywał się o niego.

Pytania te rozlegały się nieustannie w restauracyi, w której January codziennie jadał obiad z Ignasiem; powtarzali je na przemian: Ewaryst, Konrad, Emil, Seweryn i całe kółko ściślej z Januarym, związane, gdy przez dwa dni nie pokazał się wcale na zwkłem miejscu.

— Gdzie January? Ignaś powinien to wiedzieć najlepiej—dorzucił ktoś z boku.

Ignaś przyszedł po niejakiem czasie; pokazało się jednak że nie wiedział więcej od innych. Mieszkanie Januarego od dwóch dni było zamknięte; napróżno pukał i dzwonił,—drzwi pozostały nieubłaganemi, żaden głos z wewnątrz słyszeć się nie dał.

— Może gdzie wyjechał?

— Może chory?

— Może zapracowany?

Domysły te, wychodzące z rozmaitych ust, były tylko domysłami. Ignaś zbijał je zwycięzko jedne po drugich, ko naprzód: gdyby January wyjechał, wiedziałby o tem prawdopodobnie stróż domu, w którym mieszkał, tembardziej, że usługiwał mu często. Gdyby był chory, z pewnością posłałby po przyjaciela. Pozostał więc tylko trzeci domysł, czyniący zaszczyt pracowitości młodego uczonego. Jednakże January pracował zawsze, a pomimo to nie zapomniał o tej logicznej konsekwencyi, iż pożywienie jest niezbędnym warunkiem pracy; można więc było stawić sto przeciw jednemu, że nie omieszkiwał podtrzymywać sił swego organizmu... tylko może podtrzymywał je w innej restauracyi.

Przypuszczenie to przywiodłoby niezawodnie do rozpaczy nie tylko właściciela gastronomicznego

zakładu, ale i wszystkich gości bez wyjątku, i z tego zapewne powodu nikt go nie sformułował.

Tymczasem ten mały wypadek mocno zajmował wszystkich, i naturalnie był tematem rozmów i rozmyślań zebranego kółka; ale, pomimo to, nie było gwaru i ruchu, dowcipów i dysput, jakie krzyżowały się zwykle wkoło Januarego, i to wprawiało w niemały kłopot zgromadzonych. Ewaryst czuł, iż krytyce, którą pisał obecnie, brakować będzie soli atyckiej; Emil biedził się z tematem do fejletomu; Konrad potrzebował zasięgnąć jakiejś wiadomości i rachował w tem na Januarego i jego encyklopedyczną wiedzę; Seweryn nawet chciał się go poradzić w jakimś artystycznym szczególe.

Ignaś na wszystkie interpelacye kolegów odpowiadał monosylabami. Kazał sobie dać obiad, ale widocznie uczynił to tylko z przyzwyczajenia. Apetytu nie miał żadnego. Zupa stała przed nim zapomniana, a on sam, z czołem opartem na ręku, patrzał na puste miejsce swego przyjaciela, rozbierając po raz setny wszystkie możliwe przypuszczenia o powodach jego nieobecności.

— Żeby mnie też był choć słówkiem uwiadomił!—odezwał się wreszcie głośno, jakby potrzebując podzielć się z kim swoim niepokojem.

— Ba! — odpowiedział złośliwie Ewaryt — nie

masz się o co troskać. Podobnie żywa zguba zawsze się znajdzie. A zresztą...

— A zresztą co? — przerwał Ignaś z pałającem okiem, bo słusznie lub niesłusznie upatrywał w tych słowach jakąś nieprzychylną dla Januarego aluzyę.

Niewiadomo, co właściwie krytyk chciał powiedzieć, ale zainterpelowany w tak groźny sposób, dodał pośpiesznie:

— No! nie gniewaj się; January był zawsze trochę dziwny.

Ignaś zmarszczył brwi.

— Dziwny? jak to rozumiesz?—zapytał—ja tego nie uważałem.

— To przecie nie znaczy nic złego; January, jeśli wolisz, był ekscentrycznym, jak każdy wielki umysł.

Ignaś musiał być zadowolony z takiego tłumaczenia.

— Czy czytałeś mu swoją rozprawę o poezyi? —spytał Emil.

— Co tam moja rozprawa. — odparł smutno— niech sobie leży do sądnego dnia.

— Zdaje mi się, że ją miał zacząć drukować jutro „Dziennik Wieczorny?“

— Jutro, czy kiedykolwiek... niema nic pilnego.

— Możebyś nam ją odczytał? — zaproponował Konrad.

Ale Ignaś dał znak przeczący, widocznie wszystkie pochwały i wszystkie krytyki niczem mu były. Dbał jedynie o zdanie Januarego.

Rozmowa, chociaż rwąc się dość często, przeciągała się jednak dłużej niż zwykle, wszyscy pragnęli doczekać się jakiejś wiadomości. Aż w tem najniespodziewaniej w świecie drzwi się otworzyły i wszedł January.

Powitano go jednogłośnym okrzykiem. Ignaś porwał się z miejsca i pobiegł ku niemu; nowo przybyły jednak bynajmniej nie zdawał się zadowolonym z tych powitań i okrzyków.

Powoli zdjął kapelusz, rękawiczki, spojrzał na zegarek i wyrzekł:

— Myślałem, żeście już dawno po obiedzie.

Widocznie nawet rachował na to, — można to było odgadnąć po chmurnym wyrazie twarzy.

Nie zważając przecież na to, zbliżył się do stołu, i kazał sobie podać obiad.

— No! i cóż tak patrzysz na mnie, Ignasiu?— zapytał, zwracając się do niego.

— Cóż się z tobą działo?—zagadnął Ignaś.

— Cóż się miało dziać?... nie działo się nic wcale, nic bynajmmniej. Czy myślałeś przypadkiem, żem się utopił? albo że mię ziemia połknęła?

Wzruszył ramionami z widocznemi oznakami złego humoru i zaczął wołać o obiad.

— Wczoraj i dziś — wtrącił Ignaś nieśmiało— zachodziłem do ciebie... nie mogłem się dodzwonić.

— Musiałem być zajęty.

— Gdybyś się choć odezwał.

— Nie wiedziałem, że to ty; a zresztą przecież i bezemnie trafiłeś tutaj. Nie cierpię przeszkadzać drugim, nie cierpię też, by mi przeszkadzano.

— Dotąd nie przeszkadzałem ci nigdy, — wyrzekł pokornie Ignaś.

Ta pokora rozbroiła trochę Januarego:

— Nie uważałem nawet, że ktoś dzwonił; a wreszcie, nie stało się nic strasznego; jutro nie będę tak zaabsorbowany. Ale cóż, czy tego obiadu nie dadzą?

Zwracał się gniewnie do służby. Troskliwość, jakiej był przedmiotem, zamiast rozczulać, niecierpliwiła go widocznie. Spostrzegłszy to, obecni rozeszli się po jednemu, rozumiejąc, że nic nie skorzystają dzisiaj z jego obecności. Ignaś jeden pozostał.

Przez czas jakiś January jadł w milczeniu i nie

zważał bynajmniej na towarzysza, który przyglądał mu się z serdeczną troskliwością, usiłując odgadnąć powód zmiany nawyknień i złego humoru, objawiającego się w nim tak widocznie.

Dopiero skończywszy obiad, January raczył podnieść wzrok na Ignasia.

— No! i cóż przez ten czas zaszło nowego?

— Podobno „Hasło“ szukało cię na wszystkie strony.

Uśmiech zadowolenia przebiegł po ustach Januarego.

— Trafiono do mnie—wyrzekł tajemniczo.

— Był Emil z propozycyami Karola?... A ty?

— Ja czekam; niewczesna niecierpliwość może wszystko popsuć. Karol musi przyjąć moje warunki. To rzecz czasu. Sprawa dojrzewa. Na teraz możemy bezpiecznie mówić o czem innem.

— Wszakże marzeniem twojego życia było mieć swój wyłączny organ.

Oczy Januarego zapałały.

— To też, widzisz, dochodzę do celu... dochodzę do celu — szepnął namiętnie. Ja nigdy nie tracę z oczu tego, czego pożądam; ale kto umie chcieć, musi umieć czekać... pamiętaj o tem.

Zamyślił się; jasnê oczy jego błyszczały, jak stal w słońcu.

Ignaś spoglądał na niego z uwielbieniem.

Po chwili January obejrzał się w około.

— Dobrze, że oni sobie poszli — wyrzekł znowu—nudzą mnie. Wiesz co, prowadzimy życie zbyt jednostajne, zbyt szczelnie zamknięte. To wieczne schodzenie się w jedno kółko jednakich ludzi jest wprost marnowaniem czasu. Ewaryst, Emil i Konrad, i znowu Konrad, Emil, Ewaryst, są to indywidualności, które znam na pamięć, Próbowałem nawet wczoraj pójść do innej restauracyi; ale otruli mnie haniebnie i musiałem tu powrócić.

Tym powodem tłumaczyła się w najprostszy sposób niebytność Januarego, w brew wszelkim przyczynom, jakich szukano, jakie sam podawał. Ale to bynajmniej nie zachwiało bezwględnej admiracyi Ignasia; January miał zawsze prawo postępować, jak chciał; wszak on nie działał dla własnej przyjemności lub pożytku, ale dla dobra ogółu, dla przeprowadzenia wielkich planów, wielkich idei, w imię których umiał chcieć i czekać.

To też kiedy January skończył obiad i powstał, z prawdziwą nieśmiałością przypomniał mu rozprawę którą mu przeczytać pragnął. Ale rozprawa Ignasia

zajmowała tak mało Januarego, iż znowu nie mógł sobie przypomnieć, o co mu chodziło.

— Wiesz, ta rozprawa o poezyi,—tłumaczył się biedny chłopiec — jutro zacząłbym ją drukować w „Dzienniku Wieczornym.“

— Ten twój „Dziennik Wieczorny“ wyzyskuje cię bez miłosierdzia — zawołał January, — Poczekaj! niechno ja będę redaktorem, zobaczysz!

— Tymczasem może byś posłuchał?

— Kiedy chcesz koniecznie, to i owszem, posłucham; chodźmy do mnie.

Widocznie przystając na to czytanie, robił wielką łaskę Ignasiowi; świadczyła o tem pogardliwa bruzda, ściągająca na dół końce wązkich warg i znudzony wyraz, jaki osiadł na czole, zanim jeszcze rozpoczęło się czytanie. Myślał wcale o czem innem i miał zupełnie inne zamiary.

Ignaś, znający dobrze zmiany twarzy Januarego, spostrzegł te mało obiecujące symptomaty, bo zapytał:

— Może masz co innego do roboty?

— Ależ nie! powiedziałbym ci to bez ceromonii.

Ignaś miał rękopis w kieszeni. Zaledwie więc przybyli do mieszka Januarego, wydobył go i szukał sobie miejsca.

— Siadaj przed biurkiem — odezwał się gospodarz ustępując mu swego zwykłego fotelu.

Otworzył okno, usiadł przy niem i oparł głowę na ręku w ten sposób, że mógł widzieć wszystko, co się działo w ogrodzie i na werandzie. Dzisiaj tylko róże sztamowe podnosiły strojne głowy, pachniało kapryfolium i akacya, — weranda była pusta. To wprawiło go w najgorszy humor.

Ignaś zaczął czytać.

Zły humor Januarego nie mógł utaić się długo,—musiał spaść na kogoś i naturalnie spadł na nieszczęśliwego autora, poddającego dzieło swoje jego krytyce.

Zaledwie wysłuchawszy wstępu, dał znaki niecierpliwości.

— Zmiłuj się! ależ to bawełna; nic, tylko bawełna! — zawołał January.

— Bawełna!—powtórzył Ignaś, przerażony tem technicznem wyrażeniem, będącem w ustach Januarego ostatniem słowem krytyki.

— Ma się rozumieć, zupełna bawełna. Widzisz, mówię ci, co myślę; ostrzegałem cię przecież, że jestem surowym w podobnych materyach.

— Wiem, January; ty napisałbyś to tysiąc razy lepiej—wyrzekł smutno biedny chłopiec.

— Głupstwo! Nie napisałbym tego wcale, bo naprzód, to nie temat do rozprawy.

W tej chwili drzwi prowadzące na werandę otworzyły się.

— No! czytaj dalej, czytaj—wyrzekł January—zobaczymy.

Ignaś czytał, jednak, przyznać trzeba, werwa jego i pewność siebie upadły od razu. Zapewne rozprawa ta nie miała najmniejszej wartości, skoro on ją podciągnął pod ten wyraz *bawełna*, który w jego języku oznaczał zbiór próżnych frazesów, bez siły i znaczenia; pisał ją przecież z przekonaniem, z zamiłowaniem przedmiotu i był pewnym aż do tej chwili, że utwór jego miał pewną wartość.

Tymczasem, w głębi ogrodu, drzwi otwarły się wprawdzie na werandę, ale wyszły tylko dzieci z piastunką. Czy to z tego powodu, czy też, że rozprawa Ignasia niecierpliwiła go, January plasnął ustami, w sposób świadczący wyraźnie o niezadowoleniu.

— Czy i ten ustęp także wydaje ci się równie słabym?—spytał zniechęcony do reszty autor.

January spojrzał na niego, jakby się budził ze snu.

— Rzeczywiście—mruknął—komunały...No, ale czytaj dalej.

W tej chwili po za piastunką na werandzie

ukazała się Helena. Była ubrana jak do wyjścia— dawała jakieś rozkazy piastunce.

— No czytaj, czytaj!—zawołał nagłe January— w ostatnim ustępie była myśl wcale dobra; przeczytaj ją jeszcze raz.

— Doprawdy? — zawołał Ignaś,— doprawdy ta myśl ci się podoba?

— Teraz idzie lepiej; ale czytaj, czytaj prędko.

Pokazało się w końcu, że cała rozprawa nie znalazła łaski u Januarego. Pojedyńcze ustępy nie były złe w zupełności, całość jednak—całość zostawiała wiele bardzo do życzenia. Zaledwie zdołał jej wysłuchać; to wcale nie było tak, jak napisane być powinno. Był jakiś niespokojny, gorączkowy; zdania i słowa plątały mu się na ustach w ten sposób, że Ignaś nie mógł z nich wyciągnąć jasnego pojęcia, w czem chybił i co mu poprawić należało.

Gdy skończył, January pochwycił za kapelusz.

— Chodźmy się przejść — zawołał—postanowiłem teraz wychodzić.

Ignaś za jego przykładem wziął kapelusz.

— Więc jak sądzisz?—zapytał—czy się ta moja rozprawa zupełnie na nic nie zda?

Teraz dopiero January zwrócił uwagę na jego zafrasowaną twarz.

— No, tego znowu nie powiedziałem—wyrzekł, wymawiając sobie, iż może jego roztargnienie i zły humor miały tak fatalne dla biednego Ignasia następstwa.

Obadwaj zeszli na ulicę; tu Ignaś chciał się pożegnać.

— I dokąd? idziesz?—zapytał January, z despotyzmem człowieka, przywykłego, by wszystko i wszyscy spełniali jego wolę.

— Trzeba zabrać się do innej roboty, skoro ta jest nic warta.

— Zaczekaj-że, nic tak pilnego.

— Obiecałem mojej rádakcyi artykuł na jutro, artykuł być musi,—odparł Ignaś, zdobywając się na tyle odwagi, by stawić czoło wszechwładztwu jego.

— No, no, nie uciekaj; pójdziemy razem, pogadamy o rozprawie, może się z niej da co zrobić. Nie ma nic nieznośniejszego, jak samemu iść na spacer.

Ignaś nie opierał się więcej.

— Jak chcesz— wyrzekł tylko —jeśli tego będzie potrzeba, napiszę w nocy.

January nie zwrócił uwagi na te ostatnie słowa; może obchodziło go to niewiele, czy Ignaś pisać będzie noc całą, może po prostu nie dosłyszał, co mówił, bo szedł naprzód dziwnie ożywiony, patrząc

przed siebie wzrokiem człowieka, który nie jest pewny, gdzie się ma skierować.

— Gdzież pójdziemy?—zapytał Ignasia.

— Ja nie wiem; gdzie chcesz?

— Alboż ja wiem?... gdzie chodzi się zwykle w piękny wieczór letni.

— Oh! idzie się do tylu miejsc.

— No, przecież gdzię się zbierają piękne kobiety... świat... wreszcie modne towarzystwo... chciałbym to raz zobaczyć.

— Gdybyś lubił muzykę, moglibyśmy pójść do Doliny Szwajcarskiej.

— Czyż ja nie lubię muzyki?... kto ci to powiedział, przeciwnie, lubię ją, lubię szalenie. Chodźmy do Szwajcarskiej Doliny.

Skierowali się więc obaj ku alejom.

Nie oni jedni dążyli w tę stronę. Po alejach, jak zwykle o tej godzinie, przesuwało się mnóstwo powozów pełnych kobiet, których letnie stroje przywodziły na myśl kwiaty różnobarwne; tłum pieszych, obwiany kurzem, potrącany i potracający, cisnął się chodnikami, śpiesząc ku zieleni drzew ogrodów zamiejskich. Część powozów i pieszych zatrzymała się w Dolinie.

Letni salon Warszawy był przepełniony dnia

tego; bezchmurne niebo zdawało się sprzyjać zabawie. Harmonijne akordy rozbrzmiewały z orkiestrowej altany, gdy January z Ignasiem stanęli na tarasie i z poza balustrady spojrzeli w dolinę, napełnioną słuchaczami.

Z każdą chwilą tłum się zwiększał, nowe gromadki ludzi szukały sobie dogodnego miejsca. Stoliki wszystkie były zajęte, nawet miejsca bliższe orkiestrze, zajmowane tylko przez znawców i melomanów, nie przedstawiały zwykłej pustki. Koncert dnia tego interesował wyjątkowo.

Młodzi ludzie zmieszali się z tłumem. Bliżej wejścia przy stolikach panował gwar i ruch; tu gromadzili się bezmyślni słuchacze, szukający jedynie rozrywki, ludzie, którzy przyszli tutaj, jak przyszliby w każde inne miejsce, byle widzieć i być widzianymi.

Tu były piękne panie, rozglądające się na wszystkie strony, panny pragnące się pokazać, mężczyźni robiący przegląd kobiet i strojów, ci wreszcie, co do boskiej melodyi Mendelsohna, Webera, Wagnera mieszali chętnie brzęk talerzy i kieliszków.

Bliżej orkiestry była odmienna publiczność: tutaj wkoło altany, w rzędach krzeseł, ustawionych tak blisko, by żadne pianissimo nie uszło słuchaczo-

wi, zbierali się ci, których przywiodło pragnienie muzyki—nie świata; harmonii—nie szczebiotu ludzkiego. Tutaj widać było koleją skupienie uwagi, rozmarzenie, cichy zachwyt, i tę niezmąconą pogodę, jaką rzucają czasem na myśli fale dźwięków, ułożonych potężnym geniuszem mistrza w pieśń ciszy lub miłości. W przerwach koncertu mrowisko ludzkie wrzało ruchem; w całej przestrzeni ogrodu widać było tylko snujące się grupy, spotykające się, witające i rozchodzące ciągle.

— Gdzież usiądziemy?—zapytał Ignaś.

January milczał, i wsparty na ramieniu towarzysza przebiegł Dolinę na wszystkie strony, a bystry wzrok jego wciskał się pomiędzy gromady ludzkie, jakby czegoś szukał. Parę razy okrążył stoliki, usiłując dotrzeć do najbardziej oddalonych, i, jakby niezadowolony z tego, co widział, zwrócił się w inną stronę.

Potem przeszedł się wokoło orkiestrowej altany, badając twarze ku niej zwrócone; aż tutaj wreszcie zatrzymał się nagle, i gdyby Ignaś patrzył na niego w tej chwili, byłby dostrzegł nagłą błyskawicę w jego wzroku, nagłą bladość, świadczącą o doznanem wrażeniu.

Ale Ignaś o tem nie myślał; on upatrywał znajomych, zamieniał ukłony, a wreszcie używał muzyki,

powietrza i pięknego widoku, jak człowiek, który nie codzień spotyka się z niemi.

January upatrywał niezajętego miejsca, wreszcie ujrzał jedno puste krzesło i, rzuciwszy Ignasia, wsunął się pomiędzy słuchaczy.

Zmrok zapadał powoli, gazowe swiatło dopiero zapalano gdzieniegdzie, dla muzyków. W ogrodzie panował cień zupełny. Orkiestra grała cichą, rozmarzoną a namiętną pieśń z „Okrętu-widma“ Wagnera, jednę z tych pieśni, które tak rozkołyszą serce, że wydobędą z niego utajone mysli, zapomniane pragnienia, uczucia niewyznane; jednę z tych pieśni, co cisną tęsknotę do duszy, łzy do oczu, wyznanie na usta.

O kilka kroków od Januarego, kobieta o południowych rysach, o lśniących czarnych warkoczach, siedziała zasłuchana, pochylona naprzód, jakby chwytała uchem dźwięki zaledwie słyszane, wiążące się w tak dziwaczną a cudną melodyę. Zrazu pogodne jej rysy, spojrzenie spokojne, zdradzały tylko wzrastające wzruszenie. Ale pieśń dźwięczała ciągle, targała nerwami i wpijała się w duszę, grała po sercu, i powoli rysy młodej kobiety traciły plastykę wyrazu. Harmonia wstrząsała nią, jak burza, wydobywając na jaw ukryte pierwiastki. Purpurowe usta rozchyliły się, jakby spragnione wrażeń, jakby chło-

nęła w piersi atmosferę burzliwą i nasycić się nią nie mogła. Różowe nozdrza drgały, jak u rasowego rumaka, gdy poczuje wszechwładne tchnienie samumu pustyni, Ciemna obwódka oczu nabiegła krwią; źrenice, zamiast spokojnego blasku, płonęły jak karbunkuły gorącem światłem, skąpane łzami, a pomimo łez gwałtowne, nieugaszone, podobne do greckiego ognia, palącego się pod wodą.

Orkiestra grała ciągle; smyczki przesuwały się po strunach lekko, namiętnie, łaskotliwie; melodya stawała się tak nikłą, jak zaledwie słyszane drżenie powietrza; a jednak wszystkie fibry nerwowe, w ruch wprawione, odpowiadały jej chórem, niby naciągnięte struny, odzywające się same, gdy je potrąci dźwięk pokrewny.

Kobieta słuchała, pierś jej podnosiła się coraz szybszym oddechem. Aż wreszcie zakryła twarz rękami i przez palce zaciśnięte kroplami przeciekały łzy, torując sobie drogę, jak strumień wezbrany.

January spoglądał na to nieruchomy, tylko pochylał się coraz bardziej, jakby te łzy pociągały go magnetycznie, lub jak gdyby ta kobieta nie była dla niego nieznajomą, jakby miał prawo jakie do jej łez, do jej uczuć.

Nigdy jeszcze muzyka żadna nie czyniła na nim podobnego wrażenia. Zarówno jak do niej, Wagner

przemawiał do niego; zdawało mu się, że on czuje to samo, co ona: że jemu także wzbierały na usta wszystkie żądze i pragnienia życia, skarżyły się, że je skazał na milczenie, i domagały sie gwałtem wcielenia. Zdawało mu się, że pierś pęknie pod naciskiem wrażeń.

W tej chwili nie poznawał sam siebie. Nieraz przecież słyszał muzykę, nieraz był pod jej wrażeniem; nigdy jednak wrażenia jego nie były tego rodzaju, nie dochodziły takiej miary, nie formułowały się w tak namiętne pragnienia.

Byłaż to wina usposobienia chwili, potęgi twórczej Wagnera lub też zewnętrznych okoliczności?

Dlaczego ta pieśń o dawnych czasach z „Okrętu widma", zdawała mu się pieśnią własnego ducha? dlaczego dźwięki były tak zrozumiałe dla niego, jak wyrazy? wpływały mu wprost do serca i podniecały w nim gwałtowne bicie? A nadewszystko, dlaczego budziły w tej kobiecie też same wrażenia?

Czy uczucia te były uczuciami wszystkich? Analityczny zmysł, nie opuszczający go nigdy, kazał mu spojrzeć po innych twarzach i spotkał na nich najsprzeczniejsze wyrazy. Na jednych widać było znudzenie lub zajęcie się zupełnie czem innem; na drugich—uwagę, niesmak nawet, jak gdyby słuchając dźwięków, nie mogli pojąć ich znaczenia. A jednak

znaczenie to było tak jasne dla niego—i dla tej kobiety, iż kiedy pod światłem nagle zapalonego gazu spotkały się ich oczy, zrozumieli się wzajem.

Była to chwila przelotna a niezapomniana. Orkiestra umilkła wśród zciszającego się pianissima, które skonało dźwiękiem zaledwie pochwytnym, rozpłynęło się w ciszy i w mgle wieczoru, jak głos ukochany, kiedy pomiędzy nim staje przestrzeń — oddalenie—czas, kiedy dźwięczy on tylko w głębi pamięci. Przez moment jeszcze te żałosne echa drgały, przeniesione ze strun słuchowych do strun serca;—słuchało ich się, chociaż trwać przestały.

Wówczas to January i Helena spojrzeli na siebie, a spojrzenia ich, goniące jednako to, co nie istniało, spotkały się i odbiły spotęgowane wrażenie, odnalezione w drugich źrenicach, w drugiej myśli, w drugiem sercu. To wspólne wrażenie spokrewniło ich sobie, jakby wyczytali wzajem i wypowiedzieli sobie wszystkie marzenia, jakie kiedykolwiek wzruszyły ich piersią, wszystkie gwałtowne pragnienia, drzemiące, zgłuszone w głębi serc. Była to chwila krótka; przecież niepowrotna. Ani on, ani ona, nie zdali sobie sprawy z jej trwania a kiedy odezwały się skoczne tony jakiegoś tańca i rozerwały niemiłosiernie przędzę marzeń, snującą się pomiędzy nimi,

oczy ich rozbiegły się nagle, jakby przysłonił je obcy przedmiot.

Helena powstała z krzesła. Chciała odejść; ta muzyka wesoła i skoczna, sprawiała jej nieokreśloną przykrość.

Zatrzymał ją obok siedzący pan Tytus.

— Jakto?—zapytał dobrodusznie — chcesz już odejść. Poczekaj trochę, jeszcze wcześnie.

Polka, grana teraz, daleko więcej zajmowała go od Wagnera; była to muzyka, zastosowana do jego inteligencyi i duchowej skali—muzyka takiej miary, jak on sam.

To też uśmiechał się, słuchając jej z upodobaniem i wybijał łatwy do pochwycenia takt, przechylając rytmicznie głowę. Helena pozostała z niechęcią; szukała oczyma, z kimby przynajmniej oddalić się mogła od jej hucznych dźwięków. Ujrzała Oktawię, siedzącą niedaleko wraz z całem towarzystwem, w którem był Emil; podeszła do niej i pociągnęła ją z sobą w głąb ogrodu. Może chciała ujść przed drażniącemi dźwiękami polki, a może przed potęgą tego spojrzenia, które znów spoczywało na niej badawcze i palące.

— A! szukam cię, January! — zawołał Ignaś, zbliżając się do towarzysza.

January milczał, tylko zwolna przesunął ręką po czole, jakby porządkując myśli.

Helena z Oktawią odeszły, widział zdaleka te dwa kształty niewieście, snujące się pod światłem gazu.

— January!—powtórzył Ignaś, zdziwiony jego milczeniem—chodź, przejdziemy się trochę.

Ale January nie chciał ztąd odejść. Ignaś musiał go zostawić w spokoju, coraz mniej pojmując zmianę nawyknień, fantazye, nagłe milczenia i nagłe wybuchy przyjaciela, zadziwiającego go dziś na każdym kroku

Byłby stokroć więcej zdziwiony, gdyby mógł widzieć go po powrocie do domu.

Skoro January znalazł się u siebie, rzucił się na zwykłe miejsce przy oknie. Noc była parna i gorąca, zduszone powietrze przesycone było woniami kwiatów. Chwilami zrywał się wiatr burzliwy, gorący, zadął gwałtownie, skręcił wierzchołki drzew i opadał—nagle, jakby nabierając siły do tchnień coraz gwałtowniejszych. Po niebie, czystem zrazu, pokazywały się coraz gęstsze gromady chmur czarnych, i nakształt stada dzikich koni przebiegały horyzont, rozdzielając się i plącząc na przemian w dziwaczne kształty, zbijając się w masy lub rozpierzchając daleko, przysłaniając chwilami księżyc w pełni, którego

światło bardziej złowrogiemi czyniło ciemności, i zdawało się drżeć w przestrzeni, obrębiając srebrem czarne łona obłoków.

Noc to była fantastyczna i niespokojna, miesięczna i ponura naprzemian, noc burzliwa, namiętna, harmonizująca z gwałtownemi biciami jego serca, z myślami, które zrywały się w mózgu niepohamowane. Liście akacyi drżały pod jego oknem; kwiat zwiędły, zwilżony rosą, wpadał mu do pokoju i słał się po ziemi, pędzony wiatrem.

Kontury drzew ogrodu, werandy, chwilami znów zapadały w ciemności, i wówczas ogród zdawał się jak czarna otchłań.

W otchłani tej jednak błyszczało przyćmione światło w jednem oknie, otwartem na werandę. January wychylał się ku temu światłu, jakby pragnął zmniejszyć oddalającą go odległość, przebić wzrokiem ciemności i dostrzedz w głębi salonu kobietę; którą miał ciągle przed oczyma.

On znał tę kobietę od trzech dni, śledził jej życie, słyszał dźwięk głosu, słyszał nawet to, co mówiła. I ta jasna, pogodna postać, tak różna od kobiet, jakie znał i wyobrażał sobie, zapanowała w myśli jego samowładnie. Teraz widział ją przed oczyma wyobraźni, z piersią wzdętą, podnoszącą się szybkim oddechem, z nozdrzami drgającemi, z rozchylonemi

usty, z wzrokiem płomiennym, taką, jaką ukazała mu się przetworzona cała pod wpływem tej czarodziejskiej muzyki, co zdawała się śpiewać głośno pieśń, zaklętą w niektórych piersiach ludzkich.

Nagle doleciały go dźwięki ciche, niepewne, stłumione. Zatrzymał oddech na ustach. Ktoś grał na fortepianie pieśń o dawnych czasach z „Okrętu widma“.

Widocznie ktoś wygrywał ją z pamięci, bo nieraz melodya urywała się, błąkała—trzeba było powtarzać ją, i z fragmentów wspomnień odtwarzać całość pierwotną. Ale pamięć wykonawcy była wierną; żaden ton nie chybił i wkrótce z pod palców jego pieśń Wagnera zadźwięczała w całości.

Wzruszenie ogarnęło znowu Januarego, spotęgowane jeszcze powtórzeniem tych samych wrażeń.

Była to rzeczywiście pieśń o dawnych czasach; wypowiadała to wszystko, czego kiedykolwiek pożądał, wypowiadała tak wyraźnie, jakby tego słowa nawet uczynić nie potrafiły. Zdawało mu się, że te wszystkie dźwięki łączyły się w jeden akord wszechwładny, wszechpotężny, i że akord ten grzmiał w głębi jego jestestwa słowem życia, którego nie miał dotąd na ustach. Zdawało mu się, że słowo to powtarzała natura, rozkwitła barwami, rozmarzona wonią; że szeptały ją róże, pochylone na kolczastych łodygach, śnieg białych płatków, spadający z akacyi, go-

rące podmuchy burzliwego wiatru, i promienie księżyca, przebijające łon chmur czarnych. Zdawało mu się, że słowo to dźwięczało w nim i w koło niego, i płynęło falą harmonii z drugiego serca, które biło unižono z jego sercem i szeptało razem z niem każdem, przyśpieszonem tętnem: kochać... kochać... kochać. Tak on wiedział, z pod czyich rąk płynęły te namiętne dźwięki, i brała go szalona chęć odpowiedzieć jakimbądź sposobem, dać poznać: że był tak blizko; że on tak samo, jak ona, powtarzał i rozumiał, że to on stał naprzeciwko niej tego wieczoru, że to ich spojrzenia zbiegłv się zwilżone łzami, opromienione zachwytem, ogarnione wzruszeniem nieprzepartem; że przez tę jedną chwilę zrozumieli się wzajemnie, zajrzeli wzajemnie do najtajniejszej głębi uczuć swoich, i że uczucia te były jednolite.

Ale tego on nie miał żadnego sposobu jej powiedzieć; skazany na milczenie, skazany na to, by nawet obecność jego tutaj była tajemnicą, śledził płomiennym wzrokiem drżące światło w jej salonie. Rodziły się w nim szalone pragnienia. Dlaczego nie miał prawa stanąć przed tą kobietą i powiedzieć jej tego co czuł? dlaczego świat istniał pomiędzy nimi?

January lekceważył zawsze przyjęte formy, jako dobrowolne więzy, pętające indywidualności. Natura jego, swobodna i rzutna, wszędzie i zawsze odtrącała jaki bądź przymus. Próbował żyć według

własnej fantazyi i wytworzyć formy, swojej fantazyi właściwe.

Teraz pierwszy raz może przyszło mu na myśl, że jeśli w pewnych razach uwalniało go to od drobnych przykrości, odosobnienie miało także swoje złe strony, stawiało pomiędzy nim a resztą świata zapory, które przekroczyć mu było trudno, nawet gdy tego pragnął, na przykład teraz, kiedy przyszła mu fantazya zbliżyć się do tej kobiety. Fantazya ta snuła mu się po głowie od chwili, gdy był świadkiem rozmowy między Heleną i Oktawią; a teraz stawała się gwałtowną i niepohamowaną. Była to rzecz bardzo łatwa wszakże widział na jej werandzie Karola i Emila, wszakże Emil dziś jeszcze przechadzał się z Oktawią po Dolinie, a nazwisko, które nosił, pod którem się wsławił, otwierało przed nim drzwi wszystkie.

Jednak, ażeby to czynić, trzeba było zerwać z przywyknieniami i doktrynami swemi, wytworzyć sobie inne i zwrócić tym sposobem uwagę na czyny, wychodzące po za normę przyjętą.

Nie pytał o to, co dalej będzie lub być może; on chciał tylko zajrzeć w te oczy, tak spokojne i łagodne z pozoru, i dopatrzć w nich znów owych namiętnych błyskawic, wydobytych z głębi jej istności potęgą harmonii.

Weranda ta i salon były tak blizko. Okno jego było na pierwszem piętrze; pod niem wspinał się na

drewnianych szczeblach winograd i kapryfolium, rosła akacya, pochylając ku niemu gałęzie; trzeba było trochę zręczności, ażeby dostać się do ogrodu, do werandy i do tego salonu, co nęcił go spokojnym blaskiem wśród nocy burzliwej. January był śmiały i zręczny; cóżby się stało, gdyby, idąc za popędem fantazyi, spuścił się do ogrodu?...

Być może, iż nawet przyszła mu myśl złożenia pierwszej wizyty w ten arcy pierwotny sposób.

Ale jakkolwiek człowiek wyłamywałby się z pod form światowych, musi pozostawać zawsze ich niewolnikiem, jeśli nie przez to, co robi, to przez to, czego zrobić nie podobna. Może po raz pierwszy zrozumiał to January. Praktyka stanęła naprzeciw teoryi jego i pokazała mu tak dowodnie ich nicość w tej drobnej z pozoru rzeczy, iż nie próbował poddać jej doświadczeniu. Doświadczenie okazałoby się z pewnością dla niego fatalnem.

Fakt ten powinien był dać mu do myślenia, poddać równej analizie inne konieczności społecznego życia, nad któremi nie zastanawiał się dotąd.

V.

— Wszystko to jest szaleństwo!—pomyślał na drugi dzień rano January, gdy odsunąwszy wysiłkiem woli gorączkowe marzenia nocy, i wytrzeźwiony niejako białem światłem poranku, idąc za potęgą przyzwyczajenia, usiadł przed biurkiem.

Nie miał jednak czasu rozpocząć żadnej pracy, bo stąpanie rozległo się na wschodach, kroki zatrzymały się przy drzwiach jego, ktoś zadzwonił i razem odezwały się słowa.

— To ja przychodzę z ważnym interesem.

Głos był dobrze znany Januaremu, głos redaktora „Hasła“. Spodziewał się tych odwiedzin i poszedł otworzyć bez wahania.

— Czy mam powtórzyć przypowieść o górze i o Mahomecie—rzekł po pierwszem przywitaniu Karol, śmiejąc się trochę z przymusem.

— Ha!—odparł zagadniony—potrzebujesz mnie, ja potrzebuję ciebie, lub potrzebujemy się wzajemnie, przyszedłeś rozstrzygnąć tę kwestyę? nieprawdaż!

Stawiał ją jasno swoim zwyczajem, tak, bez omówień żadnych, iż Karol, pomimo, że go znał od dawna, zawahał się w odpowiedzi.

Ci dwaj ludzie stanowili kontrast zupełny. January konsekwentny, namiętny, nieugięty; Karol chłodny, rozważny, skory do ustępstw.

— A więc tak jest—wyrzekł po chwili, siadając przy biurku i uśmiechając się przyjaźnie.

Czekał dalszych słów Januarego, chcąc do nich stosować swoje propozye; ale January milczał,—poprzestał na scharakteryzowaniu położenia i przybrał także postawę oczekującą.

— Wiesz zapewne—mówił uprzejmie Karol— iż pragnąłbym, abyś wszedł stale do naszej redakcyi; twoja nauka, talent...

— Jednem słowem: potrzebujesz mnie...

— Za pozwoleniem! potrzeba jest zabopólną; ty znów potrzebujesz organu...

— Mam koncesyę na założenie go na własną rękę.

Karol przygryzł wargi pod wąsikiem starannie wymuskanym.

— Cóż znaczy koncesya? tu trzeba kapitału, a o kapitał na podobnie ryzykowne przedsięwzięcie trudno. Masz majątek, wiem o tem; ale nie masz go w gotowiźnie pod ręką. Zresztą, jest tu cała materyalna część przedsiębiorstwa, tak zwane gospodarstwo pisma, rzecz nudna i drobiazgowa, do której, daruj mi, nie jesteś bynajmniej stworzony. A przytem dwa organa podobnych tendencyi utrzymać się nie są w stanie.

— Nie przeczę temu; są trudności, ale ja się ich nie lękam i pójdę na przebój skoro tak postanowię.

— A od czegoż zależy to postanowienie?

— Od tego, czy przyjmiesz lub nie, moje warunki współpracownictwa.

Dotąd zdawało się Karolowi, że to on przynosił warunki, teraz przekonał się, że one mu będą podyktowane.—W położeniu jednak, w jakiem się znajdował, nie uważał za stosowną sprzeczkę o słowa.

— Ha.—szepnął, usiłując ocalić jeszcze cośkolwiek—nie będę ukrywał przed tobą, że „Hasło“ nie stoi tak świetnie, jak się tego można było spodziewać; przecież współpracownikom swoim zapewnia warunki materyalne, lepsze od innych pism.

January skinął ręką niedbale; osobisty majątek,

jaki posiadał, chociaż szczupły, starczył zupełnie na jego skromne potrzeby; ubóstwo jego było dobrowolna, twardość nawyknień nie pochodziła z konieczności. Szczycił się tem, że nie był zmuszony pracować, że mógł oddawać się studyom poważnym i wytknąć sobie kierunek, nie troszcząc się zbytecznie o powodzenie niezbędne dla tych tylko, dla których powodzenie jest kwestyą chleba powszedniego.

Okoliczności te wpłynęły zapewne na niepodległość charakteru, na absolutyzm doktryn jego. Dotąd nic nie zmusiło go do żadnego kompromisu z zasadami, do ustępstw, którym poddać się muszą ci, co pracowicie torują sobie drogę i zdobywają położenie.

January nosił głowę wysoko, jak ten, co niepotrzebował nigdy pochylić jej wbrew woli, i patrzał wprost w oczy bliźniego z dumą tych, co nie tylko nie upadli nigdy, ale nawet nie rozumieją upadku.

— Wiesz, że mi o to najmniej chodzi—odparł.

— Tak, tak, ponad materyalne zyski stawiasz zasady, ale pod tym względem, zdaje mi się, że jesteśmy sobie blizcy.

Jasne oczy Januarego zabłysnęły.

— Mylisz się—wyrzekł krótko—albo też znasz mnie mało; nie solidaryzuję się bynajmniej z waszem

bladem, oględnem, słabem i, doprawdy, niedołężnem „Hasłem“.

Karol poczerwieniał. „Hasło“, była to jego słaba strona; każdą naganę swego dziennika brał za osobistą obrazę.

— Jednakże—zawołał, hamując się z trudnością—sądzę, iż pojmujesz doskonale, że stosować się należy do społeczeństwa, wśród którego żyjemy, do warunków chwili.

— Jest to argument półwiar, półprzekonań, wiekuista polityka półśrodków, która do niczego nie prowadzi.

— Wiesz, że w gruncie... — zaczął znów Karol.

— Tu nie chodzi o sam grunt, lecz i o pozór także—przerwał January. — Dość mamy tych prawd, kryjących się wstydliwie pod maskę fałszu, dość tych sił, marnujących się w bezczynności, dość niedołęztwa, schlebiającego duchowej apatyi. Nadewszystko zaś, dość tych podwójnych miar i wag, któremi posługujemy się wszyscy. Jeśli ludzie skrajnych przekonań nie wypowiedzą ich nigdy, będzie to tak zupełnie, jakby nie istnieli. W takim razie złóżmy pióro, zamknijmy „Hasło“, ono się na nic nie przyda.

— Mylisz się; szorstkiem wystąpieniem tylko zrazić i odepchnąć można.

— Prawda nie potrzebuje mizdrzyć się, jak zalotnica.

— Prawda jest to abstrakcya; nie chodzi o nią, ale o ludzi, których chcemy oświecić, nawrócić ku niej, o ludzi, których kochamy, o społeczeństwo, któremu chcemy przecież być użyteczni. Czynami naszemi rządzić powinna miłość, a miłość jest pokorną i cichą.

— Pokorną i cichą?—powtórzył szyderczo—oto wasze wielkie słowo. Tutaj ukazuje się rozdźwięk: ja nie pojmuję, ani pokory, ani ciszy, ani takiej miłości. To dobre dla dzieci, dla kobiet, dla wszelkiego rodzaju niedorostków umysłowych. Ja wierzę, iż prawidłowy rozkwit indywidualności osięgnąć tylko można w swobodnym rozwoju wszystkich władz, wszystkich uczuć, a tych nie rozwinie cisza i pokora, odwieczni sprzymierzeńcy rutyny.

Karol wstrząsnął głową.

— Słowa twoje są świetne — wyrzekł — ale w praktyce... pomysl, że w dzisiejszym czasie żadne słowo marnie nie ulata z wiatrem; cóżby się stało, gdyby one weszły w praktykę?

— Nie rozdzielam nigdy słów i czynów—odparł dumnie — nie mam zwyczaju zastanawiać się nad mniej lub więcej utylitarnem znaczeniem prawdy, nie przykrawam jej z góry do pewnych kursujących

doktryn. Skoro uznaję fakt, nie troszczę się o jego wyniki, jak matematyk, szeregując cyfry, nie troszczy się, jaki będzie ostateczny wypadek zadania, które rozwiązuje. Innczej, ziemia do tej pory stałaby w miejscu, a słońce kręciłoby się koło niej.

— Takie było to od wieków hasło wszystkich doktrynerów; niech przepada świat, byle utrzymała się zasada. A czyż oni kiedy zbudowali co trwałego? My chcemy budować! January, pamiętaj o tem.

— W budynku społecznym nic bez burzenia budować nie można, stoimy wobec gmachów, chylących się do upadku.

— Więc tem ostrożniej obchodzić się z niemi należy, ażeby nie zawaliły się nam na głowę. Nie można lekceważyć warunków czasu i okoliczności, jeśli chcemy, by praca nasza nie poszła na marne.

— Na marne idą zawsze połowiczne usiłowania. Ludzie bezwzględnych zasad są ludźmi przyszłości, świat zawsze szedł naprzód za sprawą ich usiłowań. Jest to moje przekonanie, od którego nie odstąpię ani w piśmie, ani w czynie.

— Czy to ma być twoje ostatnie słowo względnie do „Hasła"z

— Znasz mnie, wiesz, że przekonań nie zmieniam.

— Ależ ja tego nie żądam, January; ja chciałbym tylko trochę oględności, trochę liczenia się z czynnikami, jakie nas otaczają. Jeśli ich nie zechcesz nigdy wziąć w rachubę, przygotuj się na to, że wywołasz następstwa, o których ci się nie śniło; że staniesz się sprawcą nieszczęść; że na każdym kroku twoje myśli i czyny obrócą się przeciwko tobie.

Karol mówił to z gorącem przekonaniem; nieudolny publicysta zniknął w nim wobec człowieka, pragnącego dobra ogółu, wyszukującego argumentów na przekonanie tego talentu, który mógł stać się zarówno pożytecznym, jak szkodliwym.

Ale Januarego, podobno nikt dotąd nie przekonał nigdy.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Musi ci już piekielnie brakować argumentów, skoro uciekasz się do tych groźb nieokreślonych... czy myślisz, że ich się ulęknę, i schylę głowę przed jakiemkolwiek bożyszczem konieczności? Stać mnie przynajmniej na odwagę moich przekonań i cokolwiek mnie spotkać może, potrafię dźwigać odpowiedzialność za czyny, bez trwogi i nikczemności.

— Jesteś odważny i dumny; nie wątpiłem o tem nigdy. Tylko tu nie chodzi o ciebie jednego.

— Nie można żądać od człowieka, by uczynił

więcej dla drugich, niż dla samego siebie, lub rządził się względem nich odmiennemi prawami.

Miał słuszność w tych ostatnich słowach. Karol zrozumiał to, i przez długi czas milczał. Wreszcie próbował zwrócić kwestyę na praktyczną drogę.

— Powiedz mi jednak—wyrzekł znowu — jakie postąwiłbyś mi warunki współpracownictwa?

— Nieograniczoną swobodę wypowiadania moich przekonań—odparł bez namysłu—i kierunek główny pisma, tak, by ono stało się przedewszystkiem moim organem.

— A cóż mnieby się zostało?

— Dwóch głów i dwóch kierunków być nie może.

Miał znowu słuszność, tylko to uniemożebniało wszelkie układy.

— Ha!—wyrzekł Karol — chciałem się z tobą porozumieć; uczyniłbym wiele ustępstw; artykuły podpisane przez ciebie, nie przechodziłyby przez sesyę, drukowałyby się natychmiast bez zmian żadnych.

— I cóż ztąd, skoro spotkałyby się z innemi, któreby im zaprzeczały; skoro nie miałbym prawa wyrzucić tego, coby się mnie nie podobało. Dzien-

nik powinien być jednolity. „Hasło“ nie może służyć, ani dwom panom, ani dwom ideom.

— I zamierzasz utworzyć własne pismo?

— Tak jest! staniemy naprzeciwko siebie z piórem w ręku i będziemy walczyć na zabój... Ostrzegam cię!

— Wiem, że jesteś strasznym przeciwnikiem, ale nie zostawiasz mi wyboru.

— Przeciwnie! Moje warunki są następujące: Będę miał główne kierownictwo pisma, ale pozostawię twoich współpracowników na miejscu, i wzajem twoje artykuły przyjmować mogę bez kontroli, byle były opatrzone podpisem. Jak widzisz, ja także robię wszystkie możliwe ustępstwa.

Karol namyślał się chwilę.

— Nie, to być nie może!—wyrzekł wreszcie stanowczo. — Ja nie mogę pozwolić, by mój dziennik obrócił się przeciwko idei, której służę.

— Ha! w takim razie układy zerwane i możemy bez metafory postawić między siebie kwestyę wszechludzką, według pesymisty Carlyle'a: czy możesz zabić mój dziennik, lub też, czy mój dziennik zabije „Hasło“?

I po tych słowach, w których mieściło się więcej jeszcze prawdy, niż w zwykłych żartach ludzkich, rozeszli się, zamieniwszy zaledwie pożegnanie.

Dotąd myśl założenia dziennika leżała u Januarego w dziedzinie abstrakcyi; teraz, przekonawszy się, że układy, jakie zamierzał przeprowadzić z „Hasłem“, do skutku dojść nie mogły, nie łudząc się więcej pod tym względem, postanowił działać na własną rękę i działać szybko i stanowczo.

January był tylko wówczas marzycielem, gdy nie raczył wstępować w szranki rzeczywistości. Ale gdy w nie wstąpił, umiał przenieść w dziedzinę czynów konsekwentność i logikę, jaką rozwijał w rozumowaniu. Widział cel swój jasno i dążył do niego najkrótszą drogą. W sferze życiowej, jak i w sferze myśli, miał absolutyzm i bezwzględność, cechujące ludzi stronnictw, zarówno, jak ludzi czynu.

Pod wrażeniem rozmowy z Karolem, zaczął snuć dziennikarskie plany, układał listę współpracowników, robił rozmaite obrachowania. Wszystko to miało jednak jakąś gwałtowną, niemal gorączkową cechę, jakby chciał dać nowy kierunek myśli, wymykającej się chwilami jego woli.

Pomiędzy współpracownikami „Hasła“ było kilku takich, którzyby z pewnością przeszli do niego; jednym z takich był Emil, fejletonista, — ten ze swoją łatwością pióra, mógł być pożytecznym Januaremu, jak pozytywka, co nakręcana przez niego, wygrywałaby najrozmaitsze arye.

Zresztą, od wczoraj January miał ciągle Emila na myśli, może dlatego, że go widział wieczorem w Dolinie, i nie czekając, aż go spotka przy obiedzie, udał się do jego mieszkania, tembardziej, że miał mówić z nim o rzeczach poufniejszych.

Fejletonista rzadko bardzo odbierał wizyty w swojem mieszkaniu i mieszkanie to nie było urządzone w sposób, mogący zaspokoić wymagania towarzyskiego życia, chociażby zredukowane do minimum. W porównaniu z izdebką, zajmowaną przez Emila, na jednej z mniej uczęszczanych ulic Warszawy, mieszkanie Januarego wyglądało, jak wspaniały apartament.

Wprawdzie miejsca nie brakowało tu wcale, ale za to wszystkie meble ograniczały się do łóżka, jedynego stolika i krzesła, które to sprzęty, służyły koleją za umywalnię, tualetę, stół jadalny, biurko i honorowe miejsce.

Nie było tu wcale owego bogactwa ksiąg, ani nawet uszanowania koniecznych potrzeb pracownika, jak u Januarego. Co najwięcej, kilka świeżych broszur, leżących po kątach, i arkusze zapisanego papieru świadczyły o zajęciach pana domu.

Skarbów, mogących znęcić złodzieja, było tu niewiele; pomimo to, drzwi Emila były szczelnie zamknięte, i żaden dzwonek nie ułatwiał komunikacyi

z wnętrzem mieszkania. Trzeba było stukać lub poruszać klamką.

Tak też uczynił January, ale zrazu usiłowania jego nie odnosiły żadnego skutku. Mieszkanie nie dawało innego znaku życia, prócz jakiegoś niezrozumiałego mruczenia, które można było bezpiecznie wziąć za chrapanie, gdyby nie południowa godzina.

Gdy jednak stukanie ponawiało się w sposób świadczący, iż oblegający nie myślał odstępować od swoich zamiarów, forteca, alias mieszkanie, zdecydowało się rozpocząć kroki obronne.

— Któż tam znów u dyabła!—odezwał się głos, którego niezbyt czyste brzmienie zdradzało jeszcze panowanie Morfeusza.

Mimo najlepszych chęci, nie można było wziąć tych słów za rozpoczęcie parlamentarnych układów. To też January z podwojoną energią dobijać się zaczął.

— Mówię ci, durniu, nie przeszkadzaj mi!—odezwał się głos zwewnątrz.

January, niezrażony tą apostrofą, kołatał.

— Cichoż bądź, u kroć sto tysięcy dyabłów! — klął głos.

Ale ponieważ, pomimo tak głośne napomnienie, kołatanie nie ustawało, dało się słyszeć poruszenie

ciała, przechodzącego z położenia horyzontalnego do pionowego i jakieś niewyraźne mruczenie.

— Cóż to, czyś tak zapracowany? — spytał January.

Emil bynajmniej nie poznał swego gościa, bo odparł:

— Dyabła tam można pracować! zawsze licho kogo przyniesie.

— Zawsze przyjemny.

— No! któż tam?

— Nie myślę pode drzwiami odbywać kwarantanny; odchodzę.

— No, no, poczekajże, poczekaj!

Tym razem słychać było kroki, posuwające się ku drzwiom, wreszcie klucz obrócił się w zamku, klamka skrzypnęła i rozczochrana głowa Emila ukazała się na progu.

Widząc gościa swego, nie dowierzał oczom.

— To ty, January?—zawołał, ustępując, by mu zrobić miejsce.

— A cóżeś ty myślał?

— Myślałem, że chłopiec z drukarni, albo krawiec, albo praczka; ale, na honor, nie przyszło mi na myśl, żebyś to był ty.

— No! siadaj-że, siadaj—powtarzał coraz bar-

dziej zdziwiony, usiłując przywrócić jaki taki porządek w mieszkaniu; a wreszcie, widząc, że to mozół daremny, zrzucił z krzesła wszystko, co na niem leżało, i podał je tryumfująco gościowi swemu.

— Cóżeś ty robił — spytał January — żeś się zamknął tak szczelnie?

Wesołe oczy Emila zatoczyły się wkoło z wyrazem niepokoju; widocznie, nie chciał się przyznać, jakiego-to rodzaju było zatrudnienie, czyniące go głuchym na tylokrotne stukanie.

— Pracowałem, pracowałem—powtórzył pośpiesznie, i jakby nie chcąc pozostawić żadnej wątpliwości pod tym względem, poprawiał jednocześnie zbyt widoczny nieład swego ubrania.

— Pracowałeś nad czem? pracowałeś gdzie? — zapytał ciekawie January, oglądając się wokoło. Bo jak na złość, nie było nigdzie nawet zaczętego arkusza, któryby zdradzał twórczą myśl Emila; — przyznaj się raczej, że spałeś w najlepsze.

— Ależ nie, nie!... to jest... pisałem dość późno w noc i zdrzemnąłem się teraz trochę.

— Powtarzam ci: spałeś, spałeś; znać to doskonale; a co do wczorajszej pracy...

— Doprawdy, pracowałem; nie wiem, zkąd jesteś taki podejrzliwy.

Miał na prawdę minę zafrasowaną; wstydził się Januarego, którego surowe zasady i niezmordowana czynność znane były powszechnie.

— Nie udawaj! widziano cię wczoraj w Szwajcarskiej Dolinie.

— Bywam tam przecież, jako fejletonista z obowiązku.

— Z obowiązku także zapewne towarzyszysz pewnej pięknej pani.

Emil przetarł oczy, jakby chciał samego siebie przekonać, że nie śpi. Potem spojrzał znowu na Januarego. Odwiedziny jego, pytania jakie zadawał, wreszcie sam wyraz twarzy złagodzony, zbudziły w nim podejrzenie zmiany jakiejś.

Usiadł na łóżku i zaczął się śmiać.

— Odkądże to ciebie piękne panie zajmują?

Pytanie było wyraźne, ale spojrzenie i śmiech wyraźniejsze jeszcze.

January zmarszczył brwi; nie lubił, żeby go badano, nie pozwalał na to zwyczajnie.

Nie zdobył się jednak na zaprzeczenie, któreby przecięło od razu wątek podejrzeń.

Zmienił rozmowę.

— Widziałem się dzisiaj z Karolem — wyrzekł.

— I cóż?—zawołał zaciekawiony fejletonista — porozumieliście się?

— Nie! zakładam własne pismo. Przyszedłem o tem pomówić z tobą.

Tego rodzaju rozmowy nie były w obyczaju Januarego. Działał on zwykle, nikogo się nie radząc.

Uderzyło to Emila, który miał swoją przenikliwość.

— Ze mną?... jestem na twoje rozkazy! tylko znasz mnie... byłbym ci lepszym przewodnikiem w serdecznych, niż dziennikarskich sprawach. W tych dasz sobie radę bezemnie. Co innego, gdyby chodziło o poznanie jakiej pięknej pani.

— Zawsze żartujesz—zawołał January, rad jednak z obrotu, jaki brała rozmowa.

— Gdzież tu widzisz żarty! Widziałeś mnie w Szwajcarskiej Dolinie, i ja ciebie. Patrzyłeś, jak w tęczę, w jedną piękną brunetkę. Teraz jestem pewny swego i obowiązuję się solennie pomagać ci we wszystkiem. Kto wie, czy nie po to nawet przyszedłeś tutaj i dobijałeś się tak zawzięcie. No, mów, czego żądasz?

January milczał.

— Nie mam ci nic do powiedzenia — odparł po chwili, odzyskując powoli dawny chłodny ton—robisz

przypuszczenia, które czynią daleko więcej zaszczytu twojej wyobraźni, niż znajomości ludzi, to pewno.

— Jakto! jakto?—zawołał strapiony Emil, patrząc mu w oczy z niedowierzaniem—więc ja się omyliłem? Na nic ci się nie przydam?

— Owszem! przydasz mi się, raz, jako fejletonista do mego dziennika, a powtóre, potrzebuję poznać trochę szersze koło społeczne, niż dotąd; możesz mi być przewodnikiem.

Emil popatrzał przez chwilę badawczo na Januarego, jakby pytając: „Czyżbym się omylił?“ Potem machnął ręką.

— Kto tam ciebie obrachuje!—zawołał z wszelkiemi oznakami złego humoru.

— Nie potrzebujesz bynajmniej mnie obrachowywać—odparł z chłodną dumą zagadniony.

— Ha! więc ty chcesz poznać tę cząstkę społeczeństwa, którego nie znasz?

— Czy cię to dziwi?

— Z twojej strony nie dziwiłoby mnie nic... nawet... Ale nie chcesz, bym o tem mówił. Chcesz poznać pewną cząstkę społeczeństwa... Jużcić nie chodzi ci o świat książkowy—przewertowałeś go cały tak, że największa biblioteka niczem jest wobec twego mózgu; ani o świat studentów, burszów, mo-

lów, hołyszów — bo, z przeproszeniem nas wszystkich, jesteśmy w nim po uszy; ani o świat uczonych — masz przecież wstęp do niego, gabinety mędrców otwierają się przed tobą, korespondujesz z niejedną potęgą inteligencyi. Chodzi ci więc o ten świat, który sam siebie nazywa światem poprostu, nie uznając wobec siebie żadnego innego, czyli o świat *par excellence*. Czy nie tak?

— Być może.

— Otóż ten świat, January, nie jest dla ciebie stworzony, ani ty do niego. Ten świat jest wyłączny, określony, pełen formuł, nieubłagany w ich spełnianiu; daruje ci niewiadomość najelementarniejszych rzeczy, lecz nie daruje źle zawiązanego krawata. Należy się do niego lub nie należy — środka nie ma.

— Ja przecież o tym swiecie nie mówię.

— A o jakimże? Czy sądzisz, że są w nim stopniowania jakie? Każde większe miasto ma tyle światów, ile ma ulic i pięter, a żaden z tych światów nie chce być gorszym od innych, więc wszystkie mają jednaką sumę wymagań, odmiennych może trochę na pozór, ale w gruncie jednoznacznych. Tutaj, mój biedny January, służyć ci nie może, ani twój szeroki umysł, ani głęboka wiedza, ani geniusz. Rzućno, proszę, wszechstronne światło na plotkę towarzyską, niewartą w gruncie szczypty popiołu; cała mądrość

starożytności nie pomoże ci do ocenienia kroju sukni lub kapelusza; geniusz nie będzie ci służył za przewodnika w rozmowie, w której za grosz nie ma sensu; a samodzielność... samodzielność uchodzi tylko półgłówkom.

— Emilu! nie piszesz fejletonu, a ja nie jestem publicznością.

— Gdyby publicznosć podobną była do ciebie, dawnobym juz umarł z głodu; niepotrzebnie mi to przypominasz, wiem o tem dobrze. Otóż widzisz, świat a publiczność, są to dwie manifestacye jednej siły, lub, jeśli chcesz, dwa stany jednego ciała.

— Zapewne tą siłą lub tem ciałem będzie głupstwo.

— Jak chcesz, o słowo spierać się nie myślę; a nawet chętnie przystanę na twoje zdanie, jeśli tylko zdefiniujesz mi głupstwo.

— To bardzo łatwo: głupstwo nie istnieje.

— Głupstwo nie istnieje! — zawołał Emil, zrywając się na równe nogi. — Jeżeli zrobiłeś podobne odkrycie, lub znalazłeś receptę na jego zniszczenie, kłaniam uniżenie. Nie wiem wprawdzie, czy wzniosą ci pomnik, jako dobroczyńcy ludzkości, bo przyznam się, że ludzkość bez głupstwa jest abstraktem, do którego pojęcia wznieść się nie jestem zdolen.

— Przerwałeś mi!—mówił dalej January, uśmie-

chając się mimowoli z werwy swego towarzysza; — nie myślę przecież negować głupstwa, ale zdefiniować go inaczej nie mogą; głupstwo jest to rzecz ujemna, jak próżnia, jak kolor czarny.

— Hm! jest to pomysł, jak inny, nawet bardzo dowcipny; chociaż dałoby się może nie jedno w tym względzie powiedzieć—mówił Emil, notując widocznie w myśli porównanie, żeby go użyć w swoim fejletonie.—Ale, mówiliśmy o świecie.

— A ty na ten temat układałeś swietne waryacye i parafrazy.

— Waryacye? parafrazy? — pochwycił Emil, który nie odstępował od swoich podejrzeń — jakież masz dziś porównania muzyczne? odkądże to stałeś się melomanem?

Struna pamiątek zadźwięczała gwałtownie w duszy Januarego; wczorajszy wieczór stanął mu w myśli.

Pochylił czoło, ogarnione bladością nagłą, i milczał. Zapomniał, po co tu przyszedł; zapomniał, o czem mówili.

— Odkądże-to zostałeś melomanem?

Słowa te draźniły Januarego, jak profanacya; powstał, miał ochotę pochwycić za kapelusz i uciec bez odpowiedzi, bo odpowiedzi dać nie był zdolen.

— Kiedy tak — mówił Emil, jakby bezwiedny

ruch jego brał za wyraźne słowa—to zapewne spotykać się będziemy w Dolinie. Nie prawdaż?

— Tak! spotykać się będziemy — odparł trochę gorączkowo January. — Kiedy? Czy będziesz tam dzisiaj?

— Zapewne! bywam prawie codziennie, a dzisiaj tem bardziej, skoro się umawiamy.

January zdawał się chcieć jeszcze zrobić jakieś pytanie.

— Czy będziesz sam, Emilu?—wyrzekł wreszcie wracając się od progu.

Emil parsknął śmiechem.

— Alboż nie widzę, jak krążysz od kwadransa około tego pytania. No! przyznaj się, że cię ktoś obchodzi.

January milczał; był wściekły na Emila, a może więcej jeszcze na samego siebie.

— Ah! jakiż jesteś skryty. Przyznaj tylko, że obchodzi.

Ale January nie słuchał go więcej; pochwycił za kapelusz i wybiegł prawie bez pożegnania. Była to najgorsza taktyka — zostawiała szerokie pole domysłów fejletoniście.

Powiedział to sobie wszystko za późno, na ulicy już, kiedy rozważać zaczął całą nielogiczność swe-

go postępowania. Po co on był u Emila? po co mówił mu nie to, co chciał, tylko to, co cisnęło mu się na usta? Ten człowiek budził w nim wspomnienia, trącał struny tajemnicze—nie mógł ani na chwilę zapomnieć, że on znał tę kobietę, co zawładnęła pomimowoli jego całą myślą.

Fejletonista zaś, zostawszy sam, zaczął przechadzać się wśród nieładu swojego mieszkania, zacierając ręce i uśmiechając się sam do siebie. Był uszczęśliwiony; nie wątpił, że miał w ręku najbardziej zajmującą intrygę, z której mógł wyciągnąć nieobliczone korzyści. Co za pyszna kanwa do powieści, komedyi. a przynajmniej co za sposobność podchwycenia znakomitych aforyzmów i zdań Januarego, gdyby udało mu się zostać jego powiernikiem! Obok tej sensacyjnej wiadomości, bladła druga, spodziewana już, o zakładaniu nowego pisma.

Kiedy wkrótce potem Emil wychodził ze swego mieszkania, tak mało przypominał rozczochranego i nie zbyt ubranego człowieka—jakiego widok nieestetyczny przedstawił dziś rano Januaremu,wśród mieszkania przywodzącego na myśl spartańskie, lub dyogenesowskie tradycye — jak mało świetny motyl przypomina chryzalidę: twarz jego, biała i rumiana, straciła ślady zbyt długiego snu; włosy starannie rozdzielone na dwie połowy od czoła do karku, zwijały

się w misterne loczki koło skroni, świadcząc, że nie brakło fejletoniście tego filuternego sprytu, który w praktycznych warunkach życia, okazuje się nieraz stokroć pożyteczniejszym od rozumu.

Zresztą był on co się zowie ładnym chłopcem, a uśmiech jego malinowych ust, wykrojonych w kształcie serca, był szczególniej przyjemny płci pięknej, i posiadał wdzięk pieszczony a naiwny razem, harmonizujący tak ślicznie z wesołem wejrzeniem błękitnych oczu, iż doprawdy, dziwić się nie było można, że Emil miał szczęście do kobiet. Z kokieteryą też—właściwą pewnemu rodzajowi ładnych chłopców—umiał on doskonale podnosić przymioty swojej osoby; nie zaniedbywał żadnej broni, nie zapominał o żadnym, by najbłahszym z pozoru, środku powodzenia; na ulicy, w towarzystwie, lub gdziekolwiek mógł być widzianym, był zawsze pod bronią, gotów odpowiedzieć na każde spojrzenie, uśmiech lub słówko, stosownie do położenia. Ma się rozumieć, Emil szczycił się dokładną znajomością tej tajemniczej, zagadkowej isoty, przyprowadzającej do rozpaczy powieściopisarzy, mężów, a nawet kochanków...—kobiety. I trzeba przyznać, że rozumiał pewną przeciętną indywidnalność niewieścią, niesięgającą zbyt wysokiej moralnej sfery. Rozumiał ładne kokietki, wesołe strojnisie, lekkie salonowe laleczki, i pozostawał w tem błogiem

przekonaniu, że po za temi waryantami jednego gatunku istnieją tylko zapracowane gospodynie i poświęcone matki rodziny, które, szanując bardzo, omijał jednak zdaleka, jako nie mogące przynieść mu korzyści żadnego rodzaju.

O cnocie niewieściej Emil nigdy nie powątpiewał, przynajmniej głośno, tak mu bowiem kazała postępować dyskrecya dobrego wychowania; co jednak myślał o niej po cichu, tego znowu nie trudno było domyślić się z uśmiechu, z jakim zbliżał się do płci pięknej. Uśmiech ten zdawał się mówić bez słów: „Gdybym chciał tylko.“ Więc jeżeli kobieta nie zakochała się w nim na zabój, to jedynie dlatego, że on raczył ją oszczędzić, że nie zadał sobie pracy podbicia jej serca i osoby.

Wszakże podboje owe uskuteczniały się w sposób lekki i wesoły: fejletonista nie przywiązywał do nich głębszego znaczenia; uznawał się sam za tak ładnego, miłego, dowcipnego, iż w jego przekonaniu było rzeczą naturalną, by się wszyscy, a raczej wszystkie na nim poznały.

Ze swojej strony nie był zbyt wybrednym i każda kobieta wydawała mu się, jeżeli nie zupełnie piękną, to przynajmniej przystojną, w każdej upatrywł coś ładnego.

Jak widzimy, co do swojej piękności, co do swego dowcipu i daru podobania się, Emil pozostawał w stanie błogiej pewności. Czy miał toż samo przekonanie o swoim talencie?... trudno rozstrzygnąć. Jako sprytny chłopiec, wiedział z doświadczenia, iż chcąc, by drudzy nie wątpili o naszej wartości, potrzeba samemu być o niej silnie przekonanym, a przynajmniej przekonanie to jawnie pokazywać, — i tak też czynił.

Przyznać przecież trzeba, iż lubił szczycić się poufałą przyjaźnią ludzi znakomitych, ludzi posiadających powszechne uznanie, jak gdyby czuł, że go to podnosi w oczach ogółu i kolegów literatów, i że on tego odbitego blasku potrzebuje, bo mu własny niezupełnie wystarcza.

To też łatwo zrozmieć, że po odwiedzinach Januarego Emil urósł przynajmniej na parę cali. Wprawdzie January nic mu nie powiedział, ale to bynajmniej nie przeszkadzało mu postępować, jak gdyby pomiędzy nimi nie było tajemnicy żadnej. Od czegóż była bujna wyobraźnia i ten talent upiększania i przetwarzania przedmiotów, będący właściwością i literackiem nawyknieniem tylu fejletonistów?

Stosownie więc do okoliczności, przybrał wyraz pełen tajemniczości, i nawet strojowi swemu nadał pewne, jak sądził, tajemnicze piętno: zawiązał na szyi krawat niepewnego koloru, wziął w rękę lase-

czkę z popiersiem Sfinxa, wpiął w mankiety guziczki z tajemniczemi arabskiemi literami i, przystrojony w ten sposób, kroczył po ulicach, oglądając się z wyraźną bacznością, jak gdyby pragnął wlać przekonanie w przechodniów, że nie jest wcale zwyczajnym śmiertelnikiem, lecz przeciwnie, piastuje w łonie swem coś, co wprawiłoby w zdumienie wszystkich, gdyby tylko zechciał przemówić. Ale on nie przemówi, nie; jest nadto szlachetnym, nadto poświęconym, a nadewszystko—nadto dyskretnym.

Pomimo jednak szlachetności, poświęcenia i dyskrecyi, Emil, skoro tylko spotkał kogo znajomego, a znał świat cały, — zatrzymywał się i tak znacząco poruszał brwiami, spoglądał w sposób tak koniecznie zatrzymujący uwagę, iż niechybnie odbierał zapytanie:

— Cóż się to stało?

Wówczas Emil, udając bardzo zmieszanego, badał, czemu rzucają mu podobne pytanie? Co widzą w nim nadzwyczajnego? aż wreszcie, jakby zniewolony coraz natarczywszemi pytaniami, przed któremi bronił się z umysłu niezręcznie, odpowiadał z wrastającą tajemniczością:

— Nic, nic, tylko widziałem dzisiaj kogoś...

— Kogóż widziałeś?

— Doprawdy—odpowiadał—wolałbym tego nie mówić.

Aż wreszcie, po kwadransie omówień i certacyi, potęgujących ciekawość, pozwalał sobie wydrzeć te słowa:

— Był dzisiaj u mnie January!

Widocznie więc tajemica tyczyła się Januarego. Ponieważ wielu współpracowników „Hasła“ wiedziało o zamiarze jego założenia nowego organu, nie miał pokoju, dopóki ich nie przekonał, że wiadomość, jaką o Januarym posiada. nie należy bynajmniej do dziedziny literackiej.

Skoro jednak to wyrwało mu się niby przypadkiem, zdawał się tego mocno żałować; prosił, by uważano to, co powiedział, za niebyłe; a wreszcie dawał do zrozumienia, że stał się fakt niesłychany, że zimny, surowy, szyderczy January zakochał się, jak pierwszy lepszy śmiertelnik, a on, Emil, trzyma w ręku nić bardzo zajmującej intrygi.

Właściwie nie trzymał w ręku nic wcale, i z tego powodu musiał być dyskretnym; więc na wszystkie badania, prośby, zaklęcia, okazywał się twardy, jak skała, i stawiał rzeczywiście niezbadane czoło obudzonym w koło ciekawościom; ale zawsze to, co powiedział, czyniło zaszczyt jego przenikliwo-

ści i stanowiło bardzo sensacyjną wiadomość dla pewnego towarzyskiego kółka.

Ma się rozumieć, prosił o tajemnicę, względem osoby interesowanej przynajmniej, sam zaś uchylał się od wszelkich zaprosin i koleżeńskich zebrań, nadmieniając, że jakieś ważne zobowiązania pochłaniają czas jego. Rodzaj zaś tych zobowiązań zostawiał domyślności słuchaczów, tak, iż wszyscy rozstawali się z nim z tem przekonaniem, iż fejletonista oddał się duszą całą sercowej sprawie przyjaciela, i że sprawa ta była trudną, ważną i zawikłaną.

Plotka ta więc, wydęta miłością własną Emila, rozniosła się, właśnie dzięki omówieniom i tajemniczości, z jaką ją rozpowiadał, z podwojoną szybkością po mieście, a już w parę godzin przybrała olbrzymie kształty. January przetworzony został bujną i łaskawą wyobraźnią bliźnich w fantastyczną postać, bądź to bezczelnego uwodziciela, bądź melancholijnego kochanka; opowiadano rozmaite szczegóły nigdy niebywałe, wyliczano drozbiazgowe okoliczności, a tajemnicza pani jego serca zajmowała naprzemian najwyższe i najniższe położenie społeczne, tak, iż jedni zazdrościli mu wysokiego podboju, drudzy litować się musieli nad zaślepieniem jego serca. Skoro zaś do tego dodamy drugą, nie mniej sensacyjną wieść o zerwaniu z „Hasłem,“ o projektach nowego pisma; to nic dziwnego, że pewne koterye i stronnictwa były

nadzwyczaj wzburzone. Mieszano te dwa fakty, nie mające z sobą nic wspólnego, wyciągano z nich wyniki rozmaite, stosownie do osobistego położenia lub fantazyi.

VI.

Tak poetycznie używszy dnia całego, Emil z lekkiem i czystem sumieniem poszedł według zwyczaju do Doliny Szwajcarskiej.

Było to dla niego rozkoszne miejsce: miał pełno znajomych, kręcił się około pięknych pań, miał swoje własne sercowe sprawy, a zresztą wyobrażał sobie, że się poświęca dla Januarego.

Oktawia siedziała przy jednym z bocznych stolików, w gronie znajomych, jak zawsze strojna, piękna, ożywiona. Emil wkrótce, za pomocą zręcznego manewru, zdobył sobie przy niej miejsce, i korzystając z tego, że muzyka głuszyła rozmowe, rozpoczął ją półgłosem.

— Czy nie ma tu pani Halskiej?—zapytał.

Pytanie to było więcej poufałe niż zręczne; świadczyło, iż Emil brał tak do serca interesa Januarego że gotów był dla niego swoje własne poświęcić.

Oktawia spojrzała na niego pół seryo pół szyderczo.

— Dlaczego mnie pan o to pytasz?

Te słowa przywołały Emila do porządku; zrobił ten nieokreślony ruch ramion i piersi, znamionujący zadowolenie miłości własnej, a wspólny, niestety, zarówno mężczyznom, jak niektórym okazom domowego ptactwa.

— Patrząc na panią, — odparł, modulując głos i spojrzenia, nie powinienbym pytać o nikogo...

— Czy sądzisz pan przypadkiem, że jestem zazdrosną.

— Pani! Byłbym najszczęśliwszy...

— Nie jesteś pan bynajmniej najszczęśliwszy.

— Więc z kolei pozwól mi pani zapytać: czemu nie raczyłaś mi odpowiedzieć?

Oktawia spojrzała na niego poważnie.

— Bo ta kobieta obchodzi mnie bardzo.

— Strzeż się, pani! gotówbym pomyśleć, że lękasz się ją narazić na...

— Na złośliwość pańskiego języka!... to prawda.

— Dziękuję pani.

— Za co? złośliwość wcale dowcipem nie jest; nie miałam bynajmniej zamiaru powiedzieć panu komplementu.

— Wiem, że gdybyś to pani uczyniła, to jedynie przypadkiem.

— Nie rachuj pan na podobny przypadek.

— Szalony chyba rachuje na szczęście; niezasłużony przecież czasem z niego korzysta.

Słowa te wyrzekł tajemniczo z namiętnym odcieniem w głosie, który pokryty został hucznym akordem orkiestry. Przez chwilę nie można było schwytać żadnego dźwięku z ich rozmowy.

Gdy znowu ciche piano pozwoliło dosłyszeć zamieniane wyrazy, Oktawia pytała Emila:

— Dlaczego pytałeś pan o moją wczorajszą towarzyszkę?

— Mógłbym powiedzieć, że wszystko, co obchodzi panią, obchodzi i mnie także. Ale widzę, że się już śmiejesz.

Rzeczywiście białe ząbki Oktawii, ukazały się pomiędzy różowemi wargami.

— Więc nacóż to mówić? Bądź pan szczerym, jeśli to być może.

— A więc dobrze: przyjaciółka pani dokazała cudu...

— Małeś pan być szczerym.

— Jestem nim, przysięgam. Przyjaciółka pani podbiła najdumniejsze serce, jakie uderzało kiedykolwiek.

Oktawia śmiać się przestała.

— O pani Halskiej—wyrzekła stanowczo—wolałabym nie mówić w ten sposób; nie ma ona nic wspólnego z podbijaniem serc i t. p.

— Dlaczego jesteś pani więcej niedowierzającą dla innych, niżeli...

Nie domówił zaczętego zdania, ale łatwo je było doczytać w wesołem, prawie figlarnem spojrzeniu, jakiem obrzucał młodą kobietę.

— Tak impertynenckie pytanie—wyrzekła - nie zasługuje na odpowiedź; jednakże okażę się wspaniałomyślną.

— Jak zawsze—zawołał.

I znać było, że miał ochotę złożyć pocałunek na białej ręce, która, uzbrojona wachlarzem przesuwała się przed nim.

— Jak czasem — poprawiła go z uśmiechem.— A więc słuchaj pan. Są kobiety ostrożne i obrachowane, które znają grę życia i nie rzucają w nią lek-

komyślnie stawki, większej niż ta, jaką wygrać mogą, słowem: posiadają monetę obiegową, równą tej, jaką mają wszyscy. Są inne, rozrzutne i wspaniałomyślne, co słowom zachowują pierwotne znaczenie. Takie pozostawione powinny być w spokoju. Nie macie ich czem zdobyć, ani opłacić.

— Czy jesteś pani tego pewną?—wyrzekł.

Stawiał jej zuchwałe pytanie. Nie zastanowiła się nad niem i mówiła dalej:

— Szczęściem także, takie są niedostępne pokusom.

— W takim razie możesz być pani o nie spokojna; jeżeli są niedostępne pokusom, nie lękają się napaści, nie potrzebują też obrony.

— Zresztą—wyrzekła — są kobiety szczęśliwe, których życie zamknąć się może w domowych ścianach, które znajdują przy własnem ognisku wszystko to, czego pragnąć mogą.

— Czy to ma znaczyć, że przyjaciółka pani jest szczęśliwą?

— Tak... jest szczęśliwą; a gdyby nią nie była nawet, nie rzuciłaby nigdy swego losu na hazardy sercowych zawikłań.

— Dodatek niepotrzebny. Czyż pani nie wiesz,

iż w dobrej logice jedna przyczyna jest lepszą od dwóch.

Nie podniosła tego argumentu, którego widać rozumiała znaczenie.

— Zachodzi tylko pytanie — mówił po chwili fejletonista, nie odbierając odpowiedzi — czy można być kiedy tak pewnym szczęścia kobiety, by zaręczyć, że w szczęściu jej niema tak maleńkiej szpary, by się nią mógł wśliznąć wąż kusiciel.

Oktawia wzruszyła ramionami.

— Kusiciel coś pana bardzo obchodzi. Ostrzegam, że to napróżno.

— Gdybym był na jego miejscu, to zaręczenie nie zraziłoby mnie bynajmniej.

— Czemu?

— Jestem ze szkoły sceptyków; wątpię o wszystkich i o wszystkiem.

— Tylko nie o sobie.

— Dobre wyobrażenie o sobie jest elementarną zasadą polityki...

— Zarozumialców—dorzuciła szybko.

— Zgoda na zarozumialców, jeżeli tylko potrafi pani oznaczyć linię graniczną, dzielącą zarozumienie od tej pewności siebie, będącej, jak twierdzą, znamio-

niem wyższości. Co do mnie, przyznaję z pokorą, nie mogłem odnaleźć jej nigdy.

— Jakto? nie wynalazłeś pan jeszcze tak prostej rzeczy? Wiadomo, że linię demarkacyjną, o któręj pan mówisz, stanowi powodzenie.

— Masz pani słuszność—wyrzekł—muszę przyznać, że znasz pani grę życia.

Spojrzała mu w oczy. Wzrok jej był poważny, choć usta uśmiechały się, może z nawyknienia, może z innej jakiej przyczyny. Uśmiech ten zdawał się mówić: Czemże bym była, gdym jej nie znała.

Ale nie sformułował się on wyraźniejszem słowem. Oktawia wiedziała, iż milczenie bywa także potęgą, i że szalony jedynie pokazuje jawnie grę swoją.

I znowu słychać było dźwięki muzyki, głuszące szmery rozmów, wznoszące się zewsząd.

— Doprawdy — zaczęła znowu Oktawia — ciekawość mnie bierze, kto jest ten uprzywilejowany?

— Więc przyznajesz pani przynajmniej, że jesteś ciekawą.

— Naturalnie, do przymiotów przyznaję się zawsze; bo wszakże świat dzisiejszy zdjął z ciekawości wiekową klątwę; nie jest to już ów brzydki szczebel do piekła, ale matka wiedzy, początek mądrości.

Patrzała na niego wyzywającemi oczyma, w których migotały iskierki dopcipu, na tle głębszych, nieokreślonych uczuć.

— Odmalowałaś mi pani swoją przyjaciółkę; pozwól mi z kolei mówić o moim przyjacielu.

— Ależ ja nie broniłam panu tego nigdy; przeciwnie, pański przyjaciel dał niezaprzeczony dowód wykwintnego smaku.

— Tego ja przyznać nie mogę—wyrzekł z czułą galanteryą fejletonista.

— Mówmy lepiej o pańskim przyjacielu.

Emil podniósł w górę brwi, jak to miał zwyczaj czynić, ile razy zabierał się coś osobliwie znaczącego powiedzieć, przesunął ręką po czole, zatopił ją w kędzierżawych włosach, jakby tym ruchem skupiał rozpierzchłe myśli, i po tym teatralnym wstępie, dobrze znanym przez całe literackie kółko, wśród którego żył, wyrzekł, wlepiając oczy w Oktawię.

— Ten, o którym mówię, nie jest zwyczajnym człowiekiem: młody jeszcze, zasłużył wiedzą, pracą, talentem na uznanie ogólne; imię jego wszyscy bez wyjątku wymawiają z poszanowaniem; nosi głowę wysoko i ma do tego prawo, a serce jego jest tak dumne, że nigdy nie uderzyło dotąd dla żadnej kobiety.

Oczekiwał wrażenia, jakie sądził, iż przemowa jego uczynić powinna. Ale Oktawia nie oceniła jej należycie i pozwoliła sobie zrobić uwagę:

— Dumne serca są często zimnemi sercami.

— Widzę, że nie znasz pani Januarego.

— January! więc to on! — zawołała, uderzona imieniem, którego rozgłos przechodził po za literackie koła.

— Tak pani, to on — odparł z należytem namaszczeniem fejletonista.

Oktawia namyślała się chwilkę, potem spojrzała na Emila poważnym wzrokiem.

— Czy wie pan?— wyrzekła — ja sądzę, iż największem nieszczęściem kobiety byłoby spotkać na drodze swojego życia podobną indywidualność i pokochać ją.

— Dlaczego?—zawołał Emil gorąco — January jest prawy, szlachetny.

— Alboż ja temu przeczę — przerwała, kiwając głową z właściwym sobie przenikliwym uśmiechem. — Tylko cnoty ludzkie, niestety... tylko cnoty ludkie bywają częstokroć w życiu daleko szkodliwsze od wad. Dla kobiety, ktoraby miała nieszczęście kochać Januarego, lękałabym się właśnie tych cnót nieszczęsnych.

— Prawdziwie oryginalne zdanie—szepnął fej-

letonista, notując je w myśli. — Ale, przez litość dla mego przyjaciela, wytłumacz je pani.

— Czyż pan nie rozumiesz, że prawość przeszkadza ustępstwom i ugodom pomiędzy sumieniem własnem a sumieniem ogólnem... kiedy te znajdują cię w rozdźwięku; że duma broni od popełniania tych codziennych fałszów, tych podłostek powszednich, za pomocą których jedynie utrzymać się można w pewnych nienormalnych położeniach; a wreszcie, że szlachetnośc jest to najzbytkowniejszy z przymiotów ludzkich i uchodzi tylko tym, co pod każdym względem panują nad światem? Szlachetnym nie może być byle kto, szlachetnym nie można być byle kiedy. Jest to jeden z najniebezpieczniejszych szkopułów życia. I dlatego, gdyby moja przyjaciółka mogła być dostępną pokusie i gdy pytała mnie o radę, stanęłałym na waszej drodze. Możecie być tego pewni.

Powstała mówiąc to, jak gdyby pilno jej było zamiary w czyn wprowadzić. Orkiestra kończyła właśnie jakiś numer programu.

— O, pani!—szepnął fejletonista—czy sama dla siebie byłabyś tak ostrożną?

— Powiedziałam panu, co trzymam o przymiotach ludzkich — odparła z uśmiechem —jeśli uważasz pan moje zasady za niezaszczytne dla siebie, to trudno. Zmienić ich nie mogę.

— Uważam, że jesteś pani równie złośliwą, jak

dowcipną, równie zręczną, jak piękną, i że kocham cię do szaleństwa.

Te ostatnie słowa rzucił jej w ucho, korzystając z zamieszania, sprawionego pożegnaniem. Oktawia wraz z towarzystwem swojem opuszczała Dolinę.

VII.

Plotka Emila z nadzwyczajną szybkością rozniosła się po mieście tak dalece, że w kilku cukierniach, gdzie rozmaitych odcieni literaci schodzili się na czarną kawę, nie poruszono dnia tego innej kwestyi. Imię Januarego było na wszystkich ustach. Dysputy, wrzące tu co dnia, umilkły nagle; wszyscy badali jedni drugich; nasłuchiwali ciekawie rozmaitych szczegółów; niektórzy czatowali przy drzwiach na rzadkie osobniki, nie uwiadomione dotąd o plotce chwili, a skoro udało im się pochwycić podobne, używali naprzód przyjemności powtarzania po kilkakroć:

— Jakto? ty nie wiesz?... doprawdy nic nie wiesz?... Słuchajcie! on nic nie wie!

A potem opowiadali ważne wypadki dnia, dodając naturalnie rozmaite waryanty, dla wyrobienia sobie wyobraźni i stylu.

Ignaś wszedłszy do miejsca, gdzie współpracownicy i przyjaciele „Hasła" zbierali się zwykle, dosłyszał imię Januarego, rozlegające się we wszystkich grupach, i stanął zdziwiony.

— A! Ignaś, Ignaś! — wołano ze wszystkich stron—on powie nam coś nowego.

Okrążono go z milczeniem ciekawości, a tylko niektóre niecierpliwsze głosy odezwały się:

— No, mówże, mów!

Ale Ignaś nie rozumiał, czego żądano od niego. Od rana nie widział się z Januarym i szukał go też właśnie.

Niewiadomości jego nie wierzono.

— Oh! nie udawaj: to się na nic nie zda—odezwał się Ewaryst, którego zarówno niepokoiło zerwanie Januarego z „Hasłem", jak sercowe jego podboje—wiemy wszystko.

Jednak te magiczne zazwyczaj słowa nie wywarły tutaj żadnego skutku. Ignaś niecierpliwie wzruszył ramionami.

— W takim razie objaśnijcie mnie, bo ja nic nie wiem.

— Nic nie wiesz?

— Kłamiesz?

— To być nie może.

— Popatrz no mi tylko w oczy.

Te i tem podobne wykrzykniki odzywały się ze stron wszystkich.

Daremnie Ignaś wypierał się i patrzał w oczy każdemu po kolei, kto chciał tego; długi czas upłynął, zanim uwierzono w jego niewiadomość.

Wreszcie Ewaryst, zwyciężony oczywistością, zawołać musiał:

— On naprawdę nic nie wie!

Niewiadomość Ignasia stawała się dla wszystkich faktem nadzwyczajnym, faktem tak niezrozumiałym nawet, iż podkopywała wiarogodność różnorodnych romansów, jakich bohaterem stał się nagle January. Rozsądniejsi zaczynali wątpić.

— Wytłumaczcież mi w końcu, co to wszystko znaczy?—zawołał zaciekawiony z kolei Ignaś.

— To znaczy chyba, że Orest przeniewierzył się Pyladesowi—mruknął złośliwie Ewaryst.

Ignaś wzruszył ramionami.

— Gdybyśmy porzucili starożytność...

— Kiedy widzisz, po dzisiejszemu brzmi to trochę nieładnie; gotówbyś się obrazić, czego sobie nie życzę—mówił Ewaryst.

— Jesteś nieznośny! Odkądże to boisz się ludzi obrażać?

— Odkąd obrażeni biorą się do pięści—wtrącił ktoś, złośliwszy od Ewarysta.

Ale złośliwość ta zginęła wśród ogólnego szmeru.

— Ot, po prostu—zaczął znowu Ewaryst, którego nic nie mogło powstrzymać od przyjemności powiedzenia czegoś przykrego: — skoro nic nie wiesz, twój socyusz January zrobił dwa głupstwa... odmówił współpracownictwa w „Haśle“ i zakochał się.

Krew uderzyła do twarzy Ignasia; January — była to słaba strona jego serca.

— January—odparł stanowczo — nie jest moim socyuszem, jak wam się podoba go nazywać, i doskonale wie, co robi. Przewidywałem, że się nie porozumie z Karolem; a co do miłości...

Roześmiał się szczerze, nie zadając sobie nawet pracy inaczej zaprzeczyć podobnie nieprawdopodobnej rzeczy, i spoglądał po obecnych, jakby wzywając ich do przytoczenia jakiegobądź szczegółu w tym względzie.

Szczegółów jednak nie brakowało, i Konrad,

który, pijąc czarną kawę, słuchał z filozoficznym spokojem całej rozmowy, podjął się ich dostarczyć.

— Otóż rozpowiadają—odezwał się—że January rozkochał jakąś księżniczkę, która z tego powodu zerwała z narzeczonym; że January go wyzwał i ranił śmiertelnie; że panna przepadła, rodzina jej szuka, i że lada dzień młoda para ucieknie za granicę, jeśli dotąd nie uciekła...

— Ale gdzież tam! — przerwał Ewaryst, który skwapliwie pochwycił przerwę w tem misternie spojonem opowiadaniu. — Tu nie chodzi o żadną księżniczkę, cóż znowu! January ma zawsze demokratyczne gusta; pokochał się po prostu w jednej z figurantek baletu, mającej pulchne kształty, szerokie pryncypia, licznych wielbicieli i możnego protektora. Z tym protektorem January obszedł się trochę niegrzecznie, dziewczynę wykradł i chce odegrać z nią wiekuisty dramat podniesienia upadłej kobiety. Wiecie, że to jeden z jego ulubionych tematów.

— Otóż nie! ja wam powiem najlepiej, jak to było—wtrącił ktoś trzeci.—January ma do czynienia z jakimś mężem tyranem, Otellem; każdej chwili jej i jemu grozi sztylet, rewolwer, albo trucizna. Straszne rzeczy!

Ignaś słuchał tych wszystkich wieści z prawdziwem zdumieniem.

— I cóż ty na to, Ignasiu?

— Ależ to nie ma odrobiny sensu! — zawołał wreszcie.

— Co? czy miłość Januarego?... on się nigdy zbytnim sensem nie odznaczał.

— Nie mówię wcale o Januarym; ta cała historya nie ma najmniejszego sensu. Któż to wam mówił?

Przytomni nie mieli powodu czynić z tego tajemnicy, to też nie trudno było dowiedzieć się Ignasiowi, zkąd powstały te różnorodne wieści. Przytaczano słowa, półsłówka, uśmiechy, miny fejletonisty.

Zrazu te wszystkie sprzeczne wersye wydały się Ignasiowi tylko potworną bajką, wychodzącą w pełnym rynsztunku z bruku miejskiego, jak Minerwa z głowy Jowisza.

— Emil—wyrzekł—widocznie zażartował sobie z was wszystkich.

Przekonanie młodego człowieka wywarło pewny wpływ na obecnych. Spojrzeli po sobie. Coś podobnego przychodziło już na myśl niektórym; ale, że przykro jest zawsze rozstawać się ze skandalicznym fakcikiem, który miał się przytrafić bliźniemu, więc przykrość ta podpierała nieco zachwianą wiarę.

— To oczywista bajka — ciągnął dalej Ignaś

z zapałem, utwierdzony w tem mniemaniu samą różnicą wersyi, a wreszcie i tą prostą przyczyną, wystarczającą tylu ludziom, że nigdy nic podobnego nie przyszło mu na myśl. — I wy wszyscy, co znacie Januarego, mogliście uwierzyć takiej mistyfikacyi!

Zaprzeczenie było zbyt ostre i jako takie wywołało opozycyę.

— Za pozwoleniem! — zawołał Ewaryst — czy możesz zaręczyć, że w tych wszystkich powieściach nie ma cienia prawdy? Być może, że zachodzi pomyłka co do okoliczności; ale fakt sam jest prawdopodobny. Od jakiegoś czasu January stracił zegarkową systematyczność, zmienił się w wielu rzeczach... czy możesz zaręczyć, że się nie zakochał?

Za to Ignaś zaręczyć nie mógł. Teraz on także zaczął przypominać sobie rozmaite drobne okoliczności dni ostatnich. I pewność jego się zachwiała.

— Ha!—szepnął ze szczerością sobie właściwą—któż to odgadnie?...

Myśl ta jednak przejęła go smutkiem i niepokojem. Bolesno mu było być wykluczonym z najserdeczniejszego koła myśli Januarego; lękał się wrażliwości, absolutyzmu i nieoględności jego; lękał się o jego szczęście i talent. Nie wiedział, jaka owieje go atmosfera? która z obiegających baśni najbliższą była prawdy? ale, raz popchnięty na trop, uwierzył

iż baśnie te snuć się musiały na tle jakiejbądź rzeczywistości. January był zmieniony, January przebywał duchowy kryzys—o tem przynajmniej wątpić nie mógł.

Zresztą nie przyszło mu na myśl walczyć o jego ufność z Emilem, lub dopominać się tej cząstki duchowej, na którą sądził, że ma prawo rachować. Pragnął tylko widzieć tego Emila, zapytać go... dowiedzieć się czegoś.

Z tą myslą opuścił czemprędzej literacką cukiernię.

Jednak widzieć fejletonistę o pewnych godzinach było bardzo trudno. Mieszkanie jego wiekuiście było zamknięte, a nawet mało kto znał jego adres. Bywał rano w kilku redakcyach. Obiadował w restauracyi i pił kawę w cukierni, w której zbierali się jego dobrzy znajomi; w te miejsca zazwyczaj adresowano do niego korespondencye, tam załatwiał interesa, przynosił artykuły lub odbierał za nie pieniądze. Resztę czasu ulatniał się. A gdy kto niedyskretny spytał o użytek tej lub owej godziny, uśmiechał się wesoło i pokręcał jedwabiste wąsiki.

Ignaś więc wyszedł po to raczej, by oddalić się od całego towarzystwa, które drażniło go w tej chwili, niż w nadziei spotkania Emila. Ponieważ

zbliżał się wieczór, przeszedł się raz i drugi Nowym Światem ku Alejom i zamierzał pójść zwyczajem swoim do panny Jadwigi, kiedy najniespodziewaniej spotkał się z Januarym.

— To ty! — zawołał gwałtownie Ignaś pod wrażeniem całej wysłuchanej sceny i pochwycił rękę przyjaciela gorącym uściskiem, patrząc mu w oczy z wyrazem nieograniczonego przywiązania.

January nie cierpiał wszelkich widocznych oznak uczucia. W zwyczajnych chwilach byłby zapewne odpowiedział na ten wykrzyknik szyderstwem, teraz jednak drgały w nim miększe uczucia: cała istność jego przetwarzała się pod wpływem tego potężnego czynnika, który ogarniał go coraz samowładniej.

— I czegoż się tak dziwisz? — wyrzekł przecież z przywyknienia.

Ale nie było ironii ani w głosie jego ani w spojrzeniu.

Ignaś nie odpowiadał zrazu; nie czuł potrzeby tłumaczenia się, tylko pragnął wiedzieć, co było prawdą, co kłamstwem w słyszanych powieściach; tutaj jednak nie można było myśleć o żadnej poufnej rozmowie. Wziął go więc pod ramię i odprowadził w jednę z bocznych ulic, przecinających Aleje Ujazdowskie.

January nie opierał mu się dłużej; był zmordowany, czuł z niczem nieporównane znużenie, ogarniające zwykle czynne natury, gdy nie znajdą właściwej drogi działania.

— January—wyrzekł wreszcie Ignaś, zatrzymując się—mówią o tobie tyle rzeczy...

— A tak; rozmówiłem się dziś ostatecznie z Karolem. Zrobiłem krok stanowczy. Wyzwaliśmy się na pióra z „Hasłem"; zobaczymy, kto zwycięży. Jestem zdecydowany, pomimo wszystkich trudności, założyć swój organ; zaryzykuję wszystko.

Było coś gorączkowego w tych słowach, jakby się chciał niemi ogłuszyć.

— Ja nie tylko o to zapytać się chciałem—wyrzekł znowu Ignaś.

Mówił tak cicho, jakby lękał się obrazić towarzysza samem brzmieniem słów; była w nich taka troskliwość, iż January odczuł coś niedopowiedzianego.

— O czem chcesz mówić — zapytał, zwracając na niego wzrok badawczy.

— O tem, o czem wiedzią wszyscy: o tej wielkiej przemianie, zaszłej w twoim losie, o której przecież zawiadomić mnie nie chciałeś.

Płomień rumieńca przebiegł po twarzy Januarego.

— Cóż to wiedzą wszyscy?—wyrzekł, zatrzymując się nagle.

Ignaś powtórzył mu wszystko, co słyszał przed chwilą.

January słuchał go z przyciętemi wargami nieruchomy z pozoru, pogardliwy i hardy; nie raczył przeczyć.

— A ty, Ignasiu?—spytał wreszcie po długiem milczeniu— powiedziałeś mi wszystko, co sądzą drudzy; teraz powiedz mi, co ty myślisz?

— Ja widzę, że się zmieniłeś, January; ja lękam się byś nie cierpiał.

Uśmiechnął się z nieskończoną wzgardą.

— Ja nie wiem. czy ja cierpię; ja nie pomyślałem, że cierpieć mogę; a gdybym i pomyślał nawet, to wiesz dobrze, iż to nie powstrzymałoby mnie nigdy. Cóż znaczy cierpienie, wobec pełni sił i życia?

— January! więc to, co mówią, jest prawdą!— zawołał Ignaś niepewnym głosem.

— Prawdą?—wyrzekł, jakby sam do siebie, zasłuchany w abstrakcyjny dźwięk tego wyrazu więcej niż odpowiadając na uczynione zapytanie, — ja nie wiem sam. Słowa mają znaczenie konwencyonalne, odpowiadają z konieczności pewnej przeciętnej normie uczuć i pojęć, i dlatego przeniewierzają się zaw-

sze niektórym ludziom, niektórym chwilom i niektórym wrażeniom. Poeta nasz powiedział słusznie „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie!"; nigdym tego tak nie rozumiał, jak w tej chwili! Dlaczego tak jest, Ignasiu? dlaczego tak jest?

Otwierały się przed nim światy nowe; wiele rzeczy niepojętych dawniej, obojętnych, nie zwracających uwagi, teraz stawało mu w myśli.

— Czuję się bogatszym o całą gamę uczuć i myśli; martwe przedmioty przemawiawią do mnie. Wczoraj muzyka była dla mnie zrozumiałą, jak słowa; teraz blaski zachodu olśniewają mnie, jak gdybym widział je po raz pierwszy. Natura cała, jak obudzona ze snu głębokiego legendowa księżniczka, odkrywa mi jakieś wdzięki nieznane, wprawia w drżenie nieznane struny, których istnienia nie domyślałem się wcale. Ignasiu, jaki ten świat piękny, jak błogo jest żyć. Pierwszy raz puszczam wodze fantazyi. Przechodzą godziny całe, a ja nie wiem, nad czem myślałem. Jednak godziny te stracone nie są te marne godziny wzbogacają mnie więcej, niż gdybym je strawił nad księgami, pełnemi mądrości, one przynoszą mi tajemnicze skarby. Horyzonty moje rozszerzają się, jak piersi głębszym oddechem; siły nowe, władze nowe drgają i pulsują we mnie, łącząc się z aspiracyami wszechświata. Nigdy inteligencya

moja nie była tak jasną, a wola tak potężną. Nie pojmuję trudności, nie pojmuję oporu, nie pojmuję niepodobieństwa. Wiem, że ono istnieje, ale wiem to pamięcią tylko, bo czuję, że dla mnie go nie ma.

Mówił to wszystko z wyrazem tłumionego zapału, który przeświecał przez szare źrenice, rzucając w nie płomienne iskry, i występował rumieńcem na blade zwykle policzki, nadając tej przedwcześnie zmęczonej twarzy młodzieńcze, nieprzeparte uroki.

Ignaś patrzał na niego, porwany głębią uczuć widną w każdem słowie. Przez chwil parę nie śmiał przerwać ciszy, która po tych słowach zapanowała pomiędzy nimi. Pytania, jakie zadać pragnął, nie harmonizowały z abstrakcyjną sferą, do której January odnosił swoje uczucia.

Zmrok zapadł, ulica była bezludna, tylko chwilami dolatywał turkot daleki, tylko jaskółki zataczały wielkie koło, kąpiąc się w różowych blaskach zachodu i słychać było szmer ich skrzydeł i świegot urywany.

— January,—wyrzekł nareszcie Ignaś—a któż jest ona?

January odwrócił oczy, wlepione w parpurową dal płonącego nieba, na którem rysowały się, owiane mgłą fioletową. wysokie kopuły i wieżyce miasta.

— Ona.. — powtórzył, jakby ze snu zbudzony.

— Ja pytam się o tę, co stała się sprawczynią tych wszystkich cudów mówił dalej Ignaś—czy jest to na prawdę zaklęta księżniczka, czy też królewna, ukryta na jakiem poddaszu?

— Ja nie wiem, ja nie wiem jeszcze.

— Jakto, January!

— Przysięgam ci, nie znam jej imienia nawet, nie zamieniłem z nią nigdy słowa jednego.

Ignaś spoglądał z niedowierzaniem. Przywykł był do tego, iż czyny i uczucia przyjaciela nie dawały się nigdy podciągnąć pod ogólną normę; teraz przecież ekscentryczność jego przechodziła wszelkie pojęcia.

— Widzę ją codzień, co chwila, z okna mego mieszkania; słyszę, co mówi — wyrzekł January z wielką prostotą — i zdaje mi się, że znam ją lepiej, niżeli tysiące ludzi, z którymi zamieniłem miliony słów.

Było to arcy naiwne wyznanie; wyznanie, godne poetycznego studenta, rozmilowanego w pierwszym ładnym buziaku. Sam jakkolwiek zakochany w pannie Jadwidze, byłby rozśmiał się głośno, szczególniej też, gdyby przypomniał sobie ową gwałtowną filipikę przeciw kobiecie dzisiejszej, jaką wypowiedział January, nie dawniej, jak dni temu kilka. Teraz jednak zawołał tylko.

— I to wszystko!... I ty ją kochasz?

— Ja nie wiem, czy ją kocham; wiem tylko, jakie wrażenie na mnie robi: czytam w jej twarzy, w jej spojrzeniu, odbicie wszystkich uczuć, jakie są we mnie; dostrzegam pod powagą wyrazu ukryte płomienie i burze, wstrząsające tą posągową istotę. Jest to coś nakształt ciszy morza wobec wulkanicznego wybuchu, którego odblaski drżą, odbite w błękitnej fali, tem cudniejsze, że mieszają się ze spokojém, że łączą w sobie dwie najsprzeczniejsze i najwyższe ponęty życia: burzę i ciszę. Wściekłe ognie buchają chwilami z roztwartej czeluści, a chłodna fala spowija je, otula i moruje zaledwie dostrzegalnem drżeniem ich obraz w łonie swojem. Dlaczegoż fala drży pod odbłyskiem płomienia? Czy siła namiętności unosi wszelkie refleksyjne pierwiastki, czy też pierwiastki te wyrywają się z jej gwałtownego uścisku? To walka, walka dwóch wrogich potęg, walka na śmierć i życie. Walka, najcudniejszy wyraz rozkipiałego życia. Ale prędzej, czy później, burza zwyciężyć musi: wulkan rozkołysze łożysko morza, ogień i fala zawrzą w szalonym uścisku...

— Ty marzysz, January!—przerwał Ignaś.

— Być może; ta kobieta budzi we mnie jakieś siły i uczucia nieznane: kiedy na nią patrzę, kiedy o niej myślę, przychodzą mi do głowy niewiedzieć jakie obrazy.

JANUARY.

WALERYA MARRENÉ.
(MORŻKOWSKA).

JANUARY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Tom II.

WARSZAWA,
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej".
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Іюля 1900 года.

— Ależ z marzeń trzeba się obudzić... Któż ona jest, January? czyż nie wiesz tego nawet?

— Powtarzam ci: nie zamieniłem z nią dotąd jednego słowa, ale tak dłużej być nie może. Tak dłużej być nie może — powtórzył, podnosząc głowę z pewną determinacyą.—Ja muszę raz przejrzeć jasno, wiedzieć, co się ze mną dzieje, i uczucia swoje nazywać po imieniu. Chodź ze mną.

I położywszy rękę na jego ramieniu, poprowadził go do siebie. Szli w milczeniu; dopiero kiedy znaleźli się w pokoju, oświetlonym jedynie promieniami księżyca, January obejrzał się wokoło.

— Jak tu smutno! jak tu duszno! — wyrzekł, otwierając okno falom powietrza.

Gorący letni wieczór ciężył na ziemi, wydobywając z kwiatów odurzające wonie, odbierając energię woli, rozemdlewając myśli. Na werandzie było zgromadzone całe domowe towarzystwo, około herbacianego stołu. Helena siedziała tak, iż postać jej i twarz rysowały się wprost naprzeciwko; światło lamp padało na nią w pełni i pozwalało widzieć spokojną matową twarz pod ciemną koroną włosów.

January stał, jak wryty, przy oknie; nie odwrócił więcej głowy, jakby zapomniał zupełnie o towarzyszu. Zrazu była pomiędzy nimi zupełna cisza.

Aż Ignaś, za jego przykładem, podszedł także do okna.

I przez czas jakiś, poprzez wązkie listki akacyi, biegły dwa spojrzenia ludzkie i obejmowały rodzinę, zgromadzoną spokojnie przy wieczornym posiłku.

Wśród ciszy nocy, dolatywały dźwięki swobodnej rozmowy, szczebiot dziecinny, wesoły głos męzki i rzadziej nierównie metaliczne brzmienie niewieściego głosu. A gdy brzmienie to słyszeć się dało, January pochylał się bezwiednie, jak dąb pod podmuchem wiatru, wstrzymując tchnienie, prosząc wzrokiem dalekich gwarów miejskich, i świegocących ptasząt, i nocnych motyli szeleszczących skrzydłami, o ciszę.

— January!—odezwał się Ignaś.

Zagadniony skinął niecierpliwie ręką na znak, by mu nie przerywał, nie przeszkadzał słuchać czy patrzeć.

Ale Ignaś, nie zważając na to, powtórzył z akcentem niepokoju, niemal przestrachu:

— January!

I znowu nie odebrał odpowiedzi.

— January! — zawołał jeszcze raz, nie mogąc pohamować się dłużej, — to nie jest przecież kobieta, o której mi mówiłeś?

January zwrócił głowę ku niemu i, przy niepewnem świetle letniej nocy, Ignaś ujrzał na jego twarzy wyraz, niewidziany dotąd. Rysy, zwykle twarde, ostre, napiętnowane szyderstwem, teraz były miękie, łagodne; wzrok przymglony i błyszczący razem zdawał się otwierać głębie jego własnej istoty, i istotę drugich nawskróś przenikać.

— Dlaczego mnie o to pytasz?—wyrzekł tylko.
—Jeśli kiedykolwiek twarz ludzka była zwierciadłem czystych, dumnych, nieskalanych uczuć, to twarz, którą mamy przed sobą. Jeśli kiedykolwiek wzrok był niezdolny do fałszu, usta do kłamstwa, to te oczy, te usta. A zresztą, gdyby nawet było inaczej, to i cóż ztąd? Ta kobieta budzi we mnie uczucia niepojęte. Owładnęła istnością moją całą, myślą, wolą. Świat mój zamknął się w tem oknie; wszędzie czuję się wygnany, wszędzie mi duszno, ciasno, obco. Zewsząd śpieszno mi tu powrócić. A gdy tu jestem, gdy ją widzę, gdy słyszę jej głos, czuję znowu, żem od niej tak daleki, iż ona nie wie nawet o mem istnieniu!

— January, January! ty marzysz! ta miłość jest szaleństwem.

— Szaleństwem być może; w takim razie chcę być szalonym. Dzisiejszy świat wykluczył czynnik serca, nie wierzy w miłość. Czy nie to chcesz mi po-

wiedzieć. Ja ci mówię, że to fałsz; że kto żyje, kochać musi; a im wyższa indywidualność, tem i miłość będzie silniejszą.

— Ja nie to chciałem powiedzieć.

— A więc cóż? mów wyraźniej. Nienawidzę półsłówek. Ignasiu, ty przecież powinieneś mnie zrozumieć.

— Tak...

— Ale widzisz, ty nie możesz kochać tak, jak ja kocham.

— Tu nie chodzi o żadne porównanie—przerwał Ignaś.

— Więc cóż?.., wyglądasz tak poważnie!

— Ja znam tę kobietę, January.

Błyskawica mignęła w oczach Januarego.

— Znasz ją? znasz?... i czemu nie powiedziałeś mi tego odrazu? dlaczego patrzysz na mnie tak smutno.

— Bo twoja miłość jest daremną, daremną być musi.

January wstrząsnął głową i powtórzył znowu.

— Ty ją znasz, ty mówisz, że ją znasz. Jesteś szczęśliwy Ignasiu! Ja czuję, że szczęśliwem jest wszystko, objęte promieniem jej wzroku.

Ignaś pochwycił obie jego ręce i próbował odciągnąć go od okna.

— January!—zawołał — ty żyłeś zawsze w abstrakcyach, zawsze urabiałeś świat rzeczywisty na podobieństwo swoich. Dotąd jednak ograniczałeś się na dziedzinie myśli; dziś wchodzisz w krainę uczuć. Uczucie nie osamotnia się, jak myśl... ogarnia drugich.

— Więc cóż ztąd?

— Wiem, że o niczem nie wątpisz. Ale tutaj idywidualność twoja spotyka się z drugą inndywidualnością, ze światem, z ustawami jego.

— Alboż cofnąłem się kiedykolwiek przed wypowiedzeniem myśli? Alboż nie kamienowano mnie za to?

— Dotąd walka zamykała się na polu abstrakcyi, a to wcale co innego.

— Czy wątpiłeś kiedykolwiek, że to, co piszę. gotów jestem stwierdzić czynem?

Wzrok jego pałał, po za namiętnemi wybuchami uczuć przeświecał teraz człowiek namiętnych przekonań.

— Nie, nie wątpiłem nigdy — mówił Ignaś— tylko okoliczności rządzą ludźmi... mogły minąć lata, zanim nadarzyłaby ci się sposobność do podobnie niebezpiecznej próby. Ja w to ufałem.

— Ufność twoja była przedwczesną — odparł z odcieniem niecierpliwości, który jak zwykle u niego, przemienił się w szyderstwo. — Zapomiałeś, że okoliczności rządzą jedynie tymi, co nad niemi zapanować nie potrafią. Zapomniałeś, że sposobność zrealizowania myśli moich powitam z otwartemi ramionami; że kocham walkę, że pragnę zwycięztwa. Ty nie zrozumiesz mnie nigdy, Ignasiu.

— January! January! ty zawsze stawiasz kwestyę na niepraktycznem polu. Któż tu mówi o walce? Kto mówi o zwycięztwie?

— Zdaje mi się, że ty pierwszy.

— Ale spójrz na tę kobietę, spójrz na nią trzeźwem okiem, jeśli to być może. Ta kobieta nie może być przedmiotem walki i zwycięztwa; ta kobieta przedewszystkiem nie jest do zdobycia.

Teraz on z kolei wychylał się z okna, o wskazywał Januaremu cichą scenę domowego życia.

— Patrzaj-że na to, co masz przed oczyma: ta kobieta ma świat, który jej wystarcza; ma obowiązki, które spełnia; ma rodzinę, którą kocha. Ta kobieta jest szczęśliwą. Ja ją znam, ja bywam w jej domu.

Z całego dowodzenia Ignasia, January pochwycił tylko ostatnie słowo. Być może, iż czuł, że

o szczęściu i sercu tej kobiety ma prawo lepiej sądzić od niego.

— A więc mów mi o niej, mów o niej!—zawołał gwałtownie.

— Cóż ci powiem?

— Co!... wszystko, co jej dotyczy. Jej nawyknienia, zabawy, zwyczaje, drobiazgi, szczegóły życia, słowem wszystko. Albo nie!... nie mów mi nic; zdaje mi się, że nic mi nie powiesz, czegobym ja nie wiedział, nie wyczytał z jej oczu, z jej czoła.

Ignaś milczał.

— No mówże mi o niej! Któż ona jest?

— Żona pana Tytusa Halskiego.

— Nie pytam się o niego, tylko o nią; lecz któż to jest ten pan Tytus? któż to być może?

— Pan Tytus jest najzacniejszy z ludzi, jak twierdzi głos ogólny.

— Alboż ja temu zaprzeczam?... i cóż więcej?

— Jako przemysłowiec, używa najlepszej sławy.

— Tem lepiej dla niego. Zresztą, gdyby był innym, ona nie mogłaby go poślubić. Jej mąż innym być nie może; nie ma w tem nawet zasługi. I cóż dalej? Cóż dalej?

— Wreszcie pod względem majątkowym...

— Alboż ja się pytam o inwentarz majątku!

— Doprawdy, January, nie wiem, czego ty chcesz.

— Czego ja chcę?... Ha, gdyby mi kto odpowiedział na to pytanie! Wiem, że pragnienia moje rozrastają się w nieskończoność; że istota moja rozpada się na dwoje; że połowa zrywa się do tytanicznych walk, gdy drugą ogarnia senność marzenia. Chcę burzy i ciszy, cieniów nocy i promieni słonecznych.

Milczał przez chwilę, jakby zasłuchany w sprzeczne chóry uczuć własnych. Powoli jednak pogoda schodziła mu z twarzy, powracał na nią dawny szyderczy wyraz.

— Cóż ty zamierzasz? — spytał wreszcie Ignaś, nie pojmując przyjaciela.

January uśmiechnął się pogardliwie.

— Nieoszacowane pytanie!—odparł po chwili— zupełnie na porządku dziennym konwencyonalnej przyjaźni. Prawdziwie zamierzam tyle rzeczy, nieobjętych zwykłemi programatami życia, że... za długo byłoby o tem mówić.

— Przecież, January... — próbował tłumaczyć się Ignaś.

Ale January nie zostawił mu czasu na tłumaczenie; był wzburzony, wrzały w nim spotęgowane uczucia, przerwał gwałtownie:

— Wiesz co, Ignasiu, idź lepiej do panny Jadwigi; kochaj się w niej przykładnie i spokojnie, ile ci na to czas pozwoli, od siódmej po południu do dziesiątej wieczorem; posyłaj do niej sentymentalne westchnienia bez szkody codziennych zatrudnień; myśl o niej pomiędzy peryodami pisanych artykułów, lub robiąc korektę wieczornego dziennika; bądź dalej wzorem porządnego narzeczonego, który rozrachował sobie, że za rok, siedm miesięcy i dni dwadzieścia cztery, zbierze dostateczny fundusz na założenie własnego gospodarstwa, i znosi z wzorową cierpliwością dni, które go jeszcze od tej chwili dzielą. Jesteś dobry, zacny, poczciwy człowiek, tak samo jak twój pan Tytus. Niewątpliwie będziesz wzorowym mężem, a panna Jadwiga wzorową żoną. Oby na szczęście ludzkości było wśród niej wielu do ciebie podobnych! Tylko, widzisz, nie mów o miłości, nie mów mi o niej nigdy, bo ty razem z twoim panem Tytusem nie znacie nawet jej pierwszego słowa. Ja ci to mówię.

— January! — zawołał Ignaś, dotknięty do żywego—nie zasłużyłem na to u ciebie.

January milczał, nie zmiękczony wcale tem odwołaniem się do swego serca, ręka jego nerwowym ruchem uderzała rytmicznie o poręcz krzesła, wydobywając twarde, suche brzmienie. Obecność Ignasia zdawała mu się ciężyć.

— Jestem rozdrażniony dzisiaj; widzę to.

— Być może, więc przez litość, nie drażnij mię więcej.

— I czegóż ty chcesz! cóż mam robić?

— Jeśli nie potrafisz nic zrobić, z tego, cobym pragnął, oszczędź sobie przynajmniej daremnej pracy wyliczania trudności, o których nie wątpię, i oklepanek, których wartość znam lepiej od ciebie:

— Więc ty chcesz koniecznie poznać tę kobietę?

— Wszakże to jedno mówię ci od godziny.

— Ha! więc dobrze. Jutro jest dzień, w którym przyjmuje; przedstawić cię mogę. Należysz do ludzi, którzy wszędzie są upragnieni. Namyśl się jednak...

— Znowu próżne słowa! wiesz przecie, że należę do rzędu tych ludzi, co namyślają się odrazu.

— Ale to szaleństwo! to czyste szaleństwo! Zrobię, co chcesz, ale powtarzać będę, że to szaleństwo.

— Ignasiu, czy nigdy nie zadałeś sobie pytania, co jest szaleństwo? Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że to konwencyonalny wyraz, bez określonego znaczenia, który ludzie przykładają do wszytkiego co przenosi ich miarę.

Ignaś nie czuł się na sile prowadzić z Januarym walki słów; na przekór jednak dyalektyce jego, czuł,

iż miał przyłożyć rękę do jakiegoś czynu, pełnego groźnych następstw, przeciw któremu buntowało się jego sumienie. W tej chwili żałował, iż kiedykolwiek dotknął tego przedmiotu z Januarym; czuł instyktowne pragnienie wydobycia się z pod jego moralnej przemocy.

— A więc do zobaczenia — wyrzekł, szukając pociemku kapelusza, bo przez cały ciąg tej rozmowy, nie przyszło na myśl żadnemu z nich zapalić światło.

— Do jutra — odparł January z despotyzmem człowieka, nawykłego do rozkazywania. — Będę cię czekał; o którejże przyjdziesz?

Przypomnienie jutrzejszego projektu nie było przyjemne Ignasiowi, cofać się jednak nie mógł. Naznaczył zwykłą godzinę ceremonialnych odwiedzin, i wyszedł, niespokojny, zły na samego siebie, a może nawet na Januarego.

VIII.

January nie zatrzymywał Ignasia. Ludzie, którzy nie mogli się dostroić do miary jego, nużyli go szybko. Czuł niepokój i wyczerpanie, właściwe pewnym chwilom i stanom umysłu.

Dziś już nie próbował nawet pracować, nie próbował wziąć książki do ręki; wiedział, że byłoby to napróżno. Dramat, rozgrywający się w głębi jego istoty, zajmował go zbyt wyłącznie.

Pomimo wszystkiego, co mówił do Ignasia, czuł, iż przestał być panem swego losu, iż porywały go prądy, którym oprzeć się nie mógł, i prądy te niosły go nieubłagane. Gdzie? Pytał daremnie.

Chwilami zdawało mu się jeszcze, że trzyma ster swojej łodzi, ale było to tylko złudzenie, — miał dość jasnowidzenia, by to zrozumieć.

Na werandzie pogasły światła, zamknięto okiennice, cisza i ciemność zaległa ogród. Nie odezwała się namiętna pieśń Wagnera, ani żaden dźwięk, zdradzający, że drugie serce ludzkie biło niespokojne, otwierało się pragnieniom, czy żalom.

Przyszło mu na myśl, że to wszystko, co wyobrażał sobie, co słyszał wczoraj w tonach jej muzyki, mogło być złudzeniem tylko, i ogarnęło go zniechęcenie i smutek niewypowiedziany; a martwe przedmioty, jakby powolne fantazyi jego, zdawały się przybierać równie ponure kształty i harmonizować z usposobieniem.

Wśród bezksiężycowej i bezgwiazdnej nocy, wnętrze ogrodu stało się podobne do czarnej przepaści. Na niebie dusznem, zasnutem burzliwemi chmurami, rysowały się gdzieniegdzie ciemniejsze jeszcze sylwetki drzew, szumiących głucho, jakby wstrząsanych tajemniczym dreszczem.

January leniwo podniósł się ze swego miejsca i przeszedł parę razy po pokoju; godzina była bardzo

późna, czuł jednak dobrze, iż napróżno szukałby spoczynku. Wszystkie jego tętna drgały, rozszalałe myśli wirowały w mózgu, niespokojne serce uderzało gwałtownie.

Powrócił do okna; czarne wnętrze ogrodu nęciło go, jak otchłań; spoglądał na ten dom, wznoszący się w głębi, czarny, także, cichy i uśpiony.

Ostre szczyty dachu odrzynały się czarniejszym kolorem na burzliwem tle horyzontu, a chorągiewka, obsadzona na nim, skrzypiała żałośnie, obracając się gwoli wiatru na żelaznym pręcie.

Nagle w jednem z okien, przez szpary zamkniętych okiennic, mignęło blade światło i przyćmiło się; po chwili mignęło znowu silniejsze, czerwonawe; tak przygasając i podnosząc się, nakształt pulsujących fal krwistych, nabierało sił, jaskrawości, i rosnąc w potęgę z każdą chwilą, rzucało odblaski na ogród, przerzynając jego grubą ciemność i rysując coraz wyraźniejszemi liniami kontury okna i okiennic wewnętrznych, które odrzynały się na tle płomienistem.

Jednocześnie kłąb dymu wydobywał się z okna, a podmuch wiatru zaniósł do Januarego duszącą woń, jaką wydają spalone przedmioty.

— Pali się!

Ten okrzyk wydobył się z jego piersi, gwałto-

wny, przerażony, ale skonał bez echa. Dom cały pogrążony był we śnie; trzeba było stokroć donośniejszego głosu, by obudzić tych, którzy nie poczuli dymu, nie słyszeli wzmagającego się trzasku płomienia.

Co czynić? Pytanie to mignęło mu przez myśl, i nie pozostało bez odpowiedzi.

Chwila była stanowcza, ale January był człowiekiem prędkich postanowień i nie potrzebował bynajmniej namyślać się długo. Skoczyć na okno, pochwycić gałęzie drzewa, podającego się ku niemu, i spuścić się do ogrodu, wszystko to było dziełem jednej chwili. Wykonał dzisiaj naglony koniecznością to, o czem marzył wczoraj.

Dla wielu byłaby to rzecz trudna i niebezpieczna, ale ciało Januarego było zarówno rozwinięte, jak umysł: nawykły do ćwiczeń gimnastycznych, zręczny i odważny, miał na usługi woli wyrobione muskuły.

Znalazłszy się w ogrodzie, przez trawniki i klomby biegł ku temu oknu, zkąd wydobywały się już fale światła, a trzask pękających szyb mieszał się z trzaskiem i potężnem tchnieniem płomienia.

Przez okno to niepodobieństwem było dostasię do wnętrza domu, a inne rozwidniały się także. Widocznie pożar się rozszerzał.

Jak strasznym, kamiennym był sen ludzi, ogar-

nionych zewsząd płomieniami, którzy nie dawali żadnego znaku życia!

Wprawdzie dom był parterowy, ratunek łatwy; przecież drzwi i okna mogły zająć się płomieniem, zanimby się oni obudzili, dach mógł zwalić im się na głowę.

January wbiegł na werandę. Światło, wydobywające się z salonu, było słabsze. Pchnął okno z całej siły; zawiasy i haki ustąpiły; znalazł się w pokoju. Pożar zaczynał ogarniać ten cichy, strojny, artystyczny salon; czerwone języki płomieni dopiero pożerały portyerę, zawieszoną naprzeciw okien, i wysuwając się coraz bardziej, poczynały lizać obicie i dosięgać bliższych sprzętów. Skry padały na kosztowne albumy, na ryciny, książki, nuty, rozrzucone po całym pokoju i zwiększały niebezpieczeństwo, a przeciąg, spowodowany rozwartem oknem, podniecał jeszcze działanie ognia. Kłęby gorącego dymu zapełniały powietrze duszącemi wyziewami, a pokój przyboczny podobnym był do piekielnej czeluści, buchającej żarem.

January nie miał pojęcia o rozkładzie pokojów. Jeśli kto tam spał, wszelki ratunek był zapóźny. Na tę myśl włosy stanęły mu na głowie.

W salonie było kilkoro drzwi: jedne prowadziły do samego jądra pożaru, drugie obok były uchylone.

Był to gabinet Heleny, Dalej znów dwoje drzwi prowadziło w głąb' apartamentu. Na chybił trafił rzucił się w te, co bliżej były niebezpieczeństwa.

Z razu rozejrzał się z trudnością w pokoju, do którego się dostał: paliły się drzwi, paliły się firanki; gryzący dym tłumił oddech i zasłaniał powieki. Czyż tu była ona?

Był to pokój dziecinny; ujrzał to i, powodowany inną troską, o mało nie cofnął. Ale to instyktowe uczucie miało zaledwie trwanie sekundy. Zrozumiał, że los dawał mu w rękę sposobność, o której śmiał marzyć zaledwie. Rzucił się ku drzwiom. Dzieci spały w białych łóżeczkach, obwieszonych muślinowemi draperyami, a na nich ogień haftował już płomieniste girlandy.

Stara piastunka, pod której opieką zostawały. obudzona dopiero w tym momencie, przecierała oczy, napróżno widać chcąc zdać sobie sprawę z tego, co się działo. Przerażenie odbierało jej przytomność.

Skulona w rogu pokoju, spoglądała błędnie na szerzący się żywioł zniszczenia, niezdolna do udzielenia jakiejbądź pomocy.

— Gdzie Pani wasza? — wołał January—gdzie Pani?

W głosie jego była taka trwoga i taki rozkaz, że kobieta, słysząc go, oprzytomniała nagle i wska-

zała drzwi sypialnego pokoju. Pokój ten był dotąd nietknięty pożarem.

Odetchnął z głębi piersi i drżącemi rękoma obrywał palące się firanki, nie czując obrażeń ognia, gasząc go gwałtownym uściskiem. Potem pochwycił dzieci, przycisnął je do siebie, obwinął z troskliwością dziwną. On musiał oddać je matce nietknięte ogniem, i zwrócił się do drzwi, chcąc prędzej wynieść je z tej piekielnej atmosfery.

Dziewczynka nie obudziła się nawet: senna jej główka, oderwana od poduszki, opadła na ramię Januarego; atłasowa rączka obwinęła się około szyi z miękkiem poddaniem się niewiadomości; z uśmiechem na ustach kończyła marzenie jakieś. Chłopczyk obudził się, zrozumiał zapewne niebezpieczeństwo i, drżący, przytulił się do swego zbawcy tak, że January czuł serce jego uderzające na swojej piersi, szybko, mocno jak serce schwytanego ptaka.

Tymczasem dom cały zaczynał się budzić. Szmery i krzyki dochodziły z dziedzińca, wśród trzasku sprzętów i szmeru płomieni.

January ze swoim ciężarem szedł szybko do ogrodu, gdy w gabinecie drugie drzwi rozwarły się, targnięte gorączkową ręką i przed nim stanęła Helena. Obwinięta białą nocną szatą, nieprzytomna

z trwogi, biegła do dzieci, gotowa rzucić się w ogień, by ich szukać.

Ujrzała je w jego objęciu i znowu przez jedno mgnienie powiek, przy jaskrawym blasku ognia, co wdzierał się już do tego pokoju i ogarniał ich ze wszystkich stron, spojrzenia ich się spotkały.

W jej oczach były modlitwy dziękczynne, niebo blasków i wszystko, co wypowiedzieć może przepełnione serce. Te wielkie, spokojne oczy, płonęły teraz jak karbunkuły, ciskały iskry i tryskały łzami, które płynęły zwolna dwoma kryształowemi strumieniami po twarzy, bladej jeszcze przerażeniem.

January jedną ręką przyciskał dzieci do siebie, drugą wyciągnął ku niej namiętnym, niepohamowanym ruchem, pochwycił ją i prowadził przez palący się salon do ogrodu. Torował jej drogę wśród dymu i płonących sprzętów, gotów zasłonić ją ciałem własnem od niebezpieczeństwa, nie czując ran ani bólu. Byłby chciał, by chwila ta trwała wiecznie.

Ogród teraz nie był podobny do czarnej otchłani, — było w nim widno, jak w dzień biały przy blasku słonecznym. Tutaj dopiero, w najbardziej oddalonym zakątku jego, na ławce, obwieszonej kaprifolium i powojem, January położył śpiącą Anielkę i posadził przy niej Lucyana.

Helena rzuciła się do dzieci, objęła je ramiona-

mi, przyciskała do piersi z szalonem uczuciem radości i trwogi, jak dobro ocalone. January mógł sądzić przez chwilę, że zapomniała o nim; chciał się oddalić; ale, wśród zamieszania i trwogi tej chwili, uczynić to było trudno. Wszyscy zajęci byli pożarem, ona mogła potrzebować czegośkolwiek. Został, gotowy na jej usługi, patrząc, jak dotykała miękich ciał dzieci i drżała, by nie znaleźć na nich śladów płopłomienia.

— Nie lękaj się, pani; — szepnął— przyszedłem w samą porę; dopiero zaczynały się palić firanki łóżeczek.

Szczegół ten wydał jej się strasznym; przebiegł ją dreszcz od stóp do głowy, jakby uczuła dotknięcie ognia. Teraz już spokojniej spojrzała na Januarego. Ten człowiek wydał jej się aniołem z nieba; gotowa była paść przed nim na kolana, całować kraj szaty. Być może, iż twarz jego nie była dla niej obcą zupełnie; być może, iż przypominała sobie niewyraźnie, że widziała ją już kiedyś. Ale cóż ją to obchodziło. Ten człowiek teraz zwał się dla niej—zbawca.

Teraz dopiero dostrzegła, że ubranie było na nim popalone, a ręce nawet nosiły ślady ognia.

— Pan jesteś zraniony! — zawołała, chwytając ostrożnie jego ręce i szukając, czemby opatrzyć je mogła.

Rzeczywiście, gasząc firanki, poparzył sobie ręce; to podnosiło jego heroizm, pasowało go na bohatera.

— Jest to tak małe sparzenie, iż niewarto o niem wspominać—odparł, bo w tej chwili te lekkie rany nie zdawały mu się zasługiwać na uwagę.

Ta drobna okoliczność przepełniła miarę jej uczuć,—January urósł w jej oczach na męczennika.

— Powiedz mi pan — zawołała z wybuchem—czy jest jakie słowo, którem-bym wdzięczność moją wyrazić mogła?!

Mógł jej powiedzieć, że nie winna mu wdzięczności żadnej; że chwila ta była dla niego pełną niemarzonej nawet słodyczy; że błogosławiony ten niszczący żywioł, jakby na skinienie czarodziejskiej potęgi, zbudował pomiędzy niedościgłemi chęciami jego a rzeczywistością pomost płomienny. Mógł powiedzieć, że rzuciłby się bez wahania pomiędzy nią a każde niebezpieczeństwo; że broniłby jej z narażeniem życia i nie miałby w tem zasługi. A słowa te nie zawierałaby cienia przesady.

Ale to wszystko konało mu na ustach. Zdawało mu się, że ona powinna wyczytać te niewypowiedziane wyrazy na jego twarzy; że dźwięczały one w atmosferze, która ich otaczała, biły z jego spojrzenia.

A ona powtarzała ze złożonemi rękoma.

— Powiedz mi pan jak mogę ci wyrazić wdzięczność moją? bo ja na to słów nie znajduję. Życia nie stanie na spłacenie ci tego długu!

Słowa te brzmiały rozkosznie, a jednak drażniły go; wdzięczność, było to dla niego chłodny wyraz, żądał wiele więcej i dlatego zawołał:

— Ja nie mam żadnej zasługi, wierz mi pani, wierz.

Nie zrozumiała tych słów. Wolno mu było odrzucać dar jej wdzięczności. Ona wiedziała przecież, że z tą chwilą weszło do jej serca uczucie nowe a wielkie, które miało w niem gościć do ostatniego uderzenia.

Spoglądała na niego, przejęta czcią i uwielbieniem.

— Ja nie mam żadnej zasługi — powtórzył January—okna moje wychodzą na ten ogród. — I wskazywał je, zaledwie widne za gałęziami drzew.— Szczęście chciało, żem nie spał, że pierwszy ujrzałem pożar i zrozumiałem niebezpieczeństwo. Przyznaję że nawet w pośpiechu użyłem nie legalnej drogi; spuściłem się oknem. Nie było czasu obiegać dziedziniec i kołatać do drzwi zamkniętych.

Mówił tylko prawdę, ale prawda ta była dziwnie zręcznie użytą, podnosiła jego heroizm do potęgi.

Helena zmierzyła z przestrachem przestrzeń, oddzielającą okno od ziemi, z równym przestrachem spoglądała na człowieka, który nie wahał się użyć napowietrznej drogi, właściwej złodziejom i... kochankom z melodramatu, a który przyznawał to tak spokojnie.

— Ależ pan mogłeś się zabić! — zawołała, blednąc na samą myśl o jego niebezpieczeństwie.

Zrobił niedbały ruch, mogący świadczyć zarówno, iż nie troskał się o niebezpieczeństwo, jak i to, że ono nie istniało dla niego.

— Nie miałem czasu myśleć o tem — odparł zwolna—stałem w oknie, w pamięci mojej dźwięczała jeszcze pieśń Wagnera, którą grałaś pani wczoraj, ujrzałem ogień, wyobraziłem sobie panią uśpioną w pośród płomieni...

Nie dokończył frazesu, przecież te niedopowiedziane słowa były dość wyraźne: streszczały jego uczucie, mówiły coś więcej jeszcze, przypominały dzień wczorajszy, wspólne wrażenia, które ich zjednoczyły i na jedno mgnienie oka pozwoliły zajrzeć wzajem w głąb' istoty. Podniosła wzrok na niego, jakby chcąc sobie przypomnieć fakt jakiś, którego ważność obecnej chwili, zepchnęła w dal mglistą.

I odnalazła w pamięci wczorajsze spotkanie w Dolinie. Człowiek ten już raz stanął na jej drodze... Przecież teraz nie była zdolną rozróżnić uczuć,

zwrócić uwagi na odcienia, lub zrozumieć ukryte znaczenie słów.

Patrzała na niego w upojeniu wdzięczności, która czyniła ją głuchą i ślepą na wszystko. Widziała, że był blady; widziała, że był wzruszony, i kładła to na karb niebezpieczeństwa lub cierpienia, sprawionego lekką raną, przybierającą w jej wyobraźni ogromne rozmiary.

Rozmowa ich toczyła się przy migotliwym blasku płomienia, wśród trzasku pożaru i krzyku ratujących, urywana, gwałtowna.

Tymczasem zdołano opanować pożar. Kilka pokojów było zupełnie zniszczonych, ale dalsze, położone w głębi dzidzińca, przy energicznej pomocy ocalały. Pan Tytus, który do tej pory zajęty był obroną swego mienia i domu, wówczas dopiero pomyślał o tymczasowem pomieszczeniu rodziny i skierował się ku niej.

January wyzyskał chwilę, jaką mu los zesłał; na teraz nie mogła mu ona dać więcej, czekał tylko sposobności do usunięcia się. Pomimo całej determinacyi charakteru, nie pragnął w tym momencie spotkać się i zapoznać z tym człowiekiem. Kiedyś, później... Wiedział, że spotkanie to było nie uniknione; ale dziś pragnął unieść z sobą niezmącone wspomnienie, a przynajmniej uniknąć wdzięczności, która od niego byłaby mu nieznośną.

— A teraz, pani, — wyrzekł, żegnając pośpiesznie Helenę, — zdaje mi się, iż więcej potrzebny tu nie jestem. Powinnaś pani spocząć. Może jutro pozwolisz mi pani zapytać, jak spędziłaś tę resztę nocy.

Oddalił się, nie czekając odpowiedzi, pewny jutra, pewny przyszłości. Nie powiedział swego nazwiska, nie przez zapomnienie, ale rozmyślnie. Dziś w jej pamięci chciał pozostać jedynie bezimiennym zbawcą, tym, który wyniósł jej dzieci z płomienia, który czuwał nad nią zdaleka i z niebezpieczeństwem własnem pośpieszył jej na pomoc.

Kiedy po chwili zbliżył się pan Tytus, Helena z namiętnym płaczem rzuciła mu się szyję. Zdawało jej się, że od chwili, w której widziała go, w której wyszła z objętego płomieniami domu, oddzielała ją jakaś przepaść, że niebezpieczeństwo zagrażało jeszcze jej samej i wszystkim tym, których kochała, że szukała przed niem obrony, i znaleźć nie mogła.

IX.

Nazajutrz January spoglądał z okna swojego na ogród, który był widownią scen nocnych. Wzruszenia i wypadki nie zostawiły na jego twarzy widocznego śladu, przeciwnie, zdawało się, że odzyskał zupełnie panowanie nad sobą. Jakie bądź określone położenie—akcya — działanie, przywracały mu pogodę. Siny dym jego cygara unosił się w górę, a on patrzał na ten cichy ogród, dziś przepełniony wonią spalenizny. Kwiaty połamane, zdeptane trawniki, sprzęty powynoszone na prędce i zwalone na kupy, przedstawiały smutny obraz zniszczenia. Około zczernionej dymem werandy zwieszały się zwęglone łodygi dzikiego wina, co chwila za podmuchem

wiatru rozlatujące się w popiół, a zamiast strojnych okien eleganckiego mieszkania, widniały popękane szyby i spalone ramy.

Ten smutny obraz przecież nie zdał się bynajmniej czynić takiego wrażenia na Januarym; spoglądał nań ze spokojem człowieka, przypatrującego się normalnemu biegowi wypadków, który się nie dziwi i nie smuci niemi, bo wie, iż one iść muszą wedle praw niezmiennych.

Wprawdzie, przypadek niejednokrotnie niweczy najlepiej osnute zamiary, ale wzamian też nieraz przynosi niespodzianą pomoc. January na przypadek żalić się nie mógł, okazał się on najdzielniejszym jego sprzymierzeńcem, tak dalece, iż pomimo wszystkich pesymistycznych teoryi, jakie wygłaszał zwykle, świat wydawał mu się dzisiaj wcale nieźle urządzonym.

Umysł jego kreślił, z właściwą sobie śmiałością, najrozmaitsze plany przyszłości, kiedy zadzwoniono do drzwi jego.

Pan Tytus, zaledwie obudziwszy się, przybiegł wyrazić mu wdzięczność.

January znał ludzi, wiedział, że odwiedziny te i podzięka nastąpić musiały. Przygotował się na nie i przyjął, jak przyjąć należało, ze skromnością człowieka, który, chociaż zasług swoich przyznać nie

chce, nie może przeszkodzić uznaniu drugich. Wyrozumował sobie nawet, iż miał wszelkie prawo do jego osobistej wdzięczności, bo, koniec końców, gdyby nie jego pomoc, kto wie, co byłoby się stało.

A jeśli stanowczo odrzucał wdzięczność Heleny, i żądał stokroć więcej, powody te nie istniały względem pana Tytusa.

Zaledwie się on oddalił, wpadł jak bomba, do pokoju Emil. Fejletonista nie myślał wypuszczać z ręki szacownej szansy wyzyskiwania Januarego i jego domniemanych sentymentów, chociażby przez czas krótki.

— No i cóż? — zawołał poufale, — czekałem na ciebie w Dolinie, upatrywałem na wszystkie strony, i nie ja jeden... doprawdy nie ja jeden.

Sprytne oczy jego szukały wzroku Januarego, uśmiechał się, jakby chciał wzajem wywołać uśmiech na jego ustach; ale manewra te były zupełnie daremne. January, rozgniewany plotkami, jakie on rozsiewał, pozostał zupełnie chłodny. Niezrażony Emil dodał tajemniczo, jakby pewny swego tryumfu:

— Była i pewna piękna pani; rozmawialiśmy o tobie.

W tej chwili sprzymierzeniec ten i poufałość jego wydały się nieznośnemi Januaremu. Cała duma powróciła mu na usta i błysnęła w oczach.

— Jeśli sądzisz,—spytał szyderczo—że, jak tylu innych dostarczę ci tematu do powieści, lub skandalicznego epizodu do fejletonu, to się mylisz. Wyprowadziłeś ze słów moich wczorajszych, rzuconych na wiatr, wnioski nie usprawiedliwione bynajmniej a wieści, jakieś rozpuścił, jakkolwiek mało mnie obchodzą plotki, wyleczyłyby mnie z chętki poznania bliżej jakiegobądź świata, gdybym ją miał kiedykolwiek na seryo.

Mówił to suchym tonem, nie zostawiającym żadnej wątpliwości, co do znaczenia wyrazów, którymi posługiwał się w wyjątkowych chwilach.

Emil ugryzł się w język.

— Widzę to—zawołał — gniewasz się na mnie za te plotki, którym ja w gruncie najmniej jestem winien.

— Wiesz, iż nie cierpię rzeczy bezpożytecznych, dlatego też nigdy nie gniewam się na nikogo. Słowo podobne nie istnieje w moim słowniku. Co najmniej, zostawiam je lichym pedagogom względem krnąbrnych uczniów: Pomiędzy ludźmi nie mogą mieć one znaczenia.

Fejletonista, słuchając tej mowy, rzeczywiście podobnym był do skarconego ucznia, bo nawet, ko-

rzystając z chwili, w której January odwrócił oczy, zrobił po za plecami jego wymowny grymas. Nie tracąc jednak humoru i nie biorąc do siebie przymówki, zmienił temat rozmowy, jak to także czynią niekiedy dzieci w podobnych warunkach.

— Ale cóż to? pożar był w domu?

— Czy z fejletonisty zdegradował cię Karol na reportera — spytał uszczypliwie January — że cię to obchodzi?

Emil skrzywił się.

— Jesteś dzisiaj w złym humorze — wyrzekł kwaśno. Gotówem cię posądzić, że winna temu jedna z tych pięknych pań, o której mówiłeś wczoraj.

— Posądzaj mnie, o co chcesz, nawet o ból głowy, spowodowany dymem i hałasem pożaru.

Tłomaczenie, zwłaszcza dane w tej formie, wydało się racyonalnem fejletoniście; nie nalegał więc, i widząc, że dnia tego nie usłyszy nawet żadnego paradoksu, usunął się czemprędzej.

January nawet nie obejrzał się za nim.

Nieco później nadszedł Ignaś, punktualny, jak zegarek. Pośrednictwa jego przestał potrzebować January, a teraz nie myślał zwierzać mu się z wypadków nocnych; odzyskał samego siebie; rozmarzenie, tęsknota, wszystkie te niezwykłe uczucia ustąpiły

pozorom zwykłego szyderstwa i chłodu. Co myślał, co czuł lub zamierzał, zamknął w samym sobie.

Poczciwa i pogodna zwykle twarz Ignasia była zasępioną; pod letnim, narzuconym paltotem, widać było staranne wizytowe ubranie.

— I cóż? - wyrzekł — kazałeś mi przyjść, przyszedłem.

Janury wstrząsnął głową i wskazał mu przez okno ślady pożaru, zamykając się w dyplomatycznem milczeniu.

Twarz Ignasia wypogodziła się nagle.

— Ha!—wyrzekł, siadając naprzeciw Januarego,—chciałeś, żebym cię tam zaprowadził, nie mogłem ci odmówić; ale doprawdy, że to szczęśliwie się stało.

Nieokreślony uśmiech zarysował się na twarzy Januarego.

— Odkądże to nauczyłeść się tej groszowej moralności? Zapewne wykłada ci ją panna Jadwiga we własnym interesie.

Ignaś wstrząsnął niechętnie głową.

— Choćbyś miał nie wiem jak śmiać się ze mnie—mówił dalej Ignaś—ja nie mogą obronić się od tej myśli, że wprowadzając cię tam, przykładałbym rękę do złego uczynku.

January wpatrzył się w niego przenikliwemi oczyma.

— Masz oryginalne pomysły—wyrzekł z lekceważeniem. — W każdym razie sumienie twoje może być spokojne. Samo fatum stanęło w jego obronie, pod postacią zapałki, papierosa, wywróconej lampy, lub jakiejbądź innej przyczyny pożaru, (bo istotnie nie mam pojęcia, zkąd wyniknął). Masz wszelkie prawo umyć ręce i stanąć pomiędzy niewinnymi.

— Mów sobie, co chcesz, — pochwycił Ignaś— żartuj, ile chcesz, ale widzisz, ta kobieta jest szczęśliwą, wszyscy są szczęśliwi koło niej. Szczęście jest rzadkim darem na ziemi, uszanować je trzeba. Ale czegóż się śmiejesz?

— Bo przygotowałeś oracyę, którą koniecznie wypowiedzieć musisz, chociaż okoliczności się zmieniły. Coś niby mówkę pogrzebową, gdy tymczasem nieboszczyk wstał z letargu. Powtarzam: delikatne sumienie twoje może zasypiać w spokoju; nie przykładasz ręki do żadnego zbrodniczego czynu.

Ignaś przypatrywał się z zakłopotaniem końcom lakierowanych bucików, obracając przytem na wszystkie strony laskę, trzymaną w ręku, jak gdyby miał jeszcze coś do powiedzenia, pomimo, iż szyderstwa Januarego zamykały mu usta.

— Widzisz — wyrzekł znowu—są ludzie, obdarzeni potęgą, których woli oprzeć się niepodobna; wiesz dobrze, iż ty do takich należysz.

— Masz o mnie nie lada wyobrażenie. I gdybym był zarozumiałym...

— Mówię ci prawdę jedynie; pomyśl o tem, January, pomyśl, że silny powinien być oględnym także, i powiedz, czy ja nie mam słuszności.

— Powiem ci, że wraz z wizytowym strojem przywdziałeś kaznodziejską togę, w której ci wcale nie do twarzy. Idźże raz i zdejm je czemprędzej, bo wszakże widzisz, że jedno i drugie równie niepotrzebne. Ale lepiej siadaj; muszę ułożyć prospekt mego pisma; myślałem o tem właśnie; chcę i potrzebuję wziąć się na seryo do tej pracy. „Hasło“ poczuje, co straciło, odrzucając przymierze ze mną.

Powstał, mówiąc to, i zaczął przechadzać się po pokoju, dyktując Ignasiowi prospekt gwałtowny i namiętny, jak były jego przekonania. Czyniąc to, zapalał się coraz więcej, jakby pragnął zwrócić w tę stronę myśl swoją i działalność, dać zajęcie wyobraźni, lub skrócić jakiś czas oczekiwania.

Za każdym peryodem, ożywiała się radością twarz Ignasia. Gdy skończył wreszcie, zerwał się, pełny zapału.

— Zabijemy „Hasło!“ Jak oni mogą przypuścić, że się bez ciebie obejdą? Ukazanie się twego dziennika, January, stanowić będzie epokę!

Zwracał się ku niemu z góry już dumny jego sławą, pewny, że spotka na jego twarzy uczucia, jakie się w nim budziły. Ale wzrok jego był zamyślony, zdawał się zwracać do głębi własnego ducha, jakby tam tonął w wspomnieniach, lub szukał jakich obrazów.

— Ale o czemże ty myślisz? — zapytał nagle Ignaś, zmrożony w swoim zapale.

January wzruszył ramionami niecierpliwie.

— Naturalnie, że myślą o „Gazecie porannej.“ Mam piekielnie wiele zajęcia, chcę ją rozpocząć od kwartału, a ma przed sobą tylko sześć tygodni czasu. Trzeba wybrać lokal na redakcyę, zgodzić drukarnię, rozpisać listy, przygotować materyały.

— To za mało czasu—westchął Ignaś.

— Czasu jest dość, tylko trzeba umieć go użyć; nie znoszę bezczynności. Dziś zaraz poczynię potrzebne kroki. Ty, Ignasiu, idź, oddaj prospekt do cenzury; będzie to najlepsza odpowiedź na wczorajszą rozmowę z Karolem.

Pożegnał go temi słowy; Ignaś podobnego zlecenia nie dał sobie powtórzyć.

Gdy wyszedł, January zamknął drzwi na klucz, odgraniczając się tym sposobem od natrętów wszel-

kiego rodzaju. Znajdował się w dziwnem usposobieniu, potrzebował jakiegoś gwałtownego zajęcia, w któremby namiętności jego były zainteresowane; pomimo to, co chwila zapadał w marzenia!

Rzeczywiście, wydawnictwo, jakie prowadzić zamierzał, potrzebowało energicznej działalności. Ignaś mógł mu być pomocnym, ale zastąpić go nie był zdolny. January zaczął się ubierać do wyjścia, czynił to ze starannością, nieznaną mu dawniej, przywiązując do drobiazgów wartość, jakiej nigdy nie miały dla niego; a wychodząc, (rzecz niesłychana), szukał oczyma lustra, w któremby się mógł przejrzeć. Ale w mieszkaniu jego nie było tego zbytkownego sprzętu. Wzruszył ramionami nad własną fantazyą, i wyszedł.

Gdyby się był przejrzał przecież, byłby niezawodnie zadowolony ze swego obrazu. Noc bez snu i wrażenia doznane wyryły mu się bladością na twarzy, tą bladością wrażliwą, namiętną, świadczącą, że krew zbiegła do serca i co chwila zapala spojrzenie, gorącą falą oblewa czoło. Na czole tem, dumnem i jakby odświeżonem marzeniami, tkwiła ta potęga myśli, ta nieugiętość woli, nadająca mu wpośród ludzi tak wydatne piętno, iż wszystkie oczy zwracały się na niego. Strój nawet, staraniejszy niż zwykle, uwydatnił wykwintność powierzchowności, będącej, wrodzonym przymiotem pewnych bogato obdarzonych natur.

Wychodząc, ażeby załatwić ważne sprawy swego przedsiebiorstwa, miał prawo dowiedzieć się, chociażby u drzwi pani Halskiej, o jej zdrowie. Myśl ta sprawiała mu wzruszenie, nad którem trudno mu było zapanować. W milczeniu schodził ze schodów, hamując krok swój, ale nie mogąc wstrzymać gwałtownych uderzeń serca.

Nie tracił, pomimo to, ani na chwilę władzy analizowania swoich wrażeń. Zatrzymał się nawet i uśmiechnął nad sobą z politowaniem.

— Doprawdy, jestem dziecinny — szepnął z odcieniem niecierpliwości—gotówem wyjść na arkadyjskiejskiego pasterza.

Siła uczuć świadczyła o sile indywidualności: nie oburzał się na nie, chciał tylko być więcej panem siebie; oburzał się na niedołęzwo własnej woli, z pod kontroli której wyłamywały się uczucia.

Z mieszkania, które zajmowała Helena, zaledwie parę pokojów ocalało; tutaj umieściła się tymczasowo; służba była zdezorganizowana, drzwi otwarte, przedpokój pusty. Dzieci tylko, uszczęśliwione, według zwyczaju dzieci, zmianą każdą, obiegały radośnie nowe kąty.

Widząc Januarego, zatrzymały się oboje, zmieszane spoglądając na niego.

Ale chłopczyk poznał go widać, bo po chwili po-

skoczył ku niemu z wyciągniętemi rączkami; a potem pobiegł do drugiego pokoju, i January słyszał, jak wołał:

— Ten pan, co mnie i Anielkę wyniósł z ognia!

Uśmiechnął się w duchu; był przyjmowany tak, jak tego pragnął; zdobył sobie w tym domu stanowisko, jakie zamierzał.

Helena wybiegła ku niemu z okrzykiem, z wyciągniętemi rękami. Widocznie pilno jej było zobaczyć go znowu, wypowiedzieć to wszystko, czego niewypowiedziała wczoraj, lub wypowiedzieć raz jeszcze. Serce jej przepełnione wzbierało na ustało.

Wiedziała już, kto on jest; spoglądała ze zwilżonemi oczyma na tego człowieka o tak rozgłośnej sławie, który ukazał się wśród płomieni, jak anioł zbawczy.

January był bardzo blady, ręka, którą przesuwał po głowie Lucyana, drżała lekko; głos jego, gdy się odezwał, był także drżący.

Ale Helena niemniej od niego była zmieszana. Utraciła zupełnie ten dumny spokój, przyprowadzający go do rozpaczy. Patrzała na niego, jakby nie dowierzała samej sobie, zmysłom własnym. I wówczas spotkała ten wzrok, pełny nieprzepartej, narzucającej się siły, przejmujący ją tajemniczą zgrozą, którego potęgi doświadczyły już dwa razy, z którego wspomnieniem walczyła.

Zabawił tylko chwil kilka, chciał tylko dowiedzieć się o jej zdrowie, odnowić wrażenia, jakie ich łączyły, zdobyć sobie prawo obywatelstwa w jej domu. Nateraz wiedział dobrze, iż było to wszystko, czego mógł żądać.

X.

Odtąd życie jego zmieniło się zupełnie. Odrzucił samotną pracę, do której był w tej chwili niezdolny i rzucił się gorączkowo w wir zajęć i trudności, jakich wymagało założenie nowego dziennika. Wszędzie był czynny, załatwiał osobiście wszystkie sprawy, jak gdyby pragnął omylić wyobraźnię, i zagłuszyć niezmordowaną działalnością namiętne pragnienia serca.

O pani Halskiej nie mówił z nikim, nawet z Ignasiem. Nie było jednak tak zajętego dnia, w którymby choć godziny nie poświęcił jej wyłącznie, nie był u niej, lub w ciszy swego pokoju, nie spoglądał na nią zdaleka.

Odwiedziny jego powtarzały się coraz częściej, aż wreszcie stał się jej codziennym gościem.

Stosunek był pomiędzy nimi jawny, otwarty, przyjazny, January nie wybierał godzin, w których była sama. Nie przypomniał jej też żadnem słowem gwałtownych uczuć, jakie w nim wzbudzała, o jakich natrącił może nie chcący w gorączkowej chwili pierwszego spotkania. Starał się niemal o to, żeby o nich zapomniała, lub mogła przypisać je wrażeniom i niebezpieczeństwu chwili, jakby pojmował najsubtelniejsze odcienia uczuć niewieścich.

Rozmowa między nimi trzymała się abstrakcyjnych sfer, lub spraw miejscowych, często jego dziennikarskich zajęć, jak gdyby nie było pomiędzy nimi wyjątkowych okoliczności i wyjątkowych uczuć. On mierzył niejako jej duchową skalę, potrącał o rozmaite przedmioty, badając puls uczucia, zapytując myśli, dokąd sięgała.

Spotykał się z wyrobieniem intelektualnem, o wiele szerszem i głębszem, niż je ogół kobiet posiada; spotykał nawet to, na co nie rachował wcale, konsekwentność i logikę pojęć, tłómaczące po części ten wielki i dumny spokój, jaki leżał na jej czole.

Wbrew zwyczajowi kobiet, Helena zdawała sobie sprawę ze swego położenia, widziała do czego dąży, jaki cel postawiła sobie w życiu. Podobne isto-

ty nie upadają w chwili zapomnienia, nie dają się pochwycić przez rozigrane nerwy, ani przez nieokiełzaną fantazyę; nie są ofiarą pierwszej lepszej woli, ale bronić się umieją. Ażeby je zdobyć, trzeba naprzód zdobyć ich przekonanie.

Było to stokroć więcej, niż January wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach; było to jednak właśnie to, co odgadywał z jej rysów, w chwilach jasnowidzenia, jakie daje miłość. Była to kobieta, o jakiej marzył, usprawiedliwiająca niejako, w oczach jego własnej chłodnej rozwagi, namiętność, jaką w nim wzbudziła.

Czasami jednak rozmowa dotykała punktów, których oboje uniknąć pragnęli, które wprawiały w drżenie najtajniejsze fibry uczuć; wówczas wrażenia ich potęgowały się wspólnem poczuciem, podziałem i odbiciem; wówczas, zamiast słowami, odpowiadali sobie wzajemnie milczeniem, i jakby wykonywając umowę, nigdy nie zawartą, ale instynktownie przyjętą, zwracali ją na tory inne, i zaczynali snuć ją z innego wątka.

Nie on jeden był tutaj badaczem. Ona także zapuszczała się w głębie tego potężnego umysłu, próbowała iść z nim na wyżyny myśli, nie lękając się zawrotów i olśnień. Była to dla niej rozkosz nowa, zbyt rzadko spotykana w życiu. Czuła się naprze-

mian zachwyconą i zdumioną. Nie przywykła była do tych śmiałych, niczem nie wstrzymanych polotów myśli, nie cofającej się przed najostateczniejszemi wynikami, jeśli tylko te leżały w jej zakresie.

A gdy jej wyraziste oczy przywtarzały mu spojrzeniem, January rozumiał, iż znalazł w niej umysł równy sobie, jeśli nie siłą i rozwojem, to konsekwencyą i zdolnością.

Był to dla niego najwyższy, nieprzeparty urok.

— Pani posiadasz rodzaj odwagi najrzadszej w kobiecie, odwagę myśli—wyrzekł raz, gdy wykładał jej jakąś filozoficzną teoryę.

— Jest to może—odparła—odwaga nieświadomości tylko.

— Nie mów pani tego!—zawołał gorąco — nie próbuj odebrać mi wiary, jaką wzbudziłaś.

— Jakiej wiary?—spytała zmieszana.

— Wiary w wysokość twej umysłowej skali. Pani nie cofnęłabyś się przed ostatecznym wynikiem rozumowania, choćby nawet tak chciała wola twoja; ona nie byłaby dość silną, by zmusić myśl do popełnienia niekonsekwencyi, po za którą najczęściej kryje się tchórzostwo ducha.

— Masz pan słuszność—zawołała—nie byłabym nigdy zdolna zatrzymać się w pół drogi.

Było to więcej, niż śmiał marzyć. Z nieopatrznością dziecka, oddawała temi słowy klucz swojej moralnej istoty; nie czuła, iż było to niebezpieczne ustępstwo, że słowa te mogły jej być przypomniane w danej chwili i nabrać doniosłości, o jakiej nie myślała.

— A więc nie mów pani, że to jest odwaga nieświadomości—mówił dalej January—nie masz prawa zmniejszać swej wartości. Tylko niedołężni oddzielają myśl od czynu, cofają się przed spełnieniem faktu przyjętego w teoryi. Pani do tego byłabyś niezdolną.

W innej chwili, może konsekwencya ta, wyprowadzona z jej słów, to brutalne wkroczenie faktów w dziedzinę abstrakcyi byłoby jej dało do myślenia; ale w głosie jego były tony, wprawiające w drżenie najtajniejsze fibry jej istoty, w źrenicach połyski, które udzielały jej się, wchodziły w krew, zakradały do serca. Myśli jej były podniecone.

— Zkąd pan to wiesz?—zapytała przecież wiedziona raczej instynktem obronnym przed tą zagarniającą ją indywidualnością, niżeli trzeźwem objęciem położenia.

— Jeśli się mylę, niech mi pani zaprzeczy.

Uczynić tego nie mogła; nie mogła uciekać się do kłamstwa: wiedziała dobrze, iż miał słuszność.

A on powtarzał uparcie:

— Niechaj mi pani zaprzeczy.

Była szalona pewność siebie w tych słowach, i budziła w niej chęć ukarania go za nią.

Ale on dodał, przechodząc nagle z gwałtownych do miękich tonów:

— Pani tego nie uczynisz, uczynić nie możesz, chociaż gniewasz się, żem cię śmiał odgadnąć.

— Jakim sposobem czytasz pan myśli moje?! — zawołała nagle, przerażona trafnością, z jaką formułował to, czego sama sobie nie wypowiedziała dokładnie.

Uśmiechnął się z łagodnością, nadającą uśmiechowi temu wdzięk nieprzeparty.

— Mógłbym odpowiedzieć, że myśli i uczucia pani łatwe są do odgadnięcia, byłby to przecież komunał bez żadnego znaczenia. Wolę powiedzieć, że ludzie są jedni dla drugich zrozumiali lub niepojęci, w miarę swych powinowactw moralnych, w miarę tego, czy spotykają się, lub nie, promienie ich myśli, i że pani moje równie odgadnąć możesz.

Tłómaczenie było proste. Nie wywierał na nią moralnego gwałtu, przyznawał jej prawo odwetu.

— A jeśli tak jest pomiędzy nami—mówił dalej z łagodnym naciskiem — to przecież pani obrażać nie powinno.

— Powiedz mi pani, żem cię nie obraził—dodał po chwili—nie mógłbym rozstać się z panią, unosząc z sobą podobną trwogę.

Domagał się odpowiedzi dźwiękiem głosu, spojrzeniem, postawą całą, z tą pokorą pełną burz, która lada chwila w groźbę przemienić się może.

— Skoro pan odgadujesz, co ja myślę, nie potrzebujesz odpowiedzi — odparła, zdobywając się na uśmiech, kryjąc po za nim pomieszanie swoje.

— Pani wiesz dobrze, iż są rzeczy, które zbyt miło jest usłyszeć, ażeby je odgadywać.

Dalej idąc tą drogą, mogła wydawać się zalotną. Z tym człowiekiem każda taktyka była równie niebezpieczną. Zrozumiała to szybko i porzuciła ton żartobliwy.

— Jest to z pańskiej strony żart tylko—wyrzekła—nie obraziłeś mnie pan, nie mogłeś obrazić, mówiliśmy o kwestyach oderwanych, nie mieszając do nich osobistości.

— Niestety, pani, są osobistości absorbujące nas tak silnie, iż, chcąc nie chcąc, mieszamy je do każdej kwestyi i zrezygnować się na to musimy.

Dumna natura jego niezdolną była cofnąć się

kiedykolwiek. Miałaż okazać się mniej dumną od niego?

— Ja nie należę do zrezygnowanych—odparła, probując skrzyżować z nim wzrok i wytrzymać jego spojrzenie.

— Ma się rozumieć; niepotrzebnie uprzedzasz mię o tem pani; rezygnacya, ta cnota bezsilnych i beznamiętnych nie morze iść w parze z usposobieniem twojem, wiem o tem.

— Więc dla czegóż mówiłeś pan o rezygnacyi?

— Mówiłem może o samym sobie — odparł zwolna.

— Pan przecież także do zrezygnowanych nie należysz.

— Jak kiedy, pani; są wypadki, w których rezygnacya jest bardzo łatwą. Być może, iż wyraziłem się nie dość jasno. Nie moja wina; wyrazy stosują się z konieczności do ogólnego poziomu, nie starczą często wyjątkowym chwilom.

Nie tłómaczył się wyraźniej i ona tego nie żądała. Być może, iż rozumieli się oboje; być może, iż ona zrozumieć nie chciała.

Nie była zdolną zdać sobie sprawy z czasu trwania tej rozmowy; minęła szybko, jak błyskawica, a jednak zostawiła w niej tak wielkie przemiany, iż,

gdyby ją mierzyła doznanemi wrażeniami, musiałaby ją uważać jako bardzo długą.

W królestwie myśli odbyły się zaręczyny dwóch inteligencyi, ten niczem nie zerwany węzeł, jednoczący ludzi naprzekor okolicznościom i woli, stanowiący najniebezpieczniejszą, bo najczystszą pokusę dla wysokich indywidualności.

Kiedy January powstał nagle, aby ją pożegnać, uczuła dopiero, jak wielkie miejsce ten człowiek zabrał w jej życiu.

Gdy odszedł, ukryła twarz w dłoniach i pozostała zatopiona w myślach. O czem myślała? Gdyby zadał jej kto znienacka to pytanie, nie umiałaby odpowiedzieć. Obrazy jakieś i wrażenia błąkały jej się luźnie po głowie; powracały jej do pamięci chwile pierwszej młodości, aspiracye, uczucia i pragnienia lat szesnastu, które zniweczyło lub uśpiło życie, budziły się w piersi jakieś głuche wrzenia niezniszczonych marzeń, odzywały się chóry głosów wiośnianych, pachniały jaśminy i róże, które zrywała kiedyś, rojąc sielanki dziewicze. Ona byłaby kochała, ona pragnęła kochać, zlać myśl z myślą, uczucie z uczuciem, iść w życiu ręka w rękę, z oczyma wlepionemi w jeden cel, z sercem, któreby biło równie silnie, równie gwałtownie. Czy to wszystko minęło niepowrotnie? Czy było to dla niej już tylko prze-

szłością, wspomnieniem odległem, skazanem na wieczne milczenie, wówczas, gdy w całym słonecznym blasku zjawiało się w jej pamięci? Czy to było sprawiedliwe? Czy to było możebne?

Koło niej odzywały się różne głosy — nie słyszała ich, słyszeć nie chciała. Zdawało jej się niepodobieństwem wyrwać się z pośród tego cudnego koncertu uczuć, śpiewających w jej sercu słowiczemi głosami. Nie zastanawiała się, jaki czarodziej je wywołał. Myślała całą potęgą inteligencyi; oddychała całą piersią; żyła, w całem bujnem tego słowa znaczeniu, jak gdyby nagle ktoś wyzwolił ją z pęt jakichś, zrzucił zasłonę z oczu i myśli.

Nagle ręka jakaś odjęła jej dłonie od twarzy, a głos dobrze znany odezwał się z wyrazem troskliwości:

— Czyś nie chora, Helenko?

Przed nią stał zafrasowany pan Tytus.

W tej jednak chwili nie wywołał on na jej usta przyjaznego uśmiechu, z jakim witała go zwykle. Przeciwnie: zmroczył słoneczne obrazy, wśród których była pogrążona, rzucił na nie cień swojej postaci.

I po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że jeśli w pamięci jej tkwiło tyle niespełnionych marzeń,

tyle pragnień niespełnionych—on był za to odpowiedzialny.

Była to myśl szalona, niesprawiedliwa i niebezpieczna; protestowała przeciw niej dobroduszna fizyonomia pana Tytusa, który, nie odbierając odpowiedzi, powtarzał z podwójną troskliwością:

— Czyś ty nie chora?

— Nic mi nie jest — szepnęła niecierpliwie, zamykając oczy, jakby od rzeczywistości uciec chciała do zaczarowanej krainy, z której głos ten ją wyrwał.

— Moja dobra Helenko — nalegał pan Tytus— jesteś bardzo blada, prawdziwie nie poznaję cię dzisiaj.

Te słowa oprzytomniły ją nagle. Ona sama nie poznawała siebie.

Powstała śpiesznie, jakby zmiana miejsca mogła zniszczyć potęgę ogarniających myśli, usiłując się zwalczyć. Wymawiała sobie szorstkość odpowiedzi, nie stwierdzającej bynajmniej tego epitetu „dobra“, zwróconego do niej z taką ufnością.

— Rzeczywiście — wyrzekła, jakby chcąc zatrzeć wrażenie przedchwilowego zniecierpliwienia — jestem jakaś nieswoja, jakaś rozstrojona.

Oczy jego niespokojnie objęły ją całą.

— Tylkoż ty mi nie choruj—zawołał z naiwnym wybuchem, świadczącym, jak ona drogą mu była—to byłoby gorszem, niż wszystko.

Wzruszyła lekko ramionomi. Ta troskliwość męczyła ją.

— Bądź spokojny, nie jestem chora.

— Może źle spałaś dziś w nocy? niewygodnie ci w tem improwizowanem mieszkaniu? Nieprawdaż?

— Rzeczywiście, źle spałam — wyrzekła, chcąc tym sposobem przeciąć pasmo jego pytań.

— To połóż się trochę; ja pilnować będę, żeby ci nikt nie przeszkodził. Czy dobrze?

Był tak dobry dla niej, tak troskliwy, iż czuła się przejętą do głębi serca. Cóż znaczyły jej marzenia, jej niecierpliwość przed chwilą. Czyż miała prawo skargi lub żalu? Czyż to serce nie należało do niej bezwarunkowo? Czyż nie była dla niego spokojem, szczęściem, życiem?

— Czy ci kto wyrządził jaką przykrość?—spytał gwałtownie, widząc łzy migocące w jej oczach.—W takim razie...

— Nie, och, nie!—zawołała.

Wzięła jego rękę i patrzała zwilżonym wzrokiem.

— Tytusie!—szepnęła.

— Czy chcesz czego?—spytał—powiedz; wiesz, że zawsze robię, co ci się podoba.

Mówił to z rodzajem dumy. Szczycił się tem, że był dobrym mężem.

— Ale dzisiaj—dodał—doprawdy ja cię nie pojmuję.

Czemuż on nie mógł odgadnąć niespokojnych uczuć, co zagościły w jej piersi? czemuż ich nie odżegnał?

I powróciły jej do myśli słowa, słyszane przed chwilą: Ludzie są jedni dla drugich zrozumiali lub niepojęci, w miarę swych powinowactw moralnych".

Ona dla niego była niepojętą!

Załamała ręce... nigdy fakt ten nie uderzył jej tak, jak teraz.

Ale oni porozumieć się mogli, musieli.

— Tytusie!—wyrzekła znowu.

Zamierzał wyjść i kładł właśnie rękawiczki, kiedy na progu prawie zatrzymał go głos żony.

— Czy chcesz czego?—zapytał, zwracając się do niej.

Brwi jej się zbiegły. Czemu on odchodził? czemu zostawiał ją samą? W tej chwili po raz pierw-

szy ulękła się samotności i marzeń, jakie jej ona przynosiła.

— Chciałabym — wyrzekła — czy nie możesz usiąść tu przy mnie?

— I owszem, mów, tylko prędko.

Usiadł, ale nie zdjął rękawiczek, jak człowiek, co przez grzeczność odkłada jakiś zamiar.

To zmroziło jej słowa na ustach. Bo wreszcie cóż ona powiedzieć mu chciała? chciała może pociągnąć myśl jego w dawne czasy, próbować obudzić w nim echa, które drgały w jej piersi, i dostroić je do jednej miary. Ale tego nie mogła uczynić w jednej chwili.

A on powtarzał z pewną niecierpliwością:

— Powiedz-że, czego chcesz?

— No, czemuż nie mówisz? — dodał, nie odbierając odpowiedzi. — Bo widzisz, jeżeli to nie bardzo pilne, to powiesz mi, gdy powrócę.

Puściła jego rękę, którą trzymała w swoich; czuła się urażoną, może bardzo niesłusznie, i razem ogarnął ją śmiertelny smutek, śmiertelne zniechęcenie. Czyż to, co chciała uczynić, nie było niepodobieństwem?

— Masz słuszność, to nie pilne wcale — wyrzekła cicho.

Popatrzał na nią przez chwilę, pocałował ją w czoło, i odszedł z lekkiem sumieniem.

A przecież ta drobna z pozoru scena zdradzała jakiś głęboki, moralny rozstrój, który był symptomatem znaczącym. Ale pan Tytus nie znał się na podobnych symptomach. Nie czytywał żadnego z subtelnych psychologów, ani fizyologów, zastanawiających się nad kwestyami małżeńskiemi; gdyby i czytał nawet, nie przyszłoby mu nigdy na myśl, by to się mogło stosować do niego, lub do niej. To spokojne serce nie rozumiało wszystkiego, co przenosiło jego miarę i zakresem swoich uczuć chciało warunkować świat cały.

Helena patrzała posępnie za oddalającym się mężem; przyszła jej myśl biedz za nim, zatrzymać go i powiedzieć mu... Ale cóż powiedzieć mu miała? Dzięki Bogu nie miała dotąd nic do wyznania, prócz marzeń nieokreślonych, marzeń bez ciała i twarzy wyraźnej; nic do wyznania nie będzie mieć nigdy. Czyż miała zakłócać napróżno spokój domowy i szczęście tego zacnego człowieka, który kochał ją całą potęgą swego serca, którego kochała ona? Bo przecież ona kochała męża, to nie podpadało wątpliwości żadnej, nie potrzebowała o to zapytywać samej siebie, badać swego serca.

Trwogi jej dowodziły istotnego rozstroju

nerwów; z trochą rozwagi przekonała o tem siebie. Wszakże przychodziły na nią, bez wiadomej przyczyny, chwile gwałtownych wzruszeń, niepojętych smutków, jak wówczas, gdy słuchała muzyki Wagnera. To nie January był temu winien. On tylko rozbudzał jej myśli. Zresztą zapomnieć nie mogła, że był zbawcą jej dzieci.

Na mocy tego przekonania, powoli odzyskała zachwiany spokój.

Widywali się prawie codziennie na tej werandzie, która stała się znowu jej ulubionym siedliskiem, skoro zatarto ślady pożaru. Tylko kwiaty, zwarzone gorącem, straciły barwy; tylko połamane krzewy nie odzyskały odrazu dawnej czerstwości, tylko może w tajemnicy jej serca coraz częściej zrywały się burze.

Ale czyż burz takich powodem był January?...

Gdyby tak było, pomimo wszystkiego, ona potrafiłaby się obronić przed jego miłością, zachować godność i cześć swego domowego ogniska.

Jeśli myśli jego były śmiałe, jeśli dotykał bez wahania wszystkich problematów życiowych, jeśli wzrok jego był czasem gwałtowny, nigdy słowem żadnem nie zgrzeszył przeciwko niej.

Mogła śmiało myśleć, że całą działalność jego pochłaniał dziennik, który ukazał się, jak meteor, na

literackim horyzoncie i zajął od razu wybitne stanowisko.

Niejeden na miejscu Januarego, wśród zamiany myśli i ścierania się zasad, zdradziłby się jakiembądź spojrzeniem, słowem, lub wreszcie płomieniem i bladością twarzy. On jednak poznał tę kobietę, którą zdobyć postanowił, i wiedział, że trzeba mu było naprzód opanować jej przekonania, jej wolę, jej istność całą, pod bezpieczną osłoną obecnych stosunków. A jednak nieraz, kiedy ręka jego dotykała jej ręki, gotów był przylgnąć do niej ustami i nie wypuścić jej więcej; kiedy wymawiał mierzone słowa powitania, cisnęły mu się na usta niepohamowane wyznania i zaklęcia; ale roztaczał nad samym sobą żelazne panowanie woli i, kiedy myśli mąciły mu się w mózgu, kiedy cała istność drgała rozburzona, umiał zachować spokojne czoło i wzrok niezbadany, tak, że pod lodową maską jego twarzy, Helena nie mogła odgadnąć kipiącego wulkanu. Przeciwnie, twarz ta nieraz przybierała szyderczy wyraz, kiedy niszczył z nieubłaganą logiką gmachy pojęć i zasad, które mogły w danym razie stanąć przeciwko niemu.

Nieraz, kiedy przychodząc tutaj, znajdował ją spokojnie oddaną codziennym sprawom życia, porywała go szalona wściekłość przeciwko plastycznej pogodzie tej kobiety, po za którą jednak szalały burze, coraz trudniej zażegnywane.

— Prawdziwie—wyrzekł dnia jednego, gdy zastał ją haftującą sukienkę dla Anielki — podziwiać panią muszę. Wśród naszej gorączkowej epoki, umiesz roztaczać wokoło pierwiastek coraz mniej znany... spokój. Ogród ten zdaje się oazą, do której nie ma dostępu to wszystko, co wstrząsa ludźmi.

— Dla czegobym nie miała być spokojną?—odparła, pochylając się nad robotę, by ukryć rumieniec, który zaprzeczał słowom.

— Dlaczego? Psalmista jeszcze, jeśli się nie mylę, wyrzekł, iż życie jest bojowaniem.

— Życie jest tem, czem je sami uczynimy, a spokój... spokój każdy wytworzyć sobie może.

Uśmiechnął się z goryczą, jakby słowa te wydały mu się urągowiskiem.

— Zapominasz pani tylko, że spokój bywa rozmaity: ma go ten, co niczego nie pożąda, bo się niczego nie spodziewa, zarówno jak ten, co wszystko posiadł.

— Na świecie nie ma podobno tak wydziedziczonych i tak obdarzonych szczodrze. Czy nie pomyślałeś pan raczej, że spokój jest udziałem tych, co umieją poprzestawać na tem, czego im nie braknie.

Mówiła to może dla samej siebie, a może próbowała i ona też, raz także narzucić mu swoje przekonanie.

Ale on odezwał się daleko więcej smutno, niż szyderczo.

— Czy chciałabyś pani świat cały poddać pod jakąś olbrzymią niwellę, którąby każdemu wydzielała równą miarę szczęścia?

— Szczęście przecież nie leży w faktach, ale w poczuciu wewnętrznem.

— Niestety, jest to sofizmat, łaskawa pani! sofizmat, którym syci chcą zawsze zamknąć usta łaknącym. Pani nie powiesz tego nędzarzowi, umierającemu z głodu, którego materyalne potrzeby hojnie opatrujesz; dla czegóż nie chcesz przypuścić, że pragnienia moralne równie gwałtownie domagają się zaspokojenia. Nie każdy może poprzestać na tem, co posiadł, a nawet powiem więcej: nie każdy ma na to prawo.

— Prawo!—zawołała zdumiona.

— Tak jest, pani, prawo. Potrzeby nasze są ściśle związane z rozwojem; jeśli nam nie dostaje zaspokojenia pierwszych, drugie karłowacieć muszą. Są położenia, w których najszlachetniejsze pragnienia nasze skazane są na milczenie, czyż wówczas możemy się cieszyć tem, co posiadamy? Czyż mamy prawo na tem poprzestać?

— Pragnienia nasze—zawołała — powinny pozostać takiemi wbrew okolicznościom.

— Pozwól sobie pani powiedzieć, że jest to sentymentalna teorya, nic więcej... i, jako taka, nie znosi krytyki. Każ pani trwać roślinie bez słońca, lub oddychać istocie organicznej bez tlenu.

— Ale człowiek powinien...

— Powinien, wielkie słowo! nieszczęściem słowo tylko, bez znaczenia w dziedzinie ścisłej logiki. Gdzie pani ustanowisz początek i granice powinności? Każdy określa ją inaczej, wedle siebie. Jako absolut postawić jej niepodobna.

— Przecież—zawołała, broniąc się przeciw tym zuchwałym teoryom—obowiązek, to zasada życia.

— Indywidualnie tak być może, tylko to, co pani nazwiesz obowiązkiem, ja odrzucę na mocy moich osobistych pojęć, i naodwrót; a każde z nas będzie miało równą słuszność za sobą. Tak dzieje się z każdem subjektywnem pojęciem: jest ono wynikiem stopnia rozwoju, idei panujących, obyczaju wreszcie, i jako takie podlega różnym zmianom. Tam, gdzie pani znajdziesz się szczęśliwą, inne możeby cierpiały szalenie. Dzieje się z ideą obowiązku, jak z ideą szczęścia. Narzucić jej niepodobna bez popełnienia okrucieństwa i gwałtu, jakich, niestety tyle popełniono, i popełnia się w jego imieniu.

— Okrucieństwo! gwałty!—powtórzyła.— I jakież gwałty popełnić można w imię obowiązku?

Spojrzał na nią wzrokiem, który zdawał się dobadywać głębi jej ducha, jakby obrachowywał, jak daleko posunąć się może bez niebezpieczeństwa.

— Obejrzyj się pani wkoło siebie — wyrzekł zwolna — jeśli lękasz się zajrzeć do własnej piersi, i powiedz: w imię czego skazane są na milczenie najwyższe aspiracye ludzkie? w imię czego krępowana swoboda uczuć?

— Pan przecież nie chcesz powiedzieć... — zawołała, wlepiając w niego wzrok niepewny.

— Lub jeśli pani nie chcesz zbyt blizkich przykładów — dodał — to pomyśl, że w imię obowiązku, zmuszają wdowy indyjskie rzucać się na stos mężowski. Jest to rzecz dotykalniejsza i dalsza, chociaż rzeczywiście...—zatrzymał się, jakby lękał się wypowiedzieć zbyt wiele.

A ona mówiła gorączkowo:

— Są przecież obowiązki jasne, niezaprzeczalne, względem których nie może być żadnej wątpliwości.

— Bez wątpienia, pani; tylko nie można żądać, by je wszyscy za takie mieli. A jeśli mierzyć je będziemy normą przyjętego obyczaju, to prawdziwie lękam się bardzo, byśmy po swojemu nie wpychali w płomienie wdów indyjskich.

— Jesteś pan nieubłagany! — szepnęła, dare-

mnie usiłując ocalić jakąbądź zasadę przed rozkładającemi czynnikami jego dowodzeń—głosisz pan straszne teorye. Czy zastanowiłeś się kiedy nad ich niebezpieczeństwem.

Uśmiechnął się pogardliwie, z dumą człowieka, którego wzrok i myśli nie cofnęły się nigdy przed żadną grozą, który miał zawsze i wszędzie odwagę swoich przekonań.

— I cóż ztąd?—wyrzekł. — Niebezpieczny lub nie, skoro problemat jaki istnieje, skoro sformułował się choćby w jednym umyśle ludzkim, przez to samo staje się on faktem, ma swoję racyę bytu. Gdybyśmy przez tchórzostwo odwrócili od niego oczy, postąpilibyśmy jak te ptaki, co kryją głowę pod skrzydło na widok niebezpieczeństwa, sądząc, że zażegnali je tym sposobem. Przed konksekwencyą myśli cofają się tylko dzieci; ludzie dźwignąć ją powinni. Pani miałaś odwagę wypowiedzieć to kiedyś. Ja to pamiętam. Prawa rządzące światem nie stosują się do woli lub siły jestestw; jestestwa muszą się z niemi zgodzić lub zginąć. Jest to nieodwołalna konieczność. Mróz i słońce nie pytają o to, czy są zniszczeniem, lub czy budzą życie; takie samo, choć nie tak widzialne, jest działanie praw moralnych.

— Ale czy problemata te nie powstają samo-

istnie w umysłach ludzkich? czy nie bywają czasem następstwem, nie zaś pobudką myśli?

— Przypisujesz pani myśli potęgę, której nie posiada. Mrzonka wyobraźni pryska, jak bańka mydlana, w zetknięciu z realnością. Myśliciel musi oprzeć teorye swoje na gruncie jakiejbądź istniejącej potrzeby lub braku, inaczej głos jego przejdzie bez oddźwięku. Ludzie wprawdzie posługują się problematami społecznemi, ale stworzyć ich nie są mocni. Czyż zresztą uważasz pani świat ten za tak doskonale urządzony, by w nim nic nie było do odmiany? Nędza, ciemnota, ucisk, niesprawiedliwość, królują tu pod każdą formą; a pani uważasz teorye, krytykujące istniejący porządek, za niebezpieczne. Nie, po tysiąc razy nie! niebezpieczeństwo leży nie w nich ale w przyczynach, które je wywołują.

— I pan sądzisz — zawołała — że złe każde da się usunąć ze świata?

— O! bądź pani spokojna—odparł z goryczą— wszyscy staramy się gorliwie o to, by tak nie było, przez brak odwagi i samoistności. Sami pracowicie tworzymy sobie pęta, sami się w nie zakuwamy. Wymyśliliśmy na ten cel masę wyrazów, masę przepisów, masę uczuć nawet, które wyrabiamy w sobie i pielęgnujemy starannie.

Mówił to z ponurą energią, charakteryzującą go w pewnych chwilach, kiedy w grę wchodziły uczucia jego, kiedy krzyżowały się zamiary, lub ktokolwiek śmiał stawić im czoło.

— Ha, cóż robić—dodał coraz namiętniej—teorye te są niebezpieczne, teorye te są straszne; chrońmy się więc do ostoi obowiązku, choćby do ostoi niedołęztwa i przesądu.

Powracał uparcie do tego tematu, chciał ostatecznie zdobyć jej przekonanie.

— Och!—zawołała—pan mieszasz rzeczy, które nie mogą iść w parze, pan przyznać musisz, iż są obowiązki niezaprzeczalne, nie podlegające indywidualnym sądom.

— Jakie?—zapytał krótko.

Ton tego pytania zmroził jej słowa na ustach; była w nim nieubłagana konsekwentność burzyciela, który wśród powszechnej ruiny, nie zdołał nic ocalić, nic uszanować. Ale ona, którą zmuszał przebiegać z sobą tory myśli, próbowała zachować sobie cośkolwiek nietkniętego, chwytała się po kolei zasad i uczuć różnych, niby deski zbawienia.

— Zapominasz pan o obowiązkach względem tych, których kochamy.

Myślała o dzieciach, o mężu, myślała o rodzinie. Tylko słowom jej można było nadać rozmaite znacze-

nie, i on to od razu pochwycił. Uśmiechnął się tym razem bez szyderstwa.

— Alboż one potrzebują obwarunkowania? Miłość... to najwyższe prawo, najrealniejsza potęga bytu, obdarzająca bez rachunku, ofiarna bez poświęceń. Miłość łamie zapory, zwalcza przeszkody, nie zna niepodobieństwa, jest silną jak życie, a nieubłaganą jak śmierć. Szczęśliwy ten, co ją spotkał na drodze swojej i odnalazł we własnem sercu.

I kiedy to mówił, ogarniał ją wzrokiem tak pełnym potęgi, iż spojrzenie to paliło ją ogniem. Daremnie ujść przed niem pragnęła; ścigało ją, przedzierało się do głębi jej istoty, i budziło tam echa, które próżno stłumić usiłowała.

On czytał to wszystko w jej twarzy, w jej zmąconych źrenicach;—czuła, iż wypowiadał to, co działo się w ich dwóch sercach.

Naraz stała się jasność straszna w jej umyśle. Tak jest! zrozumiała nagle, iż kochała go całą potęgą, do jakiej była zdolną; kochała na przekór samej sobie, na przekór walkom, które wrzały w jej piersi. Ale jeśli on zdobył jej miłość, nieujęty pierwiastek, nad którym zapanować nie zdołała, nie zdobył jeszcze jej woli. Postanowiła bronić się tej ogarniającej potędze, i dlatego, po krótkiej chwili, podniosła czoło,

jakby gotowa do walki, mierzyła się oko w oko z nieprzyjacielem.

— Szczęśliwy! — zawołała z namiętnym odcieniem głosu, zdradzającym ją, wypowiadającym posłuszeństwo, rwącym się, jak zbytnio naciągnięta struna—to co byłoby szczęściem, może stać się rozpaczą.

— Dlaczego mi to pani mówi—przerwał tak łagodnie a tak smutno, jakby cierpiał za nią i za siebie zarówno — odpowiedź tę przecież widzę wyraźnie w twoich oczach.

— Więc po cóż ją pan wywołujesz?—wyrzekła, łamiąc ręce bezmyślnym ruchem, pełnym bólu — po cóż to wszystko, po cóż męczarnie tej chwili.

Z łagodną przemocą pochwycił jej ręce.

— Czyż męczarnia ta nie ma swojej słodyczy?

Były to zuchwałe słowa, ale zaprzeczyć mu nie była zdolną; rozkosz mieszała się z boleścią do tego stopnia, że rozeznać ich nie mogła; usiłowała oderwać wzrok od jego oczu—one ogarniały ją, chwytały promienie jej wzroku, wpijały się w myśli, mąciły uczucia,—nie mogła.

A on mówił zwolna stłumionym głosem, którego każde brzmienie wpadało jej w ucho, jak wyrocznia nieodwołalnego fatum:

— Słowa pomiędzy nami są daremne, walka da-

remna. Po za odpowiedzią, jaką mi pani chcesz uczynić, ja czytam tę, którą uczynić mi musisz.

„Musisz“ — wyraz ten uderzył ją szorstkością swoją, powołał do rozpaczliwej obrony.

Zebrała siły, próbowała owładnąć sobą i wydobyła ręce z jego uścisku. To nie było trudno: za pierwszem usiłowaniem z jej strony, uścisk jego się rozwiązał, on sam odstąpił od niej;, ale ona pomimo to nie odzyskała swobody.

— Nie patrz pan na mnie w ten sposób!—zawołała, jakby spojrzenie jego gwałt jej zadawało.

Był posłuszny jej rozkazowi.

— To napróżno — wyrzekł tylko — pani wiesz dobrze, iż lękać się mnie nie potrzebujesz, nie możesz. Alboż ta konieczność, z którą usiłujesz walczyć daremnie, leży we mnie tylko? nie pani, ona jest w tobie także; miej odwagę zajrzeć do własnego serca, znajdziesz ją tam.

Miał słuszność, uczuła to, choć przyznać nie chciała.

— I cóż ztąd?—zawołała gwałtownie;—choćby tak było nawet, ja potrafię zwalczyć siebie; wola moja stanie na straży myśli, na straży uczucia i nie dozwoli im się zbłąkać.

Milczał, był przygotowany na walkę, o zwycięztwie nie wątpił; a jednak walka z istotą uko-

chaną, jest to zawsze owa mistyczna walka z aniołem —wyczerpuje, zabija.

I po cóż ta kobieta jemu i sobie zadawała takie męczarnie? po co szarpała się z tą potęgą, którą on nazywał koniecznością, a która w końcu zapanować nad nią musiała? Czemu próbowała wyłamać się z pod jego władzy?

— Heleno! Heleno! — zawołał po raz pierwszy po imieniu—czy chcesz, bym jak dziecko błagał cię o litość? bo ty wiesz dobrze, iż kocham cię, jak dziecko, jak szaleniec.

Przenikała ją słodycz tych słów, któremi kłonił jej się pod stopy. Takim nie widziała go nigdy. Jak w marzeniu, powracała jej do pamięci przeszłość dawna, spokojna, pełna czystych uczuć i ta wdzięczna cześć, jaką go otaczała, i namiętne burze dni ostatnich.

— Czemuż—zawołała—ja wrócić nie mogę do przeszłości, do tego co było, i wymazać z pamięci tych chwil, tych godzin, tych uczuć!

Było to dziecinne żądanie, i jako takie, odejmowało jej chwilową przewagę, jaką nad nim miała.

Pomimo bólu, uśmiechnął się litośnie.

— Przeszłość nie zmartwychwstaje — wyrzekł zwolna — choćbyśmy życiem przypłacić to chcieli, dzień jutrzejszy nie będzie nigdy powtórzeniem wczo-

rajszego, ale on może być stokroć piękniejszym. Pomyśl o tem.

Wstrząsnęła głową z ponurym wyrazem.

— Więc czegóż chcesz odemnie? — mówił January. — Kocham cię od pierwszej chwili, gdym cię zobaczył tak spokojną i dumną, gdym dostrzegł, że pod tym spokojem wrzały burze powstrzymywane wolą, że oszukiwałaś siebie, wmawiając szczęście, ażeby dać je drugim.

— Ja byłam szczęśliwą!— zawołała — przysięgam, byłam szczęśliwą!

— Więc czemuż płakałaś wówczas, powiedz, słuchając pieśni Wagnera? Słuchałem ja także i moja pierś drżała niespełnionemi pragnieniami życia, żądzą nieznanego szczęścia, które czytałem w twoich oczach. Tyś cierpiała, com ja cierpiał, pragnęła, czegom ja pragnął. Byliśmy obok siebie, złączeni aspiracyami serc naszych, tak blizcy, choć rozdzieleni całą przestrzenią formuł świata, jak i dzisiaj. Wówczas uczułem, że należysz do mnie z prawa, jak ja do ciebie; wówczas postanowiłem zdobyć cię na przekór światu i ludziom, na przekór tobie samej nawet. Rzuciłem się w ogień bez trwogi, dla ciebie, nie pytając, czy się z niego wydobyć zdołam; byłbym poszedł na śmierć bez wzdrygnienia.

Więc to była tajemnica jego poświęcenia? Słu-

chała go z szeroko rozwartemi oczyma, jakby widziała otwierające się przed sobą przepaście.

— A ja—zawołała wreszcie, spoglądając wkoło, jakby martwe przedmioty otaczające brała na świadki uczuć swoich — ufałam mu, jak zbawcy! wierzyłam, że kochać musi tych, których ocalił!... Omyliłam się...

Mówiła to, jakby sama do siebie, jakby zapomniała gdzie jest, zgubiona w tych wspomnieniach przeszłości, które on wywołał, podobna do posągu, pogrążonego w zadumie rozpaczy.

Chciał przemówić do niej, zanieść protest w imię miłości swojej, w imię tych praw, które sobie przyznawał, o których sądził, iż przekonał ją tak zupełnie. Nie była zdolną go słuchać. Myśl jej uciekała od niego do tych dwojga dzieci, którym on uratował życie. To, co ich łączyło dotąd, obracało się przeciw niemu.

Słuchał jej przerażony, łamiąc na kawałki bezmyślnym ruchem gałęzie krzewów, otaczających balkon.

— I cóż pani chcesz? — wybuchnął w końcu. — nienawidzisz mnie, pogardzasz, chcesz ukarać za to, com śmiał uczynić i powiedzieć? mów? zasłużyłem na wszystko... kocham cię!

Spojrzała na niego tak smutno, a jednak tak stanowczo, iż niepodobna mu było łudzić się co do znaczenia jej wzroku. Mógł przetłómaczyć go na słowa i czytać w jej oczach, jak czytał oddawna.

Kochała go i wyrzekała się razem. Słowo kocham było z jej strony słowem rozstania.

— I pani chcesz—wyrzekł zaledwie słyszalnym głosem — odrzucić z życia tę miłość, jak kwiat od sukni? Sądzisz, że to być może?

Usta jej poruszyły się bez dźwięku; odgadł raczej, niż usłyszał, że tak być musi.

Postąpił krok naprzód, jakby chciał bronić dobra, które już za własne uważał.

— Sądzisz, że ja na to przystanę?

Odzyskał panowanie nad sobą. Chwila zdumienia i bezwładności minęła; był to znowu ten nieubłagany szermierz życia, nie cofający się nigdy.

Chciała oddalić się, nie słuchać go, uciec, gdzieby jej nie dochodził ten głos i ten wzrok, wywierający na nią tak nieograniczoną władzę. Ale on nie dopuścił tego.

— Zostań pani — wyrzekł tylko — posłuchaj mnie: lękać się mnie nie możesz; wiesz dobrze, iż nie

zatrzymam cię tu gwałtem, iż nie będę chciał wydrzeć ci nawet chwili rozmowy.

Została jak przykuta.

Wówczas January stał się wymownym, jak umiał nim być w chwilach stanowczych; mówił, że nie gwałcił jej serca, nie błagał o miłość, że zrodziła się ona w nim i w niej zarówno siłą konieczności, siłą powinowactw moralnych. Że ją jedną zdolny był kochać takiem zupełnem uczuciem i ona jego jednego. Że podobne uczucie jest to najczystszy, najrzadszy, najkosztowniejszy klejnot życia; że nie mieli prawa odrzucać go dobrowolnie. Że byłoby to rodzajem samobójstwa, popełnionego na najwyższych pierwiastkach ich istoty, że samobójstwo podobne nikomu nie przyniosłoby pożytku, byłoby grzechem, zbrodnią nawet. On nie chciał wyproszonej miłości, nie chciał jałmużny serca—miał prawo żądać dobrowolnego daru życia, jak własne życie oddawał.

Mógł mówić długo; słuchała go, jak więzień słucha o wiośnie; skazany na śmierć—o życiu. Pomiędzy tem wszystkiem a nią, stało niepodobieństwo. Te wszystkie kwiaty i klejnoty bytu nie istniały dla niej; mówiąc o nich, popełniał okrucieństwo daremne. Ale czuła zarazem zupełną niemożność wypowiedzenia mu tego, powtarzania rzeczy, o których wie-

dział, pokazywania nierozerwalnych dla niej więzów, chociaż on znać ich nie chciał.

Byli sami dnia tego; Pan Tytus pojechał z dziećmi za miasto; nikt nie przerywał tej sceny, targającej tak niemiłosiernie najdrażliwszemi fibrami jej serca. Nie znajdowała słów, nie znajdowała dźwięków w piersi. Spoglądała zamglonym wzrokiem na ukochanego człowieka, który jej zadawał tak wymyślne męczarnie.

Wieczór zapadł, spowijając pomroką przedmioty: sierp księżyca na nowiu rysował się blado na niebie. Wszystko w niej i wokoło pogrążało się w cień i zwątpienie. Ogarniała ją trwoga nieskończona, rozpacz bezmierna. A on, nieugięty, niemiłosierny, stał przed nią wsparty o filar werandy, i mówił jej o nadziei, o szczęściu, o miłości. Słuchała go pół martwa, z głową opuszczoną na poręcz krzesła, z ramionami bezsilnie zwisłemi. Sukienka Anielki, którą haftowała, wypadła jej z rąk, walała się na ziemi, zapomniana. Zdawało jej się, że tak leżało jej serce, zwalane, sponiewierane, stargane. January nie mógł omylić się na znaczeniu jej milczenia. Cała wymowa jego była stracona; miał przed sobą nie kochankę, upojoną zachwytem miłości, ale kobietę, ostatecznie wyczerpaną walką i bólem nad siły.

I on, on sam był sprawcą tego bólu! a jednak

postanowienie jego było niezłomne. I zadając jej te wyszukane męczarnie, spoglądał na nią, jak matka na dziecko szalone.

— Nie patrz na mnie tak rozpaczliwie! — błagał. — Miej przynajmniej odwagę pragnąć, odwagę chcieć tego, co być musi. Choćbyś cierpiała, co ja cierpię w tej chwili; choćby, jak mnie, przychodziła ci głucha żądza roztrzaskać głowę o pierwszy lepszy kamień; ja wiem, że to przeminie, jak zły sen. Heleno, ja wiem, że przyszłość do nas należeć musi.

— Przyszłość!—zawołała, zbudzona tem słowem —on mówi o przyszłości!... Szalony!... my nie mamy, my mieć nie możemy przyszłości...

W tej chwili turkot dał się słyszeć przed domem. Zamienili błyskawiczne spojrzenie — nie kochanków w tej chwili, ale po prostu wspólników winy. Zmuszeni powracać nagle do rzeczywistego życia, ułożyć się do jego warunków, czynili to z dreszczem śmiertelnego wstrętu. Los zdawał się odpowiadać szyderstwem na jego marzenia.

— Ha!—szepnęła ponuro kobieta, podnosząc się, jak automat, w ruch wprawiony — fałsz, kłamstwo, upodlenie: oto przyszłość nasza, oto wszystko co dać mi możesz!

Nie spojrzała na niego, idąc do salonu, ale on

dostrzegł, że jej zbielałe wargi drżały, a dłonie zaciskały się konwulsyjnie. Nie potrzebował tego, by zrozumieć męczarnie kobiety bez zarzutu, która dotąd żyć mogła w kryształowym gmachu, zmuszonej dziś do ukrywania szalonych uczuć, szaleńszych nadziei jego, i burzliwych scen, wstrząsających całą ich istnością.

On także cierpiał nie mniej od niej, on także nawykł był nosić czoło wysoko, on także czuł poniżenie fałszywego położenia; każdy uśmiech, każde ustępstwo, którem okupywał wstęp do tego domu, każde ściśnienie ręki, zamienione z panem Tytusem, każdy wyraz przyjazny z ust jego, policzkowały go moralnie, kruszyły w nim dumne serce.

Ale postanowił to przecierpieć i spełnić; postanowił nie cofnąć się przed niczem, nawet przed podłością.

— Heleno!—szepnął tylko, nachylając się nad nią, jakby błagał ją jeszcze o słowo jedno, o słowo nadziei lub przebaczenia, któremby mógł żyć do jutra, zanim będzie niepodobieństwem je wypowiedzieć.

Zatrzymała się, odwróciła głowę, i rzuciła mu tak wymowne spojrzenie, iż odpowiedział na nie słowami:

— Ty sama widzisz, że tak dłużej być nie może.

Przeszła bez odpowiedzi, cicha jak sen, tylko w sercu jej zadrgały i znalazły odbicie wyrazy:

— Tak dłużej być nie może.

XI.

Wracając do siebie, January spotkał na schodach Ignasia.

— Już trzeci raz jestem u ciebie, otwieraj prędko.

Na schodach paliła się omdlewającem światłem lampka—inaczej Ignaś byłby zauważył zmianę rysów przyjaciela.

Ale January nie spieszył się z otwarciem drzwi, machinalnym ruchem wyjął klucz z kieszeni i przybliżył go do zamku, nie mogąc natrafić drżącą ręką na miejsce właściwe.

— Czy to koniecznie dzisiaj? — spytał wreszcie.

— Naturalnie; biegam za tobą od dwóch godzin; wszędzie byłem, gdziem się spodziewał ciebie zastać: w redakcyi, u ciebie, na czarnej kawie, znowu u ciebie—nigdzie cię nie widziano. Wystaw sobie: w „Haśle“ napaść na „Gazetę Poranną“, a przytem Emil nie wykończył na jutro fejletonu, Konrad się spóźnia z artykułem wstępnym... a tu już czas składać.

Mówił to wszystko jednym tchem, gospodarując w pokoju, zapalając lampkę.

— I ty przyszedłeś do mnie — wyrzekł January.

— Naturalnie; szukałem cię, jak szpilki; znalazłem trochę późno, ale cóż robić? trzeba tylko zaraz zabrać się do roboty.

— I ty przyszedłeś do mnie?

Słowa te, głos, jakim wypowiedziane były, uderzyły Ignasia; odwrócił się nagle od biurka, na którem przygotowywał wszystko do pisania, spojrzał na Januarego.

— Co tobie jest? — zawołał — tyś chyba chory?

Rzeczywiście, January był śmiertelnie blady, drżał jak w febrze, a wzrok jego spoczywał na otaczających przedmiotach, jak gdyby nie widział ich wcale.

— Istne nieszczęście!—zawołał Ignaś — redaktor, jak ty, nie ma czasu chorować. Siadaj, przeczytaj ten artykuł „Hasła“; ja tymczasem zrobię ci herbaty; odpisz zaraz, bo to istna zgroza.

January w milczeniu usiadł przed biurkiem i oparł czoło na ręku; nie słyszał może, co mówiono do niego; burza myśli rozsadzała mu czaszkę, świat cały wirował mu w oczach.

— Masz! masz! czytaj! — zawołał rozsierdzony Ignaś.

I podawał mu rozłożone „Hasło“.

Ale January odepchnął je obojętną ręką.

— Czegóż ty chcesz odemnie?—zapytał.

— Jakto czego chcę? ależ mówię ci to od godziny: ten artykuł, to infamia! poznaję złośliwe pióro Ewarysta.

Milczał. W tej chwili Ewaryst, Karol, „Hasło“, jego własny dziennik — wszystko to nie obchodziło go nic a nic.

Obojętność ta niepojętą była dla Ignasia.

— Ty jeden potrafisz odpowiedzieć mu, jak na to zasługuje; tylko zmiłuj się, nie żałuj werwy. Ja tymczasem spróbuję napisać artykuł wstępny.

— Ignasiu!—wyrzekł January—gdybym mógł zadać cios śmiertelny wszystkim moim nieprzyjaciołom jednem pociągnięciem pióra po papierze, to nie wiem jeszcze, czybym to uczynił w tej chwili.

Ignaś stanął osłupiały.

— Jakto! — zawołał — ja ciebie nie rozumiem.

— Rozumiej lub nie, ale przez miłosierdzie daj mi pokój.

— Nie, to być nie może! ty żartujesz. Jakże będzie z artykułem? Wszakże tu chodzi o ciebie, o „Gazetę Poranną“!

Skinął ręką na znak, że mu to wszystko obojętne... A skinieniu temu towarzyszyło spojrzenie tak pełne ponurych iskier, wyraz tak rozpacznego znużenia, że Ignaś nie mógł nalegać.

January, z głową wspartą na obu dłoniach, zdawał się zapominać o nim.

On stał, niepewny, przez długą chwilę, jakby czekając zmiany postanowienia, odezwania się jakiego, lub chociażby jednego z tych ostrych sarkazmów, których nie szczędził mu January w chwilach wzburzenia.

Czekał daremnie; w pokoju panowała tak grobowa cisza, jakby tu serce ludzkie nie uderzało bólem, nadzieją, pragnieniem, jakby myśl rozszalała nie zry-

wała pęt wszystkich i nie podnosiła namiętnego pytania, co się z nią dzieje?

Helena była odważniejszą od niego. Mogła wprawdzie pod pozorem migreny, lub podobnie kapryśnej choroby, schronić się do swego pokoju i uniknąć spojrzeń ludzkich i ludzkiego gwaru. Ale nie uczyniła tego, i z rodzajem okrucieństwa dla samej siebie, nie odstąpiła w niczem od codziennych zwyczajów.

Jak zwykle, nalewała herbatę; jak zwykle potem, gdy dzieci udały się na spoczynek, usiadła w salonie przy lampie; leżała tam książka, którą czytała i robota zaczęta.

Wzięła książkę, to przynajmniej uwalniało ją od rozmowy, zostawiało myśli swobodę.

Pan Tytus tymczasem był w bardzo rozmownem usposobieniu, co zresztą, było u niego rzeczą zwyczajną; przechadzał się po pokoju, pogwizdując jakąś wesołą nutę, i raz wraz przerywał sobie, rzucając żonie jakieś pytanie, lub uwagę.

Odpowiadała mu automatycznie. Pytania jego nie były tego rodzaju, by wymagały głębszego zastanowienia; mogła na zaspokojenie ich posługiwać się przywyknieniem i znaleść w myśli gotowe formuły i zdania.

To jednak nie zadawalniało go w zupełności;

zauważył jej roztargnienie, przybliżył się i dostrzegł kredową bladość twarzy i gorączkowy blask oczu, w których co chwila migotały łzy.

— Ale cóż ty tak czytasz? — spytał, bo przypisywał książce te symptomata wzruszenia.

Wziął ją z jej rąk i przeczytał: „Mazepa“ Juliusza Słowackiego.

— I ty nad tem płaczesz!—zawołał.

Podniosła na niego wzrok łzawy, głęboki. W tej chwili przyszła jej myśl, którą chciała wykonać, zanim się mogła nad nią zastanowić.

— Losy tych, co kochają się i cierpią, warte łez—wyrzekła—czy tak nie sądzisz?

Pan Tytus znalazł się w lekkim kłopocie. „Mazepę“ czytał kiedyś przed laty, jak wszyscy; było to jednak bardzo dawno; myślał o tylu innych rzeczach, iż zapomniał zupełnie, o co właściwie tam chodzi. „Mazepę“ wprawdzie od kilku lat grywano w teatrze, ale pan Tytus należał do ludzi, którzy znajdują, że na świecie tyle jest smutnych rzeczy, iż nie potrzeba szukać ich aż na scenie—nie bywał z zasady na dramatach.

A żona, jak na złość powtarzała pytanie swoje, wlepiając w niego oczy:

— Czy tak nie sądzisz?

Odebrała z rąk jego książkę, która otwarła się

sama na scenę często widać czytaną, Amelii ze Zbigniewem w trzecim akcie, i przeczytała półgłosem:

„Ja jestem uboga, nie mam nic dać prócz łez.“

— Aha! — zawołał tryumfalnie pan Tytus, bo rzuciwszy okiem na karty, odnalazł w pamięci treść dramatu—po co też stary Wojewoda żenił się z młodziutką Amelią? miał tylko to, na co zasłużył. I czegóż ty płaczesz? Nas przecież nic podobnego spotkać nie może. Nieprawdaż, Helenko?

— A gdybym też—szepnęła zdobywając się na słowo stanowcze—gdybym ja była Amelią?

Nie dostrzegł, że wymawiając to, drżała, że serce jej biło, iż przez muślin stanika można było widzieć jego uderzenia, rozsadzające piersi, i z zaślepieniem właściwem pewnym chwilom i pewnym położeniom, roześmiał się i wyrzekł:

— Ty? A m e l i ą ! prawdziwie masz nieoszacowane myśli! zkądżebyś ty miała być Amelią? alboż ci czego braknie? alboż cię nie kocham?

— Ale gdybym ja przestała cię kochać, Tytusie!—zawołała rozpaczliwie—pomyśl o tem!

Nie był zdolny odczuć akcentu prawdy w jej głosie, i z najwyższą dobrodusznością, śmieszną i wzruszającą zarazem, zapytał:

— Dlaczegożbyś mię przestała kochać? trzeba-

by być na to ostatnią kobietą, nie wartą ani serca, ani zaufania uczciwego człowieka.

Słowa te padły na nią, jak grom; spuściła głowę i milczała. Czuła przecież, że chwila ta była niepowrotną, nie chciała jej dać marnie upłynąć.

— A jednak, Amelia winną nie była; serce wyrywa się czasem mimowoli.

Wzruszył ramionami.

— Jest to wygodna, romansowa teorya, której ja nie uznaję bynajmniej—wyrzekł—bo pomyśl sama, gdzieby nas to zaprowadziło? Dziś, naprzykład, mogłaby mi się podobać jakaś ładna baletniczka, jutro ogródkowa aktorka, a ja nie byłbym temu nic winien... To po prostu śmieszne; człowiek powinien trzymać uczucia swe na wodzy. Przyznasz mi to po chwili rozwagi. Co do mnie nie uwzględniam bynajmniej tych nowych dzisiejszych doktryn, które doszły do tej doskonałości, że tłómaczą wszystkie zbrodnie, a zabójców, złodziei i nierządnice uważają za uciśnioną niewinność. Dążą one wprost do zburzenia społecznego porządku.

— Tytusie! jesteś niemiłosierny!... przecież miłość, której się nie poddajemy, jeszcze zbrodnią nie jest.

— Przepraszam cię! jest zbrodnią w pewnych położeniach; dowodzi co najmniej jakiejś men-dauuf

talnej krzywizny uczuć i pojęć, które odebrać muszą stanowczo zaufanie i szacunek. Ty, tak rozsądna, Helenko, sama, po chwili zastanowienia, przyznasz mi słuszność.

Cóż miała odpowiedzieć? Odwaga jej była wyczerpaną. Z tej strony nie mogła spodziewać się ratunku.

Na drugi dzień, rano, pani Oktawia w eleganckim stroju, zastosowanym ściśle do pory i chwili, a przytem starannie dobranym, by nie zwracał uwagi, wychodziła ze swego mieszkania na Krakowskiem Przedmieściu. Oczy jej, wpół przymknione, miały dowcipny, filuterny wyraz, błąkający się w pewnych chwilach na twarzach ładnych kobiet, a przypominający, nie wiedzieć czemu, wyraz pensyonarki zamyślającej spełnić jaką psotę.

Szła lekkim i szybkim krokiem, kiedy na pierwszym stopniu schodów spotkała się, najniespodziewaniej w świecie, z Heleną.

— To ty!—zawołała.

A w głosie jej dźwięczało wyraźnie, że odwiedziny te stawały na wspak zamiarom jakimś i że nie były zupełnie w porę.

Ale skoro przypatrzyła się przybywającej, powtórzyła zupełnie odmiennym tonem:

— To ty! cóż to się stało?

Helena usprawiedliwiała zupełnie ten wykrzyknik: oczy jej, otoczone ciemną obwódką, świeciły gorączkowo, gorączkowy rumieniec odcinał się wyraźnie na bladej zwykle twarzy, usta były spalone, suche, różowe powieki świadczyły o nocy bezsennej.

— Czy nie przeszkadzam ci w czem? — wyrzekła rozbitym głosem, spoglądając martwo na przyjaciółkę.

— Ależ nie, nie! — zawołała pośpiesznie Oktawia—a gdyby i tak było, to i cóż ztąd? sprowadza cię tu coś nadzwyczajnego... Widzę to dobrze.

Helena wstrząsnęła głową machinalnym ruchem.

— Ja nie chciałabym ci przeszkadzać, sprawiać przykrości... ja nie chciałabym przeszkadzać nikomu.

Oktawia niecierpliwie pochwyciła ją za rękę.

— Moje przykrości nie mogą iść w porównanie z twojemi.

I wprowadziła ją do siebie.

Z pośpiechem nakreśliła parę słów, zadzwoniła, kazała zawołać posłańca i zanieść natychmiast pod adres właściwy. Potem zapowiedziała w przedpokoju, by nie przyjmowano nikogo bez wyjątku. I dopiero uczyniwszy to wszystko, zwróciła się do Heleny, śledzącej szklanym wzrokiem jej ruchy.

Usiadła przy niej na kozetce i wzięła jej ręce w swoje.

— A teraz mów!—wyrzekła.

Przez chwilę, Helena zdawała się wahać, jakby odbiegły ją myśli, czy postanowienie, i zapytywała samej siebie, po co tu przyszła? Potem nagle ożywiła się.

— Oktawio! ty mnie znasz; ty nie weźmiesz tego, co powiem za czczą ciekawość; ty odpowiesz mi na jedno pytanie szczerze bez ogródek.

— Dlaczegożby nie?—spytała zdziwiona.

— Ty rozumiesz, że to tak, jak gdybym pytała o śmierć lub życie!

— O śmierć lub życie? — powtórzyła zdziwiona coraz bardziej solennością tego wstępu.

— Ty kochałaś! nie prawdaż?

Oktawia patrzyła na nią czas jakiś, jakby siliła się odczytać na twarzy hieroglify uczuć.

— Rozumiem!—zawołała w końcu — rozumiem wszystko.

Gorący rumieniec wybił się na twarzy Heleny. Powieki jej opuściły się, jakby pod brzemieniem wstydu.

— Rozumiesz! A więc tak! jestem nikczemną kobietą, złą żoną... wyrodną matką!... powtarzam to

sobie co chwilę, co sekundę. Ale odpowiedz mi, przez litość!

Potępiając siebie tak gwałtownie, potępiała zarazem Oktawię; nie zwróciła na to uwagi wśród gorączkowego wzburzenia.

Oktawia uśmiechnęła się smutnie.

— Odpowiem, choćbym miała stracić przyjaźń twoją. A więc, tak jest: kochałam, kocham.

— Przyjaźń moją?... alboż ja pomyślałam?... Mówiłam o sobie samej, tylko o sobie. Znałaś mnie. Czyż nie odpychałam od siebie próżnych marzeń? czy nie starałam się wypełniać życia, zadość czynić wszystkim obowiązkom? Wszak są kobiety, którym to wystarcza? nie prawdaż, że są takie?

— Są może... ja nie wiem.

— Mów ze mną otwarcie, przez miłosierdzie?

— A więc dobrze! masz słuszność! Tu nie czas na omówienia żadne. Pytasz o rzecz nieobrachowaną. Bo cóż my wiemy o życiu bliźnich? to, co nam pokazują, to co dostrzeżemy przypadkiem. Istota faktów zawsze prawie pozostaje nieznaną. Któż odgadnie, co dzieje się w sercach kobiet bez skazy? Co je broni, lub ochrania? Są to cyfry niewiadome, wniosków z nich wyprowadzać nie można.

— Ja przynajmniej wierzyłam święcie, że obowiązków przyjętych dopełnię.

— I ileż ty miałaś lat idąc za mąż?

— Szesnaście.

— Tak! pamiętam: byłaś sierotą, posiadałaś piękność i majątek, dwa dary, które są tylekroć powodem nieszczęścia. Byłaś dzieckiem, gdy rozporządziłaś sobą niepowrotnie. Podpis twój, położony na urzędowym akcie, na żadnym nie byłby ważnym, oprócz na tym jednym, którym zamykałaś przed sobą drogę szczęścia, którym dopełniłaś moralnego samobójstwa. Cóż chcesz? taka jest logika i sprawiedliwość praw naszych.

— I cóż ztąd? I cóż ztąd, Oktawio?

— To, że położenia podobne wytwarzają też pewne konieczności. Ludzie wyrabiają sobie życie takie, jakie mogą. Przeciw niesprawiedliwości ogółu jednostka broni się jak może... podstępem.

— Rozumiem! udawać, kłamać, zdradzać.

— O! moja droga, jakie to wielkie słowa! Do czego ty je stosujesz? Tak mówi się tylko w kazaniach, lub w tendencyjnych powieściach, ale nie w potocznych warunkach. Konieczności życiowe wyrobiły natomiast formuły, któremi w podobnych razach posługują się wszyscy.

— To nic nie zmienia. Wiesz, że lubię nazywać rzeczy po imieniu.

— Źle robisz; bo czy jesteś pewna, że powinny one nosić miano, jakie im nadajesz?

— Jakto! teraz ja ciebie nie pojmuję.

— Widzisz, w naszym świecie, po większej części, niema zdradzonych, a więc niema i zdrady. Słowa stały się startemi liczmanami, bez istotnej wartości. Kłamstwo więc i tym podobne, są to tylko konwencyonalne wyrażenia, używane wówczas dopiero, gdy tajemnica, będąca czystą tajemnicą z komedyi, zostanie odkrytą.

— Ależ wszystko odkryć się musi.

— Moja droga, czyż ty wierzysz jeszcze, że prawda ma własność oliwy i, jak ona, na wierzch wychodzi? Ludzie powtarzają to na pamięć i trudno ich przekonać, że się mylą, dla tej wybornej przyczyny, mówi dowcipny komedyopisarz francuzki, iż wie się to jedynie, co odkrytem zostało. Gdy tymczasem każda piędź ziemi, każde serce ludzkie chowa tajemnice, które wiecznie tajemnicami zostaną. Stara bajka o dzieciach spartańskich, które karano nie za to, że kradły, lecz, że się na kradzieży schwytać dawały, jest kropka w kropkę kodeksem naszej moralności. Spartanie przecież mieli tę wyższość, że od dziecka uczyli przyszłych obywateli zasad społecznych. Gdy tymczasem, my dochodzimy do nich zbyt często późno bardzo, gdy się przekonamy włas-

nym kosztem, że z balastem moralnym, jakim opatrzono nas na drogę życia, nie popłyniemy daleko.

— Ty nie mówiłaś mi nigdy podobnych rzeczy.

— Takie rzeczy mówić się nie powinny; mają one wartość, dopóki nie są wypowiedziane. Wolałam wprowadzić je w czyn. Ale dziś przyszłaś do mnie pod naciskiem twardej konieczności. Potrzebujesz dobrej rady. Ja ci jej nie dam; rada zwykle bywa bezpożyteczną; ażeby radzić skutecznie, trzeba być nie koło bliźniego, ale w nim samym. Wykładam ci natomiast niektóre zasady powodzenia. Masz dość inteligencyi, by z nich wyprowadzić wnioski dla siebie.

— Przez litość, mów, mów wyraźnie! Myśli moje są tak zmącone, iż żadnego wniosku wyprowadzić nie zdołam. Zdaje mi się, iż stoję między dwiema przepaściami, na jakimś powietrznym szczycie, z którego koniecznie w jedną lub drugą stoczyć się muszę. Cokolwiek ze mną będzie, ja czuję się zgubioną. Oktawio! niepowrotnie zgubioną!

— Tak bywa zawsze, — wybuchnęła z goryczą Oktawia.— W naszym świecie gubią się tylko kobiety szlachetne, jak w wojsku złożonem z tchórzów, giną koniecznie ci, którzy tchórzami nie są. Kaprys, miłostkę ukryć łatwo; wielkie uczucie zdradza się. Co

dla pierwszej jest zaledwie ofiarą, dla drugiej stanowi męczarnie niepodobne do zniesienia.

— Zkądże ty wiesz to wszystko?

— To nietrudno. Otwierałam oczy, przypatrywałam się niekonsekwencyom, fałszom, okrucieństwom społecznym, wyrobiłam sobie kodeks postępowauia, wystosowany głównie... przyznaję to... ku własnej obronie. Społeczeństwo nasze popełnia tysiące niesprawiedliwości, ale względem kobiety popełnia ich najwięcej: gdybym chciała zastanowić się nad niemi, nie skończyłabym do jutra. Mężczyznom wolno nas uwodzić, ale nam uwiedzionemi być nie wolno. Powtarzają nam od kolebki, żeśmy jedynie sercem żyć powinny, w epoce nieświadomości zawiązują nam świat bezmiłosnem małżeństwem. Nakazują nam ciche cnoty rodzinne, a głośno wielbią zalotnice. Czy nie tak?

— Tak, masz słuszność! ale, kiedyż ty miałaś czas myśleć o tem wszystkiem?

— Są położenia, w których konieczność znagla myśleć szybko. Ja nie czułam powołania do męczeństwa żadnego rodzaju; postanowiłam wobec siły użyć zwykłego prawa odwetu... obchodzić prawo krzywdzące.

— Oktawio! to wszystko nie rozwiązuje węzła

mego położenia Powiedz mi: co zrobiłabyś, będąc na mojem miejscu?

— Każde słowo moje powinno cię przekonać, że na twojem miejscu nie byłabym nigdy, bo nie dorównywywam twej wartości moralnej.

— Nie mów tego!—zawołała Helena, zaciskając dłonie namiętnie — byłam może kiedyś coś warta, dziś... Przychodzą mi do głowy szalone podszepty, których zwalczyć nie mogę; błąkam się, jak cień, opanowana myślą moją. Kocham wbrew woli, nienawidzę wbrew woli, jak opętana wyższą potęgą. Ster życia mego wypada mi z ręki.

— Heleno! tak być nie powinno; tak nigdy być nie powinno!

— Ja też nie mówię ci o tem, co być powinno, mówię ci o tem, co jest. Widzisz, ty powiedziałaś mi wszystko, co mogłaś, na usprawiedliwienie moje: ale ja dla tego nie czuję się ani spokojniejszą, ani mniej występną. Cudza wina nie daje nigdy prawa odwetu. Cała moja istota oburza się na to, co poniża mię we własnych oczach. Ja czuję, że tak dalej być nie może.

— Więc cóż ty zamierzasz? powiedz mi to otwarcie, bo w takich chwilach rodzą się najszaleńsze przedsięwzięcia.

— Alboż nie powiedziałam ci właśnie, że nie

jestem zdolna nic zamierzyć. Jak oślepiona nagle, szukam drogi daremnie, i przyszłam ciebie o nią zapytać. Ty kochasz, tyś powinna przecież mnie zrozumieć...

— Niestety! każdy kocha według miary swojej, a moja droga nie może być twoją drogą.

— Gdyby przynajmniej chodziło o mnie jedną!

— Gdyby chodziło o ciebie jedną, ja wiem, iż ze wspaniałem lekceważeniem rzuciłabyś los swój na hazard namiętności. I pozwól sobie powiedzieć, popełniłabyś największe szaleństwo, jakie kobieta popełnić może. Życie i bez tego jest dość trudne, a miłość nietrwała. Wreszcie, niema na świecie człowieka, dla któregoby tak wiele poświęcić można.

— Oktawio! gdzie zaczyna się miłość, tam kończy się poświęcenie.

— A przytem są kobiety, dla których ukochany jest zawsze ideałem. Ale pamiętaj, że fałszywe położenie stanowi najcięższe kajdany dla dumnych i szlachetnych natur; więc nie stawiaj się w niem, przez miłość dla niego, zarówno, jak przez miłość dla siebie. Bo nawet gdybyście byli równej sobie miary, gdybyście nigdy, nigdy nie zapotrzebowali pomocy obcej ręki, świat jeszcze znajdzie sposób was dosięgnąć.

— Więc cierpiałabym. I cóż ztąd? Czy sądzisz,

że ja lękam się cierpienia? Przynajmniej nie trzebaby mi drżeć i rumienić się przed każdem okiem, ani kraść szacunku ludzkiego, ani przywiązania uczciwego człowieka. A tak, Oktawio, czy ty wiesz? ja doszłam do tego, iż zazdroszczę ulicznicy, bo ona przynajmniej jest tem, czem się wydaje.

Była chwila milczenia, jakby wszystkie rozumowania wyczerpane zostały ze stron obu.

— I cóż on na to, Heleno?—spytała Oktawia.

Helena podniosła nagłym ruchem schyloną głowę.

— Ja przecież nie wyznałam mu miłości mojej.

— Rozumiem: walczysz z nim i sama z sobą; tak być może, tak będzie czas jakiś. Nie łudź się jednak. Walczysz!... lecz walki podobne prędzej lub później porażką kończyć się muszą.

Nie przeczyła; czuła słuszność tych słów.

— Ja powiedziałam oddawna — wybuchnęła Oktawia — iż największem nieszczęściem na świecie jest miłość dwojga uczciwych ludzi, którym się kochać niewolno.

Nie przeczyła znowu; nieszczęście to zaciążyło na niej całą siłą.

I znowu było pomiędzy niemi długie milczenie.

— Więc ty nie masz dla mnie innego słowa?— wyrzekła zwolna Helena, podnosząc się z miejsca.

— Gdybyś była inną kobietą, powiedziałabym ci: zwalcz samą siebie, zwycięż tę miłość, zapomnij... Ty nie masz innej drogi.

Wstrząsnęła głową z głębokim wyrazem bezsilności.

— Alboż nie próbowałam! — zawołała z namiętnym odcieniem w głosie, w którym drgać się zdawały jeszcze echa tych bolesnych zapasów.

— I po co ja ci to mówię?—szepnęła Oktawia— alboż nie wyczerpałeś wszyskich sił, zanim przyszłaś tutaj?

I znowu była ponura cisza.

— Gdybyś miała do czynienia z innym człowiekiem...

— To i cóż? mów, Oktawio! mów!

— Mogłabyś uciec ztąd, skryć się przed nim, zniechęcić go.

— To próżno!

— Tak, napróżno! On ma postanowienia nieubłagane, wolę niezłomną, hart żelazny, i to właśnie wśród miękiego dzisiejszego pokolenia, stanowi jego potęgę. Ten człowiek umie kochać, umie nienawidzieć, umie chcieć! Na ciebie więc i na niego rachować nie można — mówiła dalej —ani spuszczać się na zbieg okoliczności, które tak często stają nawspak

uczuciom ludzkim i zwyciężają je. Okoliczności zwyciężają słabych tylko. Gdybyś ty przynajmniej miała innego męża!

— Innego męża? Czy sądzisz, że ja cofnęłabym się nawet przed tem, o czem myślisz! I cóż ty na to? mów!

— Są wyjątkowe okoliczności, w których wyjątkowych środków użyć trzeba. Są ludzie, co nie potrafili opanować serca żony, a w podobnych razach okazali się zdolnymi zrozumieć ją i ocalić. Tylko, moja droga, łudzić się nie trzeba. Pan Tytus nie jest takim człowiekiem.

„Pan Tytus nie jest takim człowiekiem"... nie potrzebowała słów Oktawii. Wiedziała o tem. Gdyby było inaczej, czyż doszłaby do podobnej chwili?

— Ha!—szepnęła—więc dla mnie niema ratunku! w którąkolwiek zwróciłabym się stronę, niema go! Więc ja muszę zawołać z poetą: „Niech los i serca szaleństwo zwycięża!" Och! Oktawio! gdyby to można być zupełnie nikczemną, albo zupełnie czystą! nie czuć upadku, albo oprzeć się pokusie; gdyby to można skryć się przed własnem sercem i mieć sen bez marzenia lat pierwszych, sumienie bez skazy... spokój... spokój... chociażby spokój śmierci!

Mówiła to cicho, jakby sama do siebie, i czas jakiś siedziała nieruchoma! Myśl jej zdawała się uciekać daleko, a ona sama zapominała o czasie. Po-

wstała wreszcie i machinalnym ruchem obwinęła się w fałdy burnusa; pomimo gorącego dnia ręce jej były zimne—drżała.

— I dokąd ty idziesz teraz? — spytała smutno Oktawia.

Wzruszyła ramionami z najwyższą obojętnością skazanych.

— Ty powiedziałaś sama, że niema dla mnie ratunku.

Wzięła machinalnie kapelusz, rękawiczki; brała parasolkę, wyraźnie nie wiedząc nawet co czyni.

— Może sprowadzić ci powóz? może chcesz, bym ja poszła z tobą?—mówiła Oktawia.

Nie odpowiadała, zamyślona.

— Oktawio! wyrzekła, nagle zatrzymując się i opierając na poręczy krzesła — czy pamiętasz scenę Hamleta z Ofelią?

— Pamiętam! i cóż ztąd?

— „Idź do klasztoru, idź do klasztoru!“ och, Oktawio, Hamlet miał słuszność! Dlaczego ja nie poszłam zamknąć się w chłodnej, cichej celi klasztornej, dokąd nie wchodzi pokusa skoro nie mogę podołać życiu! Z okna mego widziałabym jakiś daleki horyzont i zielone drzewa, jaskółki zbiegałyby się do mnie, słały gniazda przy mojej kracie i może z czasem zdaleka doleciałaby mnie wesoła nuta dziecinna, drobne nóżki przebiegałyby ocienione ścieżki.

Ja wówczas marzyłabym o świecie i myślała, że życie pięknem być musi. I może przyszłaby chwila, w której rwałabym się ku niemu, przyciskała rękoma szalejące serce, biła głową o kraty, ale przynajmnej miałabym sumienie czyste... i cudze nieszczęście nie ciążyłoby na mnie.

Spojrzała na nią oczyma pełnemi łez.

— Jestem szalona!—szepnęła—nieprawdaż. Na co myśleć o tem, co być mogło? na co marzyć? Daremnie wołam, że mi sił braknie... O to nie pyta nikt; życie biegnie swoją nieubłaganą koleją, nie troszcząc się o upadających.

Umilkła i stała czas jakiś zamyślona, jakby lękała się przestąpić próg tego domu i czuła, że tam, za nim, czyhało na nią nieszczęście. Potem ścisnęła rękę Oktawii na pożegnanie i skierowała się ku drzwiom.

— Ja ciebię tak nie puszczę!—zawołała ta ostatnia.

— Nie lękaj się!—wyrzekła ze smutnym uśmiechem—nie jestem heroiną romansu, nie myślę o żadnym rozpaczliwym kroku. Ja chcę walczyć z prądem, który mnie unosi, i przynajmniej walczyć z nim będą do ostatka.

Oddaliła się wreszcie, bardziej znękana, niż przyszła. Wówczas łudziła samą siebie, że Oktawia poda jej jaką radę skuteczną,wynajdzie wyjście z po-

łożenia, którego ona dostrzedz nie mogła. Złudzenie to się rozwiało. Oktawia nie mogła powiedzieć jej nic, czegoby sama sobie nie powiedziała, ani zmienić żadnego z czynników, które złożyły się na jej cierpienie.

Na całej rozmowie zyskała tylko pewne streszczenie położenia i nacisk na otaczające ją trudności.

XII.

Helena zrozumiała, iż nie mogła rachować na nikogo i na nic, tylko na samą siebie. Przeświadczenie to dodało jej siły, jak to zwykle ma miejsce w energicznych naturach. Potrzebowała zebrać myśli, ale miasto otaczało ją gorączkowem wrzeniem, wszędzie snuły się tłumy zajęte lub ciekawe. Potrzebowała skupienia i ciszy i szukała ich daremnie poza domem; do domu lękała się powracać, czekało ją tam nadto wiele pamiątek. Na progu werandy, w ogrodzie, w salonie, w pokoju dziecinnym nawet, wszędzie rysowała się w jej wyobraźni postać Januarego, wszędzie spotykała się z palącemi wspomnieniami, czuła na

sobie to spojrzenie, które przejmowało ją dreszczem trwogi i rozkoszy i odejmowało zmysły.

Nie, ona do domu powracać nie mogła, zanimby powzięła postanowienie jakie. Czuła potrzebę oddalenia się z tych miejsc, gdzie wszystko sprzymierzało się przeciwko niej.

Czas jakiś błąkała się po ulicach, aż wreszcie, przechodząc koło dworca kolei, usłyszała świst lokomotywy, spotkała cały ruch gorączkowy, towarzyszący zwykle odejściu pociągu. Och! gdyby mogła uciec ztąd, uciec daleko, choćby na godzin kilka!

Myśl ta opanowała ją. Spojrzała na zegarek: było jeszcze bardzo wcześnie; miała czas wyjechać o parę stacyi za Warszawę, parę godzin przepędzić samotnie wśród pól, łąk, lasów i powrócić bez zwrócenia uwagi i zaniepokojenia domowników.

Weszła na dworzec, kupiła bilet i wsiadła do pierwszego pustego wagonu, jaki spotkała.

Pociąg odchodził już, konduktor zamknął drzwiczki; znalazła się sama. Szybki ruch pociągu sprawił jej nieokreśloną przyjemność. Przedmioty migały tylko przed jej oczyma, co chwila zasłaniane obłokami pary, które miotała maszyna. Gdyby tak można zostawić po za sobą wszystko, co tłoczyło serce! Czuła się coraz swobodniejszą, w miarę, jak oddalała się od Warszawy.

— Pruszków, Grodzisk— wołał po kolei konduktor, ile razy przystanął pociąg na minut parę.

Helena wysiadła wreszcie na jednej z mniejszych stacyi i, mijając zabudowania kolejowe, odetchnęła szeroko czystą i orzeźwiającą atmosferą wsi. Było to w samo południe dnia sierpniowego; ziemia spalona upałami lata, przybrała koloryt, właściwy gorącym krajom. Słońce pałało na rozognionem niebie, nadając gwałtowność i jaskrawość barwom. Nigdzie chmury żadnej, którąby chociaż przelotnie chłodziła ziemię.

Krótkie cienie, rzucane przez przedmioty, odcinały się ostro w krajobrazie, oblanym rażącemi światłami, w którym żółty kolor rżysk po świeżo zebranem zbożu, łączył się z niepewnym kolorem dojrzewających owsów, z brudno różową barwą tatarki i z szarawemi obszarami piasków.

Okolica, w której znalazła się Helena, nie odznaczała się ani wdziękiem, ani urodzajnością. Przestrzenie piasczyste, zamknięte falistemi pagórkami, przerznięte taflami uprawnych pól, porastały smętną i bladą roślinnością, właściwą jałowym gruntom. Gdzieniegdzie krzywy krzak jałowcu rozkładał gałęzie i wydawał się jak czarna plama na gorącym tle krajobrazu; gdzieniegdzie gromada bladolistnej dziewanny wznosiła sztywne łodygi, ustrojone złocistym

kwiatem; gdzieniegdzie leżał głaz omszony wśród kępy traw spalonych.

Cisza południowa panowała w całej naturze, cisza i samotność. Żniwiarze odpoczywali w cieniu chat lub drzew, trzody zgoniono do obór, ptaki nawet milczały, i tylko jednostajny głos świerszczów polnych brzmiał ze stron wszystkich, wtórując jaskrawym barwom południa, ognistym promieniom słońca i spieczonej ziemi.

Jeśli Helena pragnęła samotności, przypadek usłużył jej widocznie: z pod stóp jej zrywały się tylko owady i muszki, znęcone słodyczą kwiatu dziewanny, chorowitych bratków, lub dzikich skabioz, porastających z rzadka jałowe piaski.

Pora nie zdawała się sprzyjać przechadzce, powietrze przejmowało żarem. Upłynął jednak czas pewny, zanim Helena, drżąca od bezsenności i niepokoju, uczuła dojmujące gorąco.

Szła ona ciągle naprzód, nie oglądając się za siebie, używając swobody tej chwili. Aż wreszcie znalazła kamień, ocieniony krzakiem jałowcu, i usiadła na nim zmęczona, próbując zebrać myśli.

Wyrwawszy się ze wszystkich krępujących ją życiowych warunków, czuła się swobodniejszą. Zdala od tego człowieka, którego moralnej potędze oprzeć się nie była zdolną, sądziła się bezpieczną, gotową do

walki, pewną niemal zwycięztwa. Zdawało jej się, że rozkołysana wyobraźnia zwiększała niebepieczeństwo,—i zaczęła snuć plany przyszłości.

Trzeba jej koniecznie porzucić Warszawę, wymyślić jakiś powód podróży, chociażby to nawet za kaprys wzięte być miało, wyjechać daleko i pozostać tam, dopókiby przynajmniej zapomnianą nie została.

Na tę myśl wprawdzie serce zamierało jej w piersi, i na przekór południowej godzinie skwaru, czuła zimne dreszcze... Ale ona nie zważała na to, nigdy nie targowała się z cierpieniem. Rozumiała dobrze, iż była to jedyna deska ocalenia, jaka jej zostawała, i chwyciła się jej gorączkowo.

Być może, iż głos wewnętrzny szeptał, że ludzie tacy, jak January, nie zdolni są zapominać. Oddalała tę myśl, starała się rozwiać to, co jej wypada uczynić, nie oglądając się na drugich.

Czas jakiś siedziała pod chwiejnym cieniem jałowcu, z głową pochyloną, z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy doleciał ją szelest zbliżających kroków. Wśród panującej ciszy, szelest ten doszedł ją zdaleka. Zrazu nie zwróciła na to uwagi; rozmaite ścieżki krzyżowały się wokoło niej, droga należała do wszystkich: zapewne jaki żniwiarz szedł na swoje pole, lub przechodzień dążył do celu swojej wędrówki. Kroki jednak były lekkie, pewne, nie miały nic wspól-

nego z ociężałym zwykle chodem wieśniaków, kierowały się wprost ku niej i zatrzymały snadź nagle, bo szelest ustał, a na gorącym piasku zarysował się cień jakiś.

Podniosła oczy, tknięta niepojętem przeczuciem. Stał przed nią January.

Helena nie poruszyła się z miejsca, jak ptak, ogarniony wężowem spojrzeniem, tylko serce jej uderzało gwałtownie, myśli zmącone wirowały, a przed oczyma biegały ogniste plamy.

Nie zapytała się, jakim sposobem ścigał ją aż tutaj? jak odkrył to chwilowe schronienie? — on też nie tłumaczył się, nie usprawiedliwiał i zaczął mówić tak, jakby, znalazł ją pod cieniem werandy, lub w ciszy jej salonu.

— Nie skończyliśmy wczorajszej rozmowy, a pani wiesz dobrze, iż tak dłużej być nie może.

Słowa te, jak cała postać jego, były z pozoru spokojne, ale dźwięk głosu, zadawał oczywisty kłam podobnemu przypuszczeniu. Głos gwałtowny, urywany, wydobywał się z piersi ściśnionej, wychodził syczący przez zaciśnięte wargi, i zdradzał wewnętrzne wzburzenie, nad którem panował tylko wysileniem woli.

Nie znajdowała słów odpowiedzi, patrzała na niego przerażona i zachwycona razem.

On odczuł to zapewne, bo wyrzekł z miększym wyrazem:

— Jeśli chciałaś pani mówić ze mną stanowczo, zdala od ciekawych oczu, bez trwogi, przeszkody i świadków, jestem gotów słuchać wyroków twoich.

Chciała zaprzeczyć, że nie na to schroniła się tutaj, aby szukać z nim rozmowy,—nie mogła; on zaś mówił dalej:

— Jeżeli łudziłaś się pani myślą, że potrafisz pomiędzy mną, a sobą położyć przestrzeń, przychodzę rozwiać tę dziecinną nadzieję. Gdziekolwiek będziesz, ja tam znajdę się także. Nie zatrzymują mnie setki mil, jak nie zatrzymały mnie dzisiaj drobne trudności. Nie powinnaś o tem wątpić.

Te ostatnie słowa wróciły jej przytomność.

— Więc to ma być prześladowanie! — zawołała.

W oczach jego zamigotała gwałtowna błyskawica.

— Heleno! Heleno! — zawołał — na co te próżne słowa. Gdyby serce twoje nie należało do mnie, wiesz dobrze, iż choćbym miał skonać, odrzuciłbym kradzioną słodycz twej obecności.

Miał słuszność: pomimo woli swojej, czuła się tutaj współwinną uczuciem, jeśli nie myślą.

Spoglądał na nią z niewysłowioną miękością, do której była zdolną ta bogata natura; potem zbliżył

się zwolna, nie zdejmując z niej tego spojrzenia, z pod którego magnetycznej władzy wyłamać się nie mogła, i zaczął snuć przed nią zamiary przyszłości, a głos jego brzmiał łagodny, jak pieszczota, jakby chciał zetrzeć ślady cierpienia z jej myśli, usunąć wątpliwości, walki, powrócić jej uśmiech na usta.

Groźne pytania, które stawały przed nią z całą mocą, przedstawiały się jemu także. Ale on miał odwagę zajrzeć im w oczy. Rozumiał wszystkie trudności położenia, może lepiej od niej samej i, opierając się na nich, osnuł zamiary przyszłości

Zamiary te były równie śmiałe, jak ich twórca, nie cofały się przed żadnem następstwem, łamały najzupełniej wszystkie ustawy społeczne, nie dbały o sądy ludzkie. January nie wahał się stwierdzić faktem, jak to czynił w teoryi praw jednostki do bezwarunkowego szukania własnego zadowolenia, do posiadania tego, czego pożąda, stawiając prawa namiętności ponad wszystkie inne.

Według tego prawa, Helena należała do niego, więc winna była rzucić wszystko, by iść za nim. Jeśli ona nie zdolną była do kłamstwa, on nie należał do rzędu ludzi, coby zadawalniali się kradzionem szczęściem: kobieta, którą kochał, musiała należeć do niego zupełnie — nie mieć na świecie innej myśli, innej troski.

Rozwijał przed nią plany swoje, oddając na posługę szalonego przedsięwzięcia całą logikę i energię; do jakiej był zdolny.

Nie zatrzymywały go materyalne trudności, pod tym względem, skromny wprawdzie majątek czynił go panem położenia, zresztą, rachował na swoją pracę, na nazwisko, które już zdobyło sobie uznanie, na niespożytą energię, którą musiał wywalczyć sobie stanowisko, gdy ku temu obróci siły.

Tymczasem mógł zapewnić ukochanej kobiecie owe łatwe życie, do którego przywykła, mógł otoczyć ją dostatkiem i przynajmniej pod materyalnym względem nie wymagać żadnej ofiary. O ofiarach moralnych nie myślał. Jeśli Helena porzucała rodzinę, jeśli traciła położenie towarzyskie, szacunek powszechny, ważąc się na wszystkie hazardy nielegalnego związku, kochała—była kochaną; wszakże słowo to, w jego przekonaniu, starczyło za wszystko powinno jej było zapewnić szczęście zupełne na przekór świata i ludziom, jak zapewniłoby jemu.

Jak bogacz nie rachuje się z wymaganiami swemi, bo wie, że je opłacić potrafi, tak on czuł w sobie skarby uczucia, zdolne przeważyć szalę na jego stronę, jakkolwiek znaczna była szala przeciwna. Posiadał dumę serca, znającego swą wartość, oddającego się bezpowrotnie i czującego się w prawie żądać równego oddania.

W miarę jak mówił, myśli jego się rozjaśniały, wyraźniej występowały zamiary, a mowa nabierała tej przekonywającej mocy, czyniącej z niego tak nieprzepartego szermierza w zapasach myśli.

Zwykle zimny i poważny, posiadał w chwilach stanowczych, gorącą wymowę wielkich trybunów i reformatorów. A teraz, wśród namiętnych przekonań trybuna, wśród potęgi wywodów filozoficznych społecznego reformatora dźwięczała struna miłości miękkiej, jak puch łabędzi, ognistej jak lawa wulkanu, sprzymierzała się ze wszystkiemi tłumionemi pragnieniami serca i wytwarzała wkoło niej atmosferę burzliwą, gwałtowną i rozemdlewającą, wśród której traciła zwolna hart, broniący ją dotąd.

Wymowa jego harmonizowała z tym spiekłym krajobrazem, spalonym od promieni słonecznych, ze skwarnemi podmuchami lata, z namiętną południową ciszą natury otaczającej, harmonizowała nadewszystko z jej własnem sercem, bijącem szybko, zmordowanem walką daremną.

Przyszła na nią chwila zniechęcenia i bezsilności. Zapytała samej siebie: na co walczyć, skoro zwycięstwa otrzymać nie można? Czuła niepodobieństwo obrony. Człowiek ten panował nad nią siłą inteligencyi, siłą namiętności, siłą woli wreszcie, nie rozłamanej skrupułem, wątpliwością, ani względem żadnym.

January zrozumiał szybko otrzymaną przewagę.

Nakształt poetycznych figur „Jerozolimy Wyzwolonej,“ Tankreda i Kloryndy, miłość ich była dotąd walką; z szalejącem sercem i zmąconą myślą wzajemnym obrazem, ranili się każdem słowem. Teraz dopiero w przepaścistej głębi jego spojrzenia zabłysnęła iskra szczęścia, a iskra owa przetworzyła tę dumną, przewiędłą twarz, czyniąc ją młodą, łagodną, ufną, spokojną i nadając wdzięk niepojęty, którego brakło jej zawsze.

Patrzała na niego zachwycona, porwana.

A słowa jego stawały się coraz to bardziej stanowczemi, domagały się odpowiedzi, czytały ją w bladym uśmiechu, co rysował się na jej wargach, czytały ją w południowych oczach, przymglonych, płonących a wlepionych w niego z takim wyrazem, z jakim patrzy się w błękit nieba, wśród rozdartych chmur w czasie burzy, w zbawczą gwiazdę światła wśród ciemności. Świat cały wydawał jej się teraz burzą, ciemnością, chaosem—jedynem miejscem schronienia było jego serce.

— Heleno!—mówił tak cicho, iż słowa te dolatywały do niej, jak gorący szept miłosny, jak echo

rozkochanej, płonącej natury. — Heleno! ty wiesz dobrze, że walki i cierpienia minęły, że my nie możemy rozstać się więcej. Ty należysz do mnie — do mnie tylko!

Opasał ją ramieniem.

— Chodź! tutaj dłużej zostać nie możemy!

Nie opierała mu się; wola jej była pokonaną. Podniósł ją z miękką przemocą. Chwiała się; bez jego ramienia nie byłaby zdolną kroku postąpić; świat cały krążył jej w oczach.

Zdaleka dochodził świst lokomotywy. January spojrzał na zegarek.

— Chodź!—powtórzył, wiodąc ją lekko w stronę stacyi.

Szła zwyciężona, posłuszna, nie pytając, gdzie ją prowadzi.

Rzeczywiście pociąg jakiś odchodził. Po chwili znalazła się z Januarym w wagonie.

Traf, czy rozmysł sprawił, iż byli sami.

Oparła głowę o poduszki. Ciało jej opanowało znużenie, łatwe do wytłómaczenia.

Całą noc spędziła bezsennie, dnia tego nic nie miała w ustach. Nie czuła jednak senności, ni głodu; zdawało jej się, że jest wyzwoloną z materyalnych warunków bytu. Nerwy jej wytężone utrzymywały sztucznie siły, podnosząc subtelność wrażeń, a odejmując dzielność energicznym pierwiastkom.

Rozkołysana, upojona, czuła niepojętą rozkosz, gdy para unosiła ją obok niego; traciła zwolna poczucie rzeczywistości; gotowa była zapytać siebie, czy to nie było sennem marzeniem? Opuściły ją naraz wszystkie troski bytu; a kiedy dłoń jej spoczywała w jego dłoni, kiedy czuła jej namiętne tętna, wiedziała dobrze, iż ręka ta była dość silną, by poprowadzić ją przez ciernie życia, strzedz i bronić.

Długi czas nie zamienili słowa jednego, jakby lękając się rozwiać urok chwili, której słodycz zalewała ich dwa serca szalone. Powoli świat cały ginął im z myśli, jak przedmioty i okolice ginęły im z oczu. Zapomnieli, że były cierpienia, że sami stali się ich sprawcami, że walczyli tak długo, że szczęście obecnej chwili było kradzionem tylko. Poza nimi leżały może przepaście bólu, przed nimi mogła być hańba, rozpacz, nieszczęście, długie, jak życie; teraz zapomnieli o wszystkiem, wiedzieli to jedno, że byli razem, że patrzyli na siebie swobodnie, że dłonie ich były złączone.

Nagle głos konduktora odezwał się tuż przy oknie wagonu:

— Piotrków! pół godziny.

Pociąg stanął, otworzono drzwiczki na oścież.

Czar prysnął, dłoń jej wyrwała się z jego ręki.

— I dokądże my jedziemy!—zawołała.

Uśmiechnął się, jak człowiek, który osiągnął cel dawno upragniony.

— Jedziemy daleko, tam, gdzie będziemy mogli kochać się swobodnie.

W tej chwili zbudziło się w niej całe poczucie rzeczywistości.

— To być nie może! — zawołała, powstając, gotowa wyskoczyć z wagonu.

— Nie lękaj się! oddawna myślałem o podobnej chwili, przygotowałem wszystko; mam przejazd granicy zapewniony, to najważniejsza; stosunki się potem ułożą.

Do tej chwili nie wiedziała, że uczyniła krok niepowrotny.

— To być nie może! — powtórzyła, odzyskując nagle energię z nerwową siłą, właściwą pewnym stanowczym chwilom.

Patrzał na nią, nie rozumiejąc.

A ona mówiła dalej:

— January! January! Oddałam ci życie moje, nie dbam o siebie; niech się ze mną dzieje co chce, co chcesz ty! Ale dzieci...

Myślał o nich nieraz; wiedział dobrze, iż tu leżała prawdziwa przeszkoda pomiędzy nim a Heleną. Przeciwko uczuciu matki walczyć nie mógł.

Nie mógł powiedzieć: wybieraj. Wiedział, iż ona wybrać nie może.

Postanowienie jego było uczynione; szło jedynie o chwilę spełnienia.

— Czyż nie wiesz—wyrzekł — że to, co ty kochasz, i ja kochać muszę? Przysięgam! dzieci twoje będą mojemi dziećmi.

Patrzała na niego wzrokiem pełnym niewysłowionego uczucia, jak wówczas, gdy wyniósł je z ognia. Grube łzy popłynęły jej z oczu.

Te łzy doprowadziły go do szaleństwa.

— Ja nie chcę, żebyś płakała!—zawołał—ja nie chcę cię kosztować łzy jednej. Jeszcze raz przysięgam, że dzieci swoje mieć będziesz.

Nie wątpiła o prawdzie słów jego; wiedziała, iż był tak dumny, że skonałby raczej, niż skłamał. Nie pytała o więcej; wiedziała, że nie przyrzekał daremnie.

On nie poprzestał na tem i mówił dalej:

— Gdyby nie chciano ci ich oddać, znajdę na to sposób; wykradnę je, choćby z pod rygłów i zamków.

Przyszło jej na myśl, że dzieci te nie należały do niej jedynie, że był ktoś, który tym sposobem zostałby zupełnie osierocony; spuściła głowę w milczeniu. Za prawami jego ona przecież przemawiać nie

mogła; ona, co sama czyniła mu największą krzywdę, co rozrywała rodzinę — opuszczała stanowisko swoje przy ognisku uczciwego człowieka.

— Czy mi nie wierzysz?—pytał niespokojnie.

— Ja?...

Nie mógł omylić się na wyrazie, z jakim wymówiła to jedno słowo.

— Masz słuszność!—wyrzekł po chwili—nie zawiodłem nigdy nikogo. Więc czego chcesz więcej? czy jest w mocy mojej co więcej uczynić?

Nie było to w mocy jego, ani w mocy niczyjej. Jeśli obietnice jego nie uspokoiły jej zupełnie, musiała dalej dźwigać sama troskę, smutek, czy wyrzuty swoje.

Ale on nie tego chciał, nie na to gotów był spełnić najszaleńsze zamiary, ażeby widzieć chmurę żalu na jej czole; pragnął ją widzieć szczęśliwą z despotyzmem człowieka nienawykłego do oporu, z egoizmem, który świat cały zamykał w sobie i istocie ukochanej.

— I czegóż się smucisz jeszcze? — zapytał, zapuszczając wzrok do głębi jej serca. — Przez litość! mów przynajmniej, mów wyraźnie. Czy mam pochwycić ten promień zachodu, co odbija się w łzach twoich? czy dostać ci z nieba tę różową chmurkę? czy dostarczyć płat błękitu i rzucić ci go na serce? Zda-

je mi się, że w tej chwili wszystko powolne będzie moim zaklęciom; że to, co ty chcesz, stać się musi!

Uśmiechnęła się mimowoli.

— Więc o czem myślisz? powiedz!—pytał z pieszczotliwym naciskiem—czyż nie mam prawa do marzeń twoich, do smutków i żalów, ja, którego nazywasz w duchu ich sprawcą?

— January! nie jest to czas marzenia.

— Pozwól mi patrzeć w oczy twoje, które nie odwracają się odemnie; pozwól mi patrzeć na uśmiech twój; pozwól mi być szczęśliwym!

Wstrząsnęła głową.

— Chcesz wiedzieć, co ja myślę?

— Myśli twoje nie mają nic wspólnego z temi łzami, któremi męczyłaś mnie i siebie tak długo.

— Myślę, że każda ucieczka jest nikczemnością; i że ty i ja nie powinniśmy jej popełniać.

— Miałabyś słuszność—wyrzekł zwolna—gdybyśmy ukryć się chcieli. Jesteś odważną, Heleno, więc słuchaj! my nie popełniamy ucieczki, my popełnamy to, co świat nazywa skandalem. Jest to jedyny sposób wyjścia z pewnych położeń.

Była niemal brutalna szczerość w tej odpowiedzi, którą przecież wywołała sama.

Teraz przyszły jej na myśl następstwa, jakie czyn ich mógł mieć dla niego; bo dotąd zastanawiała

się nad niemi jedynie względnie do samej siebie — i w strasznem widzeniu przesunęły się przed jej oczyma pojedynki, rany, śmierć może.

— January!—zawołała—to ja jedna winną jestem; na mnie jedną odpowiedzialność spaść powinna.

— Czyż sądzisz—zawołał dumnie—że zbraknie mi odwagi jakimbądź sposobem odpowiedzieć za czyny. — Bądź spokojną; oddawna już obrachowałem wszystko, ważyłem się na wszystko, i na wszystko jestem gotowy.

Słuchała go przerażona, ale teraz zapominała o sobie, myślała o nim tylko, drżała o niego.

— Nie lękaj się!—mówił. — Czyż nie wiesz, że na tym naszym biednym świecie rozkosz splata się z boleścią, a każdą słodycz okupywać trzeba. Jest to zasadnicze prawo, któremu się poddać musimy. Może słusznie. Skala szczęścia mierzy się tylko cierpieniem; im kto poznał głębsze otchłanie bólu, tem wyżej rozkosz pojmuje. Miara dantejskich piekieł jest miarą kręgów raju.

— Ty mówisz o tem tak spokojnie! — zawołała z przestrachem, patrząc na niego, jak gdyby już lękała się go utracić.

— Heleno! Heleno! — odparł, przygarniając ją ku sobie — cóż trwałego na ziemi? żyjemy wszyscy z grozą śmierci zawieszoną nad nami, z niepewnością

jutra, z poczuciem znikomości własnej, jak z nieodłącznemi warunkami bytu. I cóż ztąd? czy dlatego to dzisiaj jest mniej słodkie?

Była przekonywająca wymowa w jego słowach, w spojrzeniu, jakiem ją ogarniał, w objęciu, którem cisnął ją do piersi.

— Powiedz mi tylko — mówił — że jesteś szczęśliwą, to jedno słowo mi wystarczy i przysięgam, że błogości tej chwili nic na świecie zamącić nie zdoła. Choćby przyszłość przyniosła mi same męczarnie jeszcze nie powiem, abym ją okupił zbyt drogo Przynajmniej jeden dzień, godzinę jedną żyję pełną piersią; osiągnąłem to, czegom pragnął, stanąłem na szczycie ludzkiej doli... kocham... jestem kochany. Każdy fibr nerwowy drga szczęściem, każda krwi kropelka szybciej krąży, a każda myśl potęguje uczucia, nadając im świadomość siebie. Szczęście moje nie jest to owa chwila, która przechodzi i ginie, zanim ją ludzie nazwać zdołają; ja chwytam ją za skrzydła, ja ją czuję, ja spoglądam jej oko w oko. I czegóż więcej człowiek pożądać może?

Słuchała go rozmarzona. Głowa jej opadła mu na ramię, powieki się przymknęły. Porwana wymową jego, ona także nie chciała myśleć ani o groźnem jutrze, ani o walkach przeszłości, ani o tem wszystkiem, co pozostawiała poza sobą. Ona także wraz

z nim pochwycić chciała za skrzydła widziadło szczęścia, spojrzeć mu w oko i nazwać je po imieniu.

W tej chwili rozległ się przeciągły świst lokomotywy i pociąg ruszył, unosząc ich w tę przyszłość, której, pomimo wszystkiego, uniknąć nie mogli.

XIII.

W spokojnym, cichym i doskonale urządzonym domu pana Tytusa panował nieład i zamieszanie, stokroć większe jeszcze, niż po pożarze. Helena wyszedłszy rano bardzo, nie powróciła na obiad. Był to fakt nadzwyczajny, fakt, który nigdy podobno nie zdarzył się dotąd.

Pan Tytus chodził od okna do drzwi, spoglądał na wszystkie zegarki po kolei i niespokojnie wypytywał służbę, lękając się jakiegoś wypadku, bo do tej chwili żadne przeczucie rzeczywistości nie postało w jego umyśle.

Służba krzątała się zafrasowana i, uśmiechając się po kątach, ukazywała panu twarze, pełne

urzędowej troski, a dzieci biegały wszędzie, nie rozumiejąc o co chodzi, rade, jak zwykle, każdej zmianie zwyczajów.

Podano wreszcie obiad, ale pan Tytus go nie jadł. Brakło mu jasnej, uśmiechnionej twarzy, uważnej na jego skinienie; brakło mu rzeczy, do których nawyknął. Troska jego wzrastała z minutą i z chwilą każdą. Chciał robić poszukiwania. Poszukiwania jednak podobne zwykle budzą szyderstwo; wiedział on dobrze, że mąż, szukający żony, wydaje się tak głęboko komicznym, iż nie miał odwagi narażać na coś podobnego dobrego imienia Heleny i swej własnej domowej sławy.

Zresztą, gdzież miał szukać? Czy pytać o nią ulic miasta, przechodniów wszystkich, czy też niektórych jego mieszkańców? Helena nie miała ani ścisłych przyjaźni, ani światowych nawyknień, nie należała do żadnego dobroczynnego bractwa; życie jej było bez tajemnic; ile razy wychodziła z domu, wiedziano zwykle, gdzie się udaje. Szukać podobnej kobiety jest to czyste niepodobieństwo.

Pan Tytus postanowił czekać jeszcze. Usiadł w salonie, zkąd najlepiej można było słyszeć dzwonek drzwi wchodowych, przebiegając myślą po raz setny wszelkie możliwe wypadki, jakie mogły ją zatrzymać.

W rezultacie niepokój nie był niczem usprawiedliwiony. Helena nie miała wprawdzie serdecznych przyjaciółek, u których trawiła część życia, ale za to bardzo często szukano u niej dobrej rady, proszono ją o rozmaite przysługi, których ona nie odmawiała nigdy. Coś podobnego mogło się wydarzyć; mogła dać znać o tem do domu, a posłaniec spóźnił się z bilecikiem, albo też zupełnie go zagubił.

Wszakże fakta takie zdarzają się codzień, wszakże doświadczył ich każdy, a wobec nich, niepokój był szaleństwem, z którego Helena i on śmiać się będą, gdy tylko rzecz cała się wyjaśni.

Naprzekór jednak tym racyonalnym rozumowaniom, spokojnym nie był; głucha troska, którą napróżno starał się odżegnać, wgryzała mu się do serca, a pierś tłoczył mu ciężar, zwiększający się z chwilą każdą, jakby ubiegające minuty łączyły się z nim jedna po drugiej, nakształt ciężkich ołowianych kropel.

Po niejakim czasie, bezczynność stała mu się niepopobną do zniesienia. Bez myśli żadnej pochwycił kapelusz i chciał iść, gdzie go oczy poniosą, gdy dzwonek odezwał się w przedpokoju. Nie czekając na służbę, sam pobiegł otworzyć. Nie wątpił na chwilę, że to Helena, i gotował się przyjąć ją z radosnemi

wymówkami, gdy wyciągnione do uścisku ramiona jego opadły: znalazł się wobec Oktawii.

Wyraz zawodu, jaki zarysował się na jego twarzy, musiał być bardzo wybitny, bo Oktawia zrozumiała go odrazu. W innej chwili byłaby zapewne roześmiała się szczerze z twarzy, jaką ją witał; teraz jednak ona także zdawała się zafrasowaną i zapytała o Helenę.

— Jakto!—zawołał pan Tytus—więc mojej żony z panią niema? więc pani nic o niej nie wiesz?

Badała go niepewnemi oczyma; słowa te nie wydały się jej dość wyraźnemi, lękała się z czemś wydać, i nie odpowiadając wprost na pytanie, zadała inne.

— Od kiedy niema Heleny?

— Od rana. Czyś pani jej nie widziała?

Oktawii zrobiło się zimno i gorąco; usiadła w milczeniu, przerażona, ona także; przeszedł jej przez myśl przebłysk rzeczywistości. Widziała ją dzisiaj gotową na wszystko.

Pan Tytus nie pytał o więcej; oczywiście, skoro Oktawia nie odpowiadała, nie wiedziała nic. Rzecz ta zdawała mu się zupełnie jasną.

Warszawa jednak jest zbyt małem miastem, by

w niem cośkolwiek mogła się długo ukryć. Niebawem ktoś z domowych przybył z doniesieniem, iż widziano dziś rano Helenę kupującą bilet kolejowy.

Była to dla pana Tytusa piorunująca wiadomość, komplikująca nadzwyczajnie nieobecność żony. Nie rozumiał, nie podejrzewał nic i podniósł na Oktawię zdumione oczy.

— Helena była u mnie na chwilkę dziś rano— wyrzekła wówczas.

— I cóż! czy miała jakie zamiary spaceru, przejadżki? Dlaczego nie powiedziała mi tego?

Oktawia milczała; wzajem chciała się wielu rzeczy dowiedzieć.

— Pójdę na kolej! — zawołał wreszcie pan Tyqus—może kasyer pamięta, dokąd wzięła bilet? z kim była?... a przynajmniej spotkam ją na banhofie.

Czy pojechała sama? Czy miała powrócić kiedy? Pytania te powstały w głowie Oktawii i zaniepokoiły ją śmiertelnie.

— Daremny mozół!—zawołała z żywością—któż pamięta wydane bilety? pociągi powracają o rozmaitych godzinach; możesz pan czekać noc całą.

Miała słuszność; wszytko to było niepojęte.

Są położenia jednak, wyrabiające szybką intuicyę.

Pan Tytus nie rozumiał,co stać się mogło,dostrzegł przecież, iż Oktawia mniej zdawała się zdumioną od niego; dostrzegł, iż służba domowa, poza konwencyonalną maską, nałożoną przez konieczność, miała szyderczy uśmiech. Nagle przypomniał sobie wczorajszą rozmowę... i przebiegł go dreszcz zimny, kolana się pod nim ugięły, pot wystąpił kroplami na czoło.

— Ha!—szepnął zduszonym głosem.

Nie powiedział nic więcej, ale oczy szeroko rozwarte wlepił w Oktawię, jakby powziął i to podejrzenie, że ona coś wiedziała, coś ukrywała przed nim.

Czas jakiś stał odurzony. W myśli jego odbywała się praca wielka: przy świetle nagle zrodzonych podejrzeń, przepatrywał pożycie swoje, w którem od niejakiego czasu zaszły pewne zmiany. Drobiazgi, szczegóły, na które najmniejszej nie zwrócił uwagi, powracały mu do pamięci, pełne ukrytego znaczenia.

Są umysły, spokojne zwykle, w których raz zasiane podejrzenie rozrasta się szybko, zagarnia pod panowanie swoje wszystkie władze, i posługuje się niemi, dopóki nie zdobędzie sobie pewnika.

— Ha!—szepnął po raz drugi, i oczy jego skierowały się gwałtownie ku oknu Januarego. Okno

było zamknięte, nie dawało znaku życia. Pan Tytus, zapominając o Oktawii, jak szalony, wybiegł z pokoju, i w minutę później dzwonił do jego drzwi.

Odpowiedziało mu głuche milczenie.

Dzwonił dalej, niezmordowanie, rozpaczliwie; chwilami zatrzymywał się i słuchał; rozkipiałe tętna krwi szumiały mu w uszach, udając kroki ludzkie. Gdyby te drzwi się otworzyły, gdyby ujrzał w nich tę znaną postać, pan Tytus czuł, że gotów byłby pochwycić ją w ramiona i rozpłakać się jak dziecię, jak waryat. Niechby January wziął go za szaleńca, to nie szkodziłoby mu nic; on kochałby go za to, miałby nieograniczoną wdzięczność.

Ale drzwi były nieubłagane, kroki po za niemi okazały się złudzeniem zmysłów. Dzwonienie, któreby zmarłych ocucić mogło, nie wywołało nawet żadnego szmeru. Widocznie mieszkanie było puste.

Pan Tytus nachylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza, — klucz był wyjęty; dostrzegł tylko ostatnie promienie zachodu, błądzące swobodnie po książkach i sprzętach.

To nie znaczyło nic. January mógł był poprostu wyjść na codzienną przechadzkę, ale pan Tytus nie zatrzymał się nad tą myślą.

Z oczyma nabiegłemi krwią, stał przy drzwiach, jakby się nie mógł z miejsca oderwać, czasami tylko machinalnym ruchem targając za dzwonek. W tej chwili kroki jakieś słyszeć się dały na schodach; pan Tytus obejrzał się gwałtownie i ujrzał Ignasia z którym spotykał się czasami.

I zapominając o tem, co on mógł pomyśleć, nie bacząc na nic, zapytał:

— Co się dzieje z pańskim przyjacielem?

Miał może przytem myśl inną, chciał wybadać Ignasia; ale ten nie mógł zdradzić tajemnicy, której nie posiadał. Zresztą Ignaś miał dużo kłopotów na swoją własną rękę. Nagła, nieprzewidziana nieobecność Januarego zwalała na jego głowę cały ciężar redakcyi świeżo założonego pisma, które istniało dotąd niemal jedynie talentem i pracą redaktora głównego. Od rana Ignaś był kilkanaście razy u przyjaciela, coraz niespokojniejszy.

— Niema go od rana; byłem tu tyle razy!

— Więc on wyjechał; on musiał wyjechać; gdzie wyjechał? mów pan! ja muszę to wiedzieć!

Słowa te, zaledwie słyszalne, wychodziły urywane z ust jego.

— Ja nic nie wiem—wyrzekł Ignaś, patrząc na

niego niespokojnie. W tem wzruszeniu, w nieładzie słów i pytań odczuł katastrofę.

— To być nie może! — krzyknął nieszczęśliwy mąż, przywiedziony do ostateczności — podróży nie przedsiebierze się bez przygotowań.

— W takim razie, kto powiedział panu, że wyjechał? Widziałem się z nim wczoraj wieczór; nie miał żadnych zamiarów.

Pan Tytus do krwi przygryzł wargi; zdradził się daremnie, nic nie zyskując w zamian. Przyszło mu na myśl, że wszyscy byli w spisku przeciwko niemu, wszyscy wiedzieli o jego nieszczęściu, a nieszczęście to było w rodzaju tych, które nie wzbudzają współczucia, z których nielitościwy świat naśmiewa się tem mocniej, im jest głębsze, im bardziej rozdziera serce.

W tej chwili zapragnął, żeby mu się ziemia otworzyła pod stopami i pochłonęła go razem z pamięcią.

Ale wiadomo, że ziemia najwierniej nosi tych, którzy nią gardzą; że pomimo tysiąca śmierci, czyhających ze stron wszystkich na człowieka, to pragnienie nigdy podobno spełnionem nie zostało.

Pan Tytus, przez ciąg czterdziestoletniego życia, był zawsze człowiekiem łagodnym, wesołego usposo-

bienia, pragnął każdemu uczynić przysługę, w każdym widział chętnie przyjaciela; teraz wydało mu się nagle, że jest otoczony wrogami, spotykał ich wszędzie, wszędzie widział w koło siebie.

Rzucił ponure spojrzenie na Ignasia, który stał w drzwiach przybity, i oddalił się, nie mówiąc słowa.

Zstępował zwolna ze schodów, chwiejąc się, jakby rażony paraliżem, różny bardzo od tego, czem był przed chwilą.

Gdy szedł tutaj, miał jeszcze jakąś nadzieję, nie nabył przeświadczenia o swojem nieszczęściu; teraz wiedział wszystko, — zdawało mu się przynajmniej, że wiedział wszystko; położenie zarysowało się przed nim jasno, jak na dłoni. I, jak się często zdarza w podobnych razach, przypuszczał wiele więcej nawet, niż było rzeczywiście. Kładł na karb szatańskiej przebiegłości ten wyjazd, który stał się dziełem nieobrachowanego wypadku. Oktawia zdała mu się powiernicą z komedyi, co przyszła naumyślnie śledzić wrażenia, doznane przez niego, i zdać z nich sprawę, komu należy. Czyż nie udawała niewiadomości? czyż, zaprzeczając zrazu, nie przyznała wreszcie, iż dziś rano jeszcze widziała Helenę?

Podejrzenie to, zaledwie zrodzone, w mgnieniu oka zmieniło się w pewnik. Powrócił do siebie,

pełny nienawiści, a nienawiść jego kipiała pragnieniem wybuchu.

Oktawia siedziała w salonie, oczekując jakiej wiadomości, nie mogąc wierzyć jeszcze, by to, czego się najwięcej lękała, spełniło się tak nagle.

Zarówno jak pan Tytus, pomyślała o Januarym; tylko niepodobna jej było sprawdzić swoich podejrzeń, ani nawet pozwolić się ich domyślać jakiembądź nieostrożnem słówkiem.

Oboje milczeli czas jakiś, spoglądając na siebie bacznie, nieufnie. Pan domu chodził po pokuju nierównym krokiem na czole jego zbierały się zmarszczki coraz groźniejsze. Oktawia śledziła go wzrokiem. Wreszcie on zatrzymał się przed nią; oddech jego był zduszony, głos ochrypły.

— Pani wiesz, gdzie jest moja żona!— wyrzekł.

Mogła przysiądz, że nie wiedziała, a jednak uczuła się zmieszaną; zrozumiała, że choćby zaprzeczyła, on nie uwierzyłby jej nigdy.

— Pani wiesz, gdzie jest moja żona! — powtórzył gwałtowniej.

Za całą odpowiedź wzruszyła ramionami.

— Ha!—zawołał, wybuchając, — nie chcesz mi pani powiedzieć; mogłem to przecież zrozumieć i nie pytać daremnie. Ale ja chcę, ja to muszę wiedzieć.

Drżał cały, wymawiając te słowa; silił się pohamować i patrzał na Oktawię oczyma, w których prośba walczyła z wściekłością.

Wzrok ten był tak wymowny, iż mimowolnie odwróciła głowę.

— Ja wiem! — zawołał, tłumacząc ten ruch na swoją korzyść i podwajając prośby — ja wiem, że wy, kobiety, zawsze trzymacie jedna za drugą; ja wiem, że uważacie nas za wspólnego nieprzyjaciela. Bóg widzi, niesłusznie, ale to nic; ja przeciwko temu walczyć nie chcę; nie mam czasu; sądź pani o mnie, co chcesz, ale miej miłosierdzie! czyż nie widzisz, co się ze mną dzieje? Powiedz mi tylko to jedno słówko: gdzie ona jest?

Wziął jej ręce i ściskał je w swoich, wstrząsając z namiętnym wyrazem błagania.

— Wszak widzisz pani, że jestem spokojny; nie lękaj się! nie jestem tyranem, ani mężem z tragedyi; wiesz przecie, iż nie posunę się do żadnych ostateczności; powiedz, gdzie ona jest?

Oktawia, jak słusznie zauważył pan Tytus, nie była w ogólności przyjaciółką mężów; ten jednak zaczynał rzeczywiście wyjątkowo budzić jej litość.

— Nie wiem; przysięgam panu, że nie wiem! — odparła, usiłując wydobyć ręce z uścisku, który stawał się coraz gwałtowniejszym.

— Och! przysięga kobieca! — zaśmiał się sucho — czy sądzisz pani, że jestem dość naiwnym, by wierzyć jej jeszcze?

— Ależ ja nie przyszłabym tutaj, gdybym wiedziała, że niema Heleny.

Te słowa, chociaż pełne prawdy, potwierdziły tylko jego podejrzenia.

— Jesteście wszystkie przebiegłe, jak szatany!—zawołał—wszystkie umiecie kłamać, zwodzić, przysięgać; ale na Boga, ja na tem nie poprzestanę! ja muszę wiedzieć! ja wiedzieć będę!

W tej chwili gładkie pozory dobrze wychowanego człowieka znikły, a wszystkie pierwotne instynkty odzyskały swoje prawa. Ściskał jej ręce, jakby to czyniły żelazne kleszcze maszyn, zapełniających jego fabryczne zakłady; gotów był rzucić się na nią i dusić, by wydrzeć gwałtem tajemnicę żony.

— Puść mnie pan! — zawołała przestraszona.— Ja nic nie wiem!

Te słowa podżegły jego wściekłość.

— Wszyscy — zawołał — sprzysięgli się przeciwko mnie! Jestem wspólnym nieprzyjacielem, przeciw któremu wszystko wolno; jestem zwierzyną, na którą wszystko czyha. Mąż oszukany, to rzecz taka śmieszna! I czemuż się pani nie śmiejesz teraz? czy-

niłaś to przecież tyle razy; nie przyszłaś tu po co innego!

— Puść mnie pan!— krzyknęła Oktawia, — łamiesz mi palce!

Krzyk ten oprzytomnił go nieco; zawstydzony, wypuścił jej ręce, odstąpił nawet parę kroków, jakby lękał się samego siebie i pokuszeń niepohamowanego gniewu.

Zdawał się przetworzonym. Pod działaniem wielkiego wzburzenia, występowały na jaw pierwiastki, jemu samemu nieznane. Oczy błyszczały, jak oczy drapieżnego zwierza, a pospolite rysy, pod uderzeniem nieszczęścia, nabierały charakteru, jak glina posągu pod dotknięciem mistrza.

Teraz, że skrzyżowanemi na piersiach rękoma, spoglądał na Oktawie, na której palcach widne były jeszcze ślady jego dotknięcia, jakby nie mógł oderwać oczu od tej kobiety, dzierżącej, jak sądził, tajemicę jego żony.

— Pani nie wiesz, gdzie ona jest? — mówił dalej przez zaciśnięte zęby,—jak ten człowiek nie wiedział, gdzie jest jej uwodziciel; nie umawialiście się, a daliście jedną odpowiedź. Cóż znaczę ja! moje nieszczęście! moje cierpienia!... To może odebrać przytomność!

Słowa te zwracał więcej do samego siebie, niż do niej, przecież zastanowiły ją. Świadczyły, że rozumiał dokładnie położenie, że podejrzenia jego znalazły swój przedmiot, a nawet, że, nie namyślając się chwili, starał się je sprawdzić. Wszystko nasuwało jej nowe obawy.

— Panie Tytusie!— zawołała z mocą — możesz mi pan wierzyć, lub nie wierzyć, przysięgam panu raz jeszcze, że nie wiem, gdzie jest Helena.

Podniósł głowę gwałtownym ruchem i zdawał się oczekiwać, co mu więcej powiedzieć zechce.

— Ale gdybym nawet wiedziała, nie powiedziałabym panu, dopókibym nie zrozumiała co zamierzasz?

— Co ja zamierzam? przez miłosierdzie! wytłumacz mi pani wprzód, co mnie spotkało? bo głowa mi pęka.

I znowu przez chwilę stał zamyślony, ponury.

— Czemu ona to uczyniła?—wybuchnął w końcu—powiedz mi to pani przynajmniej! Czemu? Czegóż jej brakło? czy sprzeciwiłem się jej kiedykolwiek? czy sprawiłem mimowolną przykrość? Ja odgadywałem myśli, ja słałem się jej pod stopy... ja wierzyłem w nią, jak...

— Ja przecież nie doradzałam jej podobnego szaleństwa!—przerwała Otawia.

— To nie szaleństwo! to zbrodnia!

Milczała. Tem jednem słowem pan Tytus scharakteryzował swój pogląd na położenie, nie uwzględniający żadnej sentymentalnej teoryi, nie biorący pod rozbiór uczucia, nie dopuszczający okoliczności łagodzących, brutalny jak fakta same.

— I pomyśleć tylko, że świat na podobne zbrodnie ma tak pobłażliwe uśmiechy! — zawołał uderzając się w czoło.

— O! nie lękaj się pan — odparła z goryczą— pod uśmiechem tym kryją się zabójcze żądła.

— Tak być powinno!—zawołał twardo—tak być powinno!

Twarz jego przybrała nieubłagany wyraz, dawniej nieznany w nim zupełnie. Pozostał przez czas jakiś z brwią ściągniętą, z przyciętą, spieczoną wargą, jakby lubując się nadzieją zemsty.

Chwila nie była stosowna do stawania w obronie Heleny; rana, zadana przez nią, była zbyt świeżą, położenie nieokreślone. Oktawia zrozumiała to, i oddaliła się, nie wstrzymywana i nie żegnana przez pana domu.

Tę całą noc pan Tytus spędził bezsennie. Może

miał jeszcze niewyraźną nadzieję, że przyjdzie wiadomość jaka, że wszystkie podejrzenia jego okażą się fałszywemi. Nieszczęście ma czasem tak strasze oblicze, że ludzie uwierzyć w jego realność nie mogą. Przez całą noc spoglądał wytężonym wzrokiem w okno Januarego; może łudził się, że tam ujrzy promień światła choćby na minutę jedną, i że chociaż cząstka jego podejrzeń upadnie. Okno pozostało nieubłaganie ciemnem tak, jak drzwi — zamkniętemi.

Ślady tej nocy bezsennej widne były na drugi dzień w żółtej bladości cery, w oczach, okrążonych ciemną obwódką, a nadewszystko w bruzdach, które wystąpiły wyraźnie na twarz, nadając jej wyraz ponury, twardy i podejrzliwy.

Dotąd, przyznać to trzeba, pan Tytus myślał niewiele i rzadko kiedy; a nadewszystko, myśli jego zamknięte były pewną fabryczno-interesową sferą, po za którą nie wychodziły. Kwestye, wstrząsające tak gwałtownie świat dzisiejszy, problematy społeczne, filozoficzne, uczuciowe, nawet bardziej związane z jego działalnością pytania ekonomiczne, nigdy nie zamąciły mu swobody umysłu i albo zupełnie nie istniały dla niego, albo też istniały tylko w głowach i wyobraźni kilku szaleńców. A jeśli dysputowano o nich w salonie około jego żony, uważał to za rodzaj szermierki słów, za jakąś igraszkę inteligencyi, której nigdy nie brał na seryo.

Teraz nagle wszystkie te abstrakcyjne kwestye, tak lekceważone przez niego, pokazały mu się w całej grozie. I wobec nieszczęścia, jakie go spotykało, rozpatrywał je po raz pierwszy przy tym pożarze namiętności, co spustoszył jego domowe ognisko. Sąd jego nie mógł być bezstronnym.

Nazajutrz też pan Tytus ukazał się ludziom zupełnie zmieniony moralnie: o ile dawniej był łagodny, ufny, dobroduszny nawet, o tyle teraz odrazu stał się obojętnym i twardym. Dzieci, mówiące mu dzień dobry, oddalił obojętnie; dla domowników był ostry, interesami nie zajął się wcale, w fabryce się nie pokazał. Zamknął się w swoim pokoju, nie przyjmując nikogo; można było tylko słyszeć co chwila ciężkie, niespokojne kroki jego, zatrzymujące się i znowu rozpoczynające wędrówkę wpośród ciasnych ścian.

Tak jednostajnie minęło dni parę. Słudzy szeptali coraz głośniej, a nawet rozprawiali o wypadkach zaszłych w domu, zapominając zupełnie o swoich obowiązkach; a dzieci, osowiałe, opuszczone niemal, błąkały się po pustym domu, nie pojmując, co się stało.

Anielka ciągle wołała mamy, zaglądała do pokojów, gdzie znajdowała ją zwykle — i, zawiedziona, płakała. Lucyan miał ciemne poczucie, że niebytność

matki stanowiła kwestyę drażliwą. Chwytał wkoło uśmiechy i urywane słowa, których nie rozumiał, ale w których przeczuwal jakieś ubliżające znaczenie, i, pełny przedwczesnej dumy, nie chciał pytać o nic piastunki, ani innych sług. Nikt się nim nie zajmował wyłącznie, zapomniano o jego potrzebach i rozrywce. Atmosfera nieszczęścia, obejmująca rodzinę, ciążyła nad nim. Kilka razy chciał dostać się do ojca, — drzwi jego były szczelnie zamknięte.

Fakt ten nie miał w sobie nic dziwnego; często bardzo pan Tytus pracował, lub naradzał się nad interesami w swoim pokoju, do którego wstęp był wówczas dla dzieci wzbroniony. Nie trwało to jednak nigdy dnia całego, a zato w wolnych godzinach, w salonie, w ogrodzie, przy stole zwykle ojciec ję pieścił, huśtał, rzucał w górę i bawił się z nimi.

Teraz Lucyan nie widywał go zupełnie. Raz, czy dwa tylko przesunął się przez salon; ale wyraz jego twarzy był tak surowy, że dziecko cofnęło się instynktownie.

Serduszko jego było ciężkie. Dla tego pieszczonego dziecka, otoczonego dotąd ciągłą troskliwością, opuszczenie w jakiem się znajdował, było nieznośnem; od wyjazdu matki nikt go nie pocałował; zbierało mu się na płacz; po dziecinnej wyobraźni snuły się jakieś mary przerażające; zdawało mu się

że tylko gorący uścisk rodzicielski rozproszyć je zdoła; i stanął przy drzwiach pokoju ojca, próbując się do niego dostać.

Drzwi były zamknięte. Ale dziecko było w zamiarze swoim uparte; usiadło w kąciku i czekało cierpliwie; — wszakże drzwi te kiedyś otworzyć się musiały.

Poza niemi słyszał chwilami stąpanie i ciężki oddech, podobny czasem do westchnienia.

Chwile wlokły się długie, powolne; nieraz Lucyan postępował ku drzwiom i kołatał do nich dziecinną rączką,—nikt na to nie uważał.

Wreszcie zdarzyła się oczekiwana sposobność; było to właśnie o szarej godzinie; służący niósł ojcu herbatę. Lucyan niepostrzeżony wsunął się także za nim i skrył poza zwieszoną portyerę. Nie wiedział sam, czego się lękał: czy Jana lokaja, który go tyle razy tutaj nie dopuścił; czy tego pokoju, pełnego cieni: czy własnego hazardownego kroku? Z pewnością jednak nie lękał się ojca.

Dopiero, gdy Jan wyszedł, pozostawiwszy herbatę na stole, a on został sam na sam z ojcem, wysunął się ze swej kryjówki.

Pan Tytus siedział na fotelu przed biurkiem; nie pisał nic; fotel odsunięty był daleko, a żaden papier

nie leżał nawet na wierzchu. Pan Tytus, z rękoma założonemi na kolanach, siedział zwrócony ku oknu, tak, że ostatnie promienie dnia padały na twarz jego, osłupiałą wyrazem gniewu i cierpienia. Pokój zasłany był dywanem, a kroki dziecięcia ciche; nie dosłyszał ich, uczuł tylko, jak usta syna przylgnęły mu do ręki.

I wówczas doznał niepojętego uczucia żalu, dochodzącego do wściekłości i wstrętu, który budził się w nim teraz, wobec każdego serdecznego słowa i każdej pieszczoty. Uczucie to było czysto instynktowne, nowe dla niego samego i niezwalczone, jak instynkt każdy w pierwotnej naturze.

Nie posiadał on subtelnie wyrobionej inteligencyi, zdolnej pojąć cudze wrażenia; nie posiadał wyrobionego serca, coby współczuło każdej boleści; nie posiadał także wyrobionego poczucia ojcostwa, coby wskazywało mu zdwojone obowiązki wobec katastrofy domowej.

On wiedział tylko, że miłość jego odpłacono niewiarą, ufność—zdradą; że cierpiał szalenie, i odpowiedzialność za cierpienie zrzucał na wszystkie dodatnie czynniki; serce jego zamknęło się nagle miękkim uczuciom.

— Czego tu chodzisz? czego chcesz? — zapytał szorstko, usuwając rękę od ust dziecięcych.

Oczy dziecka, pełne wielkich łez, zwróciły się ku niemu, proszące i trwożne.

— Tato! tato!—szepnęło, zdobywając się na odwagę—powiedz mi, gdzie jest mama? ja chcę pójść do mamy!

Te słowa niemiłosiernie dotykały drgającej rany. Powstał wściekły, jakby go dotknęło żelazo rozpalone. Może ten sam wykrzyk bólu znajdował w nim echo, wydzierał się także z jego piersi. Więc i ono także—i to dziecko sprzysięgło się, by zadawać mu męczarnie!

Zwrócił się ku niemu i zobaczył te rysy południowe, namiętne i spokojne, które Lucyan odziedziczył po matce, te czarne włosy, lekko kędzierzawe, takie same jak włosy Heleny. Zdawało mu się nawet, że spotkał jej spojrzenie, smutne i głębokie, że Lucyan spoglądał na niego jej oczyma.

Podobieństwo to, które nigdy nie przedstawiało mu się tak zupełnem, stało się dla niego ostatecznym ciosem. Nie mógł znieść jego widoku.

— Idź precz! — zawołał gwałtownie — idź! nie przychodź tu więcej!

Odepchnął syna, nie zważając na gwałtowne łkanie, wstrząsające jego drobną piersią, i wyrzucił prawie z pokoju.

Długo potem słychać było stłumione łzy dziecka, dla którego w tej chwili zaczynała się straszna nowość — sieroctwo. W ciemności, podnosiło ono z dziecinną rozpaczą zaciśnięte rączki do czoła i wołało wśród łkań: Mamo! Mamo! o Mamo!

XIV.

Tak minęło dni kilka, nie przynosząc żadnej zmiany w domu pana Tytusa, który nie widywał nikogo i utrzymywał w nim pewną tymczasowość, nie mogąc zdobyć się na żadne postanowienie.

Nareszcie zbudziła się w nim energia; zaczął robić poszukiwania, wysyłał listy i depesze z gorączkową niecierpliwością, i wskutek ich zapewne, dnia jednego, nieżegnany przez nikogo, wyjechał z Warszawy.

Zapewne powziął on wiadomość o miejscu pobytu żony, bo wsiadł na tę samą kolej, którą wyjechała ona i zatrzymal się w tem samem mieście.

Był dobrze poinformowany o miejscu jej pobytu, bo niebawem Helena w hotelu, w którym zamieszkała, odebrała następujący bilecik:

„Jakkolwiek zerwałaś w haniebny sposób łączące nas węzły, sądzę, że uznasz razem ze mną, iż są pewne punkta, względem których porozumieć się musimy. Pragnąłbym uskutecznić to ustnie i dlatego przyjechałem tutaj. Naznacz mi pani godzinę. Zdaje mi się, że mam prawo żądać, bym zastał cię samą“.

Wysławszy ten bilet, pan Tytus czekał odpowiedzi, a oczekując, spoglądał machinalnie przed siebie. Nie obchodziło go nic nieznane miasto, którego wieże i kopuły rysowały się na niebie chmurnem, jakby rozpłakanem.

Siedział przed stolikiem, na którym palce jego niecierpliwie kreśliły niewidzialne cyfry i hieroglify, gdy zastukano do drzwi.

Był przekonany, że to odpowiedź na przesłany bilecik, i z gorączkowem drżeniem głosu zawołał:

— Można!

Ale zaledwie ujrzał wchodzącego, zerwał się z miejsca, wściekły, dyszący, i postąpił naprzód, jakby chciał mu dalszą drogę zagrodzić.

We drzwiach stał January.

— Ja także—wyrzekł—chciałem prosić o chwilkę rozmowy; potem uczynisz pan, co zechcesz, co uznasz za stosowne. Bo jakkolwiek krok mój wychodzi poza zwyczaj przyjęty, ja sądzę, żem go winien sobie i panu.

Mówił to ze spokojną stanowczością, właściwą mu we wszystkich ważnych chwilach życia.

Pan Tytus pragnął spiorunować go wzrokiem, bezczelność jego zdawała mu się przechodzić wszelkie pojęcia, budziła w nim te wściekłe porywy gniewu, kipiące od chwili, w której spełniło się jego nieszczęście; ale gniew rozbijał się o nieugięte postanowienie Januarego, który zdawał się przygotowany na wszystko.

— Ja nie mam nic do powiedzenia — wyrzekł tylko przez zaciśnięte usta.

— Nic? — powtórzył January, jakby dając mu czas do namysłu.

— Nic!—wyrzekł jeszcze raz dobitniej pan Tytus—byłeś pan na swojem miejscu, pełniłeś swoje rzemiosło; czy teraz przyszedłeś się zapytać, co o niem trzymam? Są ludzie, co w mojem położeniu chcieliby rozprawić się pistoletową kulą. Ja nie jestem tak szalony! bo gdybym zabił cię nawet, cóżby mi z tego przyszło! Krew twoja zatarłaby może moją hańbę w oczach ludzi, tylko nie w moich własnych! Czy

powróciłoby mi to wszystko, com utracił. Czy sądzisz, że otworzyłbym drzwi mego domu kobiecie, która go dobrowolnie opuściła? Powtarzam: nie mam panu nic do powiedzenia; złodziej kradnie, zbrodniarz rabuje, piorun zabija; ja nie mam nic do powiedzenia żadnemu z nich.

January słuchał go, uzbrojony w cierpliwość.

— Są krzywdy—odparł—które zmuszeni jesteśmy uczynić; są położenia, które świat określił i obwarował po swojemu; nie myślę uchylać się od jakiejbądź odpowiedzialności, każdej chwili gotów jestem zdać rachunek z czynów. Nie o to teraz idzie...

— Jesteś pan wspaniałomyślny, jak widzę — przerwał Tytus — może, okradłszy mnie ze szczęścia i dobrej sławy, chcesz zabić, by łatwiej ożenić się z moją wdową i uprawnić swoje położenie?

— Panie!—zawołał January—zdaje się, że między dwojgiem ludzi, będących w naszem położeniu, a nie chcących stosować się do szablonowego zwyczaju przesyłania sobie kul pistoletowych, znajdzie się temat do rozmowy.

— Z mojej strony może być tylko obelga.

January uśmiechnął się dumnie i smutnie.

— Obelga spada zazwyczaj na tego, co ją rzuca.

— A czegóż innego możesz pan spodziewać się odemnie? na cóż innego zasłużyłeś?

— Ja też nie mówię o sobie; nie przyszedłbym z pewnością narzucać się, gdyby chodziło o mnie... Jest istota, której pokój i szczęście...

Krew uderzyła gwałtownie do twarzy pana Tytusa.

— Ja zaprzeczam panu prawa mówić do mnie o niej!

— Chociaż pan zaprzeczasz, prawo to istnieje; być może, iż przywłaszczyłem je sobie samowolnie, ale, pomimo to, nie ustąpię go, przysięgam!

Pan Tytus rzucił się nakształt dzikiego zwierza, którego drażnią; przestawał być panem siebie, wszystkie burze, wrzące w nim od dni kilku, zbierały się na wybuch straszny. Źrenice jego nabiegały krwią, wargi drżały.

— Gdybyś pan wiedział — szepnął zduszonym głosem—jakie myśli snują się mi po głowie, strzegłbyś się przemawiać w ten sposób.

— Nie znam pańskich myśli i one nie wpłynęłyby na mnie; ale wiem, jakie powinny być pańskie słowa.

Korzystając z tego, że wzrastające oburzenie przeciwnika odebrało mu głos, mówił dalej:

— Dlaczego mamy wzajemnie się drażnić. Myśl pan o mnie, co ci się podoba; bronić się, ani usprawiedliwiać nie będę. Mówmy raczej o tem, co nas wspólnie zajmuje. Powiedziałeś pan sam, iż są rzeczy niepowrotne;... taką jest przeszłość. Jednakże przyszłość osoby, która nosi twoje nazwisko, która jest matką twoich dzieci, obchodzić cię musi, skoro szukałeś jej pan i znalazłeś tutaj. Powiedz mi pan swoje zamiary; będę się starał zastosować do nich, jeżeli to możebne.

— Czy sądzisz pan, że zmusisz mnie do mówienia o nich z tobą?—odparł urągliwie pan Tytus, który zdołał do tyla zapanować nad sobą, że drżącemi usty wymawiał urywane słowa. — Zamiary moje tyczą się mojej żony, tylko mojej żony. Pomiędzy nami nikt stanąć nie może.

January milczał, czuł się bezsilnym wobec postanowienia tego człowieka, który miał za sobą prawo i obyczaj. Jakiekolwiek moralne tortury chciał zadawać Helenie, on nie mógł jej od nich osłonić.

Pierwszy raz potęga jego łamała się w zetknięciu z cudzą wolą.

— Idź pan!—mówił dalej Tytus, postępując ku niemu — ja pana nie znam! znać nie chcę! Czy będziesz śmiał wyznać mi w oczy, czem jesteś względem mojej żony? Czy też ona będzie na to dość bez-

wstydną? Cokolwiekbyś uczynił, ta kobieta do mnie należy, mam do niej prawo; co postanowię, przyjąć będzie musiała; nie potrzebuję na to niczyjego pozwolenia.

Mówił to nawpół przytomny, rozszalały gniewem, który podniecała zimna krew Januarego.

— Zapominasz pan!—zawołał ten ostatni, także wytrącony z równowagi groźbą, jakie zawierały te ostatnie słowa—zapominasz, że czas niewolnictwa przeminął; ale gdyby tak było, jak mówisz, gdyby tak było, to...

— To co?—spytał wyzywająco.

— To każda broń byłaby mi dobrą...

— Ażeby mnie zabić! nieprawdaż? dlaczego nie kończysz! Uwodziciel jest zwykle podszyty mordercą. Ale ja jestem ostrożny!

Szybkim ruchem dobył z kieszeni rewolwer nieopuszczający go nigdy i wycelował do niego.

January wzruszył ramionami; żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy; wlepił w przeciwnika swego wejrzenie, jakiem pogromca zwycięża dzikie zwierzęta. I przez chwilę ci dwaj ludzie mierzyli wzajem głębie swej nienawiści. Jeden z wycelowaną bronią o parę linii od piersi przeciwnika, drugi—dumny, nieugięty, broniąc się wzrokiem jedynie, panując nad bezrozumną siłą potęgą inteligencyi.

Wreszcie pan Tytus, pokonany, opuścił broń ku ziemi, jakby sam uląkł się pokusy zbrodni.

— A teraz—szepnął—zrozumiesz pan zapewne, że między nami inna rozmowa stała się niepodobną.

— Ja — wyrzekł January — idąc tutaj wierzyłem, że niema położenia, z któregoby z dobrą wolą wyjść nie można; że, jakiebądź urazy stoją pomiędzy ludźmi, ustąpić muszą ważniejszym względom; że wreszcie pan, zarówno jak ja, będziesz musiał przyjąć fakta spełnione. Omyliłem się. O! bądź pan spokojny! odchodzę już, widzę sam, że nie mam tu nic do czynienia. Tylko pamiętaj pan: jeśli nie jest w mojej mocy oszczędzić cierpienia kobiecie, którą kocham, będę żądał za nie rachunku.

Wyzyskiwał moralną przewagę nad przeciwnikiem i rzucał mu w oczy te zuchwałe wyrazy.

Pan Tytus oniemiał. Zrazu nie znajdował słów na wypowiedzenie uczuć. Rewolwer wypadł mu z drżącej ręki.

— Boże sprawiedliwy! ten człowiek śmie jeszcze mi grozić!

January obejrzał się spokojnie.

— Przyszedłem tu w najbardziej pojednawczem usposobieniu; jeśli nie było w mocy mojej nagrodzić zła uczynionego, chciałem porozumieć się co do przy-

szłości, by ją najmniej bolesną uczynić dla nas wszystkich.

Zdawał się czekać tylko zachęty, by zamiary te w czyn wprowadzić. Ale żadne słowo jego trafić nie mogło do przekonania pana Tytusa; każde zdawało mu się nową obelgą.

— Idź już! na Boga, idź już!—krzyknął ochrypłym głosem—widzisz sam, że nie chciałbym posunąć się do ostateczności, a ręce moje proszą się, by uwolnić mnie od ciebie.

January zrozumiał, iż wszelkie usiłowania jego były daremne. Mógł on o tyle opanować przeciwnika, by uchronić się od skutków wściekłego gniewu; nie było w mocy jego rozszerzyć zakres tego umysłu, dać pojąć rzeczywiste położenie i doprowadzić do tego spokoju, bez którego wszelkie porozumienie było niemożliwem.

Oddalił się. Teraz czekała go największa boleść życia: musiał znieść to, by kobieta, którą kochał, od której pragnął usunąć nawet cień cierpienia, znalazła się wobec obrażonego małżonka, wystawiona na szyderstwa i obelgi jego.

Przychodziła mu myśl pochwycić ją ztąd i uunieść gdzieś daleko, ukryć, choćby na świata krańcach. Ale myśl ta była szalona. Sam uznać to musiał. Położenie jakimbądź sposobem uregulowane

być musiało. Moralna, zarówno jak materyalna, strona życia, wymagała porozumienia. Wspólne obowiązki, łączące tych ludzi, nie mogły być zerwane wolą jego.

Zwyciężały ją konieczności życiowe, jakby mszcząc się za to, że ich nie umiał uszanować.

W godzinę później, pan Tytus wchodził do mieszkania Heleny.

Hotelowa służąca prosiła go, by zatrzymał się chwilę, a sama poszła uprzedzić Helenę. Ta chwila samotności zrobiła na nim szczególne wrażenie, uwydatniając niejako położenie, jakie teraz względem żony zajmował. Zapytywał tych ścian nieznanych i samego siebie: czy nie jest pod wpływem złego snu? czy on to rzeczywiście był tutaj u swojej żony i czekał, aż go zameldują? aż go przyjąć raczy?

I w miarę, jak czekał, targały nim coraz sprzeczniejsze uczucia: gniew i oburzenie mieszały się z niecierpliwością. Bo wreszcie on kochał tę kobietę przez lat dziesięć blisko. Była to jedyna miłość jego życia. Nie był zdolen analizować dokładnie wrażeń swoich, ale były one dziwne i składane; nie mógł oderwać oczu ode drzwi, któremi wejść miała. Wreszcie otworzyły się te drzwi... weszła.

Przez chwilę spoglądał na nią, jakby pytał te-

go jasnego, spokojnego zwykle oblicza o zdanie rachunku z czynów.

Pan Tytus nie był wcale fizyonomistą, jednakże zobaczył na twarzy Heleny zmiany wyraźne. Marmur się ożywił, w oczach grały zmienne połyski, rysy straciły letargiczny spokój. Wyglądała, jak owa zaczarowana księżniczka, której zaklęcie zerwane zostało. Była blada, była smutna, była pomieszana; ale wszystkie wrażenia chwili rysowały się przemienne na tle jakiejś wielkiej, trwałej, moralnej metamorfozy, czyniącej ją inną, niż była dotąd.

Stała o kilka kroków od drzwi, wzajem śledząc go niespokojnym wzrokiem, czekając, aż się pierwszy odezwie.

Myśląc naprzód o tej chwili, pan Tytus przygotował się na nią, a jednak zaskoczyła go ona, jakby znienacka. Spojrzawszy na Helenę, został olśniony. Wspomnienia obległy go tłumnie. Rozum jego wiedział o przeniewierstwie kobiety, odpychała ją wola jego; ale serce nie wiedziało o tem nic.

To też upłynęła długa chwila, zanim zdołał przemówić, nadając gwałtem głosowi i wyrazowi twarzy chłodną obojętność.

— Zdaje mi się, iż są rzeczy, względem których porozumieć nam się należy.

Uwierzyła w jego spokój, bo pragnęła tak bardzo zobaczyć go spokojnym, i zawołała, ożywiając się lekko:

— Masz pan słuszność; odgadłeś myśl moją.

A potem dodała miękim, serdecznym głosem, zbliżając się do niego nieśmiało:

— Myślałam zawsze, że możemy być przyjaciółmi...

Zatrzymała się, gotowa dodać cieplejsze słowo i wyciągnąć ku niemu przyjazną rękę; ale on, zamiast odpowiedzi, skinął głową sztywno i uroczyście.

— Byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi! nieprawdaż?—powtórzyła, domagając się wyraźniejszego stwierdzenia—powinniśmy nimi pozostać!

Milczał, nie zważając widocznie na jej dobre zamiary.

— Mamy też wspólne obowiązki — wyrzekła ciszej.

— Obowiązki?—powtórzył głucho.

Głos zamarł mu na ustach, jakby zduszony; głowę miał spuszczoną i odwróconą od okna; umieścił się w ten sposób, by twarz jego pozostała w cieniu.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia, którego przerwać nie śmiała.

— Mówmy naprzód o interesach—zaczął znowu pan Tytus.

Wlepiła w niego wzrok niespokojny. Pod tym narzuconym chłodem czuła burzę; nie była zdolną pohamować dłużej niepokoju swego.

— Dzieci moje! — zawołała — mów mi o dzieciach! mów, przez miłosierdzie!

Wzruszenie jej dało mu przewagę. Kobieta pokazała mu niem serce swoje i w tem sercu — krwawą ranę. Teraz wiedział, że mógł się na niej pomścić i zadać udręczenia, podobne tym, jakich sam doświadczył. Wyraz „miłosierdzie“, w jej ustach, wywołał w nim tylko uśmiech szyderczy. Jakiem prawem śmiała ona mówić o miłosierdziu?

— Dojdę i do nich; chciej mnie pani posłuchać!— wyrzekł z urzędowym chłodem. — Prawdopodobnie widzimy się po raz ostatni! więc wspólne interesa odrazu załatwić wypada... Majątek osobisty, jaki pani posiadasz, stanowi kapitał dwakroć czterdzieści tysięcy złotych polskich.

— Ależ tu nie chodzi...—przerwała.

— Pozwól mi pani mówić! Kapitał ten, zahypotekowany jest na pierwszym numerze domu mojego w Warszawie, tak, iż posiada wszelkie bezpieczeństwo.

— Ja przecież nie upominam się o swój kapitał...

— Ja nie chcę czekać, aż się pani o niego upominać będziesz; ja oświadczam stanowczo, w interesie dzieci, że oddać go nie myślę. Procent prawny wypłacać pani będę, w miejscu zamieszkania, jakie obierzesz. Układ ten zrobimy urzędownie.

Skinęła ręką niedbale.

— Więc, jedynie, ażeby zrobić ten układ majątkowy, na który przecież wiedziałeś pan z góry, że przystanę, szukałeś mnie, przyjechałeś tutaj...

— Nie! czuję się w obowiązku powiedzieć jeszcze słów kilka. Pani wysłuchać ich musisz, bo nikt inny nie wypowie ich tak otwarcie, jak ja!

— Masz pan prawo mnie potępić; nie potępisz mnie gorzej, niźli ja sama siebie. Chociaż, może, gdybyś wiedział wszystko... Nie będę usprawiedliwiać się daremnie. Stało się... Pomimo wszystko, są obowiązki, które spełnić pragnę, których nie wyrzeknę się nigdy!

— Powtarzam: mam pani powiedzić słów kilka—wyrzekł, jakby nie zważając na to wszystko, co mówiła, jakby słów jej nie brał w rachunek.

Skierował na nią oczy zmącone, pełne w tej chwili nienawiści i gniewu, które przebijały przybraną maskę spokoju.

— Czy wiesz pani—spytał—jakie ci świat daje nazwisko?

Zbladła. Podniosła głowę, jakby zaprotestować chciała, i w milczeniu opuściła ją na piersi.

A on mówił dalej:

— Czy wiesz, że dzieci twoje wstydzić się będą wymawiać twoje imię?

— Nie mów tak!—zawołała—wiesz dobrze, jak je kocham! wiesz, że mi powierzyć je możesz.

— Powierzyć tobie?!—przerwał z wybuchem.

Załamała ręce, powtarzając głucho:

— Ja je kocham! oh, kocham!

Wzruszył ramionami z takim wyrazem lekceważenia, iż zrozumiała, że wszystkie prośby i zaklęcia byłyby nateraz daremne.

— Czy możesz pani wysłuchać mnie do końca?—spytał dalej, powracając do chłodnego tonu.

— Sądzisz pani, że skandal twojej ucieczki, któremu nie starałaś się nadać nawet żadnego pozoru, choćby dla przyzwoitości, utrze się, jak wszystko na świecie; myślisz, że ludzie zapomną o niej, skoro podoba ci się powrócić do domowego ogniska?

Wstrząsnęła głową przecząco.

JANUARY.

„Gazeta Polska“. Tom 40. (Og. zb. 105(

WALERYA MARRENÉ.
(MORŻKOWSKA).

JANUARY.

POWIEŚC WSPÓŁCZESNA.

Tom III.

WARSZAWA,
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“.
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Іюля 1900 года.

— Lubo też masz zamiar, zapomocą rozwodu i drugiego ślubu, uprawnić swoje postępowanie. Otóż, chcę ci powiedzieć, że mylisz się pod każdym względem: świat nigdy nie zapomni, plama pozostanie niezmytą; bo ja do mego domu nie przyjmę cię więcej, a na rozwód nie zezwolę nigdy. Pozostaniesz wzgardzona przez wszystkich, odepchnięta. Nie łudź się; będziesz na świecie celem szyderstwa, lub litości. Ludzie odwrócą się od ciebie ze wstrętem, ze zgrozą. Wszystkie drzwi zamkną się przed tobą, wszyscy palcem wytykać ci będą.

Słuchała go: pognębiona, i była pomiędzy nimi długa chwila ciszy. Zrazu zdawał się pastwić nad nią z okrucieństwem, bo ukazując niebezpieczeństwo położenia, nie wskazał żadnego lekarstwa, jakby chciał, by ona zwróciła się do niego, błagając o nie.

Ale była to także harda natura; milczała pod naciskiem moralnych tortur, jakie jej zadawał. Twarz jej pochylona była dla niego niezbadaną; widział tylko koronę czarnych włosów i sine światła, które się w niej łamały, jak to widział tysiące razy, kiedy była zajęta jaką robotą, książka, lub kiedy siedziała nad kołyską dziecka, śpiewając mu czystym głosem jednę z tych piosnek, które teraz powracały mu do pamięci. Zdawało mu się, że nuta, nieprzebrzmiała jeszcze, drgała w powietrzu, że ją słyszał, że łączyła ich tak, jak niegdyś, nicią wspólnej miłości. I je-

dnym z tych nagłych zwrotów, spowodowanych nieraz najbłahszym wypadkiem, powróciły mu tłumnie wspomnienia i pochwyciły go znienacka. Przez chwilę mocował się daremnie z ogarniającem wzruszeniem, aż wybuchnął wreszcie:

— Cóżeś zrobiła ze szczęściem? z dobrą sławą naszą?

Dławiło go wzruszenie; zakrył twarz rękoma, bo nie chciał jej pokazać łez, które niespodzianie rzuciły mu się do oczu, gorzkie, palące, rozdzierały mu piersi, gryzły powieki.

— Com ci zawinił?—powtarzał — czego mogłaś żądać odemnie? Byłem szczęśliwy... byliśmy szczęśliwi wszyscy. A dziś co? gmach życia zburzony! ognisko zniesławione! dzieci sieroty!... hańba! nieszczęście! Gdyby mi kto był przepowiedział los podobny, nie byłbym mu uwierzył nigdy! nigdy!

Miał słuszność. Miał stokroć słuszność! Cóż mu powiedzieć mogła? Łzy jego były nierównie boleśniejsze dla niej, niż obelgi. Ale wobec faktów łzy i obelgi były zarówno daremne.

— Na cóż to wspominać! — zawołała w końcu, usiłując skrócić mękę, jaką jej zadawał.

Chwila jego wzruszenia przeminęła, zmieniła się znowu w głuchą wściekłość.

— Na co?—powtórzył gwałtownie — abyś pani miała przed oczyma to, coś utraciła niepowrotnie.

A czy sądzisz przynajmniej, że człowiek, dla którego czyniłaś tę ofiarę, potrafi ją nagrodzić? Życie wasze wspólne stanie się piekłem; będziesz mu kulą u nogi, nieszczęściem i hańbą, tak samo, jak stałaś się dla mnie. On cię porzuci, albo sobie życie odbierze. To wieczny koniec podobnych związków.

Może nie uwierzyła, a jednak słowa te zabrzmiały dla niej złowrogo.

— Po cóż mi to mówisz?—szeptała—po co?

Spojrzał na nią błędnemi oczyma. Nie mógł dać odpowiedzi. Wszystko to dławiło go, leżało na sercu; wszystko to powtarzał nieustannie głuchym ścianom swojego mieszkania; czuł, że musiał wypowiedzieć jej, tej kobiecie, koniecznie, lub oszaleć; że, ażeby to uczynić, gotów był zrobić setki mil.

— Ja ciebie kochałem! — szepnął — Bóg widzi. kochałem cię, jak szalony, i sam nie wiedziałem o tem!

Mogła mu odpowiedzieć, że tu właśnie leżała tajemnica ich wspólnego nieszczęścia; że miłość, świadoma siebie, odnieść musi zwycięztwo nad bezświadomą; mogła mu powiedzieć tysiące rzeczy o tej potędze, z którą walczyła tak rozpacznie. Ale na cóż? wiedziała, iż on by tego nie zrozumiał. Próbowała jednak z tych słów niebacznych wyprowadzić pojednawczy pierwiastek.

— Było może pomiędzy nami wiele nieporozu-

mień — wyrzekła łagodnie — życie bywa czasem ciągłem nieporozumieniem; dla czegóż wzajemnie zatruwać je sobie mamy? Ty byłeś zawsze dobry...

— Nie rachuj pani na to! — przerwał ponuro — ja wiem, że dziś pożera mnie głucha wściekłość. Kiedy ja cierpię, niechaj cierpią drudzy; nie chcę być przedmiotem litości szczęśliwych!

— Więc czegóż chcesz odemnie — zawołała.

Rozmowa ta trwała zbyt długo; nie mogła doprowadzić do żadnego praktycznego rezultatu. Stali na dwóch przeciwnych biegunach.

Roześmiał się z tłumioną wściekłością.

— Słowa moje nie podobają się pani? nie dziw! powinnabyś jednak do nich przywyknąć, bo coraz częściej spotykać cię będą podobne.

Rzuciła mu długie spojrzenie, w którem dostrzegł więcej zdziwienia i żalu, niż gniewu. Ten człowiek był zupełnie różny od tego, z którym przeżyła lat tyle.

— Nie poznaję cię! — szepnęła.

— Nie poznajesz mnie? ha! cóż robić, ja sam nie poznaję siebie. Nieszczęście jest czasem jak potok; odkrywa głębie ludzkie, unosi precz wierzchnie warstwy. Czuję jakieś nieustające złośliwe pragnienia; jak wściekły, radbym kąsać i szarpać. Ty jednak najmniej dziwić się temu powinnaś; wszakże uczyniłaś mnie sama, czem jestem.

Wówczas dopiero spojrzała na niego uważniej, i dopatrzyła się groźnych rysów, jakie ten ostatni tydzień wypisał na jego twarzy.

Załamała ręce.

— Wina moja jest stokroć większą, niż sądziłam!

— A cóż pani sądziłaś? — wybuchnął znowu— że, jak dobroduszny mąż z komedyi, rozczulę się i pobłogosławię waszą zbrodnię, i może prowadzić cię będę do ołtarza?... ja nie wiem, co sądziłaś; ja nie posiadam kobiecego serca, ani kobiecej logiki; ale na piekło przysięgam, że tak nie będzie nigdy! Rozumiesz pani, nigdy! nigdy! Nie rachujcie na to, że mnie nieszczęście pozbawiło energii. Nie podniósłbym palca, żeby komubądź uczynić dobrze; ale żeby wam przeszkodzić, walczyć będę do ostatniego tchu, do ostatniego grosza... Ostrzegam!

Milczała; do litości, jaką ten człowiek w niej budził, mieszał się wstręt i przerażenie. Dzieci jej były w jego ręku.

— Mogę pani dać jeszcze jedną przestrogę—mówił, zbliżając się do niej.

Przestroga jego przejmowała ją dreszczem, przecież słuchała.

— Porzuć go pani! rozstań się z nim! osiądź gdzie samotnie, pokutując za to, coś uczyniła, bo inaczej...

Patrzała na niego szeroko roztwartemi oczyma.

— Bo inaczej... pamiętaj! staniesz się nieszczęściem dla niego, nieszczęściem dla siebie samej.

— Dość! dość! przez miłosierdzie! — szepnęła, kierując się ku drzwiom, jakby ujść chciała przed strasznemi przepowiedniami, które jej rzucał.

Ale on mówił dalej:

— Pamiętaj pani! wszyscy cię przeklinać będą, jak ja cię przeklinam!

Tego było za wiele na jej siły. Zachwiała się i oparła o ścianę; świat cały kręcił się jej w oczach.

Pan Tytus nie miał już nic do dodania. Pastwił się nad nią, powoli targał wszystkiemi strunami jej serca, wyszukując najboleśniejszych. Nie mogąc pomścić się inaczej, za towarzyszkę życia zostawiał jej trwogę i groźbę.

XV.

Była to znowu wiosna. Majowe słońce świeciło wesoło na niebie; drzewa, pełne świeżej zieleni, radowały oczy szmaragdową barwą, a woń rozkwitłych bzów, róż i jaśminów, przepełniała powietrze.

Od dnia, w którym zadzierzgnęły się losy naszych bohaterów, mógł upłynąć rok jeden i mogło ich upłynąć dużo więcej — niezmiennej natury nie podobna było o to zapytać, ani wysnuć z niej jakichbądź wskazówek.

Plantacye krakowskie i ogrody podmiejskie, które się przy nich grupują, wyglądały świątecznie pod promieniami słonecznemi, a miryady gołębi, jaskółek i drobnych ptasząt napełniały raźnym świegotem powietrze.

W jednym z tych ogrodów, utrzymanym starannie, wśród trawników i kwiatowych klombów wznosiła się elegancka willa z werandą, obwieszoną zwojami dzikiego wina i bluszczu, a po ogrodzie przechadzało się dwoje młodych, chłopiec i dziewczyna, niezmiernie zajętych wzajemną rozmową, przekomarzając się, biegając i śmiejąc wesoło. Chłopiec mógł mieć lat dwadzieścia zaledwie, bo pierwszy puszek młodzieńczy wysypywał mu się koło ust i brody, tworząc jednak bardzo już wyraźne czarne wąsiki, które on kręcił z całą dumą, sprawioną przez ten nowy nabytek.

Energiczne rysy klasycznej poprawności nabierały blasku od czarnych, ognistych źrenic, co na kształt wiosennego słońca oświecały twarz, pełną inteligencyi i siły, a w której wdzięk dziecinny walczył jeszcze z męzkim wyrazem powagi, nadając jej nieprzeparty urok pierwszej młodości.

Dziewczyna była młodszą o lat kilka; wybujała i wiotka, z jasnemi włosami, które wymykały się z pod kapelusza, przypominała owe zużyte porównanie lilii, gnącej się na łodydze; zdawała się, jak ten kwiat jasną, białą, znikomą.

— Dobrze, żeś raz porzucił twoje książki, i przyszedł do mnie! — mówiła, czepiając się jego ramienia, jakby potrzebowała podpory—pierwsza róża rozkwitła dzisiaj, muszę ci ją pokazać!

— O! dla róży nie byłbym z pewnością porzucił swoich książek, jak je nazywasz.

— Jeżeli nie dla róży, to może dla mnie! — zawołała, śmiejąc się—powiedzże: uczyniłeś to dla mnie, braciszku?

— Gdyby na mojem miejscu był kto inny, powiedział by to bez namysłu.

Słysząc te słowa, z białej stała się różową: przez chwilę zarumieniona patrzała na brata z pod oka, choć niby miała wzrok spuszczony.

— Więc ty, Lucyanie — wyrzekła po chwili— już wcale nie lubisz się ze mną, jak za dawnych czasów. Ty wówczas byłeś dla mnie taki dobry! Ty zawsze byłeś dobry, nawet kiedy byliśmy dziećmi. Pamiętam, jak przez sen: byłam bardzo maleńka; byliśmy w jakimś dużym, pustym domu; czy ty sobie to przypominasz bracie?

— Przypominam. Ty przecież tego pamiętać nie możesz, Anielko!

— Pamiętam! pamiętam! W tym domu było nam źle bardzo; w tym domu była niegodziwa kobieta, która fukała na mnie, złościła się, szturchała; raz nawet chciala mnie wybić, ale ty przybiegłeś do niej z zaciśniętemi piąstkami i wołałeś, że ją zabijesz, jeśli się mnie dotknie.

— Byłem taki mały, nie miałem innego sposobu; zdawało mi się, że ja ją przestraszę tą groźbą.

— I nie wiem, co się stało. Ktoś nadszedł, ona mię puściła. Odtąd zaczęłam zwracać się do ciebie, jak do obrońcy; odtąd zrozumiałam, że pod twoją opieką nic mi się złego stać nie może; odtąd zawsze przy tobie czuję się tak bezpieczną.

— Alboż ty potrzebujesz obrońcy?

— O! nie; od czasu, jak jesteśmy z mamą, jesteśmy tacy szczęśliwi. Ojciec nas tak kocha, iż zawsze zapominam, że nie jest naszym istotnym ojcem. Ale ty patrzysz na mnie, jakbyś myślał o czem innem.

— Przypomniałaś mi przeszłość, Anielko. Czy pamiętasz, gdy do tego pustego domu, gdzie nam tak źle było, przyjechał jakiś pan; zakradł się do ogrodu, gdzie nas tak często samych pozostawiano i powiedział, że nas zabiera do mamy. Ty bałaś się go z początku i zasłaniałaś sobie oczki, zdziczałaś przy tej złej kobiecie, która cię bić chciała; ale ja go poznałam odrazu; on już raz wyniósł nas z ognia, kiedy się dom palił, i szepnąłem ci to do ucha.

— Ja pamiętam tylko, jak jechaliśmy w nocy, jak ten pan mnie otulał i dawał cukierki, ile razy otworzyłam oczy; chciałam je mieć ciągle otwarte ale zamykały się zawsze.

— Jechaliśmy długo; jechaliśmy dnie i noce— mówił dalej Lucyan—aż przyjechaliśmy do mamy.

— To i ja przypominam sobie, jakby to wczoraj było.

— Ty mamy nie poznałaś!

— Wydała mi się taka śliczna, taka wspaniała! myślałam, że to jaka zaklęta królewna, o której opowiadała mi piastunka. Ty pobiegłeś do mamy zaraz, a mnie ten pan wziął i złożył jej na ręce, a ona płakała tak, że łzy padały mi na czoło, na twarz, na usta; czułam, że były gorące jak ogień.

— A jak tam było ślicznie, Anielko, w naszym małym domu, w styryjskich górach! jak dobrze!

Anielka obejrzała się wokoło.

— Mnie się zdaje, że tu jeszcze lepiej! — wyrzekła.

— To już ja zgadnę, dla czego.

— Bardzo łatwo zgadnąć! Najprzód jesteśmy we własnym kraju. A potem, sam przecież mówiłeś mi nieraz, jak miło słyszeć ze stron wszystkich pochwały dla tego, który nam się stał ojcem, którego kochamy, jak ojca; jak miło widzieć szacunek, otaczający rodziców, i być dumnym, że się do nich należy!...

— Oh! nie mówisz mi wszystkiego, siostrzyczko.

Wzruszyła ramionami, lekko zakłopotana.

— A potem mamy tu takich przyjemnych sąsiadów!

— Lucyanie!...

— A szczególniej pewnego młodego sąsiada, który, oprócz wielu moralnych przymiotów, posiada ciemne wąsiki, błękitne oczy, wysmukłą figurę i śliczny tenorowy głos.

— Lucyanie! wiesz dobrze, iż ojciec powiada, że to jest pierwszy student uniwersytetu, że posiada nadzwyczajne zdolności, że wyjdzie na znakomitość.

— Patrzcie! jak spamiętała!—roześmiał się wesoło Lucyan — otóż, krótko mówiąc, w Krakowie lepiej jest, niż gdziekolwiek indziej; bo tutaj co wieczór prawie zagląda Władzio...

Dziewczyna, na sam dźwięk tego imienia, zarumieniła się znowu.

— Brzydki jesteś — zawołała— z twemi domysłami.

— Czy naprawdę brzydki? o, filutko! znam ja ciebie; gdybym nie zaczął mówić o Władziu, samabyś na niego naprowadziła rozmowę.

— Doprawdy, ty tego nie rozumiesz, Lucyanie!—mówiła, zakrywając oczy długiemi rzęsami,—są rzeczy, o których nie chciałoby się wspominać nigdy, a słyszeć zawsze; bo jak słowo przychodzi na usta,

to robi się gorąco na twarzy, a w oczach ciemno i wymówić go niepodobna, a serce tak bije, tak bije!...

— I powtarza każdem tętnem: Władzio, Władzio!—nieprawdaż, Anielko?

Rzuciła mu się na szyję, jakby chciała zmusić go do milczenia, lub z całować mu z ust to imię.

— Trzeba przyznać—mówił znowu Lucyan—że ten Władzio ma niezły gust; jesteś śliczna, moja panno siostro.

Patrzała na niego nawpół uradowana, nawpół niepewna i niedowierzająca.

— Czyż naprawdę?

— Niby ty o tem nie wiesz!

— Nie; widzisz Lucyanie, on wydaje mi się tak mądrym, tak pięknym, tak doskonałym... że... że... że ja nigdy nie dorosnę jego miary. I czegóż się śmiejesz? jesteś niegodziwy! a ja nie wiem, dla czego mówię ci to wszystko.

— Jakże się nie mam śmiać, kiedy on słowo w słowo powtarza mi toż samo o tobie.

Spojrzała w oczy z nagłą powagą.

— Wprawdzie—mówił dalej Lucyan—zaklinał mnie, bym go przed tobą nie wydał; ale stało się, wygadałem się...

— Dlaczego zaklinał cię o to?—zawołała nagle.

— Alboż ja wiem! alboż to można zawsze zrozumieć was, zakochanych...

— Oh! obmawiasz się, braciszku; niby i ty...

— Ja, na teraz, kocham się, jak mówi poeta, w rymie Shaekspearowskim, w Dancie i w Homerze, a szczególniej, kiedy je ojciec czyta i wykłada.

— Cóż znowu! taka miłość nie przeszkadza. innej.

— Widzisz, Anielko! zdaje mi się, że kto ma taką matkę, jak ja, ten byle jak serca swego nie umieści. Kiedy porównywam ją ze wszystkiemi innemi kobietami, jakie znam, to nawet o żadnej myśleć nie mogę.

— O! jeśli będziesz chciał znaleźć w młodej dziewczynie takie myśli, takie uczucia, takie poglądy; to naturalnie, że ci się żadna podobać nie będzie.

— Ja nie myślałem teraz nawet o młodych; przyrównywałem matkę do wszystkich kobiet, jakie znam, ot naprzykład, do matki Władzia...

— Lucyanie! on ją tak kocha! on słucha jej we wszystkiem; on wolałby umrzeć, niż ją zasmucić...

— I cóż ztąd? to dowodzi tylko, jak jest dobrym synem; matka jego jest podobno najlepszą kobietą w świecie, ale ja żałuję go bardzo, że pod tym względem jest o tyle uboższy od nas; mnie; przyznam ci się, jego matka nie podoba się wcale. Ma ta-

kie jakieś zacieśnione pojęcia, jest tak sucha i formułkowa. Czy nie uważałaś tego, Anielko? ale prawda, ty musisz patrzeć na nią innemi oczyma.

— Widziałam ją raz tylko, kiedy przyszła tutaj podziękować ojcu za tę rozprawę syna, pamiętasz, którą ojciec kazał bez jego wiedzy wydrukować swoim kosztem. Była tak wzruszona...

— Mama nie oddała jej wizyty—dodała smutno po chwili.

— Wiesz dobrze, iż mama nie bywa nigdzie; nie chciała robić wyjątku.

— Czy ty nie wiesz, dlaczego tak jest, Lucyanie?—pytała ciekawie.

— A! mama nie może lubić czczych, zwyczajnych towarzystw, to bardzo naturalne; a potem nie ma czasu.

— Tak!—powtórzyła nieco smutnie dziewczyna. —Mama musi mieć słuszność... jest tak zajęta nami i domem, a przytem pracuje z ojcem.

— Ale czemu tak posmutniałaś.

Anielka wstrząsnęła główką.

— Ja nie wiem—wyrzekła zwolna—czasem lękam się, sama nie wiem czego i przychodzą mi myśli jakieś, których odpędzić nie mogę.

— Jakież to myśli Anielko? powiedz mi je!... — zawołał troskliwie.

Pochyliła głowę na jego ramię.

— Śmiać się będziesz ze mnie—szepnęła.

— Tem lepiej, bo wówczas rozproszę twoje smutki. Zmartwienia i niepokoje bez przyczyny rozpraszają się za bliższem przyjrzeniem.

— Widzisz, zdaje mi się, że całe szczęście nasze rozwieje się, jak sen, że powinnam śpieszyć się i używać go pełnemi piersiami; ja pewno niezadługo umrę; a jak patrzę na świat, zaraz przychodzi mi na myśl, że się z nim żegnać powinnam.

— I dla czegoż ty to myślisz? — zawołał przestraszony temi wyrazami.

— Alboż ja wiem? A ja tak nie chciałabym umierać!

— Ależ ty nie umrzesz. — mówił, obejmując ją ramieniem, jakby chciał bronić od jakiegoś niewidzialnego niebezpieczeństwa: — są to przywidzenia rozpieszczonego dziecka, które w braku prawdziwych zmartwień, wytwarza sobie urojone.

Uczuł, że garnęła się do niego.

— Czy myślisz, że tego sobie nie powtarzam! — szeptała — przy tobie trwogi te mnie odchodzą; ale kiedy jestem sama...

— Pokazuje się, że nie trzeba dzieci samych zostawiać — odparł Lucyan z przybraną powagą — poczekaj! powiem to Władziowi; ale coś nie było go dni kilka.

Uderzył się w czoło.

— Aha! rozumiem teraz, zkąd twoje smutki.

Ona rzuciła mu błagalne spojrzenie i zamknęła usta pocałunkiem.

— Ty wiesz dobrze, że jestem trochę szalona! Ojciec przecież zawsze prześladuje mnie o to.

Lucyan uśmiechnął się z trochą dumy.

— Powiadają, — wyrzekł, zbrojąc się w męzką powagę—że jest to wada wszystkich panien. Widać, że ty nie stanowisz wyjątku... Ale ktoś idzie. Założę się, że zgadnę, kto; i ty także zgadujesz?

Rzeczywiście furtka od ogrodu skrzypnęła, dały się słyszeć lekkie kroki. Anielka spojrzała przez gałęzie drzew, zasłaniających ścieżkę, wijącą się od furtki, dostrzegła zapewne, kto nadchodzi, bo wyrywając się z rąk brata, pędem strzały pobiegła ku domowi.

Tymczasem z pomiędzy bzów i jaśminów kwitnących wynurzył się młody człowiek o smukłej postawie, szafirowych oczach, ciemnych, jedwabistych wąsikach. Czy miał głos tenorowy, trudno było orzec z góry, to pewna tylko, że gdy powitawszy Lucyana, obejrzał się wkoło i przemówił, głos jego miał dźwięczne, sympatyczne brzmienie.

— Zdawało mi się — wyrzekł — że widziałem pannę Anielę...

Lucyan wskazał mu jej jasną suknię, przesuwającą się wśród ciemnych bluszczów werandy.

— Czyż miałem nieszczęście—zawołał—niepodobać się pannie Anieli? Czy możem ją mimowolnie obraził?

— Śni ci się, Władziu!—zawołał Lucyan.

— Więc dla czegoż uciekła! bo wyraźnie uciekła przedemną.

Zatrzymał się, tak przerażony tem przypuszczeniem, że Lucyan parsknął mu w oczy śmiechem.

— I czegóż się śmiejesz? — zapytał nowoprzybyły.

— Cóż chcesz? śmieję się z ciebie i z Anielki. A otóż i ona powraca; wiedziałem, że nie uciekła na długo; trzeba było przecież włosy przygładzić, suknię poprawić.

Rzeczywiście Anielka wracała; twarzyczka jej różowa była rozpromieniona, oczy błyszczały, jak dwie gwiazdy, a na ustach był tak śliczny uśmiech, że Władysław, zamiast ją witać, stanął zachwycony.

— Widzisz! — szepnął Lucyan, nachylając się ku niemu—ona gniewa się za to, że nie przyszedłeś wczoraj; postanowiła cię ukarać; ale jej samej sprzykrzyła się pokuta, i otóż jest.

— Nie mogłem przyjść, doprawdy! — tłómaczył się młody człowiek, zarumieniony.

— Och! Lucyan żartuje, jak zawsze — przerwała zmieszana dziewczyna. — Czyż pan tego nie widzisz!

— Prawda!—odparł smutno — pani nie mogłaś nawet zauważyć mojej nieobecności.

— Przeciwnie! zauważyłam. Nauczyłam się swojej partyi duetu,—dodała pośpiesznie—i nie miałam z kim śpiewać.

Lucyan pogroził jej, jakby chciał powiedzieć: tylko dla duetu?—ale błagalne spojrzenie siostry zatrzymało mu słowa na ustach.

— I powieści zaczętej nie czytaliśmy także — rzekła znowu.

— Słowem, masz wiedzieć, że brakło ciebie tu we wszystkiem.

— O!—zawołał—jaki ja byłbym nieszczęśliwy, gdybym musiał wyjechać.

Anielka nie powiedziała nic, tylko na jej ruchliwej twarzyczce zaszła jakaś zmiana, jakna kwiecie, gdy chmura przysłoni mu słońce.

— Matka chciałaby, żebym zobaczył trochę innego świata; a potem, czy ja mogę wiedzieć, co ze mnie będzie? gdzie znajdę chleb i pracę?

— O to się nie troszcz!--zawołał Lucyan z żywością — słyszałem nieraz, jak ojciec mówił, że cię z Krakowa nie puści, że ci tu wynajdzie zajęcie.

A co do twojej matki, to osobliwa rzecz, by ona chciała cię od siebie oddalić. Wytłomaczymy jej, że tutaj będzie ci stokroć lepiej. Więc już nie mówmy o tem. Ot, lepiej chodźmy posłuchać duetu.

Poszli do pokoju i niebawem po całej willi rozległy się dwa świeże głosy, łączące się w czyste brzmienia.

Gdy się tak dzieci bawiły w ogrodzie, z balkonu, zawieszonego na pierwszem piętrze willi, przyglądało się tej scenie dwoje ludzi.

Balkon ten, ustrojony cały w kwitnące oleandry, bluszcze i drzewa pomarańczowe, wychodził z wielkiego pokoju, który służył na wyłączny użytek pana domu.

January, gdyż on to był, przez te lat kilkanaście odmienił się bardzo mało; była to ta sama dumna twarz, też włosy niedbale odgarnięte z czoła, taż postać wyniosła, szczupła i nieco naprzód podana. Wpatrzywszy się jednak bliżej, można było wyczytać wyraźne zmiany, jakie na niej wypisało życie. Nie wyryło się ono bruzdami, nie napiętnowało wyraźniejszą goryczą rysów, ale przeciwnie, przyniosło mu widocznie ukojenie, bo cała postać tchnęła młodzieńczą jeszcze żywością, oczy gorzały skupioną myślą, a czoło miało świeżość i pogodę, której brakło mu niegdyś.

Jeśli wówczas wieku jego nie można było określić, jeśli wydawał się starszym nad lata, to dziś stosunek się przeinaczył i January robił wrażenie młodszego, niż był rzeczywiście.

Przywyknienia jego uległy snadź także zmianom wielkim: myśliciel, niedbały o to wszystko, co go otaczało, odrzucający z życia wszelki zbytek, uległ miększym wpływom,—świadczył o tem sam już pokój jego, gdzie książki zamiast walać się, nagromadzone na kupy, osypane warstwami kurzu, obwieszone pajęczynami, rozkładały się na wielkich orzechowych półkach, otaczających wszystkie ściany. Przy oknie stał stół suknem zasłany, pełny papierów, notat, dzienników, książek, przy nim — parę wygodnych foteli.

Na jednym z nich siedziała kobieta z pochyloną głową i robiła jakiś wypis z książki, leżącej przy niej.

Ale jeżeli czas tak miłosiernie obszedł się z Januarym, wypisał się on tem wyraźniej na obliczu jego towarzyszki. Była ona piękną zawsze; klasyczna poprawność rysów, grecki owal twarzy, bogato rozwinięte czoło, opierały się zwycięzko jego niszczącemu wpływowi; ale za to matowa cera twarzy zmieniła się w bladość kości słoniowej lub opłatka, znikło z niej ciało, a skóra pokryła się siecią drobniutkich zmarszczek. Gdyby te zmarszczki mogły przemówić,

świadczyłyby o życiu bojowania pełnem, o cochwilnych ofiarach, cochwilnych walkach i zgryzotach, chociaż zadawał im kłam cierpliwy uśmiech ust, które jak dawniej musiały zawsze być pełne słów słodkich przebaczenia i miłości.

Najbardziej zmienionemi w niej jednak były oczy. Oczy te powiększyły się wychudnieniem twarzy, świeciły wśród ciemnej, otaczającej je powieki, wśród czarnych rzęs migotliwym blaskiem, i nie zatrzymując się na jednym przedmiocie, mknęły niespokojnie w tę i ową stronę.

Taką, jaką była w tej chwili, z twarzą przywiędłą i z zapadłemi oczyma, z czarną koroną włosów, wśród której przebijały się srebrne nici, była ona jeszcze piękna, jakąś tragiczną, fatalną pięknością; budziła podziwienie, sympatyę lub trwogę, stosownie do duchowej skali ludzi, którzy się do niej zbliżali. Ale cicha i obojętna, zamknięta więcej niż kiedykolwiek w domowych ścianach, nie zważała na czynione wrażenie.

Była cała oddana pracy swojej, kiedy usłyszała Januarego, który ją wołał:

— Heleno!

Podniosła głowę i, nie porzucając książki, spojrzała na niego. A w tej chwili wyraz jej spojrzenia zmiękł, stał się uśmiechnionym, jak usta, łagodnym, jak głos, którym przemówiła:

— Zaraz skończę tę notatkę, co ci była potrzebną.

— Chodź! chodź!— powtórzył — chciałem ci coś pokazać.

Położyła książkę i pobiegła ku niemu.

A on, odchylając wonne gałęzie krzewów, pokazał jej wchodzącego Władysława i Anielkę, zarumienioną, biegnącą w głąb werandy.

— Czy ci to nie nasuwa żadnego podejrzenia? —spytał z uśmiechem.

— Ó! moje podejrzenia już są oddawna ustalone —odparła.

— I nie podzieliłaś się niemi zemną? to nie dobrze; czy sądzisz, że los Anielki mnie obchodzi mniej, niż ciebie?

— Nie! nie! to mi na myśl nie przyszło; wiem, święcie dotrzymałeś przyrzeczenia: moje dzieci znalazły w tobie ojca.

— Władysław— mówił dalej January — jest to dzielna inteligencya i dzielny charakter; należy on do rzędu ludzi, co utorują sobie koniecznie drogę na świecie. Od lat kilku mam go na oku; takiego męża pragnąłem dla Anielki.

— Ona jest taka młoda jeszcze! — szepnęła Helena.

— Wy, matki, podobno utrzymujecie tak zawsze.

— Ja nie wiem czemu, zdaje mi się, gdy patrzę na dzieci, że po za progiem tego domu grozi im nieszczęście jakieś. Ja chciałabym nie wypuszczać ich ztąd nigdy.

— Heleno! czyż ty nie byłaś szczęśliwą ze mną? —zapytał z lekkim odcieniem wyrzutu.

— Nie! nie! ja nie powiedziałam tego; ja nie pomyślałam tego nigdy!—zawołała gwałtownie.

— Bo widzisz! ty uczyniłaś mnie szczęśliwym, niewypowiedzianie szczęśliwym, Heleno! Ja chciałbym, żeby dzieci nasze równie szczęśliwemi były.

Nie przyszło mu na myśl, by ona cierpieć mogła, skoro on tego nie czuł. Jak dawniej, tak i teraz, indywidualność własna absorbowała go wyłącznie, nie zostawiała mu czasu na wejrzenie w drugich. Ile razy mówił jej podobne rzeczy, ona uśmiechała się do niego nie tylko ustami, ale oczyma także, miała spojrzenie pełne szczęścia; a ludzie tak chętnie wierzą w to, czego pragną.

January zwrócił się do przedmiotu, który zajmował go w tej chwili, może też z upragnieniem szczęścia pasierbicy łączyła się myśl inna. Anielka, szczególniej od czasu gdy dorosła, stała się przedmio-

tem głównej troskliwości Heleny, odrywała ją coraz częściej od niego.

— A potem—wyrzekł—klasztorne życie, jakie prowadzimy, niekoniecznie przypadać może do smaku młodej dziewczynie.

Bolesny wyraz przemknął po twarzy Heleny.

— Czy ona ci to wyznała?—spytała ze szczególnym niepokojem w głosie.

— Ona może nie wyznała tego nawet samej sobie; a jednak to byłoby bardzo naturalne.

— Ja przecież — przerwała Helena — więcej uczynić nie mogę.

— Uspokój się; prawdopodobnie Anielka teraz nadto zajęta jest Władysławem; ale inaczej... inaczej musiałabyś przełamać się.

— Nigdy! nigdy! — zawołała z ponurą energią; —to byłoby niegodne! już i tak... oh January! jak ty mogłeś pomyśleć coś podobnego!

— Jeszcze raz, uspokój się; nie chciałbym za nic sprawić ci przykrości. Tylko widzisz sama, że w tem położeniu miłość Anielki usuwa tę trudność, którą, pozwól sobie powiedzieć, przesadzasz i sta wiasz sama sobie.

Spuściła głowę w milczeniu, zaciskając dłonie, jakby w tej jednej rzeczy opierała się wszechwładzy jego.

— Czy ty jesteś pewny—wyrzekła wreszcie po długiej chwili,—że ona będzie z nim szczęśliwa?

— Dla czegoż ty o tem wątpisz?

— Widzisz! ja poszłam zamąż tak młodo i przysięgłam sobie, że córkę moją ustrzegę od podobnego losu.

— Tu niema najmniejszego podobieństwa.

Chciał coś mówić więcej, tłomaczyć jej, ale skinęła ręką, jakby z góry przyznawała mu słuszność, a przedmiot ten był dla niej przykrym.

Jednakże w myśli jej powstawały snadź różne wątpliwości i troski, bo wyrzekła znowu:

— Władysław nigdy żadnem słowem nie dał nam poznać zamiarów swoich.

— Dotąd była to sielanka młodości, odgrywała się ona wich dwóch sercach bezwiednie może. A gdyby nawet było inaczej, Władysław jest ubogi i dumny, to dość, by zamknąć mu usta.

January miał słuszność zapewne, Helena przecież nie była spokojną. Oczy jej świadczyły, że odwykła od spokoju, że w głębi jej serca tkwiła troska nieustanna, zażegnana wolą, jednak odzywająca się w chwilach stanowczych; ona to nadawała gorączkowy blask spojrzeniu, zmuszała je błąkać się bez celu, jakby upatrując wiecznie ukrytej zasadzki. Teraz troska ta nie objawiła się więcej żadnem słowem.

Uczyniła tylko niepewny ruch, opuszczając ramiona, którym zdawała się świadczyć o bezsilności własnej wobec potężnej przewagi okoliczności, czy położenia, i powróciwszy na dawne miejsce, wzięła książkę i pióro, kiedy January odezwał się znowu:

— Przyznam ci się, że od bardzo dawna przeznaczyłem Anielkę Władysławowi i poniekąd wypielęgnowałem tę miłość.

Spojrzała na niego szczególnym wzrokiem, jakby wdzięczność jej łączyła się z trwogą.

— W dzisiejszym stanie społeczeństwa—mówił dalej—los kobiety, jej szczęście i, więcej nawet, jej moralna wartość, wszystko to zależy od człowieka, z którym się połączy. Anielka będzie szczęśliwa; kochają się, są na jednym stopniu moralnego rozwoju.

— Kochają się?—powtórzyła Helena—ale gdyby pomiędzy nimi stanęła przeszkoda jaka? Czy pielęgnując tę miłość, pomyślałeś o tem?

— Nie pojmuję miłości, któraby nie zwalczyła przeszkód — odparł z uśmiechem — tu jednak niema przeszkody.

Umilkła. Przywykła oddawna trwogi i niepokoje chować dla siebie, nie dzieląc się niemi z nikim.

Tak rozmawiali o szczęściu młodej pary,

a dźwięki duetu napełniały powietrze i fale harmonii dobiegały do nich.

Tony duetu były serdeczne, jak słowa, i powtarzały dwoma głosami wieczny hymn młodości i kochania.

XVI.

W parę dni później Anielka znowu była smutną, bo od dnia owego Władysław wcale nie pokazał się w willi; oczekiwała go w ogrodzie, oczekiwała przy fortepianie, nasłuchując najlżejszych szelestów; aż wreszcie usłyszała krok, który zdawał się jego krokiem, i głos w ogrodzie, który zdawał się jego głosem, rozmawiający z Lucyanem. I, jak kilka dni temu uciekła widząc go zbliżającym się, tak dziś znowu równie szybko zbiegła ze wschodów werandy.

Rzeczywiście, Władysław rozmawiał z jej bratem. Czekała chwilę, czy nie zwrócą się do niej, oni

przecież mówili coś żywo a Władysław wydał jej się zdaleka bardzo zmienionym i smutnym.

Zatrzymała się z bijącem sercem.

— Cóż się z tobą dzieje? przepadasz nagle i zjawiasz się na chwilę—pytał Lucyan.

— Ja nie powinienem był przychodzić tu wcale, Lucyanie!—zawołał.

— Założę się, że pokłóciliście się z Anielką; ona patrzy melancholijnie, a ty jesteś w bajronicznem usposobieniu. Ot, pójdę po nią i pogodzicie się.

Chciał odejść, ale Władysław zatrzymał go za rękę.

— Mylisz się!—zawołał—ja nie mam nic do powiedzenia twojej siostrze.

— Nic?...

Patrzał mu w oczy badawczo, prawie figlarnie. Władysław spuścił głowę, odwracając oczy, jakby ukłuty tem spojrzeniem.

— Nie!—powtórzył stanowczo — jeśli ja byłem szalony, przynajmniej twoja siostra nic nie wie o moich uczuciach, nie powiedziałem jej nigdy słowa, które miałbym na sumieniu.

— Cóż z tego?

Władysław milczał przez chwilę.

— Nic! — wyrzekł bardzo cicho — tylko będę mógł ją pożegnać spokojnie.

— Pożegnać? Co ty mówisz, Władziu! Ja musiałem źle słyszeć.

— Pożegnać! — powtórzył zaledwie słyszalnym głosem.

— Czy znowu chcesz odjeżdżać? Ojciec mój obiecał wyrobić ci tu posadę; dasz się poznać, a wówczas przy twoich zdolnościach...

— Ja muszę wyjechać, Lucyanie! wyjechać daleko! taki los; nie pytaj mnie o więcej. Przyszedłem tutaj, ja sam nie wiem czemu; nie powinienem był przychodzić. Cóż chcesz? chciałem zobaczyć was jeszcze.

Mówił to bezładnie, oglądając się wokoło z wzrastającym niepokojem.

— Niech umrę, jeśli choć słówko rozumiem! — zawołał Lucyan—zdaje mi się, że oboje z Anielką nie jesteście przy zdrowych zmysłach. Widać, prawdę powiadają ludzie, że zakochani, nietylko mówią, ale i działają od rzeczy; dobrze, że ja nie uległem powszechnej epidemii.

Śmiał się. Władysław jednak był ponury, jak noc i podrażniony żartami jego. Powstał z miejsca.

— Jakto!—mówił dalej Lucyan — odchodzisz już! Cóż to! czy zaraz, w tej chwili, chcesz uskutecznić swój piękny zamiar wyjazdu?

W tej chwili Anielka, która przez ten czas krążyła wkoło nich, nie mogła dłużej wytrzymać i wmieszała się nagle do rozmowy.

— Cóż to za zamiar?—zapytała niespokojnie. — Cóż to panu się stało, panie Władysławie?

Nikt jej nie odpowiedział; Lucyan spoglądał na Władysława, który pochwycił poręcz ławki i ściskał ją gwałtownie, jakby szukał punktu oparcia, lub mścił się na niej za doznane cierpienie.

Dziewczyna spostrzegła szybko, że zaszło tutaj coś niespodzianego i wielkie, pytające oczy zawiesiła po kolei na bracie i jego towarzyszu. Położenie było natężone, milczenie nie mogło trwać wiecznie. Spojrzenie to przenikało do głębi serca Władysława, błagało o odpowiedź i nakazywało ją.

On przecież nie mógł jej powiedzieć tego, co powiedział Lucyanowi, i po raz setny zadał sobie pytanie, po co tu przychodził, teraz o tej godzinie, kiedy wiedział dobrze, iż brata i siostrę zastanie w ogrodzie.

Teraz za to powziął przedsięwzięcie heroiczne.

— Ja przyszedłem... chciałem... muszę... to jest, ja przyszedłem powiedzieć, że wyjeżdżam!

Mówił to ze spuszczonemi oczyma, jak gdyby lękał się spojrzeć w oczy ich obojga, lub pokazać własne łzawe spojrzenie.

Anielka stanęła, jak skamieniała, Lucyan zmarszczył brwi.

Zrozumiał, że tu jest w grze czynnik, dla niego niepojęty.

— No! ale przecież nie wyjeżdżasz jeszcze—wyrzekł po chwili—siadaj!—porozmawiamy o tem.

Ale Władysław nie był zdolen znieść dłużej pełnego smutku wyrazu twarzy Anielki, nie był zdolen się tłómaczyć.

— Zobaczymy się jeszcze!—zawołał pośpiesznie —mam pełno interesów; teraz właśnie zapomniałem godziny. Bądź zdrów!... żegnam panią!

I powiedziawszy te bezładne słowa, jak szalony wybiegł z ogrodu.

Upłynęła chwila, zanim młodzi ludzie zamienili słowo jedno. Anielka usunęła się na tę ławkę, przy której on stał przed chwilą, i zakryła twarz rękoma; łzy były bardzo blisko jej oczu.

— Cóż to się stało? — spytała wreszcie — oh! Lucyanie, co jemu jest! Dla czego on chce wyjeżdżać?

Głos jej zerwał się na tem słowie, jakby dławił go ból, zalewały łzy.

— Doprawdy!—wybuchnął brat — ja tego nie pojmuję. Powiedz mi przecie, co zaszło pomiędzy wami?

Pytał daremnie; Aniclka nie była w stanie odpowiedzieć, płakała spazmatycznie. Płakała, gdy brat pytał ją o powody tego rozpaczliwego postanowienia Władysława; płakała, gdy ją pocieszał; płakała wreszcie, gdy próbował w żart obrócić tę całą sprawę. On sam nie był wcale spokojny; dostrzegł we Władysławie coś więcej, niż zwykłe dziecinne rozpacze zakochanych.

I na słonecznem tle marzeń młodzieńczych zaczęły rysować się jakieś cienie, wprawdzie niewyraźne, nieokreślone, ale które pomimo to, zasępiły myśl jego.

Dotąd uśmiechało mu się wszystko, wszystko zdawało się rokować jednę z tych świetnych egzystencyi, z której los, jakby naumyślnie, usuwa powszednie trudności, aby tem swobodniej, tem prawidłowiej rozwinęły się dary inteligencyi.

Obdarzony bogatemi zdolnościami, które kształcono umiejętnie, czuwając troskliwie zarówno nad umysłowemi, jak i nad fizycznemi siłami, syn zamożnej rodziny wzrastał pod nieustanną opieką matki, pod rozumnym kierunkiem ojczyma, który nigdy uczuć mu nie dał, że nie był jego ojcem.

Ojczym ten zajmował znakomite stanowisko naukowe i społeczne, jako pisarz i profesor uniwersytetu. A jeśli miał wielu antagonistów w dziedzi-

nie myśli, jeśli dumne obejście i śmiałe doktryny nie zyskiwały mu sympatyi wszystkich, otaczał go szacunek powszechny.

Szacunek ten spływał na Lucyana, dając mu szersze ambicye i pragnienia, niż zwykle mają je ludzie jego wieku; przywykł myśli i czyny dostrajać, nie do ogólnego tonu, ale do tonu własnych pojęć i poczuć. Szacunku tego potrzebował on koniecznie, jak powietrza do oddechu, i ztąd zapewne wyrobiła się w nim pewna drażliwość; żart lub śmiech, kłuł go, jak ostrze miecza, najlżejszy wyraz niezadowolenia odejmował mu swobodę, miał dumę człowieka, a miękość dziecka, niezahartowanego do walki życia żadną przeciwnością.

Może też drażliwość ta sprzymierzała się ze wspomnieniami dawnemi pierwszego dzieciństwa, jakichś ciemnych kart, jakichś katastrof, które przechodził, a które w umyśle jego wyryły się niezatarte niczem i, niby tło ciemne, rzucały ponure odblyski na obecną chwilę.

Przy każdem wzruszeniu, wspomnienia te powracały mu do pamięci i mąciły pogodę ducha, podniecały bujną wyobraźnię i składały się z nią na wyrobienie niespokojnych przywidzeń.

Zostawił płaczącą siostrę, na której łzy nie znajdował pociechy, i poszedł do Januarego, jakkol-

wiek nie było w zwyczajach domowych przeszkadzać mu bez ważnego powodu.

— Czy nie przeszkadzam?—zapytał.

— Przeciwnie! przeciwnie! — zawołał January, który z okna swego widział całą scenę w ogrodzie — przychodzisz w samą porę.

Lucyan jednak, ujrzawszy matkę w pokoju, nie zdawał się wcale o tem przekonany.

— Gdzież to Władysław odszedł tak śpiesznie? —pytał January—chciałem się z nim widzieć.

— Ja nie wiem—odparł młody chłopiec—przyszedłem do ojca, bo on był taki pomieszany gadał coś o pożegnaniu, o obowiązkach; nie chciał tłómaczyć się wyraźniej; nie mogłem go zrozumieć i zaniepokoiłem się, bo... bo...

— A co? czy nie powiedziałem, że tak będzie— przerwał January z rodzajem tryumfu, zwracając się do Heleny.

Ale ona nie musiała w zupełności podzielać zapatrywania jego, bo ręce jej,złożone na książce, drżały lekko.

— Więc dla czegoż do mnie przyszedłeś? — mówił dalej January wesoło — mów śmiało; pewny jestem, że wiesz o tej sprawie coś więcej, niż my wszyscy.

— Przyszedłem, bo Anielka...

— Anielka! — przerwała Helena — cóż Anielka?...

— Anielka wzięła to bardzo do serca...

— Tem lepiej! tem lepiej! — wołał January — sielanka dochodzi do kulminacyjnego punktu; Anielka musi szlochać, nieprawdaż? a Władysław miał łzy w oczach. Wszystko w porządku; wszystko jak być powinno; wszystko najlepiej. Prawdziwie młodnieje się, patrząc na tych młodych, i choć nie byłem nigdy sentymentalny, zdaje mi się, że sam mam znowu lat dwadzieścia. A ty Lucyanie, czy nie masz także swojej sielanki?

— Nie! mój ojcze.

— Ale ba! czy to wy się kiedy do tego przyznacie! Trzeba was tak podpatrywać jak gdyby miłość była zbrodnią. Kryjecie się, jak prawdziwe dzieci; dziecinną tajemnicę Anielki i Władzia znam oddawna.

— Więc cóż będzie teraz?

— Nic... nic... niech Anielka popłacze chwilkę: radość będzie większa, spotęguje się w miarę rozpaczy. Bo jestem pewny, że ona rozpacza. Idź! powiedz jej, że wszystko będzie dobrze, że ja biorę wszystko na siebie.

— Ale jeśli Władysław pojedzie? mówił to na seryo.

— Spodziewam się! przecież Władzio nie grał komedyi. No! on jeszcze nie jedzie, musi pożegnać się ze mną; a gdyby i tego nie chciał zrobić, toć przecie nie pojedzie daleko. Znajdziemy na to sposób.

January zdawał się tak uradowanym, iż dopiero po chwili spostrzegł, że Helena nie podzielała zupełnie jego usposobienia.

— Idź! pociesz siostrę!—wyrzekł, zwracając się do Lucyana—powiedz jej, że ja zajmę się jej serdecznemi sprawami; że może być zupełnie spokojną; zatrzymamy Władzia.

Po jego wyjściu, zwrócił się do Heleny.

— I czegoż ty się lękasz jeszcze?—wyrzekł łagodnie—serce Anielki przemówiło wyraźnie, jakby na to, by usunąć wszystkie wątpliwości twoje.

— Masz słuszność; powinnabym być spokojną; a jednak ja spokojną nie jestem. Kiedy Lucyan mówił o jej łzach, chciałam biedz do niej i nie poszłam, bo czuję, że rozpłakałabym się z nią razem, zamiast dać jej pociechę.

Cień niecierpliwości przesunął się po jego czole, ale ustąpił szybko.

— Jesteś niepoprawną!—wyrzekł tylko trochę smutno.—W braku prawdziwych, tworzysz sobie troski urojone.

— Urojone? Oh, January

Umilkła nagle, wyrzucając sobie to, co powiedziała.

On nie zauważył tego wykrzyknika. Był zajęty zamiarami przyszłości, mówił o nich nieustannie.

— Bądź spokojna—rzekł wreszcie — czas już, abym się wmieszał pomiędzy tych młodych.

Usiadł przy stole i napisał bilecik.

— Każ to zanieść Władysławowi — powiedział z uśmiechem—im prędzej, tem lepiej; widać bierze te rzeczy strasznie na gorąco; lubię go za to, ale śpieszyć się trzeba; w takich razach postanowienia bywają szybkie i jeszcze szybciej wykonane.

Bilecik był następujący:

„Słyszałem od Lucyana, że wyjeżdżasz; spodziewam się, że nie uczynisz tego, nie widząc się ze mną; mam ci powiedzieć rzeczy ważne i dlatego czekam cię u siebie dziś zaraz, lub przed wieczorem".

Mieszkanie, które Władysław zajmował z matką, było zaledwie o parę domów od willi Januarego; niebawem nadeszła odpowiedź:

„Panie profesorze!

„Wdzięczność moja dla ciebie nie ma granic. Przysięgam! nie jestem—nie będę nigdy niewdzięcz-

nym! A jednak, gdybyś pan raczył zobaczyć się ze mną w każdem innem miejscu, nie zaś w swoim domu, zdaje mi się, iż byłoby to lepiej dla mnie! O naznaczonej godzinie, jeżli nie odbiorę przeciwnego rozkazu, czekać będę na plantacyach pod Wawelem. Ma się rozumieć, nasuwam tylko tę myśl. Przyjęcie jej jednak uważać będę za podwójną łaskę".

— Dumny chłopiec! — szepnął January, odczytawszy tę kartkę.—Każde jej słowo było dla niego męką. I niech kto powie, że w naszym wieku niema Spartan. On gotów opierać się swojemu szczęściu na seryo.

January zgodził się na dziwne żądanie Władysława, był o naznaczonej godzinie pod Wawelem. Miejsce źle było wybrane na poufną rozmowę.

W piękny wieczór letni tłumy zapełniały plantacye. Być może, iż młody człowiek wybrał je umyślnie, ażeby skrócić tłómaczenia, jakie przewidywał snadź pomiędzy sobą a Januarym; może obwarowywał się spojrzeniami ludzkiemi przeciwko własnemu wzruszeniu.

Na widok Januarego powstał z ławki, na której siedział samotnie i podszedł ku niemu szybkim krokiem. Zapewne to, co postanowił, chciał spełnić co

prędzej i wypić bez zwłoki tę czarę goryczy, która mu była przeznaczona.

Tak rozumiał January i przyjaźnie wyciągnął ku niemu rękę.

Władysław pochwycił ją i ścisnął gwałtownie.

Wzrok Januarego, pełny sympatyi i ciepłych, serdecznych promieni, zwracał się ku niemu, ale nie spotkał jego oczu — były spuszczone, a ciemne brwi tworzyły łuk ostry, podniesiony w górę przy osadzie nosa, nadając twarzy wyraz surowy.

— Mam ci zadać kilka pytań—wyrzekł January, wsuwając rękę pod jego ramię i odprowadzając go w mniej uczęszczaną stronę miasta.

— Pytaj, panie profesorze!—odparł głucho.

— Czy zechcesz mi na nie odpowiedzieć?

— Jeżeli będę mógł, panie profesorze.

— Panie profesorze i panie profesorze!—powtórzył trochę niecierpliwie January. — Cóż znowu! skończyłeś już uniwersytet; nie mówię do ciebie, jak do jednego z moich słuchaczów, ale jako przyjaciel do przyjaciela Wiesz przecież dobrze, iż jestem twoim przyjacielem!

— O! wiem, wiem!—zawołał gorąco.

— Więc mówmy szczerze.

Nie odpowiadał nic; ale frazes Januarego nie wymagał koniecznie odpowiedzi.

— Najprzód: dlaczego chcesz wyjeżdżać?—pytał dalej ten ostatni!

Władysław milczał.

— A powtóre: odkądże to próg mego domu parzy twoje stopy, że każesz mi się włóczyć po miejskich spacerach, jakbyśmy nie mieli spokojnego kąta, ażeby porozmawiać z sobą?...

— Daruj pan...

— Nie mam nic do darowania; widzisz, iż się nie gniewam, skoro tu jestem... tylko to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Władysław spuścił głowę i czas jakiś tak pozostał, jakby usiłował sformułować tę odpowiedź, na którą przecież powinien był być przygotowany.

— No cóż, czy to tak trudno? — zaczął znowu January, przypatrując mu się z uśmiechem.

— A ja... ja chciałem właśnie błagać pana, byś mnie o nic nie pytał.

— A więc to tajemnica?

Młody człowiek dał znak potwierdzający.

— A gdybym ja spróbował ją odgadnąć?

— Odgadnąć!

Władysław pierwszy raz w ciągu rozmowy podniósł oczy na Januarego; oczy te były bardzo smutne i błyszczące.

— Odgadnąć! — powtórzył, patrząc na niego z przestrachem — nie! to być nie może! pan tego nie odgadniesz nigdy!

— Kto to wie! jeśli jesteś uparty w milczeniu Władysławie, ja jestem upartym także.

I nie czekając dłużej, nachylił się ku niemu i szepnął, nie spuszczając z niego oczu:

— Anielka!

Słowo to padło na niego, jak strzał, odebrał je w samo serce, bo zadrżał całem ciałem i upłynęła długa chwila, zanim zdobył się na odpowiedź.

Odpowiedź ta była pełna prostoty:

— Kiedy pan wiesz, po cóż pytasz?

Ta nieugięta duma podobała się Januaremu. Uśmiechnął się przyjaźnie.

— Bo może—wyrzekł zwolna — ta domyślność moja zmieni nieco twoje zamiary; może o tej zamierzone podróży pogadalibyśmy wszyscy razem u mnie, przy herbacie.

Władysław patrzał na niego, nie rozumiejąc dokładnie.

— Jestem pewny—dodał — że Anielka na nas oczekuje i radaby się dowiedzieć, czy to wielkie postanowienie podróży nie może uledz zmianie?

Mówiąc to, z łagodną przemocą zwracał się ku

stronie swojej, ale Władysław wyrwał mu rękę, szepcąc:

— To być nie może! to nigdy być nie może!

— Dla czego?

— Dlaczego pan mnie pytasz: dlaczego?

— Bo odgadliśmy cię wszyscy... czyż nie pojmujesz tego?... na twoją ofiarę przystać nie chcemy.

— Moją ofiarę? — powtórzył ledwie słyszalnym głosem.

— Bo wreszcie, jeśli chcesz wiedzieć wszystko, ofiara byłaby zobopólna; Anielka zgodzić się na nią nie może!

— Anielka! panna Aniela! — poprawił się natychmiast, chwytając nerwowym ruchem jej ojczyma za rękę;—tak nie jest! powiedz mi pan, że tak nie jest! to byłoby zanadto dla mnie!

— Właśnie, że tak jest; dla ciebie zdradzę tajemnice domowe; możesz we mnie widzieć czarny charakter, jeśli ci się podoba.

Wydawał się uszczęśliwionym, i czekał niecierpliwie wybuchu wdzięczności, który należał mu się, jak sądził. Ale wybuch się opóźniał. Władysław stał przed nim z twarzą bladą, jak kreda, zapatrzony nieruchomie w blaski zachodu, które odbijały się w jego źrenicach, otaczając je obręczą światła, migocącego w ich łzawych głębiach.

Czyżby zbytek szczęścia czynił go podobnym do posągu cierpienia?

— Władysławie, teraz, to już doprawdy zrozumieć cię nie mogę.

— Tem lepiej! tem lepiej!—zawołał młody człowiek gwałtownie — chciałbym, żebyś mnie pan nie zrozumiał nigdy! ani pan, ani nikt na świecie! Teraz, po tem, coś mi powiedział, uwierzysz może, iż jechać muszę, iż nic mnie tu nie zatrzyma.

To już wychodziło poza programat, jaki z góry nakreślił January. Widocznie domysły jego nie wszystkie były prawdziwe. Zrozumiał to.

— Kiedy tak—wyrzekł stanowczo — to ja wiedzieć muszę, co zaszło między tobą a Anielką?

— Nie zaszło nic, przysięgam! nic, czegobym powtórzyć nie mógł w obliczu świata całego.

— Dla czego nie chcesz przyznać, że się kochacie.

— Ja nie powiedziałem jej tego nigdy, nigdy! wierz mi pan!

January niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Alboż mówię o słowach, o wyznaniach? mówię o uczuciach.

— Uczucia nie zależą od nas. Ja za nie odpowiedzialnym być nie mogę.

— Nie doszliśmy jeszcze do odpowiedzialności. Z wolą, czy pomimo woli naszej, uczucie, jak światło, ma swoje promieniowanie, ma odbicia konieczne. Twoje zostało odgadnięte i podzielone.

— A więc pan widzisz sam, że muszę, że powinienem jechać — mówił głucho Władysław, szarpiąc załamane ręce.

January położył rękę na jego ramieniu.

— Przeciwnie!—wyrzekł—ja sądzę, że powinieneś zostać!

Spodziewał się znowu okrzyku szczęścia, wybuchu wdzięczności, uścisku, może nawet łez. Zamiast tego, Władysław wlepił w niego szeroko otwarte oczy. Jakby nie rozumiał znaczenia tych słów ostatnich, lub jak gdyby znaczenie to było dla niego straszne.

— My chcemy tylko szczęścia Anielki! — dodał z przyciskiem January — my wierzymy, że ty uszczęśliwić ją możesz. Wszak mnie rozumiesz!

Gdyby niewolnikowi, zamkniętemu w ciemnem więzieniu, kto pokazał słoneczny krajobraz, pełen woni wiosennych, do którego wejść mu niepodobna, on patrzałby na niego w ten sposób, jak Władysław na Januarego. Aż wreszcie zbielałe wargi jego wyszeptały te słowa:

— To być nie może! ja jechać muszę!

Była pomiędzy nimi chwila ciszy; oczy Januarego zapałały, ręka jego, spoczywająca ciągle na ramieniu młodego człowieka, teraz ciążyła na niem, jak żelazo, przygniatała go niemal do ziemi.

— Ja źle słyszałem zapewne?—zapytał zwolna.

— Nie! nie omyliłeś się pan; ofiarowałeś mi najwyższe szczęście życia, a ja... ja odrzucić je muszę.

Zakrył twarz rękoma, ciężył mu wzrok Januarego, który w tej chwili był nieubłaganie badawczy.

— Szczęścia życia nie odrzuca się bez powodu. Mam prawo żądać, byś mi powiedział.

— Nigdy! nigdy! — zawołał młody człowiek— nigdy, choćbyś mnie pan miał zabić!

W oczach Januarego mignęły iskry. Ale iskry te zagasły szybko, pogardliwy uśmiech zarysował się na ustach.

— Czujesz więc, że milczenie twoje jest obrazą dla mnie?

Nie mógł zaprzeczyć.

— I obrazę tę chcesz mi wyrządzić? ty! którego miałem za syna.

Znowu daremnie czekał odpowiedzi.

— Nie zasłużyłem sobie na to u ciebie! i dlatego obrazę tę płacę pogardą.

— Nie! to zanadto! — zawołał zduszonym głosem młody człowiek...—Gdybyś pan wiedział wszystko...

— Ja chcę wiedzieć wszystko! ja dojdę myśli twojej. Posłuchaj! byłem może zbyt szorstkim; ale bo też święty zostałby wytrącony z kolei. Mów ze mną otwarcie! nie zostawiaj mi wątpliwości gorszych, aniżeli wszystko; ja proszę cię o to, w imię moich dobrych chęci dla ciebie, w imię przyjaźni.

Przez chwilę czekał skutku słów swoich. Daremnie. Wówczas odwrócił się w milczeniu od Władysława, bez słowa pożegnania, jak od człowieka, z którym rachunek jest zamknięty.

Młody człowiek stał przez chwilę, pognębiony; potem rzucił się za nim.

— Przez litość!—zwołał—nie rozstawaj się pan ze mną w ten sposób. Gdybym ja mógł mówić... gdybym mógł...

January nie słuchał go więcej. Z odludnych ulic przedmieścia, na które się schronili przed tłumem, zwrócił się ku plantacyom i wielkim krokiem, nie oglądając się za siebie, zmieszał się z falą ludzką.

Władysław gonił roziskrzonem okiem jego wysoką postać, dopóki nie zniknęła mu w oddaleniu. Wówczas przycisnął dłonie do czoła, jakby lękał się oszaleć.

— Stało się!—szepnął rozbitym głosem — straciłem wszystko!

Powtarzał machinalnie te słowa, stojąc wrosły w ziemię, jak słup graniczny, na miejscu, gdzie go zostawił January.

Wieczór letni zapadał zwolna w całym wspaniałym blasku. Czerwone promienie słońca zaglądały mu w oczy, a on szeptał głucho:

— Stało się! stało się!

Rzadcy przechodnie patrzyli na niego zdziwieni. Cóż go obchodziły śmiechy i domysły ludzkie? wszak on usłyszał słowo pogardy od człowieka, którego czcił i kochał; wszak spełnił najbardziej gorzką ofiarę, jaką spełnić można: wyrzekł się przyjaźni, miłości i szacunku, zapłacił za serce niewdzięcznością i w latach szlachetnych zapałów zebrał plon wzgardy, nienawiści, nieszczęścia!

Minęły długie godziny, nim odzyskał tyle przytomności, że obejrzał się, gdzie jest i zwrócił się ku miastu. Zrazu szedł zwolna, jakby bez celu; skoro jednak znalazł się na tej części plantacyi, gdzie wznosiła się willa Januarego, kroki jego stały się szybsze, jakby wola niosła go, wbrew refleksyi, ku temu miejscu, z którego przecież stał się dobrowolnym wygnańcem.

Naprzeciwko willi stała ławka; rzucił się na nią i utonął cały wzrokiem w oświetlonych oknach.

Noc już była zupełna.

W willi panował jakiś ruch niezwykły, żelazna krata skrzypiała raz w raz, wpuszczając i wypuszczając gości, czy mieszkańców; ci jednak szli szybko, nie zważając na tę postać, przygiętą cierpieniem, złamaną we dwoje, która czatować się zdawała, ukryta w cieniu i wypatrywać, co się tam działo.

Powoli światła gasły jedne po drugich, aż pozostały tylko w wielkiem balkonowem oknie pokoju Januarego i w jednem, przysłonionem wijącym się bluszczem, w sypialni Anielki.

W pierwszem rysował się naprzemian i znikał cień przechadzającego się człowieka. January nie pracował, jak zwykle. Myślał o tym niewdzięcznym uczniu, którego był przyjacielem, opiekunem, ojcem, któremu ofiarował raj szczęścia, a który wzamian obraził go śmiertelnie.

Ale dlaczego czuwała Anielka? Ona może cierpiała, może płakała, a może gardziła także?

Ta myśl była nie do zniesienia; pod jej naciskiem ogarniało go szaleństwo. Zerwał się i uciekł, jak złoczyńca, z tego miejsca.

Błąkał się prawie noc całą, nie zważając na burzę, która srożyła się nad miastem. Strumienie deszczu nie przynosiły ochłody rozpalonemu czołu, a głos wichru i grzmotu był w harmonii z głosami rozpaczy, odzywającemi się w jego piersi.

Nad ranem dopiero, gdy mdłe promienie świtu zarysowały się na pochmurnem niebie, uczuł to nieskończone znużenie i apatyę ducha, jakie następują zazwyczaj po wielkich, moralnych wstrząśnieniach. W tej mdłej godzinie poranku jemu także było mdło i słabo. Czuł niezwalczone pragnienie spokoju, ciszy. I mocą nałogu zapewne, przywlókł się cały drżący, nakształt zranionego zwierza, do mieszkania, które zajmował z matką.

Mieszkanie to było bardzo szczupłe: składało się z dwóch izdebek, z których matka zajmowała drugą, syn pierwszą. Wydobył klucz z kieszeni i otworzył drzwi, jak mógł najciszej, starając się wcisnąć do siebie, niepostrzeżony i niesłyszany.

Ale ostrożność ta była daremną. Pomimo nadzwyczaj późnej godziny, matka jego siedziała przy stole z dogorywającą lampką, której światło poduosiło się i opadało co chwila, nakształt pulsu umierającego, i rzucało na surową twarz starej kobiety przelotne cienie.

Nie spała ona widać także noc całą, czekając na syna, i przez tę noc zebrało się dużo fałdów na jej czole.

Słysząc skrzypnięcie drzwi, nie potrzebowała się oglądać, bo siedziała na przeciwko nich, tylko podniosła głowę i machinalnym ruchem podkręciła

światło lampy, by lepiej przypatrzyć się jedynakowi, bo szary świt jeszcze nie rozjaśnił przedmiotów.

Lampa zapłonęła dość silnie przez chwilę, by pokazać jej zmoczone ubranie młodego człowieka i twarz napiętnowaną wyrazem śmiertelnego znużenia; potem wszystko znowu w cień zapadło tak, że nie podobna było dostrzedz wrażenia, jakie widok ten zrobił na matce.

Ona też nie zadowoliła się tem przelotnem spojrzeniem, powstała z żywością, pobiegła do syna i zatopiła badawcze spojrzenie w jego oczach.

Władysław odwrócił głowę z rodzajem przykrego przymusu.

— Gdzie ty byłeś? dlaczego tak późno powracasz?—zapytała z szorstkością, przez którą przebijał niepokój.

— A ty dlaczego nie śpisz, moja matko?

— Odpowiadaj mi naprzód! ty wiesz, dlaczego czuwam.

— Mogłaś spać spokojnie— odezwał się głosem, w którym drgały nieme wyrzuty — wiesz przecie, że dotrzymuję przyrzeczeń, że nie pójdę wbrew woli twojej nigdy, choćby to kosztować mnie miało, jak dziś...

Zatrzymał się, jakby nie był zdolen dokończyć; słowa konały mu same na ustach.

— Są obowiązki mój synu, z któremi targować się nie można—odparła sucho.

Skinął głową, jakby upraszał, by nie dotykała przedmiotów, zbyt bolesnych dla niego.

— Uczyniłem, coś chciała—wyrzekł wreszcie.

Patrzała na niego przez chwilę w rozjaśniającym się posępnie świetle poranku; lecz wyraz, jaki dostrzegła na twarzy jego, nie zadowolił jej widać.

— Ja chciałabym — zawołała — byś sam przyznał, że mam słuszność; byś podzielił moje przekonanie.

— Mają mnie za niewdzięcznika, i gorzej jeszcze: utraciłem nietylko przyjaźń, ale i szacunek ludzi, którzy otworzyli mi dom i serce swoje. Moja matko! ty więcej żądać nie możesz!

— Szacunek! — powtórzyła z wybuchem — cóż znaczy szacunek! ich szacunek jest to na świecie towar kradziony, wiemy to dobrze.

— Matko!—zawołał z goryczą — to ja kradłem ich dobrą wiarę, ich przyjaźń; odpłaciłem za nie odstępstwem. Nie potrzebujesz mi tego przypominać; pamiętam aż nadto, pamiętać będę do deski grobowej.

— Szaleńcze!—przerwała mu matka. — Oni nie mogą wymawiać ci nic. Niech wejdą w siebie wprzó-

dy, niech zapytają, jakiem prawem wcisnęli się sami pomiędzy uczciwych ludzi.

— Ani słowa więcej! — wyrzekł namiętnie — wszak mi to przyrzełaś, ty także matko. Spełniłem wszystko, coś chciała; wyjeżdżam dziś jeszcze; dotrzymuję ci umowy; mam prawo żądać, byś dotrzymała jej nawzajem, nie mieszała ich spokoju, nie podawała w wątpliwość dobrej sławy.

Wzruszyła wzgardliwie ramionami.

— Tego, czego ja się dowiedziałam, mogą dowiedzieć się i inni.

— Ale ci inni nie będą tobą, moja matko! Pamiętaj o tem: jedno słowo z ust twoich, a powrócę tutaj i wówczas przysięgam! działać będę na swoją rękę, nie oglądając się na nikogo, nawet...

— Nawet na mnie? dokończ! cóż znaczy matka?

— Nie! nie to chciałem powiedzieć — wyrzekł, usiłując pohamować swoje wybuchy. — Przez miłosierdzie, nie męcz mnie, nie doprowadzaj do ostateczności!... czyż nie widzisz, że jestem... zmęczony bardzo.

Milczała, patrząc na niego pół smutno, pół gniewnie.

— Ja nie mogę darować im twego cierpienia! — zawołała wreszcie głosem, w którym przebijały się łzy.

Była to tajemnica jej gniewu, jej zawziętości.

— Matko! matko! pomyśl, że oni mnie to samo powiedzieć mogą. Bądźmy przynajmniej miłosierni jedni dla drugich. Nie zaogniajmy ran zadanych; nie czyńmy źle daremnie, kiedy i tak tyle złego sprawić musim.

— Wiesz dobrze, iż mówię tu do ciebie jednego, że obiecałam milczeć i że ty także na słowo moje liczyć możesz.

— Ja chciałbym czegoś więcej, matko; chciałbym, żebyś nie chowała ku nim żalu, ani nienawiści; żebyś pamiętała zawsze o dobrem, jakie nam zrobili.

Mówił to miękim, zwilżonym głosem, odzywając się do matczynego serca; ale głos ten nie obudził echa.

Była tutaj kwestya, względem której porozumieć się nie mogli.

— Uczynię, com obiecała— odparła sucho— a co do wdzięczności...

Blade jej wargi przycięły się w charakterystyczny sposób, oznaczający uparte postanowienie.

Dzień zajaśniał w pełni; Władysław mógł dojrzeć wyraz jej twarzy, nie przysłonięty ani pomroką ranną, ani żadną myślą wsteczną. Zrozumiał, że wszystko, coby mógł uczynić, lub powiedzieć, było tutaj daremne.

— Ha! szepnął zniechęcony—wola twoja, matko, wola twoja!

I pomimo zmęczenia i bezsennej nocy, zaczął zbierać rzeczy swoje, gotując się do drogi.

Stara kobieta patrzała na to czas jakiś w milczeniu, surowa i gniewna; aż wreszcie przemogła w niej macierzyńska troskliwość. Powstawszy z miejsca przystąpiła do niego.

— Zostaw to—rzekła — odpocznij, prześpij się; ja sama upakuję ci rzeczy.

— Pociąg warszawski odchodzi rano, — odparł głucho.

Zdawało mu się niepodobieństwem zostawać dłużej pod tym dachem; czuł, że nie zdołałby zasnąć, wobec tej nienawiści, czuwającej przy nim.

— Pociągów idzie kilka.

— Im prędzej, tem lepiej — mówił gorączkowo, zbierając z roztargnieniem książki, ubranie, drobiazgi, rozrzucone po różnych kątach.

Nie opierała mu się więcej; myślała może, ona także, że co ma nastąpić niech nastąpi jak najprędzej; że oddalenie i czas najskuteczniej wpłyną na uspokojenie jedynaka.

Wkrótce pakunek był gotowy; młody człowiek bez namysłu wziął go w rękę. Matka powtórzyła mu jeszcze kilka rad, przypomniała kilka dawniej-

szych projektów i pożegnanie odbyło się chłodne i przymuszone ze stron obu.

Zanim miasto obudziło się do zwykłych zatrudnień, Władysław je porzucił.

XVII.

Dzień ten powstał posępny w domu Januarego. Przez noc całą Anielka miała mocną gorączkę, matka czuwała nad nią, a wezwany doktór, nie mogąc jeszcze rozpoznać choroby, trzymał się półśrodków i nie dawał stanowczego zdania.

Dla tego to noc całą okno jej było oświetlone, dla tego January czuwał w swoim pokoju, raz w raz dowiadując się o stanie chorej, pomagając Helenie i Lucyanowi w staraniach około niej.

Nie sam niepokój o pasierbicę był powodem jego nocy bezsennej. Myślał o Władysławie a co gorsza wziął jego nagłe postanowienie z jej chorobą i to przedstawiało mu przyszłość w niepewnych

kolorach. Któż mógł odgadnąć stopień przywiązania dziewczyny, siłę wytrwania tej nieszczęsnej miłości, skoro niespodziane pożegnanie jego spowodowało tę chorobę?

Miłość ta przecież wzrastała pod jego okiem; zdawała się odpowiadać wszelkim wymaganiom, uspakajając z góry troskę rodzicielską.

I znowu powracała mu do pamięci rozmowa z Władysławem i niepojęty upór jego. Był to problemat, który napróżno starał się rozwiązać: on przecież mówił z nim wyraźnie, serdecznie, ofiarował rękę pasierbicy i doznał odmowy jawnej, odmowy nieumotywowanej niczem.

W pierwszej chwili, zdziwienie jego zmieniło się w pogardę. A teraz przychodziła mu wątpliwość; czy pogarda była właściwą odpowiedzią Budził się w nim niepokój dziwny i wstręt do wspomnienia tej długiej rozmowy, wśród której on, January, wypowiedział się cały, a nie zdołał pochwycić nawet wątku tajemnicy młodego człowieka.

Nad ranem, wchodząc na palcach do pokoju Anielki, zastał chorą spokojniejszą, — usnęła; ale natomiast Helena wydała mu się tak bladą i zmienioną, iż czemprędzej wyprowadził ją, chcąc zmusić do trochy spoczynku.

Była mu posłuszną, nawet z rodzajem pośpiechu

wyszła z pokoju córki, zostawiając ją pod strażą pokojówki; ale zamiast iść położyć się, jak chciał January, weszła do jego gabinetu.

— I dlaczego nie śpisz? — zawołał gwałtownie, zrywając się z miejsca i biegnąc do niej z niecierpliwością, w której widniała cała troskliwość jego.

— Nie mogłabym zasnąć,—odparła zwolna.

Zrobił niecierpliwy ruch, chciał coś mówić, ale ona mu przerwała.

— January! ty wiesz dobrze, co mnie niepokoi.

Chwila się zbliżała; zapytywała go o to, o czem pragnął zapomnieć.

— Będziemy mówili o tem później...

— Nie! nie! dziś, zaraz!... January! powiedz mi tylko jedno słowo: ty widziałeś Władysława?

Skinął głową twierdząco.

— Widziałeś go? i cóż?

Gniew jego zapalał się znowu na to wspomnienie, które w nim budziła; nawykły dzielić z nią myśli i wrażenia swoje, wybuchnął:

— I cóż? nie zdołałem z niego nic wyrozumieć nic wydobyć!

— Nic, January? nic zupełnie! — powtórzyła cicho.

— Nic!

— On nie chciał ci powiedzieć, dlaczego?

— Nie! To prawdziwie niepojęte.

— Niepojęte? Czy ty doprawdy nie pojmujesz?

Przez chwilę spoglądali na siebie wzajem, porozumiewając się wzrokiem w braku słów, których wymówić nie śmieli.

— A jednak—szepnęła, załamując ręce — to jasne! to strasznie jasne! tem jaśniejsze, że powodu wyjawić się wzbraniał.

Teraz zrozumiał, co powiedzieć chciała; dostrzegł powieki przymykające się, jakby pod brzemieniem niepodobnem do dźwigania, i rumieniec wstydu występujący na blade czoło.

— Nie!—zawołał—to być nie może! on tego nie mógł mieć na myśli! a gdyby miał...

Nie skończył, ale wzrok i cała postawa były tak groźne, jak gdyby widział nieprzyjaciela i żądał od niego rachunku za krwawą obrazę.

Helena położyła zwolna rękę na jego ramieniu.

— A gdyby miał?—wyrzekła zaledwie słyszalnym głosem—byłby w swojem prawie, January; pamiętaj o tem.

— Ja zabiłbym go! przysięgam ci, żebym zabił...

— Czy zmieniłbyś przez to, co jest? — spytała.

— Przynajmniej niktby mi tego nie powiedział w oczy!

— Bądź spokojnym; nie powie ci nikt! i on nie powiedział; ale to będzie w powietrzu, które nas otacza, w cichym szepcie ludzkim i w nieszczęściu moich dzieci.

Mówiła to po cichu, ze spokojem, wyrobionym przekonaniem o nieodwołalności tych faktów. Był to grom, spodziewany oddawna. Ale blade jej wargi drżały, a oczy miały taki wyraz, jakby pogrążona wśród bezbrzeżnego oceanu nieszczęścia, nie widziała żadnej zbawczej przystani, żadnej gwiazdy nadziei.

— January! January — wyrzekła wreszcie—ja wiedziałam, że tak będzie; ja powtarzałam ci nieraz, że ta chwila nadejść musi; ja nie łudziłam się przynajmniej, tylko nie pomyślałam nigdy, że kara za winę moją spadnie na dziecko; nie! o tem nie pomyślałam.

Załamała ręce i zarzuciła je na czoło, z wyrazem bólu, przechodzącego siły.

— I ja—zawołał January — miałem tego człowieka w moich rękach i puściłem go cało! Ale on może nie odjechał dotąd; znajdę go... przysięgam! doścignę!

Bezprzytomny, prawie oszalały jej cierpieniem, wybierał się wykonać myśl swoją.

Powstrzymała go spokojnym ruchem.

— Gdybyś go znalazł, cóżbyś mu powiedziedział?

— Powiem mu, że to, co uczynił, jest nikczemnością i głupstwem; powiem mu, zanim będzie śmiał rzucić na nas kamieniem, niech mi pokaże na świecie kobietę, coby, jak ty, była światłem, szczęściem, błogosławieństwem domowego ogniska; niech mi pokaże bardziej poświęconą żonę, matkę więcej oddaną obowiązkom swoim.

Słuchała go, jakby te słowa zlewały na jej serce balsam pociechy.

Przecież nagle podniosła głowę gorączkowym ruchem.

— I cóż ztąd? ty będziesz mógł powiedzieć mu to i wiele innych rzeczy, i wszystko, co chcesz... tylko... oprócz tego jednego, że ja jestem twoją żoną.

Pochwycił jej ręce.

— Wiesz dobrze, iżbyś nią była, gdyby to było w mocy mojej.

— I cóż ztąd, kiedy tak nie jest? Cóż znaczą chęci ludzkie wobec faktów?

— A jednak powiedz, Heleno! powiedz sama, czy to zmieniłoby cokolwiek pomiędzy nami i w nas samych. Czy związek nasz mógłby być trwalszym? Czy jakakolwiek przysięga mogłaby dodać coś, lub

ując naszym uczuciom, podnieść lub obniżyć naszą moralną wartość?

— I cóż ztąd? I cóż ztąd?—powtarzała.—Świat o to wszystko nie pyta; on widzi tu tylko miłość dwojga ludzi, którym się kochać nie wolno!

— Nie wolno? I któż śmie stawiać granice pragnieniom serca, potrzebom jego? dlaczego pokochaliśmy się wbrew prawu, wbrew przeszkodom? dlaczego byliśmy tak szczęśliwi jedno przez drugie?!

— Byliśmy szczęśliwi! — powtórzyła głosem, w którym drgały echa nieustannych cierpień minionych—byliśmy szczęśliwi!

Po raz pierwszy przyszła mu wątpliwość: czy szczęście jego było jej szczęściem?

Po raz pierwszy może bruzdy i zmiany jej twarzy przemówiły do niego wyraźnie, i wobec podejrzeń jakie się w nim budziły, spuścił głowę na piersi. Wątpliwość ta wiązała się z mnóstwem innych, wstrząsała najrozmaitszemi fibrami jego istności, sięgała wszystkich problematów intelektuelnych, na których oparł gmach życia. I dla tego właśnie była mu nieznośną.

— Heleno!—zawołał.

I on, co nigdy dotąd nie cofnął się przed ostateczną konsekwencyą myśli, teraz, wobec nieszczęść, walących się na dom jego, stracił tę zuchwałą śmia-

łość. Poza konsekwencyą tą czuł przepaście. Zapytanie, jakie miał czynić, skonało mu na ustach.

A ona mówiła dalej:

— Dziś przyszła chwila zadośćuczynienia.

— Za cóż? za cóż?—wołał, jakby się nie chciał poddać sile okoliczności i próbował zaprzeczać ich nieubłaganej logice.—My mieliśmy prawo to uczynić.

Wstrząsnęła głową.

— I gdzież nas to doprowadziło? Gdybyśmy nawet potrafili oddzielić się zupełnie od społeczeństwa, świat zawsze znajdzie punkt słaby, gdzie nas dotkąć może. Mówiono mi to, ostrzegano; a ja nie wierzyłam. Ja wierzyłam tobie!

— Heleno! Heleno! jest to pierwszy wyrzut w twoich ustach. Czy ja nań zasłużyłem?

— Nie! nie! —zawołała—nieszczęście czyni mnie niesprawiedliwą!

— Nieszczęście dotyka nas oboje zarówno; powiedz: czy dzieci twoje nie były mojemi dziećmi? czy nie zastępowałem im ojca?

Miał słuszność. Obietnic swoich dotrzymywał, obowiązki przyjęte spełnił wiernie. Ale pierwszy raz także powoływał się na nie. I przyszło jej na myśl, że gdyby Anielka była pod opieką własnego ojca, choćby ojciec ten najmniej dbał o nią, nie spotkałaby jej dzisiejsza boleść.

Pod naciskiem tej myśli pochyliła głowę.

— Uczyniłeś, coś mógł! — szepnęła —tylko cóż my możemy?

— Doprowadzisz mnie do ostateczności! — zawołał.—Więc cóż chcesz? cóż chcesz więcej?!

Milczała. Pytanie zdawało jej się daremnem On jednak stawiał je poważnie.

— Czyż nie poddałem się wszystkim formom świata — zawołał — o ile to było w mojej mocy? czy dałem kiedykolwiek jakibądź powód powątpiewania o związku naszym? Jeśli nie przedstawiłem dowodów jego legalności, toć przecież dowodów podobnych nie przedstawia się zazwyczaj. Była to rzecz mojego i twojego sumienia, która nas tylko obchodzić była powinna.

Milczała ciągle, bo po cóż walczyć miała z utopiami jego? Miał, lub nie miał słuszności w zasadzie, to nie zmieniało położenia; tu nie chodziło bynajmniej o zapatrywanie się jednostki, ale o zapatrywanie się zbiorowe społeczeństwa, zwane sumieniem ogólnem, na które buntownicza jednostka właśnie najmniej jest zdolna wpłynąć.

A on mówił dalej z ponurem postanowieniem:

— Jeźli zresztą jesteśmy tutaj zbyt blisko przeszłości, jeśli pomiędzy nią a obecnością potrzeba położyć przestrzeń; gotów jestem raz jeszcze rzucić wszystke, zerwać węzły, które mnie tu łączą i gdzieś

w nowym świecie szukać spokoju dla rodziny. Niech przepadną prace moje! drugi raz nie usłyszę z ust twoich wymówki; twoje dzieci będą, muszą być szczęśliwe!

Gotów był natychmiast wykonać to, co zamierzał. Był to zawsze człowiek gwałtownych namiętności i szybkich postanowień.

— Nie pojmuję biernej rezygnacyi, pokornego godzenia się z losem. Przeciw złemu każdemu trzeba przeciwdziałać; powiedz słowo tylko, Heleno, a myśl ta stanie się czynem.

Ale myśl jego przeraziła ją bardziej jeszcze.

— Chcesz zrzec się stanowiska, jakie zajmujesz?

Uśmiechnął się dumnie.

— Nie lękaj się! zdaje mi się, że jeszcze zdołam dopracować go się napowrót i zapewnić przyszłość szczęśliwą, szanowaną wam wszystkim. Nie troszcz się o to.

— Masz szalone myśli! — szepnęła. — Chceszże dzieci pozbawić ojczyzny? zerwać serdeczne węzły, łączące je z krajem rodzinnym, i skazać na wieczną tęsknotę, na moralne kalectwo wygnania? Czyż nie powtarzałeś tyle razy, że człowiek tylko wśród własnego społeczeństwa prawdziwie pożytecznym i szczęśliwym być może.

— Więc cóż mam uczynić! przez miłosierdzie, powiedz to wyraźnie!

Domagał się odpowiedzi, z gwałtownością człowieka, który bezczynności znieść nie jest zdolen.

— Co?—szepnęła ponuro — znosić dalej to, czego odmienić nie można.

— Ja nie chcę, żebyś ty znosiła! — wybuchnął.

Uśmiechnęła się jakimś dziwnym uśmiechem, który nie rozjaśnił jej wejrzenia, tylko wyrył się na ustach bolesnym wyrazem.

— To trudno! — odparła — wszędzie, gdzie pójdziemy, zabierzemy z sobą położenie nasze i samych siebie.

Miałoż to znaczyć, że ona cierpiała oddawna?... Ta myśl przesunęła się znowu ognistym wężem po głowie Januarego. I znowu nie śmiał się nad nią zastanawiać.

— Heleno! —zawołał, miękko obejmując ją, jakby chciał odsunąć od niej troski wszystkie i cierpienia — przez miłosierdzie, powiedz przynajmniej, że mnie nie winisz!

Był przy niej, pochylony pod brzemieniem nieszczęścia. Miałaż powiększać to brzemię wyrzutami swemi? Przeszłość jej była niecofnioną! Cokolwiek się stało, uczucie sprawiedliwości mówiło jej, że była współwinną.

— Bądź spokojny!—szepnęła, patrząc na niego głębokim wzrokiem, pełnym łez, żalu, blizkim rozpaczy, a jednak z miłością, panującą nad wszystkiemi

innemi uczuciami,—nie skarżyłam się dotąd, skarżyć się nie będę.

Było to wszystko, co powiedzieć mu mogła.

Otworzył ramiona, rzuciła się w nie bez wahania, ukryła twarz na jego piersi, ale naprzekór słowom, wybuchnęła łkaniem.

Nie pytał o przyczynę łez, tylko tulił ją do siebie; a był to uścisk smutny, podobniejszy do uścisku dwojga rozbitków życia, niż szczęśliwych kochanków.

Chwila ta stanowiła smutną epokę w ich istnieniu; odtąd każde spojrzenie ludzkie zdawało im się szyderstwem; każde przyjazne słowo, miłosierdziem; a każde milczenie — groźbą. Zamykali się coraz szczelniej w ścianach domowych, ale w poufne rozmowy wślizgnął się przymus; odtąd pomiędzy nimi dwojgiem były przedmioty, których lękali się dotykać, a zakres ich rozszerzał się nieznacznie, sięgał coraz głębiej, padał niby cień na wszystko, co ich otaczało, i mroził im słowa na ustach. Odtąd były zakąty myśli i uczuć własnych, do których January zaglądać nie chciał.

Odtąd także wesołe młode głosy i śmiechy, jakiemi tak często rozbrzmiewała willa, ustały zupełnie. Anielka była chora, a Lucyan, może dla tego, może z powodu nagłego wyjazdu Władysława, sposępniał bardzo. Był to pierwszy zawód w jego ży-

ciu i łączył się z nierozjaśnionemi okolicznościami, a nadewszystko z chorobą Anielki. Ten wyjazd padł mu niby cień na serce i niby problemat zarysował się w umyśle. Myślał o nim nieraz, obudziwszy się wśród nocy, a wówczas problemat ten otaczał się jakiemiś potwornemi widmami o niewyraźnych kształtach, które odpędzał zawsze, a odpędzić nie mógł.

XVIII.

Pomiędzy mieszkańcami willi w Krakowie a Warszawą stosunki nie były zupełnie zerwane. Jakkolwiek czas i oddalenie ostudza przyjaźnie ludzkie, przecież dawni towarzysze pióra, niejednokrotnie odwiedzali Januarego, kiedy po długich latach osiedlił się wreszcie w Krakowie i zajął tam wybitne stanowisko.

Dawny Ignaś, który ożeniony z panną Jadwigą, został poważnym panem Ignacym, niemal corocznie odbywał pielgrzymkę do swego dawnego bożyszcza, Emil, Ewaryst, Leon i inni nieraz w podróżach za granicę zatrzymywali się w Krakowie. Wówczas gościnne progi willi otwierały się, January zapozna-

wał dawnych przyjaciół swoich z koryfeuszami umysłowego ruchu w Krakowie, pomiędzy którymi zajmował poważne stanowisko.

Kobiety, przyznać to trzeba, rzadziej nierównie odwiedzały Helenę, ale bo też nie miała ona tak ścisłych przyjaźni. Raz, czy dwa tylko, pani Oktawia zajrzała tutaj, ale zajrzała jakby ukradkiem.

Tego roku pani Oktawia, która zwykle u rozmaitych wód spędzała letnie miesiące, zawadziła o Kraków, i w rannych godzinach, gdy ruch miejski jest najmniejszy, wsunęła się do willi swojej dawnej przyjaciółki.

Czas obszedł się łaskawie z jej kapryśną pięknością i po kilkunastu latach była ona niemal tak świeżą, wdzięczną i strojną, jak wówczas, gdy dawała owe praktyczne i pełne światowej mądrości przestrogi Helenie, która usłuchać ich nie była zdolną. Snadź zapanowała nad życiem i burzliwemi prądami jego i nie doznała żadnej z tych namiętności, z tych tragicznych bólów, piętnujących twarz ludzką niestartym stygmatem.

Witała się z przyjaciółką ze swobodą i lekkością, nie wykluczającą bynajmniej serdeczności.

— Wiesz—mówiła, ściskając jej ręce i zasiadając w głębi kozetki w salonie, z wdziękiem nie opuszczającym jej nigdy, — cieszę się, że cię widzę; na-

wet, prawdę mówiąc, umyślnie urządziłam się w ten sposób, żeby tędy przejeżdżać i zobaczyć się z tobą.

Helena uśmiechnęła się niedowierzająco.

— A jednak mówiono mi już onegdaj, że cię widziano na ulicy—wyrzekła.

— Cóż chcesz, nie zawsze możemy robić, cobyśmy chcieli. Gdybym słuchała siebie...

— O! niby ty słuchasz kogo innego.

— Nie przeczę — odparła z uśmiechem Oktawia —nie kryłam się z tem nigdy przed tobą, iż staram się, by mi najmniej źle było na świecie. Ale wymaga to całej taktyki i dyplomacyi, której nieraz wiele poświęcić trzeba. Nie jestem tak, jak ty, uparta samowolna; płynę z prądem, moja droga... oh! inaczej... Ale ty jesteś szczęśliwa przynajmniej; szaleństwo wasze się udało.

— Filozofia twoja służy ci wybornie! — zawołała Helena, nie odpowiadając na jej wykrzyknik ostatni, — wyglądasz tak, jak gdybyśmy się wczoraj rozstały.

Pomimo tej pochwały, której przyświadczały wszystkie źwierciadła w pokoju, Oktawia westchnęła lekko przy dotknięciu tak drażliwej kwestyi.

— Staram się o to z całych sił, — wyrzekła, — ale niestety... czwarty krzyżyk zbliża się ku końcowi. Mówię to cichutko, bo niema tu nikogo; a zresztą,

wiesz to równie dobrze, jak ja. Ale ile razy o tem pomyślę, przechodzą mnie dreszcze i oglądam się, czy jaka niedyskretna zmarszczka nie wypowiada tego głośno wszystkim oczom. Patrzysz, jak gdybyś nie rozumiała.

— Prawda! Ja o tem nigdy nie myślę.

— Ty zawsze jesteś taka zapatrzona w innych, że zapominasz żyć na własny rachunek. Zresztą, ty co innego, ale ja... Mnie się zestarzeć nie wolno. Widzisz, w naszem społeczeństwie niema miejsca na starą kobietę. Co ona ma robić? Czem zapełnić resztę życia? Kobieta istnieje jedynie przez mężczyznę; a mężczyzna, wiesz dobrze, iż zważa jedynie na piękne i młode. Trzeba więc być piękną i młodą, jakimbądź kosztem. To warunek bytu.

— Oktawio! obowiązki? dzieci?

— Obowiązki? względem kogo? względem męża, który wziął nas dla posagu, zwyczaju, piękności wreszcie, i przestał zwracać uwagę po kilku miesiącach, lub latach? który nigdy nie zatroskał się o naszą rzeczywistą istotę?... Obowiązki?... narzucają nam je ci, którzy na swoje nie zważają. Dzieci idą w świat na własną rękę i zostawiają najczęściej matkę przy osieroconem ognisku. A wówczas, co nam pozostaje, Heleno? Modlić się o rychłą śmierć, lub hodować pieski. Powiedz sama. Jeśli ten czas ma

przyjść nieodzownie, niechże przychodzi jak najpóźniej. Prawdziwie, Heleno, odradzałam ci szaleństwo, jakie popełniłaś; a jednak, kto wie, czy to było rzeczywiście szaleństwem? Ty przynajmniej masz zadowolenie serca, stałaś się towarzyszką prac i myśli Januarego...

Była rozdrażniona. Może czuła czczość całego swego bytu.

— Mówmy o czem innem,—wyrzekła Helena,—po co powracać do rzeczy nieodmiennych? Co się dzieje z twemi dziecmi?

Oktawia otrząsnęła się prędko z chwilowego niezadowolenia i mówiła znowu z uśmiechem:

— Oh! wiesz, że zazwyczaj wszystko musi mi iść po myśli. Kieruję je praktycznie, staram się torować im drogę i...

— Ty umiesz to robić, potrafisz ułatwić im życie.

— Staram się o to— wyrzekła. — Ale ja chciałam z tobą pomówić o tobie samej, i dla tego umyślnie zboczyłam do Krakowa.

— O mnie?—zawołała Helena.

Głos jej zadrgał niepokojem, którego ukryć nie umiała.

— Tak jest! Czy wiesz, że pan Tytus powrócił do kraju?

— Powrócił!

To jedno słowo wyszło z ust Heleny; opuściła dłonie na kolana i spoglądała na przyjaciółkę oczyma pełnemi trwogi i smutku.

— Czy ty go widziałaś?—spytała.

— Jakżeż widzieć go miałam? moja droga, pan Tytus nie jest człowiekiem, któregoby dziś widzieć można. Ty nie masz pojęcia, co się z nim zrobiło. Resztki mienia, jakie zabrał, wyjeżdżając, przepadły w jakichś niefortunnych spekulacyach amerykańskich. Przechodząc przez wszystkie szczeble upadku i nędzy, zarówno materyalnej jak moralnej, stoczył się wreszcie do rynsztoka. Czegóż patrzysz na mnie z takiem przerażeniem!

— Jam temu winna! jam winna!—szepnęła nieszczęśliwa kobieta,—to wieczny wyrzut mego życia!

— O! przesadzasz. Przyznaję, że pod twoim wpływem pan Tytus był bardzo porządnym człowiekiem, uchodził nawet za dość rozumnego; ale nie idzie za tem wcale, byś miała brać na siebie odpowiedzialność za złe, które podoba się komuś popełnić.

Rozumowania te jednak nie mogły jej uspokoić.

— Czy ją biorę, lub nie, odpowiedzialność ta ciężży na mnie, przygniata mnie. We dnie i w nocy woła na mnie sumienie: „Co uczyniłaś z tem uczuciem, które się ku tobie zwracało? z sercem, co ci za-

ufało?“ Oktawio! ja nie byłam stworzoną do takich udręczeń! ja nie mogę znieść podobnej myśli!

Oktawia, pomimo tego, nie brała wcale do serca losu pana Tytusa; nierównie więcej dręczyły ją skutki, jakie powrót jego mógł mieć na los przyjaciółki.

— Ja lękam się więcej, — wyrzekła, — zemsty jego; ten człowiek powrócił tak nieprzejednany, jak był nim dawniej.

Helena pochyliła głowę, z pognębieniem widocznem.

— Jest w swojem prawie! — szepnęła. — Nie szemrałabym, nie skarżyłabym się na nic, gdyby tu szło o mnie jedną.

— Szczęściem, w stanie, w jaki popadł, teraz świadectwo jego i głos ma małą wagę. Przecież zawsze... odnawia to dawne wspomnienia! January ma nieprzyjaciół... wiem o tem. Lepiej byłoby, gdyby można uzyskać jego milczenie.

— Alboż raz czyniliśmy mu propozycye różne; bylibyśmy gotowi przyjąć, jakieby tylko chciał, warunki... Na próżno... odrzucił z góry wszelkie porozumienie.

— Jesteś ostrzeżoną. Przyjechałam umyślnie.

Warszawa nie jest tak odległą od Krakowa, by złośliwe poszepty tutaj nie doszły.

Była ostrzeżoną. Ale ostrzeżenie to było daremnem; wiedziała dobrze, iż poszepty te tutaj doszły i zaciążyły złowrogo nad głową jej dziecka.

Zrazu choroba Anielki budziła tylko lekki niepokój; po pierwszej gorączkowej nocy, młoda dziewczyna wstała blada tylko i osłabiona; ale po kilku dniach, gorączka się powtórzyła; do niej przyłączył się kaszel suchy, ostry, który już opuścić jej nie chciał, pomimo ciągłych starań.

Cera jej stała się kredowej barwy, a gorący rumieniec rysował się na twarzy, odcięty, wypieczony na kształt krwawej plamy.

Jednocześnie oczy nabierały blasku, niebieskie źrenice płonęły, jak czarne, a usta spieczone, podobne były do ciemnego koralu. Nigdy w życiu Anielka nie była tak piękną; szeptały to wkoło niej niejednokrotnie zachwycone głosy. Ale mówiono jednocześnie, że Anielka ma suchoty, że piękność ta podobną jest do owocu dojrzewającego pozornie i nęcącego najświetniejszemi barwami, w czasie, gdy robak ukrywa się w jego głębi.

Z Januarym stary doktór, który ją leczył, mówił otwarcie i nie robił żadnej nadziei. Odrazu ta

straszna choroba przybrała niezwalczony charakter, jaki ma często w latach pierwszej młodości, zwłaszcza, gdy się sprzymierzy z jakim moralnym czynnikiem. Wszelkie leki, ostrożności, przepisy okazywały się bezskutecznemi.

Helena nie pytała doktora o stan córki, lękała się potwierdzenia najgorszych swoich domysłów; pielęgnowała ją dni i noce, nie spuszczała z oczów, jak gdyby było w jej mocy bronić ją wzrokiem od postępów choroby, jak broniła od wieczornego wiatru, lub południowego słońca.

Anielka była cicha i milcząca. Nie znała swojego stanu, albo też nie pokazywała po sobie, że go zna. Wypełniała przepisy doktora, miała zawsze uśmiech i wdzięczne słowo dla tych, co ją pielęgnowali; tylko czasami wzrok jej wlepiał się w dalekie przestrzenie z takim wyrazem, jakby tam szukała szczęścia, które ją tutaj odbiegło.

Choroba dokonywała dzieła swojego z nieubłaganą szybkością. Podróż do Szczawnicy nie przyniosła żadnej ulgi. Ożywcze powietrze gór okazało się zbyt ostrem. Anielka powróciła w takim stanie, iż niepodobna było myśleć o wywiezieniu jej na zimę do cieplejszych krajów. Zrazu życie jej rachowało się na miesiące, później na tygodnie, aż wreszcie przyszedł czas, że rachowano je na dni.

Jak zwykle w podobnych razach, były chwile pogorszeń i polepszeń, nawet takie, w których ci, co nie byli obeznani z przebiegiem zabójczej choroby, mogli łudzić się jakąś nadzieją. January wiedział, że córka ich była bezpowrotnie skazaną, ale wiedział o tem on jeden. Nie pozwolił, by odebrano nadzieję matce i bratu.

Jednocześnie wkoło domu jego zaczęła się robić próżnia; stosunki, łączące ludzi z jego rodziną, znacznie ochłodły.

Od świata poczęła wiać atmosfera sztywna, urzędowa, lodowata. Przyjaciółki przestały odwiedzać Anielkę. Coraz mniej kolegów zaglądało do Lucyana; jeśli spotkali go na ulicy, witali się krótko, niechętnie, a zdarzało się nawet, że go mijali szybko, jakby go nie widząc.

Zrazu Lucyan zanadto myślał o siostrze, by zwracać na to uwagę. Są przecież fakty wyraźne, które nawet najbardziej zaabsorbowanym rzucają się w oczy.

Na początku września willa Januarego wznosiła się milcząca i posępna, wśród złotych fal jesiennego słońca, które oblewało ją gorącemi jeszcze promieniami.

Anielka w wygodnym amerykańskim fotelu, w

którym zniesiono ją do ogrodu, pomimo ciepłej popołudniowej pory, otulona szalami, kołysała się lekko.

Ogród przepełniony był kwiatami; astry, georginie, malwy, balsaminy i wszystkie bezwonne kwiaty jesieni błyszczały w klombach jaskrawemi barwami. Wśród nich tylko gdzieniegdzie gwoździki lub lewkonie roznosiły wkoło przejmujący zapach.

Anielka była sama z bratem. Uprosiła matki, by poszła odpocząć po nocy bezsennej. Lucyan podparł głowę na ręku i patrzał ponuro na świat otaczający; ogród, w którym tyle chwil wesołych pamiętał, w tej chwili wydał mu się smutnym, jak cmentarz; powietrze jesienne miało dla niego coś grobowego; cisza jego przywodziła mu na myśl ciszę śmierci, a wonie kwiatów nawet przypominały pogrzebowe kadzidła.

— Chodź tu bracie! — szepnęła Anielka, przywołując go do siebie. Głos jej był cichy, jak tchnienie.

Zbliżył się, usiadł prawie przy jej nogach na ławce, na której niegdyś tyle razy siedzieli razem, i rzucił jej na kolana pęk kwiatów, które lubiła.

— Czy mama odeszła?—spytała go znowu, oglądając się wkoło niespokojnie.

Skinął głową, nie był zdolny przemówić, dusiło go wzruszenie.

Milczała czas jakiś i blade swe wychudłe ręce przesuwała pomiędzy puklami jego włosów, jak to czyniła, będąc dzieckiem. Oczy jej były wlepione w przestrzeń, a usta poruszały się słowami bez dźwięku. Lucyan pochylił się, by ukryć łzy, które nieposłuszne woli, płynęły mu z oczu. Ale ona dojrzała lekkie drżenie jego postaci, lub dosłyszała stłumione westchnienie, bo z włosów spuściła dłonie na twarz jego i uczuła, że twarz ta była mokra.

— O! szepnęła, próbując uśmiechnąć się—czy to rosa kwiatów, które zbierałeś dla mnie?

Podniósł głowę, pomieszany cały, pokazując jej spłakane oblicze i usiłując jednocześnie wytłómaczyć swoje wzruszenie.

Ona wstrząsnęła głową.

— Czy ty myślisz bracie—wyrzekła zwolna—że ja nie wiem, dlaczego płaczesz? płaczesz, bo widzisz, że ja umieram. Nie kryj mi łez; to napróżno! A potem, widzisz, to byłoby straszno umrzeć tak młodo, nieopłakaną przez nikogo. Ty będziesz pamiętał o mnie, nieprawdaż?

— Anielko! — zawołał, tłumiąc wzruszenie — czyż nie kochamy cię wszyscy!

Pomimo bladości i wypieków choroby, zapłoniła się jak róża tak, że na chwilę jedną ten rumieniec zatarł na jej twarzy złowrogie piętno i rzucił na nią odblask przeszłości.

— Milcz! milcz! Łucyanie; wiesz dobrze, iż nie jestem niewdzięczną; ale ty wiesz także, o kim ja myślę.

Miala słuszność; świadczyło o tem gniewne ściągnięcie brwi, które dostrzegła.

— Nie tak! nie tak patrz na mnie! — szeptała błagalnie—bo widzisz są rzeczy, o których ja mówić muszę; które mnie dławią, leżą mi, jak kamień, na piersiach; będzie mi lżej, gdy je wypowiem. A ja nie wypowiem ich nigdy, jeśli się będziesz gniewał.

— Wiesz dobrze, iż nie gniewam się na ciebie; któżby mógł na ciebie się gniewać?

— Ty dawniej odgadywałeś myśli moje. Czyś już tego zapomniał?—wyrzekła, spoglądając na niego trwożnemi oczyma.

Była w tych słowach błagalna pieszczota i dawny urok podniesiony do potęgi zbliżeniem się śmierci. Rozumiał ją; chciał zadośćuczynić jej woli; jednak pomimo wszystkiego, nie był zdolny pomyśleć o człowieku, który prawdopodobnie był sprawcą jej śmierci. Daremnie walczył, by pokazać jej pogodne oblicze.

— Nie mogę! nie!—szepnął wreszcie—Anielko! żądaj, czego chcesz!

Niebieskie oczy tkwiły ciągle smutnie wlepione w niego, a głos rozbrzmiewał cichy, drżący, łez pełny.

— Ja chciałabym tylko mówić o nim z tobą, pomówić przyjaźnie.

— Przyjaźnie? a więc mów! kiedy tego żądasz; ja cię słuchać będę.

— Nie tak! nie tak, Lucyanie! och! gdybyś ty tylko nachylił się ku mnie i wyszeptał to imię.

— Władysława?!—zawołał gwałtownie.

Przymknęła oczy, jakby samo brzmienie tego słowa sprawiało jej przyjemność, i tak zdawała się słuchać, aż ostatnie echo dźwięku skonało w powietrzu.

— Ty go nienawidzisz! ja wiem, że ty go nienawidzisz!—szepnęła znowu, patrząc mu w oczy.

Chciał coś mówić, ale ona skinęła ręką, żeby jej nie przerywał.

— Był czas, gdy ja oskarżałam go także; buntowałam się przeciw losowi, chciałam nienawidzieć go także; usiłowałam zapomnieć. Ale widzisz, ja zapomnieć nie mogłam!

Umilkła przez chwilę... Zaglądała w głąb pamięci, czy też nabierała sił do dalszej mowy, którą co chwila kaszel przerywał.

— Potem—szepnęła dalej—stała się we mnie cisza wielka; złe myśli, złe uczucia minęły. I w miarę, jak siły moje były słabsze, stawałam się lepszą, sprawiedliwszą.

Spojrzała mu w oczy.

— Ty nie wierzysz, bo ty było sprawiedliwością mój bracie? Czemu? Widzisz! ja nie mogę zwątpić o nim, bo gdyby tak było, musiałabym zwątpić o wszystkiem, co dobre, co szlachetne! co wielkie! By tak postąpić, on musiał mieć przyczynę jakąś, której my nie znamy.

— Jaką?

— Jaką, bracie? Zadawałam sobie to pytanie przez całe dni burzliwe; przez całe noce bezsenne, pytałam o to samej siebie i otaczającego świata i serca, które biło niespokojnie, szalenie. Może narzekałam, oburzałam się i ja także; aż przyszło mi na myśl, że nie mamy prawa potępiać tego wszystkiego, czego nie rozumiemy. Nieprawdaż?

Dopraszała się odpowiedzi, zgodnej z myślą swoją; doprosić się jej nie mogła.

— A potem — mówiła po chwili, zarumieniona

cała—czyż on wiedział, że zostawił tutaj taką pustkę? ja przecież nie powiedziałam mu tego nigdy, nigdy!

— Powiedz mi, Anielko, że go chcesz zobaczyć, a przywiodę ci go; przysięgam! choćbym miał szukać, nie wiem gdzie.

Jakiś ogień nadziei czy radości, zapalił się w jej oczach, ale zagasnął szybko.

— Nie! nie! on mógłby powrócić tutaj przez litość. A ja nie chcę litości jego za nic. A potem on taki dobry; on by mnie żałował: na co go zasmucać.

— Ty zawsze myślałaś o innych, nigdy o sobie, Anielko.

— Bo widzisz bracie, o mnie niema co myśleć. Czemże ja jestem? Troską i cierpieniem dla was wszystkich. Życie moje przeszło, jak sen, jak tchnienie wieczorne. A jednak, kiedy myślę nad sobą, to zdaje mi się, że ja także mogłam była być na coś przydatną; mogłam być przynajmniej dla jednego ludzkiego serca dźwignią, osłodą, tem, czem matka jest dla ojca. Ale może ja się łudzę bracie, może tak myśli każdy upadający w walce, a może jest to ostatnią pociechą zwyciężonych i smutnych. W takim razie nie odbieraj mi jej. Jestem zbyt biedną, by wysnuć sobie inną. Mnie już nic nie przyjdzie

ze świata, świat ten znika mi z oczu coraz więcej; wszystko oddala się odemnie, jakbym patrzała na przedmioty przez szkła odwrotne; wszystko wydaje mi się takie małe, takie nędzne... wszystko, oprócz niego!

Mówiła, jakby sama do siebie; jakby raz wypowiedzieć chciała to, co przepełniało jej serce; rzucić to w jego pamięć i zostawić chociaż ten ślad swego istnienia, zanim zniknie na wieki.

Słuchał ją z twarzą podpartą na dłoni, posępny jak noc. Łagodne uczucia jej nie znajdowały w nim oddźwięku; przeciwnie, budziły coraz namiętniejszy gniew przeciw sprawcy jej cierpień. Wyczytała to w jego spojrzeniu i zatrzymała się nagle.

— Lucyanie!—zawołała smutno bardzo — ja nie takim widzieć cię chciałam!

Próbował odwrócić głowę, ale poczuł na skroniach jej drobne rozpalone dłonie, które ze słodką przemocą zwróciły ją znów ku niej.

— O! Lucyanie, mam prośbę do ciebie; a ty odmówić mi nie możesz, bo to może będzie ostatnia moja prośba.

— Mów! tylko przez litość, nie żądaj niepodobieństwa.

— Lucyanie! Lucyanie! nie sądź go, abyś nie

był sądzony; — dodała pośpiesznie, składając przed nim ręce, jak do modlitwy.

Te biedne, wychudłe, przezroczyste ręce, miały także swoją wymowę: były dotykalnem świadectwem cierpienia, obrazem zniszczenia dokonanego przez chorobę.

Przypominały mu nietylko fazy choroby, ale i przebieg życia. Wszak były to te same niespokojne, żywe, drapieżne rączki dziecinne, z okrągłemi paluszkami, pełnemi dołeczków i fałdów, które niegdyś bawiły się jego włosami, targając je niemiłosiernie. Później, te same rączki przeistoczyły się w czerwone, niezgrabne ręce podlotka, pełne zawsze blizn, szram i zadrapań; aż niespodzianie stały się ślicznemi panieńskiemi rączkami, z aksamitnem dotknięciem, by znów pokazać mu się zwiędłemi, w szkieletowem wychudnięciu.

Te ręce wyciągnięte ku niemu błagalnie, modlące się nędzą swoją, boleścią, śmiercią przedwczesną, dokonały więcej niż słowa.

Pochwycił je i przycisnął do ust.

— Uczynię wszystko, co zechcesz! co rozkażesz!

Wydała słaby okrzyk, jak dziecko, które otrzymało to, czego pragnęło.

— Ty zawsze byłeś dobry dla mnie! — zawołała —ja wiedziałam, że mnie nie zechcesz zasmucić!

Trzymał w swoich jej ręce, w których szybko, ostro uderzały pulsa, i nie mógł się od nich oderwać. Zdawało mu się, że zdoła zatrzymać uciekające życie, że uśmierzy ich gwałtowne tętna.

A ona, ośmielona, tuliła się do niego i szeptała tak cicho, że odgadywał słowa na jej ustach.

— Ty zobaczysz go kiedyś, wiem o tem; spojrzycie razem w przeszłość i znajdziecie mnie pomiędzy sobą. Jeśli on kiedy zapyta o mnie, ty powiesz mu, że ja nie miałam do niego gniewu, ani żalu; że ja wierzyłam mu zawsze i że kochałam go aż do śmierci. Ty powiesz mu to, jak ja ci mówię w tej chwili.

Nie potrzebowała słów przyzwolenia, czuła, że zwyciężyła jego zawziętość; czytała w jego oczach, że wykona jej prośbę.

Była pomiędzy nimi chwila uroczystej ciszy; jak w dniach dzieciństwa serce ich tuliły się jedno do drugiego, myśli biegły razem.

Przerwał ją szelest zbliżających się kroków. January nadchodził z Heleną.

— Nie mów im nic o tem — wyrzekła szybko, pochylając się ku niemu—dla ciebie jedynie nie chcia-

łam mieć tajemnicy. Ty i ja, zdaje mi się, że to jedno. Po co ich zasmucać; życie i tak jest smutne. Spójrz na matkę; umierający się nie mylą, ona cierpiała, ona cierpi przynajmniej. Ty jesteś zdrowy i silny, ty nie zasmucisz jej tak, jak ja, Lucyanie; nieprawdaż?

I, odrywając od niego spojrzenie, skierowała je do nadchodzących i uśmiechnęła się cierpliwie, łagodnie, jakby prosiła o przebaczenie za boleść, jaką im sprawiała chorobą.

Była to męka nie do opisania patrzeć na to gasnące życie, na tę bujną, kwitnącą młodość, niszczoną zabójczą chorobą. Miałże dalej patrzeć na to bezczynnie? Obiecał siostrze, żę przywiedzie jej Władysława; przywieść go jej musiał.

A przytem miał jakieś niewyraźne przeczucie, że nagły wyjazd jego łączył się z temi niepojętemi zjawiskami obojętności i oddalenia powszechnego, które dotykały tak dziwnie młodzieńczą dumę jego. Przyczyn pojmować nie mógł, ale mimo to cierpiał piekielnie.

W podobnych chwilach powstają niczem niezwalczone gorycze, zatruwające życie całe; rodzą się nieuleczalne moralne choroby, zapanowywa pogarda dla tego świata, pełnego fałszu, niesprawiedliwości i moralnej nędzy, albo też przepala się w ogniu cier-

pienia ludzka natura; rodzą się wielkie bunty, lub wielkie przebaczenia; powstają wrogowie ludzkości, lub jej służebnicy.

Lucyan cały wieczór dnia tego i noc całą układał w myśli gorączkowe zamiary. I nakoniec, ze szczęśliwą wyobraźnią młodości, która o niczem nie wątpi, roił, iż jemu przypadła w udziale rola zbawcy rodziny. Postanowił odszukać Władysława, wydobyć z niego tajemnicę, wyjaśnić nieporozumienie — bo wszakże to mogło być tylko nieporozumienie — i przyprowadzić żałującego do stóp Anielki.

Marzenia jego sięgały dalej jeszcze. Anielka, odzyskawszy spokój, musiała odzyskać zdrowie i wszyscy byli znowu złączeni, spokojni, szczęśliwi jak dawniej.

Tak przedstawiło mu się przynajmniej położenie przy promieniach wschodzącego słońca. Dzień był prześliczny, w przezroczystem powietrzu jego młode oczy dostrzegały na skraju widnokręgu śnieżystą linią szczytów tatrzańskich. Świat był tak piękny, wiatr zachodni tak rzeźwiący, iż w podobny poranek nie mógł wątpić o niczem, a szczególniej o siłach własnych, o powodzeniu swoich śmiałych zamysłów.

Spał zaledwie kilka godzin, zerwał się razem ze słońcem; pilno mu było w czyn je wprowadzić.

Korzystając z samotności i ciszy panującej jeszcze w domu, upakował w małą walizkę, której używał czasem przy wycieczkach zamiejskich, najpotrzebniejsze rzeczy, potem dopiero otworzył szufladkę od biurka i przerachował pieniądze. Kasa jego była dość zaopatrzoną na podróż, którą zamierzał; bo z zamiarem swoim nie chciał się zwierzać nikomu.

Cel jednak podróży nie był dla niego jeszcze określony. Władysław mówił wprawdzie, że jedzie do Warszawy, ale nie wiedział, czy tak uczynił; w istocie była to chwila tak gorączkowa, iż nie był pewny tego, co słyszał, jak Władysław mógł nie być pewnym tego, co mówił.

Skoro tylko godzina pozwoliła na to, poszedł do jego matki. Znał ją dobrze za dawnych czasów, kiedy codziennie prawie miał jakiś interes do kolegi i wstępował do niego.

Stara kobieta zajmowała tęż samą izdebkę, co dawniej. Żyła odludnie, wiecznie zajęta ręczną pracą, która pomagała jej do utrzymania, bo mała emerytura po mężu nie zabezpieczała jej bytu.

Drzwi jej nie były zamknięte; nie lękała się złodzieja i zapewne nie chciała tracić czasu na otwieranie. Skoro więc Lucyan zastukał, zawołała, by wszedł, nie pytając, kto był nawet.

Widząc wchodzącego, przysłoniła oczy rękoma, bo wzrok miała osłabiony, i przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu.

— To ja, pani!—odezwał się Lucyan.

Poznała go i na twarzy zarysował się wyraz składany, jakby widok jego sprawiał jej przykrość i zarazem budził dobre wspomnienie. Widywała go zawsze razem z synem i nawet niegdyś lubiła bardzo; on zwykle przynosił tu wesołość, rozrywał w pracy Władysława, a przytem był synem ludzi, którym ona była winna wdzięczność za naukową pomoc, jakiej doznawał, za zachętę i przyjaźń, jaką zaszczycał go January.

— A! pan Lucyan!—odezwała się nieco drżącym głosem.

Spojrzała na niego, gdy się przybliżył, długo, boleśnie--może ze skrytą wymówką.

— Siadaj pan! chociaż pewno nie zagościsz tu długo. U starej nudno... i co prawda... nie masz tu co robić.

Był w tych słowach cień niechęci, który mu nie uszedł; słuch jego stał się teraz nadzwyczaj czułym na podobne dźwięki, nieznane mu dawniej; chwytał najsubtelniejsze odcienia.

Rumieniec wybił mu na twarz; nie myślał korzystać z zaproszenia.

— Chciałem dowiedzieć się o Władzia—wyrzekł tylko.

— O Władzia? — zapytała podejrzliwie — dla czegóż pan mnie pyta o niego?

Pytanie to było dla niego dziwne i uczynione dziwnym tonem, przecież odparł z prostotą:

— Bo nie pisał do mnie.

— Nie? doprawdy nie? — wyrzekła z zadowoleniem, niepokojem i gniewem zarazem — ha! to trudno!

— Gdzież on jest?

— Alboż pan myślisz, że on pisuje do mnie?

Wzruszyła ramionami i znowu zabrała się do roboty. Ale ręce jej drżały, a druty z metalicznym dźwiękiem uderzały jedno o drugie.

— Nie pisuje? jakto! i do pani nie pisuje wcale? —zawołał Lucyan zdumiony—to być nie może!

W tej chwili widać było na niej gniew wyraźny; wzbierał on chmurą na czole, migotał w źrenicach, pokazywał się na ustach, przyciętych a drgających.

— Dlaczegóżby miał pisać? Cóż go obchodzi matka, która stanęła pomiędzy nim, szaleńcem,

a hańbą. Alboż starzy nie mają swoich pojęć? Alboż te pojęcia pasują do dzisiejszego pokolenia? mów im o uczciwości, o cnocie, obyczaju: dla nich to przesąd tylko.

Mówiąc to, obcierała oczy, nie samym gniewem błyszczące, i spoglądała na Lucyana z wyraźnym wyrzutem.

— Władysław nie potrzebuje, aby mu przypominano podobne rzeczy! — zawołał młody człowiek, zmieszany, nie wiedzieć czemu, wzrokiem starej kobiety.

— Co pan wiesz o tem?

— Znałem go, i gotów byłbym przysiądz za niego.

— To mi rękojmia!—mruknęła przez zęby, przywiedziona do ostateczności.

Stanął jak wryty, oblany purpurowym rumieńcem; ta kobieta, która kochała go niegdyś, rzuciła mu te słowa wprost w oczy. Dawniej byłby zaprotestował z całą namiętnością niepokalanego sumienia.

Teraz nie śmiał tego uczynić; słowa te uderzyły go, jak grom. Spotykał tu wyraźny objaw tej niechęci, tego lekceważenia, które dom ich dotykało.

— Ale powód? Powód?

Były chwile wewnętrznej męki, wśród których radby był sam w sobie wynaleźć grzech jaki, za który spadałyby na niego te gromy.

Daremnie! Sumienie jego było czyste, jak kryształ, i nietylko nie miało na sobie skazy żadnej, lecz nawet nie było zdolnem pojąć skazy. Szlachetna, wysoko wyrobiona natura oburzała się na każdy wątpliwy uczynek.

Tymczasem zapytywał samego siebie: czy nie popełnił bezwiednie zbrodni jakiej? Nieprzyjazna atmosfera, którą czuł się otoczony, tutaj stawała się duszącą.

— Pani!—zawołał tylko z głębokim wyrzutem w głosie—ja nie zasłużyłem...

— A ja czy zasłużyłam na to, by opuścił mnie w ten sposób i nie dał znaku życia, jak umarły... Co mi tam pan mówisz o zasługach! wyście sami wszystkiemu winni.

— My!—zawołał z niepohamowaną gwałtownością, bo zdawało mu się, że chwyta na jej ustach otaczającą go tajemnicę—my!

Rzucił się ku niej, zaklinał wzrokiem i wyrazem twarzy, aby mówiła jaśniej.

Ona przecież opamiętała się szybko i ze zręcznością, na której nie zbywa czasami najbardziej ograni-

czonym kobietom, starała się zmylić jego podejrzenia.

— Panie Lucyanie! — wyrzekła odmiennym tonem — po co pan tu przyszedłeś! Przypomniały mi się dawne czasy, ot, i sama nie wiem, co mówię. Widzisz pan sam, że zostałam osierocona i nieszczęśliwa.

— Dlaczego? powiedz mi pani: dlaczego? — zawołał gorąco.

— Dlaczego?—odparła—mając się na ostrożności przeciw pokusom gniewu i gadatliwości—pytasz pan, jak dzieciak, nieszczęścia, zkąd przyszło i po co?... Niby to ono odpowie... Tak to bywa z początku, z młodu. Potem, jak je spotkasz zawsze i wszędzie na swojej drodze, to się i dziwić przestaniesz.

Spuściła głowę na piersi, a palce machinalnie przebierać zaczęły stalowemi drutami.

Przez chwilę trwało milczenie; oboje daleko odbiegli w tej rozmowie od pierwotnego przedmiotu.

Wreszcie Lucyan odezwał się znowu:

— Powiedz mi pani przynajmniej, dokąd Władzio pojechał?

— I cóż panu z tego przyjdzie? — zapytała, patrząc mu bystro w oczy.

Jakiś instynkt ostrzegł Lucyana, że nie powinien wyjawiać prawdziwego powodu swego pytania.

— Jeden z kolegów naszych—wyrzekł—wybiera się do Warszawy i prosił mię o adres.

Nie było to zupełnem kłamstwem; przecież, wymawiając je, mimowolnie spuścił oczy.

— A kto go tam wie, czy jest jeszcze w Warszawie, czy go licho nie poniosło dalej; — westchnęła—żeby mi choć to doniósł, żeby choć to jedno. Ale nic, i nic; ha! taki zacięty był od maleńkiego i takim pozostał.

Widocznie nie wiedziała nic więcej; widocznie pomiędzy matką a synem zerwały się stosunki serdeczne, jakie istniały dawniej. Przeszła tu jakaś burza rodzinna. Zrozumiał też i to także, że nie miał tu co robić dłużej.

Druty poruszały się gwałtownie, wargi zdawały się przycięte postanowieniem milczenia, a wzrok obejmował go niechętnem spojrzeniem.

Pożegnał się i wyszedł szybko, odebrawszy zaledwie wzajem skinienie głowy, w którem upatrywał słusznie, czy niesłusznie, lekceważący wyraz.

Powrócił do domu, utwierdzony w swoim zamiarze. Najtrudniej mu jednak było zmyślić jakiś powód, kilkodniowego choćby, wyjazdu.

W okolicznościach, w jakich się znajdował wobec choroby siostry, rozpaczy rodziców, o powód było trudno bardzo. Dawniej nieraz robił wycieczki do kolegów, odwiedzając ich wiejskie siedziby; a teraz...

To też kiedy oświadczył, że zamierza na dni kilka wyjechać, wymieniając pierwszą lepszą miejscowość, jaka mu na myśl przyszła, przejęło to bolesnem zdziwieniem Helenę, a January spojrzał na niego chłodno i poważnie, jak to czynił, ile razy mu się coś nie podobało. Powtórzył jednak swoje postanowienie. Nikt mu się nie oparł wyraźnie, tylko Anielka podniosła główkę z ożywieniem niezwykłem, w oczach jej zadrżały niewyznane nadzieje. Ścisnęła mu rękę gorączkowo.

— Jedź! jedź!—wyrzekła cicho—i wracaj prędko, bo widzisz bracie, ja nie mam czasu czekać.

XIX.

Nazajutrz Lucyan był w Warszawie. Pierwszy raz znajdował się w tem mieście, a jakkolwiek miał w niem kilku znajomych, do nikogo się nie zgłosił i zajął mieszkanie w pierwszym lepszym hotelu; potrzeba mu było pewnej niepodległości, a przytem nieszczęście, które czuł nad sobą, i w sobie samym, odbierało mu pewność i śmiałość wobec ludzi.

Posłuchał pierwszego popędu i rzucił się do wykonania myśli, jaka mu się nasunęła nieprzeparcie; teraz dopiero, w samotności hotelowego pokoju, przychodziły mu na myśl wszystkie trudności nieokreślonego przedsięwzięcia. Przedewszystkiem: czego chciał tutaj właściwie? — Odszukać Władysława, zapytać

go... a potem co? Zimny pot występował mu na czoło, na myśl o tem, co mógł usłyszeć.

W obec tej nieustannej, nieokreślonej grozy, wiszącej nad nim, coraz trudniej było mu istnieć. Odszukanie jednak kolegi, jeśli ten rzeczywiście znajdował się w Warszawie, nie było rzeczą łatwą; szczególniej dla obcego, nie obznajmionego z miejscowością. Nie mógł myśleć o szukaniu pomocy u znajomych, nawet u Ignasia, którego znał najlepiej; bo w takim wypadku musiałby zwierzyć się z powodami swojej podróży, swoich poszukiwań, i narazić się na to w dodatku, by uwiadomiono Januarego o jego bytności, o krokach, jakie czynił.

To było niepodobieństwem. Nie; sam zaczął działać na własną rękę, i sam sobie musiał dać radę we wszystkiem.

Samotność, z niczem nieporównana samotność jednostki wśród ludnego miasta, gdzie ginie tak zupełnie, otaczała go i przejmowała uczuciem sieroctwa, niedoznanem dotąd, chyba w dalekich, ciemnych dniach dzieciństwa. Samotność ta prześladowała go w hotelowym pokoju, który zajął, i na ulicy, gdy, uciekłszy z niego co prędzej, wyszedł na miasto, i dowiedziawszy się, gdzie jest biuro adresowe, zapytał tam o Władysława. Adres dostał wprawdzie, ale gdy po długiem i mozolnem szukaniu, dotarł do

wskazanego miejsca, przekonał się, że tam nikt nigdy o Władysławie nie słyszał.

Było to pierwsze i ważne niepowodzenie; nie mógł jednak na tym chybionym kroku poprzestać i powrócić do Krakowa bez wieści żadnej. Czuł, że nie zniósłby smutnego wzroku Anielki, ani sam wyżyćby zdołał w położeniu, w jakiem się znajdował.

Poczynił stosowne ogłoszenia w Kuryerach, prosząc Władysława, by zgłosił się pod numer wskazany hotelu X, nie zapominając dodać, że tu chodzi o własny jego interes.

Uczyniwszy to, czekał z bijącem sercem za każdym krokiem na korytarzu, za każem poruszemiem klamki.

Ale dni upływały, nie przynosząc mu nic wcale. Życie jego było nieznośnie monotonne, tembardziej, że w stanie umysłowym, w jakim się znajdował, czuł się niezdolnym do jakiejbądź pracy. Książka każda zajmowała jedynie oczy jego, nie dosięgając inteligencyi. Rozumiał z niej słowa tylko, myśl wymykała mu się z pod panowania woli i biegła napowrót do Krakowa, przenosiła go do Anielki, do matki, do Januarego, do tego rodzinnego ogniska, wśród którego spędził dotąd wiek swój cały szczęśliwie.

Około trzeciej godziny wychodził zwykle na obiad do pierwszej lepszej restauracyi, unikając sta-

ranie miejsc i ulic, o których słyszał kiedykolwiek; siadał w milczeniu przy stoliku, brał w rękę pismo jakie; najczęściej jednak, zamiast czytać, słuchał rozmów, prowadzonych wkoło. Dźwięk głosu łatwiej zwracał jego uwagę, niż pismo; słowa ludzkie wnikały przez słuch do inteligencyi, rozrywały go wśród samotności, na jaką był skazany.

Czasem rozmowy toczyły się o rzeczach i ludziach mu nieznanych zupełnie, czasem znów uderzyło go zazwisko znane, lub jaka kwestya ogólnego interesu.

Powoli godzina obiadowa stała mu się najmniej przykrą w dniu całym; przywykły zawsze do towarzystwa, potrzebował go nawet koniecznie. Obznajomił się też szybko z dzielnicami miasta, z obyczajami otaczającemi i zaczął wybierać te miejsca, gdzie zbierali się inteligentniejsi ludzie.

Raz nagle przy bocznym stoliku, wśród ożywionej rozmowy, usłyszał znienacka imię Januarego.

Fakt nie był dziwnym wcale; imię to miało dość rozgłosu, by je spotkać na każdem polu umysłowem.

Lucyan, nie odwracając oczu od dziennika, w którym czytał własne swoje ogłoszenie, słuchał z natężeniem.

— Co tam mówić dzisiaj o waszych sporach,

o waszych artykułach—wołał niemłody już człowiek, ze szpakowatym zarostem — co innego, gdy January stał na czele takiego dziennika, jak „Gazeta Poranna“, wówczas był ruch i życie.

Lucyan z pod oka spojrzał na mówiącego; było w nim znać rozwiniętą inteligencyę, odzywał się w ten sposób do grona młodych, wpośród których zajmował widać stanowisko Nestora.

— O! January! zawsze January! — odezwał się ktoś drugi, zaledwie kilka lat młodszy, z delikatną czarną bródką, którą gładził starannie,—słysząc cię, Konradzie, możnaby pomyśleć, że on jeden ma talent na świecie.

— Z pewnością, że nam się z nim nie równać— mówił z przekonaniem zagadniony.—A co to za śmiałość! jaki polot myśli!

— Ręczę, że January, gdyby był pozostał pomiędzy nami, — wtrącił ktoś z boku — byłby także zmienił swój kierunek; kto wie, możeby kapitulował.

— On! January! nigdy!

— Co tu próżno mówić o tem, coby było?—zabrał znowu głos człowiek o czarnej bródce — gdyby był został tutaj, wytrwał na swojem stanowisku zagrożonem, to wówczas dopiero zmierzylibyśmy jego siłę.

Ale cóż jego sławna redakcya? trwała parę tygodni, czy miesiąc zaledwie.

— Przecież pisywał i w twojem „Haśle.“

— No, tak! ale rozstaliśmy się z powodu zasad. Jego były niemożliwe!

Mówił to chłodnym, niemal zawistnym tonem, który przykro uderzył Lucyana i podrażnił mu nerwy w dziwny sposób.

— Okoliczności wyrwały go ztąd, w chwili najważniejszej—wyrzekł Konrad — wiesz o tem dobrze, Karolu!

Zainterpelowany w ten sposób Karol pogładził znowu brodę pieszczoną ręką.

— Nie uznaję—odparł szyderczo — bohaterów, którym okoliczności stają nawspak i wyrywają zwycięztwo w najważniejszej chwli; kto ustępuje z placu boju, uznaje się pokonanym, i jest nim *de facto.*

— Myśl sobie, co chcesz, o Januarym — odparł gniewnie Konrad — to nie zmieni przekonania nas wszystkich.

— Jakież to okoliczności wpłynęły na to jego nagłe opuszczenie Warszawy? — zapytał ktoś z towarzystwa— mówiono mi to i owo, nigdy jednak nic pewnego.

Słysząc to, Lucyan wstrzymał oddech w piersiach. Ale z razu zapanowało głuche milczenie. Kon-

rad, najlepiej zapewne świadomy dziejów Januarego, nie miał widać ochoty ich rozpowiadać.

Po chwili odezwał się znowu głos Karola:

— Dziwić się nie można, iż Konrad niechętnie powraca do ówczesnej historyi swego ulubionego bohatera; historya ta nie przynosi mu zaszczytu.

— Nie przynosi i ujmy także! — zawołał Konrad, zniecierpliwiony tonem swego przeciwnika.

— O! jak w czyich oczach; to już zależy od wyobrażeń—odparł Karol.

Lucyan był jak na rozpalonych węglach. Czyż los ulitował się nad nim i dawał mu w rękę rozwiązanie palącej zagadki, która go dręczyła.

— Mówcież raz wyraźniej! — odezwał się nalegająco jeden z młodszych.

Lucyanowi zdawało się, że to on sam przemawia przez te ciekawe usta.

Wówczas Karol, korzystając z ciszy, jaka zaległa w zgromadzeniu, zabrał głos z wyraźnem zadowoleniem:

— Ach! mój Boże! jest to doprawdy tajemnica z komedyi, a w swoim czasie była bardzo znaną. January nietylko pismem głosił burzliwe teorye; wprowadzał je w życie, a przytem posiadał on nietylko ogniste pióro, ale i ogniste serce; więc, jak nowy Parys, porwał mężowi jakąś nowożytną Helenę, których, jak wiecie, nie brak nigdy.

Lucyan czuł, że mu krew schodziła z twarzy z wargą przyciętą do krwi, z zaciśniętemi rękoma niby pochylony nad dziennikiem, którego kolumy wirowały mu w oczach wpośród mgły krwawej, słuchał, słuchał ciągle, chociaż każde słowo wbijało mu w piersi ogniste pociski.

Czyż on dobrze usłyszał? Czyż to mogło być prawdą? Czyż w ten sposób mówiono o jego matce, o jego świętej matce?

Śmiano się. Bo i dla czego się nie śmiać? fakt, chociaż stary, przecież był zabawny.

Konrad zmarszczył brwi, gniewać się nie mógł; ale nie lubił, by w ten sposób mówiono o Januarym.

Ciekawy interlokutor nie poprzestał na tem.

— I cóż dalej? Cóż dalej?—pytał.

— Dalej! prawdziwie, dalej nic! historya na tem się kończy—mówił drwiąco Karol.—Możesz być spokojny; nie było o to żadnej walki, godnej pióra, choćby takiego jakiego feljetonowego Homera. Bah! nie było nawet pojedynku, ani pojedynkowego śniadania pomiędzy rycerzami tej łatwej piękności. Mąż, może kontent w duszy, że się pozbył kłopotu, zemścił się w sposób dobrze obmyślany: nowożytnemu Parysowi do żony dodał dzieci, a podobno na końcu zbankrutował i rozpił się. Prawdziwie mieszczańska historya. Czegóż chcesz więcej?

Konrad, który przez czas tej tyrady, wypowie-

dzianej pogardliwym tonem, niecierpliwie targał wąsy, odezwał się z kolei:

— Zapominasz, Karolu, o najważniejszej rzeczy... epilogu.

— Przepraszam; nie wiedziałem, że jest jaki epilog.

— Epilog zwyczajny. January ożenił się z kobietą, którą rozwiódł, i stał się prawdziwym ojcem dla jej dzieci.

W tej chwili Lucyan uczuł, że rzuciłby się z rozkoszą w objęcia tego nieznanego człowieka i ściskał go, jak zbawcę.

Tymczasem lekceważący głos Karola odezwał się znowu:

— Szkoda, że ten budujący epilog nie może być poparty faktem.

— Wszyscy znamy pożycie Januarego.

— Oh! ja o tem nie mówię, może być wzorowe; szkoda tylko, iż braknie mu małej, prawdziwie nader maleńkiej rzeczy, religijnej i legalnej sankcyi. Trzymano się daleko prostszych form, form pierwotnych, które odpowiadały moralno religijnym pojęciom Januarego. Piękna jego Helena nigdy nie była rozwiedzioną, a zatem i zaślubioną być nie mogła.

— Jako? Jakto? Zkąd wiesz?—pytano ze wszystkich stron.

— O! ja zawsze wiem, co mnie interesuje— zaczął znowu Karol.

Ale nie mógł dokończyć frazesu, bo wśród ogólnego śmiechu i wrzawy, odezwał się jakiś głos nowy.

Od przyległego stolika zerwał się młodzieniec, który dotąd zdawał się pogrążony w czytaniu gazety, i, zgniótłszy ją konwulsyjnie, rzucił w samę twarz Karolowi, a z ust jego wypadły te jedne słowa syczące i ostre, jak pocisk:

— To kłamstwo!

Wszyscy naraz z miejsc powstali; zrobił się hałas i zamęt; młodzieńca nikt nie znał.

Karol zerwał się szybciej od innych; gazeta zmięta w kulę, trafiła go w twarz, która pod tem lekkiem dotknięciem, równającem się obeldze policzka, nabiegła krwią. Rzucił się na swego przeciwnika, wściekły, zapamiętały, z podniesioną ręką, gotów oddać wet za wet.

Przeciwnik stał w miejscu; pierś podnosiła mu się i opadała gwałtowie; oparł się oburącz na poręczy krzesła, gotów zasłonić się niem przeciw każdemu i wszystkim stawić czoło.

Obecnie rzucili się pomiędzy zapaśników.

— Kto to jest?

— Co to za jeden?

— Co to znaczy?

Słowa te krzyżowały się wkoło.

Wśród fali krwi, która szumiała mu w uszach, Lucyan je usłyszał. Wydobył bilet wizytowy i rzucił go na stół.

— Ja nie cofam słów swoich!—zawołał głosem, w którym drżały wyraźnie echa burz, jakie nim miotały. - Nie wiem, kto pan jesteś, ale powtarzam i powtarzać nie przestanę, że kłamiesz, spotwatrzając kobietę, której nie znasz. Musisz mi pan zdać rachunek ze słów, i pan, i każdy, ktoby je śmiał powtórzyć; oto moje nazwisko, oto mój adres.

Pochwycono bilet. Konrad pierwszy rzucił nań okiem.

— Jej syn!—zawołał.

— Jej syn!—powtarzano ciszej.

Ten młody, którego przed chwilę miano za szaleńca, nagle zaczął budzić sympatyę. Śmiałe wystąpienie, młodość, szlachetna duma, a nadewszystko straszny dramat, rozgrywający się w jego życiu, jednały mu ogólne współczucie.

Karol przez ten czas zdołał zapanować nad sobą. Co się z nim działo, tego nikt odgadnąć nie mógł. Był bardzo blady, a ręka machinalnie gładziła ciemną brodę.

Z kolei dał swój bilet Lucyanowi.

— Przyślę panu moich przyjaciół! — wyrzekł urzędownie.

I skinąwszy na kilku obecnych, wyszedł mierzonym krokiem z restauracyi.

Lucyanowi równie pilno było ztąd uciec; paliły go zarzewiem ściany, które były świadkami tej całej sceny; paliły go oczy ludzkie, zwrócone na niego paliły nadewszystko myśli własne.

Lękał się każego słowa, by w niem nie usłyszeć śmiertelnej obelgi, — każdego spojrzenia, by w niem nie dostrzedz urągania.

Miotała nim wściekłość jakaś, drżał na całem ciele, pod działaniem moralnej męczarni, jakby pod wpływem fizycznego bólu. Byłby dał życie w tej chwili, aby módz upaść na pierś matczyną i zapłakać bez tej myśli, która odtąd miała towarzyszyć mu zawsze we śnie i na jawie, zawsze i wszędzie. Ale oczy jego były suche.

Kierował się machinalnie ku hotelowi swemu. Nie był jeszcze zdolny zastanowić się, obrachować, myśleć; wszystko w nim było uczuciem i bólem; zdawało mu się, że istność jego rozprzęgła się na tysiące fibrów, a każdy fibr drgał i cierpiał osobno.

Twarze ludzkie migały mu przed oczyma, jak widma snów gorączkowych. Szelesty i głosy krzyżowały się wkoło niego, nie budząc żadnego echa; od-

cięty był od zewnętrznego świata nieprzebitą ścianą nieszczęścia.

Nie zważał, że od restauracyi ktoś szedł za nim krok w krok i parę razy próbował przemówić, aż wreszcie, kiedy zatrzymał się przed drzwiami swego mieszkania, ujrzał przed sobą wpółcieniu korytarza postać Konrada. Człowiek ten występował przeciw Karolowi, ale był także świadkiem obelgi; to też widok jego sprawił Lucyanowi takie wrażenie, jak niespodziane dotknięcie świeżej rany. I, jakby zbierając siły wobec natężenia bólu, spojrzał na niego z tą dumą, co jest ostatnim puklerzem nieszczęścia, i czekał.

— Byłem niegdyś w dobrych stosunkach z Januarym— wyrzekł Konrad — jeśli pan jesteś sam tutaj, to w obecnej chwili potrzebujesz przyjaznej ręki; przyszedłem ofiarować ci moją. Nazwisko moje nie będzie ci obcem.

Wymienił je.

Lucyan chciał przemówić; w piersiach jego brakło mu głosu, tylko uścisnął rękę wyciągniętą ku sobie.

Weszli obadwaj do hotelowego pokoju.

— Czy pan znasz tu kogo? — zapytał Konrad, przystępując wręcz do przedmiotu, który go zajmował.

Słowo to wyrwało Lucyana z bolesnego osłupienia, przywołując do poczucia rzeczywistości.

— Potrzeba mi dwóch sekundantów — wyrzekł gorączkowo, bo w tej chwili, ponad wszystkiemi uczuciami, które nim miotały, zagórowało namiętne pragnienie krwi człowieka, który śmiał poniewierać to, co on posiadał najświętszego na ziemi, zamknięcia na zawsze tych ust, które miotały takie potwarze.

— Byłem świadkiem obrazy, gotów jestem być jednym z nich. Czy znasz kogo więcej? Czy też mam się postarać o drugiego?

W chwilach gwałtownych wstrząśnień moralnych, każdy określony rzeczywisty przedmiot stanowi błogosławioną dywersyą. Myśl młodego człowieka skierowała się do pojedynku i odzyskała swoją działalność. Naturalnie, teraz zamierzył zwrócić się do Ignasia. Pojedynek nie mógł zostać tajemnicą dla niego, choćby nawet Lucyan nie szukał jego pomocy. Zresztą musiał uszanować jego przyczynę, musiał zrozumieć, że syn Heleny, wychowaniec Januarego, nie mógł inaczej postąpić.

W wypadku tym była przecież zawsze strona ciemna i nieokreślona dla Konrada. Jakim spooobem Lucyan znalazł się sam jeden w Warszawie, i w tej nieszczęsnej restauracyi, gdzie go nie znał nikt z dawnych towarzyszów pióra Januarego, coby mógł zapobiedz drażliwej rozmowie? Dla czego nie zgłosił

się zaraz do przyjaciół ojczyma? Konrad jednak wstrzymać się musiał od niedyskretnych pytań, które nie należały do rzeczy.

Rozmowa jego z Lucyanem była krótka, ucięta, jak gdyby między nimi leżało ostrze stali.

Spór był tego rodzaju, iż wszelkie porozumienia zdawały się z góry niemożliwe, jednak zależało wiele na umiarkowaniu warunków, skoro do walki przyjść musiało; a to już leżało na sumieniu i roztropności sekundantów. Z tego powodu, Konrad pragnął jak najprędszego współdziałania Ignasia.

Lucyan udał się do niego natychmiast, zostawiając Konrada w swojem mieszkaniu w oczekiwaniu sekundantów Karola.

Ignaś przeraził się, widząc Lucyana, przeraził więcej jeszcze, gdy dowiedział się o pojedynku. Próbował czynić mu przedstawienia jakieś. Lucyan zamknął mu usta jednem słowem:

— Ja biję się za moją matkę!

Słowa te, jak talizman, podziałały na Ignasia.

— Za swoją matkę? — powtórzył zwolna — za swoją matkę?

Była chwila takiej ciszy, że można było dosłyszeć uderzenia serca w piersi Lucyana. Patrzał na Ignasia, jak w tęczę, jakby chciał wyczytać myśli, snujące mu się po czole. Ale na teraz czoło to było niezbadane.

— Ja nie mogłem przecież pozwolić!... — wybuchnął wreszcie chłopiec.

Więcej nie mógł wymówić, słowa konały mu na ustach, powtórzyć ich nie był w stanie. O więcej też Ignaś nie pytał. Patrzał na Lucyana sztywnym wzrokiem.

— Fatalność! Fatalność!—szepnął tylko.

— I z kimże ty się bijesz? — spytał po długiej chwili, wracając z krainy wspomnień, marzeń, czy abstrakcyi, do rzeczywistego życia.

Lucyan zrobił ruch obojętny. Nazwisko przeciwnika nie znaczyło dla niego nic.

— A czy umiesz się bić przynajmniej? — pytał dalej Ignaś.

Wzruszył ramionami z najżywszą obojętnością, jakby w tym pojedynku nie miał rzucać życia na hazardy losu.

— Alboż ja wiem!—odparł niecierpliwie—uczyłem się fechtować i strzelać tak, jak inni, dla zabawki.

— Dla zabawki?—powtórzył Ignaś z trwogą — dla zabawki tylko?

— Zginę lub nie, mniejsza o to;—mówił gorączkowo Lucyan — alboż pan sądzisz, że mi chodzi o życie?

W słowach tych znać było oddźwięk rozpaczy;

problemat własnego losu niknął w jego umyśle, wobec stokroć bardziej palącego problematu, który targał mu piersi i torturował umysł.

Oddźwięk ten uderzył Ignacego i dał mu przeczuć wiele bardzo. Przez chwilę wahał się, którą strunę potrącić w tym rozstrojonym duchu, by obudzić łagodniejsze uczucia.

— A matka twoja!—zawołał wreszcie—czyż jej nie kochasz?... czy nie powinieneś żyć dla niej? Czy sądzisz, że mało cierpiała?

— Moja matka!—okrzyk ten wydobył się z piersi Lucyana, pełen bólu, pełen trwogi, pełen miłości.— Moja matka... Pan musisz wiedzieć...

Zatrzymał się, jakby nie miał odwagi dokończyć, tylko pytające spojrzenie, stokroć wymowniejsze niż słowa, wlepił w Ignasia. Spojrzeniem tem on błagał, by mu odpowiedział, by zrozumiał niezadane pytanie.

— Wiedzieć co? — wyrzekł zwolna zagadniony.

Lucyan spuścił głowę na piersi i ognisty rumieniec wystąpił mu aż na czoło.

Ale Ignaś go nie pojmował, czy też pojąć nie chciał.

Po długiej chwili, zaczął znowu wypytywać go o szczegóły zajścia, o okoliczności, które je wywołały.

A gdy Lucyan opowiedział mu wszystko, był pognębiony.

— I pocóż ty tu przyjechałeś? Czemuż przynajmniej nie zgłosiłeś się do mnie?

Lucyan milczał przez chwilę; w głowie jego był chaos.

— Ha! — szepnął — przyjechałem po swój los szukać kuli, która mnie zgładzi; myśli, która mnie zabije. Poco pytać o więcej!

— To nie jest odpowiedź, Lucyanie!

Młody chłopiec spojrzał na niego ponuro.

— Tak jest! — wyrzekł — nieszczęście nie jest odpowiedzią. A więc powiem wszystko: siostra moja umiera, a ja przysiągłem, że zobaczy jeszcze człowieka, którego kocha. Ja musiałem wykraść się z domu, aby to uczynić. A teraz pan rozumiesz, że ta cała sprawa powinna zostać tajemnicą. Jeśli nie przyszedłem tu dotąd, to dlatego, że lękałem się pańskiej przyjaźni. Ja proszę o tajemnicę.

— Matka twoja... tak... rozumiem... ale January! January!

— On?...—zawołał Lucyan z ponurą energią — nigdy! Czy sądzisz pan—dodał po chwili — że ktokolwiek w świecie, nawet on, mógłby mi przeszkodzić? że usłuchałbym kogobądź na świecie? Ja odrzuciłbym radę każdą, któraby szła wbrew moich

chęci; przełamałbym rozkaz, wydobył się z pod rygłów i krat, któreby mnie zatrzymać chciały.

— Ha!—szepnął Ignaś, patrząc na niego z rodzajem trwogi i dumy zarazem—poznaję w tobie wychowańca Januarego.

— Pan widzisz sam, że inaczej być nie może! Ja nie potrafiłbym żyć dłużej tak, jak jest. Zabiłbym się, gdyby kto stanął między mną, a człowiekiem, który mnie obraził. Ja ufam, iż przeniosłeś na mnie cząstkę tej przyjaźni, jaką masz dla... dla moich rodziców.

Zawahał się, zanim wymówił ten wyraz, który z przyzwyczajenia przychodził mu na usta. Chciał zakląć Ignasia na Januarego, ale uczuł nagle nieprzełamany wstręt do wypowiedzenia tego imienia. Zrodziła się w nim nieufność i ostrożność—dwie rzeczy, nieznane mu dotąd—dwie rzeczy, wstrętne jego bujnej naturze, i przez to samo przyprowadzające go do ostateczności.

Ignaś, w którego piersi biło zawsze poczciwe serce dawnego Ignasia, miał łzy w oczach.

— Uczynię, co chcesz!—zawołał—wiesz dobrze z góry, że tak będzie. Tylko, widzisz, to być nie przestaje fatalnem szaleństwem.

Fatalnem szaleństwem! któż ma czas zastanowić się nad tem, kiedy zmuszony jest je popełnić,

kiedy przynaglają go do tego wszystkie nieubłagane życiowe czynniki, namiętności własne i obyczaj przyjęty. Abstrakcyjnie czuł to Ignacy, czuł zapewne i Lucyan nawet; przecież drugi był zdecydowany je popełnić jakimbądź kosztem, pierwszy przykładał do niego ręki.

Nie spierali się próżno o słowa. Ignaś wraz z Lucyanem udał się do jego mieszkania. Milczeli obadwa, powiedzieli sobie wszystko, co powiedzieć mogli; teraz miały przemawiać fakta.

Nie szło tutaj o czczą demonstracyę, o próżne zamienienie strzałów, o których wszyscy wiedzą z góry, że szkodliwemi nie będą. Lucyan czuł się obrażonym krwawo, śmiertelnie, i z niedbałością nienawiści rzucał swe życie na szalę, byle mieć na celu przeciwnika i mierzyć mu prosto w piersi.

Ignacy i Konrad zrozumieli to obadwaj, a wola młodego chłopca była tak stanowczą, powód walki takiej natury, że nie mogli mu się opierać. Karol nie miał wprawdzie tych samych przyczyn, co jego przeciwnik, by stawić ostre warunki; jednak obraza, wyrządzona mu, nie pozwalała na żadne ustępstwo. Być może, iż nie miał ochoty kłaść życia za dawne spory z Januarym, lub opłacać takim kosztem wątpliwy dowcip, okazany w opowiedzeniu jego miłosnej przygody. Ale w podobnych razach miał on takty-

kę, bardzo często udającą się w świecie: groźną postawą chciał pokryć istotnę słabość charakteru, i zastraszyć nią przeciwnika, z którego miary nie umiał sobie zdać sprawy.

W takich okolicznościach, wszelkie łagodniejsze warunki okazały się niemożliwemi; sekundanci Lucyana zrozumieli to szybko. Obadwaj przeciwnicy czuli się zarówno obrażonymi i okazywali jednakie chęci. Położenie rysowało się więc groźniej, niżeli nawet przyjaciele Januarego sądzić mogli w pierwszej chwili. Było ono tem groźniejszem dla Lucyana, że Karol był doskonałym szermierzem we władaniu rozmaitego rodzaju bronią. Rozbrajał najzawołańszych fechtmistrzów, z pistoletu zabijał jaskółki w locie.

Była to okoliczność fatalna. Do Lucyana należał wybór broni, ale cóż on znaczył wobec zręczności przeciwnika?

W podobnych razach wybiera się zwykle pistolety; pozornie traf więcej tutaj znaczy, bo przysłowie nawet twierdzi, że traf kule nosi, a na poparcie go cytuje się zwykle pełno wypadków, gdzie przeciwnik wybornie strzelający, padł, ugodzony śmiertelnie przez niewprawną rękę.

Zaszła jednak lekka trudność co do oznaczenia miejsca pojedynku. Prawdopodobnie rezultat jego

mógł być zabójczy. Pan Karol, nie chcąc ściągać na siebie odpowiedzialności prawnej, pragnął odbyć go za granicą. Miał już raz podobne spotkanie, załatwił je w jakiejś miejscowości pod Krakowem, i teraz więc zaproponował ją Lucyanowi.

Ignaś zgodził się na to skwapliwie. W każdym razie byliby bliżej rodziny Lucyana.

Lucyan przyjął ten układ niechętnie; ze wszystkich miejsc na świecie Kraków zdawał mu się najgorzej wybranym dla niego do podobnego spotkania; lękał się, by wiadomość o tem nie doszła przedwcześnie do tych, przed którymi ukryć ją pragnął. W końcu jednak poddać się musiał praktycznym powodom, jakie mu przedstawiono. Ani Karol, ani Ignacy i Konrad, nie mieli czasu do stracenia; dalsza wycieczka była kosztowną i trudną; ludzie ci obwarunkowani byli materyalnem położeniem swojem.

Lucyan musiał to zrozumieć; wymagał jedynie słowa sekundantów swoich, że przez Kraków przejadą tylko, nie zatrzymując się w nim, i że żaden z nich nie zdradzi jego tajemnicy.

Reszta obchodziła go bardzo mało. Przyszło na niego wyczerpanie, następujące zwykle po wielkich wstrząśnieniach moralnych, tak, iż czuł rodzaj ulgi, złożywszy los swój w obce ręce. A przytem, jak zwykle w natężonych położeniach, pierwszy krok, postawiony na drodze jakiegobądź czynu, przynosi

względny spokój. Było to niejako odroczenie wszelkich zabójczych problematów, aż do chwili ustania rozpoczętej akcyi. Wszak teraz nie należał już do siebie; był rzeczą, rzuconą na los wypadku, który mógł z nią uczynić, co mu się podoba.

Z powodu trudności pasportowych, wyjazd nie mógł zaraz nastąpić; musiano się wstrzymać dzień jeden. Lucyan miał przed sobą czas długi, niezapełniony niczem. Uciekł czemprędzej z gościnnego domu Ignasia, powrócił do siebie i pierwszy raz dnia tego, od chwili przyjazdu do Warszawy, usnął kamiennym snem młodości i wyczerpania.

Na drugi dzień było już blisko południa, kiedy obudziło go kilkakrotne stukanie do drzwi. Zrazu stukanie to było cicho, dyskretne; ponowiło się coraz mocniejsze, połączone z pewnym niepokojem.

Lucyan, przebudzony gwałtownie, przetarł oczy, przecież upłynęła długa chwila, zanim zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Zrazu te hotelowe ściany nic nie mówiły do niego; zapytywał sam siebie, co robi w tem obcem miejscu. Potem naraz powróciła mu pamięć i wszystkie bóle odezwały się tak gwałtownie, jakby mściły się za te godziny spoczynku.

Stukano do drzwi ciągle. Przyszło mu na myśl, że zaszła jakaś niespodziewana okoliczność, że Ignacy lub Konrad przychodzili z wieścią jaką. Narzucił na siebie ubranie i pobiegł otworzyć.

Był to hotelowy służący.

— Czy to pan—zapytał—robił ogłoszenia w gazetach?

— Ja! i cóż? i cóż?—pytał niecierpliwie.

Służący podał mu bilet wizytowy; na nim było imię i nazwisko Władysława.

— I gdzież on jest?—zawołał.

— Powiedział, że przyjdzie za godzinę.

Godzinę tę Lucyan przebył w najwyższym niepokoju; przychodziło mu na myśl, że Władysław mógł unikać go i wcale się nie chcieć z nim widzieć. Nieszczęście nauczyło go takiej podejrzliwości, że z tego powodu nie dozwolił położyć swego nazwiska na liście podróżnych.

— Czy pytał się, kto tu mieszka?—zapytał niespokojnie.

— Pytał, ale ja nie mogłem mu odpowiedzieć.

— To dobrze! jak przyjdzie, powiedz, że jestem, że czekam, i przyprowadź go tu.

Od wczoraj Lucyan myślał nierównie mniej o Władysławie; wypadki doraźniejszej wagi zatarły pierwotny powód jego podróży; przecież godzina oczekiwania wydała mu się długą. A kiedy usłyszał kroki, zatrzymujące się na korytarzu hotelowym przy drzwiach swoich, serce jego biło gwałtownie.

Wreszcie drzwi się otworzyły i znalazł się oko w oko z Władysławem.

Nowo przybyły wchodził z widoczną ciekawością, nie przypuszczając nawet, kogo spotka; ale na widok Lucyana, stanął jak wryty, a twarz jego, zmęczona i blada, stała się naraz bledszą jeszcze; oparł się o ścianę, i tak stał przez chwilę, szukając daremnie słów, któremiby go mógł powitać.

— Ty! ty! tutaj?—szepnął tylko.

Oczy Władysława mówiły wyraźnie, iż był mu drogim, jak dawniej. Ale Lucyan widział w nim tylko człowieka, który był powodem śmierci jego siostry. Zapomniał teraz, że była chwila, w której kochał go, jak brata; a gdyby nawet pamiętał, to nie dałby mu tego poznać: nieszczęście nietylko nauczyło go ostrożności—dało mu nieufność do ludzi, do własnego serca i dumę, właściwą nieszczęściu. Szanował je sam w sobie i nie chciał poniewierać. Uzbroił się w lodowatą obojętność. Nawet błagalne zaklęcia Anielki nie przyszły mu do myśli. Nie wyrzekł do niego ani słowa, nie podał mu ręki, tylko mierzył go wzrokiem, różnym bardzo od tego, jaki spotykał.

— Dlaczegoż ty mnie szukałeś?—spytał wreszcie Władysław zaledwie słyszalnym głosem.

— Szukałem cię! Dziś żałuję, żem to uczynił. Stało się! Od tego czasu zaszło wiele.

Zacisnął wargi i przez chwilę zdawał się szu-

kać w myśli, jak miał do niego przemówić. Władysław czekał, wzrok jego był wilgotny, odbijał wielką głębię spokojnej boleści.

— Stało się! — wyrzekł wreszcie Lucyan, podnosząc głowę—przynajmniej obietnicy swojej dotrzymam.

Teraz dopiero Władysław dostrzegł bezład i gorączkowość słów młodego chłopca; dotąd nadto był pogrążony we własnem wzruszeniu.

— Jakiej obietnicy?—zapytał drżącym głosem, jakby powziął przeczucie rzeczywistości.

Lucyan zbliżył się do niego, położył mu ręce na ramionach i tak wpatrzony w niego, jakby badał najlżejsze drgnienie twarzy, wyrzekł zwolna:

— Ty wysłuchać mnie musisz! ja przyjechałem tutaj, ażeby ci to powiedzieć!

Była w głosie jego stanowczość, która uderzyła Władysława daleko więcej, niż słowa.

— Mów!—wyrzekł krótko.

— Moja siostra umiera! a ja... ja... obiecałem jej, że cię zobaczy jeszcze.

Chciał mówić dalej, przerwał mu stłumiony okrzyk, wydobywający się z piersi Władysława.

Zrazu stał on, jak rażony gromem, spoglądając szeroko otwartemi oczyma w twarz Lucyana. Zda-

wał się błagać go wzrokiem, by cofnął te okropne słowa.

— Przez miłosierdzie! powiedz mi, że tak nie jest! że jest nadzieja przynajmniej.

Lucyan ponuro wstrząsnął głową; widmo nadziei dawno pierzchło od niego; wszędzie wkoło siebie widział rozpacz tylko.

I była chwila głuchej ciszy.

— Powiedz mi—szepnął Władysław — żem ja temu nie winien; bo inaczej, ja oszaleję! ja tego nie zniosę.

Przyciskał załamane ręce do czoła, prawie wijąc się z bólu.

Ale Lucyan nie miał dla niego pociechy.

— Sumienie własne cię oskarża. Gdyby tak nie było, ja nie przyjechałbym tutaj; jabym ciebie nie szukał, nie mówiłbym ci tego, co mówię. Spojrzyj na mnie! Położenie musi być groźne, skoro tu jestem ja, skorom ją odjechał, aby ciebie szukać!

Tak, położenie musiało być groźne, Władysław to rozumiał.

— Słuchaj!—wyrzekł wreszcie, odzyskując trochę panowania nad sobą—ty nie sądzisz przecie, bym porzucił was dobrowolnie. Nikt nie jest tak szalony, by odbiegał szczęścia swojego; ty musisz rozumieć, że rządziły mną powody silniejsze od szczęścia, od

woli mojej, od miłości; bo ty wiesz dobrze, że ją kocham!

— Jakież są te powody?

— Przed wyjazdem z Krakowa—wyrzekł zwolna Władysław—ojciec twój postawił mi to samo pytanie.

— A ty?

— Ja nie odpowiedziałem mu; bo ja tego uczynić nie mogę!

— Dość!—szepnął Lucyan — dość! powinienem cię odrazu zrozumieć! Byłem szalony!

— Rozumiesz?—powtórzył Władysław — więc czegoż pytasz?

Nieokreślony wyraz dumy przemknął po czole Lucyana.

— Jestem dziecinny—wyrzekł lodowato—ja nie mogłem wierzyć, byś ty był takim, jak wszyscy. By pomiędzy nami stanęło... rozdzieliło kochające serca... stało się powodem nieszczęścia... śmierci niewinnej istoty...

— Ha! — krzyknął Władysław — ty sądzisz... i ty pogardzasz mną?

Postawa Lucyana była na to wyraźną odpowiedzią. Zdawał się mówić:

— Alboż nie mam prawa?

— Ty sądzisz, żem ja to uczynił dla siebie? dla

siebie tylko?—powtarzał Władysław — żem ja was opuścił dla siebie?

Przez chwilę tarł czoło rozpaczliwą ręką, jakby szukając daremnie sposobu usprawiedliwienia.

— Nie mówmy o tem próżno — wyrzekł znowu Lucyan, usiłując zdobyć się na spokojność.—Od czasu naszego rozstania nauczyłem się elementarnych zasad życia, które mi dawniej były nieznane; przyznaję to. Dziś rozumiem wiele rzeczy... tylko nie pytaj, co mnie to kosztowało. Dziś nie dziwię się tym, co odwracają się od ludzi w nieszczęściu, od ludzi spotwarzonych, słowem: od tych wszystkich, co potrzebują bratniej ręki. Nieszczęście jest niebezpieczne, jak otchłań.. zaraźliwe, jak dżuma, wstrętne, jak trąd. Nie potrzebujesz się tłomaczyć; teraz rozumiem wszystko

Władysław porwał się, jak szalony, przystąpił do Lucyana.

— Ty tego o mnie myśleć nie możesz!

— Czemu, postąpiłeś rozważnie, bardzo rozważnie; będziesz miał niechybnie powodzenie; wszyscy podziwiać cię będą, tylko nie ja. Cóż chcesz? Ofiary są często niesprawiedliwe, nie umieją uznać tej wysokiej mądrości życia, która się przeciw nim obraca.

— Lucyanie! ja odwołuję się do serca twojej siostry.

— Moja siostra, to anioł; ona nie zrozumie nigdy nikczemności ludzkiej, ona nigdy wiedzieć nie powinna. Ona umrzeć musi...

— Ona nie umrze! ona umrzeć nie może!...—wołał Władysław.

— Dawniej, — mówił Lucyan, zasłuchany we własnych myślach — śmierć wydawała mi się niepodobieństwem, czemś okropnem, a tak dalekiem, jak zamieć zimowa w majowy poranek. Wiedziałem, że człowiek zrodził się na to, by umrzeć; ale wiedziałem to, jak się wie tyle innych rzeczy; nie przyszło mi nigdy do głowy, by śmierć groziła mnie, lub komukolwiek z ukochanych. Nie widziałem jej nigdy zblizka; nie widziałem tylu innych smutnych okoliczności życia. Dziś zmieniło się wszystko: zdaje mi się, że jakieś szkieletowe widma krążą w powietrzu koło mnie, koło Anielki i kładą na nas kościste dłonie. A dłonie te wydają mi się dziwnie lekkie, przyjazne, wzywają nas do jakiejś krainy ciszy i spokoju, gdzie niema ani zdrady, ani zwątpienia, ani nikczemności, nic, tylko jakiś dzień mglisty, bez cieniów, bez blasku i promieni, smętny... łagodny.

Mówił to sam do siebie, zapominając o świecie otaczającym, o towarzyszu, który na niego patrzał z przerażeniem.

— Lucyanie! — zawołał, chwytając go za rękę

jakby chciał być pewnym, że usłyszanym będzie—pomiędzy nami jest nieporozumienie straszne; zanim się ono rozproszy, ja przysięgam ci, że mię obwiniasz niesłusznie. Tłómaczyć się nie będę, to byłoby daremnem; kiedyś może wytłómaczą mię fakta, teraz ty słowu memu uwierzyć winieneś.

Lucyan wstrząsnął smutnie głową.

— Chciałbym ci uwierzyć! — szepnął — chciałbym, tylko to nie w mojej mocy. Widzisz, siostra moja umiera!

— Lucyanie! ty mówisz, jakby w marzeniu; patrzysz, jakbyś mnie nie widział.

Wstrząsał jego dłońmi, które ciągle trzymał w swoich, jakby chcąc go obudzić z jakiegoś snu na jawie.

— Masz słuszność!—mówił Lucyan — myślałem Bóg wie o czem.

I usiłował wydobyć ręce z jego uścisku.

— Myśl o tem, co nas wspólnie obchodzi.

— Wspólnie? — powtórzył Lucyan, zapytując wzrokiem, co wspólnego było już teraz pomiędzy nimi.

— Jadę z tobą! niech się dzieje, co chce! nie czas się wahać! ja ufam sercu twojej siostry, Lucyanie! jedźmy! jedźmy zaraz!

— Nie zależę od siebie! jadę się bić! — odparł krótko.

„Bić się“—słowa te zadźwięczały pomiędzy nimi, głucho, ponuro, jak zapowiedź nieszczęścia.

XX.

Brama od ogrodu willi w Krakowie była otwarta na oścież, przed nią stało wieko trumny, a w pokoju, otwierającym się na werandę, urządzonym, jak żałobna kaplica, wśród kirów, kwiatów i woni kadzideł, leżało martwe ciało Anielki.

Nie doczekała powrotu Lucyana, ani ziszczenia obietnicy, jaką jej uczynił. Umarła, cicha, cierpliwa, łagodna, jak żyła; tylko, zanim zamknęły się jej oczy, zwracały się często z niepocieszonym wyrazem ku stronie, z której spodziewała się brata i kogoś jeszcze.

W ogrodzie willi, w piękny słoneczny poranek, natura oddychała wonią i wdziękiem, kwiaty pach-

niały operlone rosą, ptaki świegotały, fruwając po gałęziach, muszki i owady brzęczały wesoło, świat cały zdawał się urągać wiekuistym uśmiechem natury cierpieniom ludzkim, znikomości życia. Promienie słoneczne błąkały się po żałobnym pokoju, padały na twarz umarłej i czyniły złotemi sploty włosów, okrążające jej blade czoło. W blasku słonecznym migały czerwono płonące gromulce, kłębiły się błękitne dymy kadzielnic, nadając jakiś pozór ruchu martwym przedmiotom, sprzeczny z cichym spokojem śmierci.

Nieobecność Lucyana w chwili śmierci Anielki była niewytłomaczona; nasuwała straszne przypuszczenia. Gdzie był? Co zamierzał? Co robił? January wysłał telegram do pasierba; odpowiedziano mu z miejsca, gdzie rzekomo się udał, iż nie widziano go tam wcale. Wśród boleści, sprawionej śmiercią Anielki, musiał jeszcze tłumić własne obawy i mylić niepokój Heleny, której serce, śmiertelnie zbolałe, domagało się syna.

Były to dla niego straszne chwile. Jak tytan spiorunowany, walczył z nieodmiennym losem, z sercem własnem, a nadewszystko z rozpaczą kobiety ukochanej. Ten dumny, nieugięty szermierz życia, teraz czuł nad sobą zwycięzką potęgę.

Wprawdzie nie był tak szalony, by chcieć zni-

weczyć konieczne działacze bytu, i gdyby śmierć Anielki spowodował przypadek, lub zwykła choroba, byłby ją przyjął i zniósł, jako warunek istnienia, przeciw któremu wszelki bunt jest daremnym.

Ale on wiedział, iż w innych warunkach, ona byłaby żyła szczęśliwa; ale ta blada twarz, te usta ścięte śmiercią, z których nie wyszła nigdy skarga żadna, były dla niego wyrzutem. Wiedział dobrze, jaka była przyczyna jej choroby, a on tej przyczyny usunąć nie zdołał. I wobec spełniającego się faktu jej nieszczęścia, choroby, śmierci, znalazł się bezczynnym—gorzej jeszcze—bezsilnym.

Czyż nie on sam tę nieszczęsną miłość wypielęgnował? czyż nie obiecał, że zajmie się jej serdecznemi sprawami, że spokojną być może? Wszystkie obrachowania jego okazały się mylnemi; nie zdołał zapanować nad wypadkami; przeciwnie, one go zwyciężyły.

Myśli te paliły go, jak zarzewie. A w głowie powstawała jeszcze jedna wątpliwość, straszniejsza nad wszystko. Czy rzeczywiście uczynił wszystko, co mógł, dla przejednania Władysława? Czy duma nie była mu złym doradcą, i czy tym sposobem podwójnie nie przyłożył ręki do tej śmierci?

W żałobnym pokoju Helena była sama. January daremnie próbował ją ztamtąd odciągnąć. Wobec

śmierci Anielki tracił nad nią swoją wszechwładzę. Ponury i zrozpaczony, zamknął się w swoim pokoju, zanim nadejść miała godzina pogrzebu. Z roziskrzonem okiem spoglądał w niebo błękitne, pogodne, jak patrzyli weń wszyscy spiorunowani tytani.

W uszach jego konał daleki gwar miasta, w oczach obrazy rzeczywistego życia. Wobec nich on był sam z gryzącą myślą swoją. Nagle pomiędzy zwykłemi postaciami, snującemi się przed wejściem, ujrzał powóz szczelnie zamknięty, jadący zwolna, zatrzymujący się przed bramą; z niego wysiadło kilku ludzi, niosąc ostrożnie ciężar jakiś. Przetarł oczy; ludzie ci mieli znajome twarze, pomiędzy nimi był Władysław.

Uderzył go jakiś przebłysk straszny; przyszło mu na myśl, że nieszczęście miało jeszcze dla niego tajemnice i niespodzianki; że, jeźli zły los oddalił ztąd Władysława, drugi, gorszy jeszcze, mógł go jedynie sprowadzić. I jak szalony zbiegł ze schodów.

Spotkał się naprzód z Władysławem; ten szedł blady, jak śmierć sama, z szeroko roztwartemi oczyma, z wzrokiem błędnym, świadczącym, że patrzy, działa, pod wpływem jakiegoś wzruszenia, co, ogarnąwszy całą istotę, panuje nad siłami, nad wolą— i zamienia człowieka w automat.

January spojrzał na niego i słowa „powróciłeś

za późno", które miał na ustach, skonały na nich niewymówione. Cofnął się instynktownie i ustąpił mu z drogi, jak ludzie ustępują przed umarłym. On szedł tam, gdzie była jego umarła miłość.

Ale poza nim January ujrzał Konrada, Ignasia i kogoś nieznajomego jeszcze, i martwe z pozoru, krwią zbroczone ciało. Mgła zasunęła mu wzrok; uczuł, że mu tchu zabrakło, że zachwiały się pod nim kolana; nie mógł o nic zapytać.

Ignaś i Konrad ściskali dłonie jego, mówili coś; nie był zdolny oddać im uścisku, ani zrozumieć znaczenia słów. On myślał teraz o Helenie, którą ten widok mógł dobić. I jak kobieta, załamał ręce.

Ziemia osuwała mu się z pod stóp, ster życia wypadał z ręki.

— Ha!—szepnął—i on! i on także....

Więcej wymówić nie mógł.

— January! — zawołał Ignaś, chwytając go za ręce — gdzie go zanieść! zbierz myśli? potrzeba ratunku!

January z całej przemowy przyjaciela zrozumiał tylko te słowa „trzeba ratunku".

— Więc on żyje!—zawołał.

— Żyje!—powtórzono, ale w słowie tem nie było radosnego brzmienia, jakie w głosie jego zadźwięczało.

— January!—powtórzył Ignaś—rana jest śmiertelną; co mamy robić? lękamy się przestrachu matki; trzeba przygotować ją do tego nowego ciosu.

Wtedy dopiero zdołał zapanować nad sobą, zebrać myśli i dać rozporzędzenie, stosowne do okoliczności. Zbudził się w nim człowiek szybkich postanowień.

Odnalazł na chwilę energią.

Prowadził ich bocznemi wschodami do pokoju Lucyana, cicho, ostrożnie, by nie zbudzić echa w tym żałobnym domu. Sam, nie wołając służby, której lękał się okrzyków i zapytań, rozrzucił zasłane łóżko i ostrożnie pomógł złożyć na niem rannego.

Lucyan był zemdlony. Doktór, który mu towarzyszył i opatrzył ranę na miejscu spotkania, zaczął krzątać się koło niego.

January patrzał na to w ponurem milczeniu. Nie pytał o powód pojedynku, o przeciwnika; on pytał tylko tych rysów, ściętych bólem, o nadzieję jaką. Wreszcie pochwycił doktora, odciągnął go od rannego.

— Powiedz mi pan, czy jest nadzieja?—zawołał —chociażby cień nadziei!

Doktór wzruszył ramionami.

— Kula przeszyła mu lewe płuco na wylot. Zostaje mu zaledwie parę godzin życia.

January był przygotowany na wszystko, tylko nie na to. Słysząc ten straszny wyrok: „parę godzin życia“, uczuł, że mu się ziemia z pod stóp usuwa.

— Dlatego przynieśliśmy go tutaj!—tłomaczył doktór—chociaż mógł umrzeć w drodze. Chciał pożegnać matkę koniecznie. Mówił o siostrze.

O Januarym doktór nie wspomniał. Wszakże Lucyan był także synem jego ducha. Ale opuszczenia tego on nie miał czasu zauważyć. Są chwile, w których wielkie kontury życia zacierają wszelkie odcienia i drobiazgi, chwile, które pochłaniają indywidualne rysy. Wobec wieści, jaką odebrał, czyż mógł zastanawiać się nad frazesem doktora?

„Parę godzin życia!“ więc to miał być jedyny owoc bytu tej istoty, wypielęgnowanej miłością, karmionej nauką, otoczonej rozumnem staraniem, która wzrastała pod okiem jego, rozwijała się, pełna inteligencyi, szlachetnosci i wdzięku! On miał umrzeć, w chwili, gdy szranki życia otwierały się przed nim!

Teraz dopiero Ignaś i Konrad zbliżyli się do niego, teraz dopiero ich zauważył. W krótkich słowach uwiadomili go o fatalnych wypadkach. Jednej rzeczy tylko wytłómaczyć mu nie mogli: jakim sposobem Lucyan znalazł się w Warszawie.

January lękał się odgadnąć. Wypadki wikłały się wkoło niego i naprzekór jemu. Fala nieszczęścia, nakształt wzbierającego morza, piętrzyła się coraz

wyżej. Uczuł się zwyciężonym. Zrozumiał, że nieubłagane fatum ciążyło nad nim.

Patrzał na zemdlonego Lucyana suchem okiem, ale z tym wyrazem cierpienia, który urąga sam sobie i własnym bólom. Wpatrywał się w te zmienione rysy, które wkrótce zastygnąć miały, i zapytywał, czy ten bolesny widok nie należał się matce także? czy ona kiedyś wymawiać mu nie będzie, że pozbawił ją nawet jednej z tych krótkich chwil, które mogła przy nim spędzić jeszcze? A jednak, on nie mógł pójść jej powiedzieć, pochylonej nad trumną córki: „Synowi twemu pozostaje zaledwie parę godzin życia“. Nie! on jej tego powiedzieć nie mógł; on! co pragnął nachylić niebo pod jej stopy. Był odważny, umiał cierpieć; ale to było nad jego siły. Chwile upływały ponure — powolne — niepowrotne. Ciszę, panującą w pokoju, przerywał zaledwie czasami głos doktora, dającego jaki rozkaz, lub drobna usługa, oddana rannemu.

Wreszcie Lucyan otworzył ociężałe powieki i powiódł wkoło wzrokiem niepewnym, jakby zapytywał; gdzie jest? Co się z nim dzieje?

Tuż przy nim stał January, z pochyloną głową, z obwisłemi ramionami, jak posąg milczącej boleści. Ale wzrok Lucyana odwrócił się od niego i szedł dalej, jakby szukając kogoś, kogo nie znajdował.

— Lucyanie! — zawołał January, zwyciężony

uczuciem, nachylając się nad nim, jak matka nad dzieckiem.

Ranny odwrócił głowę.

— Moja siostra umarła!—szepnął, jakby w omdleniu dosłyszał słowo jakieś, lub przeczuł, co się w domu działo. — Pójdziemy razem. Gdzie moja matka?...

Przez chwilę January miał myśl wysłać do Heleny Ignasia, jako zwiastuna nieszczęścia. Ale zrozumiał, że on sam tylko mógł to i powinien uczynić. Czyż inna ręka zdolna była oszczędzać ją tak, jak jego? czyż miał, jak dziecko targować się z cierpieniem?

— Ja chcę widzieć matkę! — wołał umierający, w którego oczach malowały się w tej chwili trwogi i uciski śmiertelne.

Januarego nie widział, czy też widzieć nie chciał; od niego, błąkał się po obecnych.

Chwila nadeszła; January zwrócił się do Lucyana, a był w tej chwili równie blady, jak on.

— Idę po matkę!—wyrzekł rozbitym głosem.

Wyszedł z pokoju. Helena i Władysław byli przy umarłej. Martwa twarz Anielki zdawała się uśmiechać pomiędzy nimi wiekuistym spokojem.

January spojrzał na nią i po raz pierwszy pozazdrościł umarłym ciszy grobowej.

— Godzina nieszczęścia!—szepnął tylko.

Zatrzymał się przed Heleną. Nie mógł powiedzieć więcej. Usta jego ścięte zaledwie zdobyły się na jedno słowo:

— Chodź!

W głosie jego było tyle bólu i taka nagląca prośba, iż Helena odwróciła się, spojrzała na niego i nie śmiała o nic zapytać.

— Chodź!—powtórzył prawie z rozpaczą.

Powstała i szła za nim, a chociaż nie powiedział jednego słowa, wiedziała, że stało się coś strasznego, że prowadzi ją na spotkanie nowego nieszczęścia. On czuł, że powinien ją był uprzedzić, ale nie znajdował słów. Jakże miał powiedzieć tej matce, która straciła jedno z dzieci, że drugie było blizkiem skonania?!

Nagle na schodach zobaczyła ślady krwi... Zatrzymała się przerażona; usłyszała na górze szmer jakiś i jęk stłumiony!

— January.—krzyknęła, chwytając ramię jego i usiłując spojrzeć mu w oczy.

Ale oczy jego były spuszczone.

— Kto tam jest?—pytała, cała drżąca.—Czyja to krew?

W tej chwili doszedł ją głos zmieniony, głos pełny niepokoju i trwogi.

— Moja matka! ja chcę zobaczyć matkę! ja nie skonam, póki jej nie zobaczę!

Teraz nie pytała o nic; dziki, stłumiony okrzyk wydarł się z jej piersi i, wyrwawszy się z rąk Januarego, biegła do pokoju Lucyana, ślizgając się we krwi, zataczając się, oszalała rozpaczą.

Nie widziała obecnych, widziała tylko syna, i padła pół martwa przy łóżku, otaczając ramionami głowę jego, na której widne już były cienie śmierci.

Twarz rannego rozjaśniła się na jej widok, mdlejące oczy odzyskały trochę blasku, usta nawet próbowały uśmiechu.

Z wysileniem uniósł się na łokciu. Doktór zwilżał mu skronie zimną wodą, chciał mu zabronić mówić, — to było daremne; śmierć nie pozwalała na zwłokę żadną.

Lucyan skinął na obecnych, by zostawili go samego z matką; zrozumieli to i wyszli wszyscy, prócz Januarego, który nie pomyślał, by życzenie umierającego stosowało się do niego także. Ale Lucyan zrobił ruch tak nakazujący, że oddalić się musiał.

Syn został się sam na sam z matką.

— Zamknij drzwi! — wyrzekł, jakby lękał się, by nie podsłuchało ich obce ucho.

Spełniła jego rozkaz machinalnie i powróciła na miejsce swoje.

— Matko! — szepnął — ja muszę zadać ci pytanie.

Patrzała na niego osłupiałym wzrokiem.

— Ty musisz mi powiedzieć!—zaczął znowu.

Pytanie było trudne; usta się przed niem cofały, ona odgadnąć go nie była zdolną.

Lucyan pochwycił jej rękę i na serdecznym palcu szukał ślubnego pierścionka.

— Powiedz mi!—powtórzył znowu z wzrastającą mocą—że ty jesteś żoną jego.

Ręka, którą trzymał, zadrgała konwulsyjnie, ale usta milczały.

— Ja nie skonam spokojnie, póki mi nie odpowiesz; ja nie mogę wziąć z sobą tej wątpliwości do grobu!

Nie mogła odpowiedzieć, padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach; wymawiała tylko bezładne wyrazy o mężu, o rozwodzie, którego dostać nie mogła.

Nie pytał o więcej; rozumiał; głowa opadła mu na puduszki.

— Matko! matko!—szepnął — ja przez to umieram.

Tarzała się w prochu przy jego łóżku; łamała ręce, biła głową o ścianę, a suche oczy nie mogły znaleźć łzy, ani usta słowa żadnego.

On, wyczerpany wysileniem, przymknął powie-

ki, krew broczyła mu wargi, zdawało się, że już kona.

Po chwili przecież otworzył oczy, szukał matki, ujrzał jej rozpacz i na twarzy tej, zmroczonej cieniami śmierci, zapanował miększy wyraz.

— Mamo! — zaledwie zdołał wyszeptać drżącemi usty.

Dosłyszała go i podniosła głowę.

— Mamo!—powtórzył cicho i miękko, jak zwykł był wołać w dniach dziecinnych, gdy usypiał na jej kolanach. — Mamo! przebacz mi!... ja musiałem wiedzieć! chodź tutaj!... chodź bliżej!... daj mi rękę!... przyłóż mi usta do czoła!... nie widzę cię... słabo mi... ciemno... bądź zdrowa... bądź szczęśliwa...

Głos zamierał w rozdartej piersi, raz jeszcze usta się poruszyły.

— Tylko — szepnął z wysileniem ostatniem— tylko niech on nie przychodzi tutaj... ja...

Więcej nie mógł mówić, fala krwi przerwała mu słowa na ustach.

Krzyknęła, wołając pomocy, jakby pomoc jaka jeszcze potrzebną mu była. Syn już nie mógł usłyszeć jej głosu, ani żadnego głosu na ziemi. Tylko otwarte szeroko, bielmem zachodzące oczy, zdawały się opowiadać ostatnią myśl życia: oczy te zwrócone były ku drzwiom pokoju, — jakby broniły przystępu Januaremu.

Na krzyk Heleny wbiegli wszyscy, doktór spojrzał, wziął martwą rękę Lucyana, przekonał się, że, wedle przepowiedni jego, wszystko było skończone.

January wszedł także; on tego umarłego kochał, jak syna; a gdyby i tak nie było, tam stała jak Niobe kobieta, którą kochał, dla której posiadania wszystko porzucił, potargał wszystkie węzły, jakie ich krępowały.

Helena stała pochylona nad umarłym, jak w chwili, gdy żądał od niej ostatniego pocałunku.

January chciał przemocą odciągnąć ją od zwłok syna. Odwróciła głowę, zobaczyła go, i wobec ostatnich słów zmarłego, które dźwięczały jej w uszach, przytomność jego tutaj zdała jej się świętokradztwem.

Z rodzajem grozy cofnęła się przed jego dotknięciem; w oczach jej był wyraz przestrachu, wstrętu nawet, jakiego nie widział w nich nigdy.

— Odejdź ztąd! — zawołała z mocą, jakiej nikt w tej chwili nie mógł spodziewać się po niej—odejdź! on widzieć ciebie nie chciał. Nie mieszaj mu pośmiertnego spokoju!

January cofnął się, rażony tym ostatnim gromem. Pomiędzy nim a Heleną stały dwie trumny.

KONIEC.

39. *Eliza Orzeszkowa* **„Jędza“** . . . . tom 1
40. 41. *K. Junosza* **Żywotą i Spraw imć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro** . . . . . , tomów 2
42. 43. *Wanda Grot - Bęczkowska* **„W mieszczańskiem gnieździe“** powieść . . . . tomów 2
44. 45. *Lord Byron* **„Wędrówki Childe—Harolda“** poemat, tłom. z ang. przez *A. A. K.* . . . . tomów 2
46. *A. K. Smaczniński* **„Na dnie otchłani“** powieść współczesna . . . . , ... tom 1
47. 48. 49. 50 *Marya Łopuszańska* **„Bezkrólewie“** powieść historyczna . . . . tomów 4
51. 52. *H.G Wells* **„Wojna światów“** przekład z angielskiego *Maryi Wentz'l* . . . . tomów 2
53. *Edward Maliszewski.* **„Z życia“** . . . . . . tom 1
54. 55. *Wiktor Gomulicki* **„Wybór Nowel“** . . . tomów 2
56. 57. 58. 59. *E. L. Bulwer* **„Ostatnie dni Pompei“** tomów 4
60. *Wiktor Gomulicki* **„Wybór Nowel“** . . . . . . tom 1
61 *Antoni Lange* **„ Przekłady z poetów obcych“** . tom 1
62. 63. *Kazimierz Chłędowski* **„Dwie wizyty w Anglii“** tomów 2
64. *Antoni Lange* **„Przekłady z poetów obcych“** . . tom 1
65. *Exterus* **„Kwiat aloesu“** . . . . . . , ... tom 1
66. 67, 68. 69. 70. *Henryk Rzewuski* **„Listopad“** tomów 4
71. 72, *Klemens Junosza* **„Czarnebłoto“** . . . . . tomów 2
73. 74. *Piotr i Paweł Margueritte* **“Nowe Kobiety** . tomów 2
75. 76. *Aspiro* **„W dolinie łez“** . . . . tomów 2
77. 78. 79. *Antoni Chleboradzki.* **„Na Kurpiowskim szlaku“** tomów 3
80. — 85. *Karol Szajnocha.* **„Dwa lata dziejów naszych“** tomów 6
86. 87. *Berta v. Suttner* **„High-Life** . . . . tomów 2
88. 89. 90 *H. Rzewuski.* **Pamiątki starego szlachcica litewskiego** 3
91. *Klemens Junosza Szaniawski* **„Pająki”** . . . . . . tom 1
92.—96. *Henryk Rzewuski* **„Zamek Krakowski“**. . tomów 6
97 .98. *E. Bard.* **„Chińczycy u siebie“** . . . . . tomów 2
99. 100. *Wincenty Kosiakiewicz* **Rick i Rock** . . . tomów 2
101. *Artur Gruszecki* **„Wykolejony„** . . . . tom 1
102. *Ursyn (Jan Zamarajew)* **„Wybór nowel“** . . . . . tom 1
103, 184. 105. *Walerya Marrené. (Morżkowska).* **„January“** tomów 3